

JUSTINE LARBALESTIER

MOJA
SIOSTRA
ROSA

„Niezwykła. Zaskakująca. Trzymająca w napięciu. Brawo...
Nie potrafię przestać o niej myśleć. Justine Larbalestier posiada
doprawdy wspaniały i przerażający umysł”.

John Green



BUKOWY LAS

MYŚL
- NIK

- Ciekawe, czy dałabym radę otworzyć wyjście awaryjne. - Rosa wpatruje się w wiszącą obok instrukcję.

- Ty? To niemożliwe. Jesteś za mała. Poza tym nie da się drzwi otworzyć podczas lotu. - Nie wiem, czy to prawda. Na pewno Rosa sprawdzi to później i mnie uświadomi.

- A gdyby wzniecić pożar w samolocie?

Nie mówiłaby tego wszystkiego, gdyby Sally i David mogli ją usłyszeć. Ale oni siedzą w rzędzie przed nami, a cichy szum silników zagłusza nasze słowa. Ja słyszę wszystko, co mówi Rosa, klikanie i bzyczenie włączników, które naciska, skrzypienie fotela, a ona słyszy mnie, jednak nie docierają do nas głosy pozostałych pasażerów, a nasze do nich.

- Che?

- Słucham, Roso?

Tym razem zapyta o wysadzenie samolotu w powietrze?

- Żałuję, że nie zostaliśmy w Bangkoku - wyznaje.

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

CZEŚĆ PIERWSZA. Muszę kontrolować Rosę

CZEŚĆ DRUGA. Chcę wziąć udział w sparingu

CZEŚĆ TRZECIA. Chcę mieć dziewczynę

CZEŚĆ CZWARTA. Chcę wrócić do domu

Podziękowania

Okładka

JUSTINE LARBALESTIER

MOJA
SIOSTRA
ROSA

przełożyła
Magda Białoń-Chalecka

BUKOWY • LAS

TYTUŁ ORYGINAŁU: *My Sister Rosa*

Copyright © 2016 Justine Larbalestier

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem do reprodukcji w całości lub we fragmencie w jakiegokolwiek formie.

Copyright © for the Polish edition and translation by Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o., 2017

ISBN 978-83-8074-114-0

PROJEKT OKŁADKI: Astred Hicks, Design Cherry

FOTOGRAFIA NA OKŁADCE: © Shutterstock

REDAKCJA: Olga Gitkiewicz

KOREKTA: Urszula Włodarska

REDAKCJA TECHNICZNA: Adam Kolenda

WYDAWCA:

Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o.

ul. Sokolnicza 5/76, 53-676 Wrocław

www.bukowylas.pl



WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR:

FK Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością Spółka Jawna

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. 22 721 30 11, fax 22 721 30 01

www.olesiejuk.pl, e-mail: fk@olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej: pan@drewnianyrower.com

*Mojej agentce Jill Grinberg,
która zawsze we mnie wierzyła i wspierała,
gdy najbardziej tego potrzebowałam*

CZEŚĆ PIERWSZA

Muszę kontrolować Rosę

ROZDZIAŁ 1

Rosa bawi się, wciskając wszystkie możliwe guziki.

Przesuwa fotel do przodu i do tyłu, podnosi i opuszcza podnózek, zapala i gasi światło, włącza i wyłącza telewizor.

Jeszcze nigdy nie podróżowaliśmy klasą biznes, więc moja siostra musi zbadać wszystkie możliwości i dowiedzieć się, co wolno, a następnie wykombinować, jak zrobić to, czego nie wolno.

Stewardesy ją uwielbiają. Zawsze ją uwielbiają, podobnie jak większość nieznanomych. Rosa ma dziesięć lat, blond loki, wielkie błękitne oczy oraz dołki w policzkach, które potrafi zaprezentować jak za... cóż, naciśnięciem guzika.

Wygląda jak laleczka, ale bynajmniej nią nie jest.

Zajmuje fotel przy oknie, dzięki czemu oddzielam ją od potencjalnych ofiar. W tej chwili pasjonuje się włącznikami. Takie zajęcia zupełnie ją pochłaniają – wciskanie guzików, liczenie ziaren piasku, szacowanie miar kątów, odkrywanie, jak różne rzeczy działają, a przede wszystkim jak mogą zadziałać na jej korzyść.

Mam nadzieję, choć niezbyt wielką, że będzie tym zaabsorbowana przez całą podróż do Nowego Jorku. Niestety, lot trwa długo, więc wiem, że Rosa się znudzi i, korzystając z nieuwagi naszych rodziców Sally i Davida, będzie szukała sposobów, by narobić kłopotów, aż w końcu je znajdzie. To jej ulubiona zabawa, a moim zadaniem jest ją powstrzymać.

Na szczęście klasa biznes dostarczy jej zajęcia na dłużej niż ekonomiczna. Jest tu bardzo wygodnie i mogę rozprostować nogi. Gdy wyciągam rękę, ledwo sięgam do fotela przede mną, no i nic nie wbija mi się w kolana. Byle tylko w Nowym Jorku była sala treningowa. Gdyby ten samolot leciał do domu, do Sydney.

– Ciekawe, czy dałabym radę otworzyć wyjście awaryjne. – Rosa

wpatruje się w wiszącą obok instrukcję.

– Ty? To niemożliwe. Jesteś za mała. Poza tym nie da się drzwi otworzyć podczas lotu. – Nie wiem, czy to prawda. Na pewno Rosa sprawdzi to później i mnie uświadomi.

– A gdyby wzniecić pożar w samolocie?

Nie mówiłaby tego wszystkiego, gdyby Sally i David mogli ją usłyszeć. Ale oni siedzą w rzędzie przed nami, a cichy szum silników zagłusza nasze słowa. Ja słyszę wszystko, co mówi Rosa, klikanie i bzyczenie włączników, które naciska, skrzypienie fotela, a ona słyszy mnie, jednak nie docierają do nas głosy pozostałych pasażerów, a nasze do nich.

– Che?

– Słucham, Roso?

Tym razem zapyta o wysadzenie samolotu w powietrze?

– Żałuję, że nie zostaliśmy w Bangkoku – wyznaje.

Wątpię. Rosa kompletnie nie dba o to, w jaki zakątek świata wloką nas rodzice: Nowa Zelandia, Indonezja, Tajlandia, ojczysta Australia. Jest jej wszystko jedno.

– Nie wystarczyło ci pół roku? – Sześć miesięcy to jak na nas długi pobyt w jednym miejscu.

– Będę tęskniła za Apinyą.

Rzucam jej szybkie spojrzenie, ale nie komentuję. Apinya z pewnością nie będzie za nią tęskniła. Kiedy się żegnaliśmy, rozplakała się, chwyciła kurczowo swoją matkę i za żadne skarby nie chciała puścić. Jej rodzice myśleli, że rozpacza z powodu wyjazdu Rosy, ale ja wiedziałem, że zachowuje się tak wyłącznie ze strachu przed nią.

Moja siostra znów poświęca całą uwagę guzikom, bez ustanku wciskając to jeden, to drugi. Chce mnie sprowokować, żebym jej tego zakazał, ale nie dam się. Podłączam słuchawki do telefonu i uruchamiam podcast *Flying Fists* – zachowałem sobie pięć odcinków na lot – a przy okazji czytam kilka ostatnich SMS-ów od moich najlepszych przyjaciół: Jasona, Georgie i Nazeema. Trzymam telefon tak, by Rosa nie widziała ekranu.

Podpaliła już coś?

Ale zabawne.

Tym zabawniejsze, że Rosa już o to pytała. Szkoda, że nie ma tu Georgie. Jasona i Nazeema też. Tęsknię za nimi. To jedyni ludzie, z którymi mogę szczerze rozmawiać o Rosie. Mimo że tylko Georgie naprawdę mi wierzy.

W połowie drugiego podcastu, specjalnego odcinka o Muhammadzie Alim, Rosa szturcha mnie w ramię.

– Che?

– Tak, Roso? – Wyjmuję słuchawki z uszu.

– Byłam grzeczna i dotrzymałam wszystkich obietnic.

Wzdycham cicho. Rosa zazwyczaj dotrzymuje obietnic, znajdując i wykorzystując luki w ustalonych warunkach. Byłaby przerażającym prawnikiem.

– Powinnam móc zrobić jedną malutką złą rzecz – dodaje.

– Bycie grzecznym to nie gra. – Dla niej wszystko jest grą.

Specjalnie dla mnie prezentuje dołeczki w policzkach, choć wie, że to nie podziłała.

– Powinnam dostać nagrodę za grzeczne zachowanie – oznajmia.

– W nagrodę nie powiem rodzicom.

– Ale już im powiedziałaś – zauważa.

– Nie o tym, co zrobiłaś Apinyi – wyjaśniam.

Kiedyś informowałam rodziców o wszystkich przewinach Rosy, ale przestałam. Uważają, że „dokazywanie” – tak, naprawdę tak to nazywają – jest normalne dla dziecka w jej wieku. Poza tym powtarzają uparcie, że zachowuje się o wiele lepiej niż kiedyś. To nieprawda, ona po prostu o wiele lepiej ukrywa to, jaka jest. Ich zdaniem Rosa miała problem. Zrobili z nią rundę po lekarzach, terapeutach, specjalistach, którzy ją wyleczyli, i problem rozwiązany. Jest tylko trochę nieprzystosowana społecznie, a my powinniśmy jej pomóc, nie robiąc z igły wideł.

– Nie ma o czym mówić, bo ja nic nie zrobiłam – stwierdza przebiegłym tonem.

Nie zamierzam po raz milionowy powtarzać, że nakłanianie

innych do złych postępów jest równie niewłaściwe, jak popełnianie ich.

– Inni ludzie ciągle robią złe rzeczy – argumentuje.

– Nie jesteś... – zaczynam.

– Spójrz na tego staruszka – przerywa mi. – On jest zły.

Ubrany w garnitur mężczyzna w średnim wieku siedzący po drugiej stronie przejścia macha właśnie ręką, przywołując stewardesę. Wlewa w siebie alkohol bursztynowego koloru, jakby to była woda.

– Picie jest złe – stwierdza surowo Rosa – a to już jego siódmy drink. – Zakłada ramiona na piersi, jakby dzieliła się ze mną genialnym odkryciem. – Dlaczego nie odmówią mu następnych? Albo nie wsadzą go do samolotowego aresztu?

– Nie ma czegoś takiego.

– On dokucza tej pani.

Mężczyzna pochyła się nad siedzącą obok kobietą, co nie jest wcale łatwe. W klasie biznes pomiędzy siedzeniami zamiast wąskich podłokietników znajdują się stoliki. Kobieta odsuwa się najdalej, jak może. Ma w uszach słuchawki, a w ręku trzyma książkę.

Zastanawiam się, czy powinienem jakoś zareagować. Może facet się zawstydzi, jeśli siedemnastolatek zwróci mu uwagę.

Nie zdążam nawet wstać, gdy podchodzi stewardesa, ale nie kieruje się do pijanego faceta, tylko do Rosy.

– Dzwoniłaś, młoda damo? – pyta, pochylając się, by wyłączyć światełko sygnalizacyjne.

Rosa rozpromienia się, pokazując dołeczki i potrząsając lokami.

Stewardesa nie może się oprzeć i po prostu musi się uśmiechnąć.

– U mnie wszystko w porządku, ale myślę, że ta pani potrzebuje pomocy. – Rosa pokazuje palcem kobietę za plecami stewardesy. – Tamten pan jej się narzuca. Czy może pani coś zrobić? Mój brat twierdzi, że nie macie aresztu w samolocie, ale jeśli jednak macie, to powinniście go tam wsadzić. To zły człowiek.

Stewardesa przepaszająco rozkłada ręce.

– Niestety, nie mamy aresztu, ale to miło z twojej strony, że zareagowałaś. Zaraz zajmę się tą sprawą.

Znów uśmiecha się do Rosy.

– Podobają mi się pani kolczyki – stwierdza moja siostra. To małe złote sztyfty z czerwonym kamieniem płasko przylegającym do płatków uszu.

– Dziękuję. – Stewardesa się oddała.

– Widzisz? – mówi Rosa. – Troszczę się o innych. Pomogłam tej kobiecie. Jaką dostanę nagrodę?

– Pomaganie innym jest twoją nagrodą – odpowiadam.

Rosa przewraca oczami. Tę minę ma zarezerwowaną wyłącznie dla mnie.

– Uważam, że stewardesa powinna oddać mi swoje kolczyki – oznajmia.

Siadam wygodnie w fotelu i wracam do odcinka o Muhammadzie Alim, który jeszcze nazywa się Cassius Clay i jest amatorem.

Rosa ogląda film, ale nie sprawdzam jaki. Może to na chwilę odciągnie ją od wciskania włączników. Cassius Clay zdobył właśnie złoty medal na olimpiadzie.

Pijany mężczyzna chwieje się w przejściu, po czym potyka się i chwyta oparcia mojego fotela, żeby nie upaść. Śmierdzi alkoholem i zastarzałym potem.

– Hej, malutka – rzuca, gapiąc się na Rosę. – Masz ładne włosy. Jak Shirley Temple. Założę się, że nie wiesz...

Rosa pokazuje mu język.

– Wie, kim jest Shirley... – mówię, ale pijak już odpycha się od fotela i niepewnym krokiem rusza w stronę toalety. Chyba nie jest w stanie zbyt długo skupić się na jednej myśli.

Stewardesa przykuca obok kobiety, którą napastował pijak. Nie słyszymy, co mówią, ale po chwili pasażerka zabiera swoje rzeczy i rusza za stewardesą na przód samolotu.

– Przenoszą ją do pierwszej klasy – domyśla się Rosa. – Ja to załatwiłam. Uratowałam ją. Mnie też powinni w nagrodę przenieść do pierwszej klasy.

Teraz na mnie kolej, by przewrócić oczami.

– McBrunightowie powinni byli wykupić nam pierwszą klasę – stwierdza moja siostra. – Są bogaci. Założę się, że sami podróżują wyłącznie pierwszą klasą.

McBrunightowie są najlepszymi przyjaciółmi naszych rodziców, których poznali, kiedy byli w moim wieku. A teraz ściągają nas samolotem do Nowego Jorku, gdzie Sally i David mają otworzyć dla nich nową firmę. Rodzice założyli ich już mnóstwo. To ich specjalność: tworzą przedsiębiorstwa, sprzedają i ruszają dalej.

– Tę panią przenieśli, ale jak ukarzą jego, Che? Szkoda, że nie ma aresztu w samolocie.

– Pewnie naplują mu do kawy.

– To nie wystarczy – oznajmia Rosa poważnym tonem.

– Żartowałem, nie zrobią tego.

– A powinni.

– Świat nie zawsze tak działa, siostrzyczko.

– Jak nie działa świat? – pyta Sally, przechylając się nade mną, żeby dać buziaka Rosie. – I co u moich kochanych dzieciaków?

– Klasa biznes jest super – oznajmia moja siostra. – Podobają mi się te fotele dla bogaczy. Powinniśmy zawsze tak podróżować.

Sally się śmieje.

– Chętnie – zgadza się.

– Możecie kazać płacić McBrunightom – proponuje Rosa. – Choć następnym razem powinniście im powiedzieć, żeby umieścili nas w pierwszej klasie.

Sally znów parska śmiechem.

– Chcę zobaczyć, jak wygląda – nie poddaje się Rosa. – Wyobraźcie sobie, ile tam musi być włączników. – Wciska jeden z nich, by podnieść oparcie fotela, a potem natychmiast je opuszcza.

– Pewnie wypróbowałaś już wszystkie – domyśla się Sally. – David zrobił to samo, a teraz śpi jak kłoda – dodaje.

Wymieniamy uśmiechy. Tato potrafi zasnąć w każdych warunkach.

– Zamierzam obejrzeć wszystkie filmy, jakie mają – oznajmia

moja siostra.

– Nie chcesz iść do ubikacji? – pyta mama.

– Sally! – oburza się Rosa. – Mam dziesięć lat, nie dwa. Potrafię sama sobie z tym poradzić.

Mama unosi rękę.

– Dobra, dobra, możesz iść sama. – Ścisza głos i szepcze mi do ucha: – Pilnuj jej.

Robię to nieustannie.

Sally pochyla się znów, żeby pocałować Rosę, a mnie lekko przytula.

– Zdrzemnij się chwilę – sugeruje.

Po chwili znów owiewa nas woń alkoholu.

– To bardzo zły człowiek. – Rosa przygląda się pijakowi z trudem sadowiącemu się w fotelu. – Zasłużył na karę – stwierdza, następnie zamyka oczy i natychmiast zapada w sen, dokładnie tak jak David.

Mężczyzna po drugiej stronie przejścia też odpływa. Ma otwarte usta i na pewno chrapie.

* * *

Oglądam filmy o boksie w nadziei, że zasnę, zanim mi się skończą. Myślę o wszystkim, o czym obiecałem sobie nie myśleć. Na przykład o tym, że lecimy do Nowego Jorku, a nie do kraju. O tym, ile czasu minie, zanim będę mógł wrócić do Sydney. O tym, że zaraz skończę siedemnaście lat. Na moich urodzinach będą tylko Rosa i rodzice. Kolejne główniane urodziny. Miałem ich już zbyt wiele.

Lecz przede wszystkim myślę o tym, że Rosa nigdy nie zrozumie, dlaczego zmuszam ją do dotrzymywania tylu obietnic. Jak mogę sprawić, by pojęła, że bycie dobrym to nie gra?

Nie potrafię usiedzieć spokojnie. Powietrze pachnie jak przetworzony plastik. Dopijam wodę, ale w ustach nadal mam sucho.

Sprawdziwszy, czy siostra śpi, przechodzę do pomieszczenia między klasą biznes i ekonomiczną. Zasłony oddzielające je od

reszty samolotu są zaciągnięte. Znajduje się tam biały plastikowy barek z białymi plastikowymi obrotowymi stołkami. Nalewam sobie wody, podpierając się stopą o podstawę stołka, żeby rozciągnąć mięśnie łydki. Piję, zmieniam nogi i znów napełniam kubek wodą. Cztery kubki później język nadal lepi mi się do podniebienia.

Kładę się na ziemi, żeby zrobić kilka pompek. Szybką dwudziestkę. Muszę się spieszyć, bo ktoś mógłby tu wejść, a poza tym Rosa może się obudzić. Zaglądam do klasy biznes. David śpi, Sally czyta. Uśmiecha się na mój widok, ściska moją rękę, po czym wraca do książki. Siostra nie zmieniła pozycji. Usta ma lekko rozchylone, oddycha cicho i równo. Wygląda jak aniołek.

Przechodzę przez kabinę klasy ekonomicznej, w której pasażerowie są wciśnięci w małe foteliki, z trudem dające się odchylić do tyłu. Mimo to większość śpi. Ja nigdy nie potrafiłem tak zasnąć. Nie potrafiłem usiedzieć bez ruchu wystarczająco długo, a do tego zawsze obok miałem Rosę, więc czekałem niespokojnie na to, co znowu zmałuje.

Większą część nocy przed odlotem spędziłem bezsennie, wymieniając SMS-y z Georgie, Jasonem i Nazeemem. Nie wspominałem o Rosie, wystarczała mi świadomość, że mógłbym, gdybym chciał. Poznaliśmy się na zajęciach z kick-boxingu dla dzieci, kiedy mieliśmy pięć lat. To znaczy Georgie, Jason i ja. Nazeem był szkolnym kolegą Jasona, ale wkrótce wszyscy zostaliśmy paczką najlepszych przyjaciół.

Trudniej mi będzie utrzymać z nimi kontakt z Nowego Jorku. Sydney od Bangkoku dzieli raptem parę godzin, a Nowy Jork jest ponad pół dnia dalej.

Wracam do klasy biznes, bo martwię się, że zostawiłem Rosę na tak długo samą. Serce bije mi trochę szybciej, gdy podchodzę do fotela, ale siostra nadal mocno śpi. Sally również. Jak wszyscy prócz mnie.

Oglądam kolejny film, lecz niestety nie ma w nim ani jednej walki.

Wysiądziemy z samolotu jako ostatni. Zawsze tak jest, ponieważ

David nie uznaje pośpiechu. Nieważne, jak bardzo wychodzę ze skóry, jak rozpaczliwie mnie korci, by pobiec, wszyscy musimy iść w jego tempie.

Gdy w końcu docieramy do rękawa lotniczego, pijak – teraz skacowany – czerwony i zasapany przepycha się obok nas, by wrócić do samolotu.

– Co za niesympatyczny człowiek... – wzdycha Sally.

Rosa wybuchła śmiechem.

Niemalże jej wtóruję. Dotarliśmy aż tutaj, a ona niczego nie zmajstrowała.

* * *

Po godzinie w biurze imigracyjnym i po odebraniu bagażu kierowca prowadzi nas do największego samochodu osobowego, jaki w życiu widziałem. Rozkładamy się z Rosą na tyle. Są tam ekrany telewizyjne, piloty, butelki wody, chusteczki i torebki z orzeszkami. Niemalże jakbyśmy znów znaleźli się w samolocie. Mam ochotę krzyknąć.

Rodzice siedzą w środkowym rzędzie zaopatrzonym w małą lodówkę i zastanawiają się, czy lampka wina to dobry pomysł. Niechętnie uznają, że jednak nie.

Rosa znów bawi się przyciskami, a ja wpatruję się w okno, choć widać za nim jedynie zaparkowany obok samochód. Pieką mnie oczy. Nawet paznokcie u stóp mam zmęczone.

– Jeszcze więcej guzików dla bogaczy – komentuje siostra.

– We wszystkich autach są przyciski do otwierania okien – mamroczę, nie patrząc na nią.

– Nie takie jak...

– Pada deszcz! – woła kierowca z przodu, uruchamiając samochód. – Proszę zamknąć to okno.

Rosa naciska odpowiedni guzik.

Jedziemy autostradą i słyszać tylko mruczenie silnika, wizg kół mijanych aut i szum wiatru. Zapadam się w fotel, wbijając wzrok

w ponurą, wilgotną ciemność gdzieniegdzie naznaczoną smugami kolorowych świateł. Wątpię, czy uda mi się zobaczyć zarys Nowego Jorku na tle nieba. I chyba mnie to nawet nie smuci, co jest dość przykre.

Ale znacznie bardziej przykre jest to, że za nieco ponad godzinę zaczną się moje urodziny: będę miał siedemnastkę z dala od domu i przyjaciół.

Zamykam oczy i odpływam.

– Chcesz coś zobaczyć? – mówi Rosa prosto do mojego ucha.

Wzdrygam się.

– Co? – pytam.

Moja siostra uśmiecha się szeroko, co nigdy nie jest dobrym znakiem. Nagle czuję się zupełnie rozbudzony.

Jej okno jest odrobinę opuszczone i do środka wpada deszcz.

– Zamknij okno, Roso – proszę.

Tymczasem ona wyciąga z plecaka małą książeczkę, odwracając ją tak, bym widział okładkę.

Australijski paszport. Otwiera go na stronie ze zdjęciem, przedstawiającym gburowatego pijaka z samolotu.

Szybkim ruchem próbuję sięgnąć po paszport, ale moja siostra błyskawicznie wyrzuca go przez uchylone okno.

– Wygrałam – oznajmia z satysfakcją.

ROZDZIAŁ 2

Rosa jest jak tykająca bomba.

Nieważne, jak się to nazwie: psychopatią, socjopatią, osobowością antyspołeczną, złem wcielonym czy szatanem w ludzkiej postaci. Ważne jest tylko, jak zapobiec temu, by bomba wybuchła.

Byłoby o wiele łatwiej, gdyby rodzice zechcieli uwierzyć, że Rosa naprawdę jest bombą. A jeszcze łatwiej, gdyby ona nią wcale nie była. Oddałbym wszystko, żeby moja siostra była inna. Niestety, posiada wszystkie skłonności wymienione w kwestionariuszu cech psychopatycznych Hare'a, poza rozwiązłością, szybką jazdą samochodem i innymi grzechami dorosłych. Ale to tylko kwestia czasu.

Kwestionariusze – istnieją różne ich wersje – składają się z kilkudziesięciu pytań dotyczących różnych cech osobowości psychopatycznej. Cztery najbardziej pasujące do mojej siostry to:

Bezwzględność – Rosa nie przejmuje się nikim poza sobą samą.

Nadmierna potrzeba stymulacji – Rosa impulsywnie szuka wrażeń. Ma fatalną ocenę ryzyka, ponieważ nie wierzy, że cokolwiek może jej się stać. Jeśli czegoś chce, po prostu to bierze.

Brak lęku – nic jej nie przeraża ani nie niepokoi.

Charyzma – ma jej aż nadto. Potrafi oczarować prawie wszystkich i skłonić ich, by robili to, czego chce.

Rosa jest tykającą bombą, a ja ponoszę za nią odpowiedzialność.

Siostra przyszła na świat w naszym domu w Sydney, gdy miałem siedem lat. Towarzyszyłem przy porodzie, choć rodzice Davida, babcia i dziadek, obawiali się, że wywoła to u mnie traumę. Bardzo się pieklili, zwłaszcza dziadek, jak zawsze.

– Przecież to siedmioletni chłopczyk! Będziesz płacił za psychiatrę do końca jego życia! – krzyczał do Davida. – Czy nie

wystarczy, że musi się do was zwracać po imieniu? To biedne dziecko nie nosi nawet nazwiska ojca! Nie po to nasi przodkowie przetrwali Holocaust! Jak możesz kazać temu biedakowi oglądać poród! Wykreślę cię z testamentu!

Narodziny Rosy nie wywołały u mnie traumy.

Były piękne i chyba trochę nudne. Zasnąłem na wielkiej torbie, którą przyniosła położna, a kiedy się obudziłem, Sally klęczała, opierając się łokciami o łóżko i mocno ściskając Davida za rękę. Na podłodze między jej stopami leżało lustro.

Położna uśmiechnęła się do mnie.

– Chcesz zobaczyć, Che? Już się przeciska.

Podpełzłem bliżej, bojąc się, że będę przeszkadzał. W lustrze dojrzałem coś ciemnego i oślizgłego między nogami Sally. Nie wyglądało jak główka dziecka, lecz jak potwór.

– Jest!

Rosa wystrzeliła tak szybko, że wydała mi się tylko rozmazaną smugą. Położna złapała ją, a ja i David aż sapnęliśmy z przejęcia.

Była taka maleńka, taka idealna... Największymi oczami, jakie kiedykolwiek widziałem, patrzyła prosto na mnie. Nie mogłem oderwać od niej wzroku.

Później położna umieściła Rosę na brzuchu Sally, a mama otoczyła maleństwo dłońmi, które wydawały się większe od niego.

David delikatnie pogładził córeczkę po plecach. Jakieś potężne uczucie ściskało mnie w piersiach. Miłość. Przepełniała mnie miłość do tej maleńkiej istoty.

– Jest przepiękna – powiedziała położna. – Gratulacje.

Podąła Davidowi nożyczki, żeby przeciął pępowinę, która przypominała różowo-niebieski sznur i pulsowała.

Sally uśmiechnęła się do mnie.

Z moich oczu płynęły łzy, ale przecież nie płakałem. Wydawało mi się, że te łzy są zupełnie niezależne ode mnie.

– Mogę jej dotknąć? – zapytałem.

– Oczywiście.

Wyciągnąłem dłoń, by pogłaskać maleńką rączkę. Drobne

paluszki zacisnęły się wokół mojego palca wskazującego. Zabolało mnie serce.

– Będziesz musiał się opiekować Rosą, wiesz? – powiedziała Sally.

– Chronić ją przed światem – dodał David. – Jesteś jej starszym bratem.

Nie przewidział, że przede wszystkim będę musiał chronić świat przed nią.

– Jakie patriarchalne podejście – zakpiła Sally, ale bez złości. Posłała Davidowi całusa i pochyliła głowę.

Wszyscy wpatrywaliśmy się w małą Rosę.

* * *

Nowojorski apartament jest ogromny. Plany i zdjęcia, które widzieliśmy, nie oddawały w pełni jego rozmiarów. Wybrali go dla nas McBrunightowie, i całkiem słusznie, skoro oni za niego płacą. Nie chcę wiedzieć ile. Czuję się tak, jakbyśmy przenieśli się do mieszkania klasy biznes po całym życiu spędzonym w klasie ekonomicznej.

Do połowy pusty kontener transportowy, który wysłaliśmy statkiem wiele tygodni temu, stoi na środku pokoju dziennego. Nie wiem, czy pomieszczenie tej wielkości w ogóle można nazwać pokojem. Każde z mieszkań, które do tej pory zajmowaliśmy, mogłoby się w nim zmieścić w całości. Na jednym końcu znajduje się kuchnia, lśniąca metalem i marmurem, z wielką wyspą i dwoma piekarnikami.

Na przeciwległym końcu są schody prowadzące do pokoi przeznaczonych dla mnie i Rosy. Środek salonu zajmują dwie kolosalne sofy z bocznymi stoliczkami i stolikiem kawowym pomiędzy nimi. Ogromny telewizor wisi na tej samej ścianie co wejście do apartamentu. Oglądanie go będzie niczym seans w kinie. Nie miałem pojęcia, że telewizory mogą być tak wielkie. Pod ścianą ze szkła wychodzącą na Drugą Aleję stoją cztery rośliny w gigantycznych donicach. Są żywe. Zastanawiam się, kto je będzie

podlewał. Nigdy nie udało nam się utrzymać żadnych roślin przy życiu.

Obskurny kontener transportowy razi w tym lśniącym nowością mieszkaniu, ale dzięki niemu czuję się tu trochę bardziej swojsko. Przy wszystkich poprzednich przeprowadzkach zabieraliśmy tylko to, co mogliśmy wziąć ze sobą, lecz tym razem nie musieliśmy zostawiać ubrań, książek, plakatów ani szachownic Rosy.

Nie pamiętam, co jeszcze znajduje się w skrzyni, ponieważ pakowaliśmy ją dawno temu. Na pewno nie meble. One czekają cierpliwie w piwnicy domu rodziców Davida w Sydney. Co jakiś czas dziadek grozi, że je wyrzuci, jeśli nie wrócimy do kraju. Tak jak grozi, że nas wydziedziczy. Dziadek zmienia testament równie często, jak normalni ludzie pościel.

Za dziesięć minut w Nowym Jorku nastanie północ, a ja skończę siedemnaście lat. Nie dostałem żadnych SMS-ów od Nazeema, Georgie, Jasona i ciotek. Normalnie w urodziny mój telefon co chwila się odzywa, ale dopiero jutro dostaniemy nowe karty SIM. Nie ma też wi-fi, oznajmia nam złowieszczo David, od razu obiecując, że postara się, by rano już działało. David jest geniuszem komputerowym. Zaplecze techniczne to zawsze jego zadanie.

– Pomóż mi położyć Rosę – prosi mnie Sally.

Biorę siostrę na ręce i idę za mamą na górę. Trudno jest nie kochać Rosy, gdy jest taka senna, opadają jej powieki, a kończyny zwieszają się bezwładnie. Wygląda tak jak wtedy, gdy była niemowlakiem.

– Zabiłam motyla – wyznaje cicho.

– Ale... – mówię, lecz zauważam, że oczy jej się zamykają i robi się cięższa. Zasnęła.

Sally otwiera drzwi do jej pokoju.

– Połóż ją na łóżku.

Wypełniam polecenie.

– Czy nie wygląda słodko? – rozczula się mama.

To prawda. Jasne loki tworzą puszystą aureolę wokół jej twarzy. Całuję siostrę w czoło. Gdybyż tylko naprawdę była taka słodka, na

jaką wygląda.

Schodzimy na dół. Mam takie uczucie, jakby moje nogi nie należały do mnie.

– No i w końcu dotarliśmy. Nowy Jork! – cieszy się David, siadając na sofie. – Był taki moment podczas podróży, gdy zwątpiłem, czy nam się to kiedyś uda. – Zerka na zegarek. – Północ! – Zrywa się z miejsca i mocno mnie przytula. – Wszystkiego najlepszego, Che! Masz już siedemnaście lat.

– Wszystkiego najlepszego. Ja też myślałam, że nigdy nie dojedziemy – wyznaje Sally, przyłączając się do uścisku. – Nie mogę w to uwierzyć. Masz już siedemnaście lat...

I jestem daleko od domu, dodaję w myślach. Piękny urodzinowy prezent. Nie mówię tego na głos, bo po co wszczynać awanturę? Nie mam ochoty spać na schodach.

– Kurczę, wyglądasz koszmarnie, Che – oznajmia David.

– Dzięki – mamroczę. – Wy też nie wyglądacie... – Milknę, bo ojciec w sumie prezentuje się, jakby spokojnie przespał całą noc we własnym łóżku. To niesprawiedliwe.

– Zmiataj do łóżka. Spać! – komenderuje Sally, całując mnie i popychając w stronę schodów.

Udaje mi się dowlec do pokoju, po czym rozbieram się, podłączam telefon do ładowarki, żeby był gotów na nową kartę SIM i wi-fi rano, wyjmuję z kontaktu radio z budzikiem, które ma zbyt jasny wyświetlacz, i wpełzam do łóżka, przypominając sobie, że na dole został mój plecak z piżamą, szczotką do zębów, kremem na pryszczę, książkami i całą resztą. Za daleko. Zamykam oczy, gotów odpłynąć w zapomnienie.

Ale nie udaje mi się.

Leżę w swoim nowym pokoju, wpatrując się w cienie na suficie. Przez okno wpada blask z mokrego, rozświetlonego miasta na zewnątrz, bo nie spuściłem rolet. Wtem rozbrzmiewa syrena, wyje coraz głośniej i głośniej, a potem jej dźwięk się oddala. Znów słyszę, jak deszcz stuka o szybę, a potem zagłusza go ryk silnika przelatującego helikoptera.

Chwiejąc się na nogach, wychodzę z łóżka, opuszczam rolety i zaciągam zasłony. Jedynym źródłem światła w pokoju jest teraz wąska szczelina pod drzwiami, lecz kiedy się kładę, znika mi z pola widzenia.

Zamykam oczy.

Znów rozlegają się syreny. Ciekawe, co się wydarzyło.

Minęły już ponad dwa lata, od kiedy wyprowadziliśmy się z Sydney. Tęsknota za domem wywołuje ból tak ostry jak przy zapaleniu wyrostka.

Użyłem wszystkich możliwych argumentów, żeby przekonać rodziców. Wyznałem, że od kiedy skończyłem dwanaście lat, moje życie było chaosem. Różne domy, różne miasta, różne kraje. Nowa Zelandia, Indonezja, Tajlandia, a teraz USA. Co oznaczało różne szkoły, a najczęściej nieregularną edukację domową.

– Jak mam się dostać na medycynę bez usystematyzowanej wiedzy? – pytałem. Oczywiście nie wspomniałem, jak ciężko znoszę brak kontaktu z moją trenerką boksu z Sydney, Natalie. Rodzice nie są zachwyceni, że uprawiam ten sport.

– A co z Rosą? – pytałem. – Spędziła tylko pięć lat w jednym domu. Uniemożliwiacie jej kontakty z resztą rodziny, z ciotkami, wujami, kuzynami, dziadkami. Powinna się nią opiekować rodzina, nie obcy. Jak ma się z kimś zaprzyjaźnić, skoro tak często się przeprowadzamy?

Jest niebezpieczna – nie dodałem tego.

Opowiadałem o tym, jak bardzo tęsknię za przyjaciółmi. Jak brakuje mi ludzi, którzy mają podobny akcent. Jak mnie męczy ciągłe bycie cudzoziemcem.

– To rodzina i przyjaciele stanowią o tym, kim jesteśmy – przekonywałem. – Każdy potrzebuje własnego środowiska.

Rosa zwłaszcza – nie dodałem.

– Możesz znaleźć nowych przyjaciół – odpowiadali. – Przenosimy się do Nowego Jorku, żeby poprawić sytuację na świecie. Czasami trzeba stawiać większe dobro na pierwszym miejscu.

– Bardziej się troszczycie o świat niż o mnie i o Rosę! – wypaliłem.

I wtedy właśnie przegrałem. Sally i David nie mają szacunku dla nikogo, kto odwołuje się do emocji. Trzeba być zimnym i racjonalnym, żeby wygrać z nimi w dyskusji. Trzeba być dorosłym, nawet jeśli się nim nie jest.

Nienawidzę was – nie dodałem.

Zamiast domu kolejne miasto, kraj, nieznanne łóżko, wsłuchiwanie się w obco brzmiące syreny, gapienie się w nieznaną sufit oczyma tak zmęczonymi, że czuję się, jakby mi miały zaraz wypłynąć na policzki. Łapie mnie skurcz w prawej łydce. Naciągam stopę za palce – tej sztuczki nauczyła mnie Natalie – ale wtedy lewą łydkę też napina skurcz.

Nie chcę sprawdzać, która jest godzina.

Czy powinienem był o wszystkim opowiedzieć rodzicom? Paszport i tak przepadł. Rosa będzie utrzymywała, że nic takiego się nie stało. Oni wiedzą, że kłamię, i wiedzą, że ja tego nigdy nie robię, mimo to Sally zapyta mnie, czy jestem pewien, co Rosa wyrzuciła przez okno, bo przecież nie spałem przez dwie doby.

Dodaję to wydarzenie do listy rzeczy, o których im nie powiedziałem. Najgorsza z nich jest świnka morska Apinyi.

Nie chcę o tym myśleć.

Robię to, co kazała nam robić Natalie pod koniec każdej sesji treningowej: rozluźniam wszystkie mięśnie, zaczynając od mięśni glistowatych stóp i idąc w górę aż do czepca rozciągniętego na czubku głowy. Natalie nie była tak precyzyjna w określeniach, ale ja chcę zostać lekarzem, neurologiem lub psychiatrą, więc znam nazwy wszystkich mięśni.

Nadal nie mogę zasnąć.

Może powinienem się z tym pogodzić? Albo ogłosić strajk bezsenności, dopóki rodzice nie zgodzą się wrócić do kraju?

Najlepsze urodziny w życiu...

Pieką mnie oczy.

Rozbrzmiewa elektroniczny dzwon, niosąc się echem między budynkami.

Słyszę szum opon na wilgotnej nawierzchni ulicy, pisk

hamulców, krzyki ludzi. Jakim cudem słyszę ich na siódmym piętrze? Mimo deszczu?

Czy mój mózg mógłby się w końcu uspokoić?

Tymczasem dostarcza mi odpowiedzi na pytanie, o którym nawet nie wiedziałem, że je postawiłem: Co miała na myśli Rosa, mówiąc, że zabiła motyla? Jestem pewien, że chodziło jej o wydarzenie na lotnisku Changi w Singapurze. Dwa lata temu? Tamtejsza motylarnia jest przepiękna. Rosa stała spokojnie z wyciągniętymi rękami, dopóki motyl nie usiadł jej na dłoni, lekko wachlując skrzydłami.

Uśmiechnęła się – tym swoim najszczerzym uśmiechem – zacisnęła dłoń, miażdżąc motyla, a potem wrzuciła jego resztki w zarośla i wytarła palce o liść paproci.

Natalie byłaby mną rozczarowana: bokser zawsze potrafi odciąć się od niepotrzebnych myśli.

A jeśli nowa sala treningowa będzie gorsza od tej w domu? A jeśli wi-fi nie zadziała? A jeśli nigdy nie przestanie padać?

A jeśli Rosa... Nie chcę myśleć o najgorszym, co by mogła zrobić.

Ulicą przejeżdża samochód policyjny na sygnale. Syrena wyje tak głośno, że drżą szyby w oknach, i przechodzi przez całą gamę coraz bardziej irytujących dźwięków, z których jeden wprawia moje łóżko w wibracje, drugi brzmi jak stado torturowanych ptaków zombi, a kolejny jak zwykła policyjna syrena, lecz za to kończy się niczym dudniące trzęsienie ziemi. Wzmocniony głośnikiem głos nakazuje jakiemuś kierowcy zatrzymać się przy krawężniku. Znów rozbrzmiewa syrena i rozkaz zostaje powtórzony.

Nigdy w życiu nie słyszałem tylu syren. Nowy Jork – miasto złych policjantów i nagłych wypadków.

Rosa będzie zachwycona.

ROZDZIAŁ 3

O piątej nad ranem rezygnuję z prób zaśnięcia. Słońce jeszcze nie wzeszło. Niezdarnie wykonuję poranną rozgrzewkę i rozciąganie, a zainspirowane Muhammadem Alim ćwiczenia na pracę nóg wychodzą mi tak ciężko i nieelegancko, że wielki mistrz byłby załamany.

Potem schodzę na palcach na dół, starając się nikogo nie obudzić, lecz okazuje się, że cała rodzina siedzi już przy kuchennej wyspie, jedząc muesli i popijając kawę oraz sok pomarańczowy, równie przytomna jak ja.

Sally ma zaczerwienione oczy i wygląda mizernie.

– Wszystkiego najlepszego, Che – mówią rodzice równocześnie, wstając, by mnie przytulić. Rosa dołącza się do uścisków.

Zapomniałem, że nadal mam urodziny.

– Siedemnastka, ech... – mruczy Sally, ponownie mnie przytulając.

– To liczba pierwsza – oznajmia Rosa. – Jeśli dodasz cztery pierwsze liczby pierwsze, wychodzi siedemnaście.

– Nie mogę w to uwierzyć... Siedemnaście. Tyle lat mieliśmy, kiedy się poznaliśmy – wspomina David, całując Sally w nos.

– Tak, byłeś wtedy moim słodkim dzikusiem. Pamiętam pierwszy raz, gdy musiałam wpłacić za ciebie kaucję...

Unoszę dłoń.

– Zgłaszam życzenie urodzinowe: nie będziecie dziś snuć wspomnień o pierwszych dniach ani o żadnych innych, waszej wiecznej prawdziwej miłości.

David kiwa zgodnie głową, a Sally udaje, że zamyka usta na zamek błyskawiczny.

– Właściwie to będzie chyba moje życzenie na cały tydzień

urodzinowy – dodaję.

– Czy w takim razie mogę ci podać urodzinowe śniadanie? – pyta David, nie zwracając uwagi na moje żarty. – Wiedziałaś, że w tym kraju można kupić podstawowe produkty oraz całkiem sporo niepodstawowych o każdej porze dnia? Niemalże wybaczam im za to ten nieustający deszcz.

– Dopiero co przyjechaliśmy – zauważa Sally. – Deszcz ustanie.

– Lubię deszcz – wyznaje Rosa.

– Banana?

Kiwam głową, a David kroi owoc na kawałki, wrzuca do miseczki i podaje mi ją. Dodaję jogurt i muesli.

– Śniadanie bogów – oznajmiam, zanurzając w nim łyżkę. Niestety, okazuje się, że jakimś cudem banan jest równocześnie oślizgły i mączysty.

– Jest po prostu ohydny – stwierdzam.

– Przepraszam. Próbowałem w trzech różnych sklepach. To chyba jedyny dostępny tu gatunek.

W Bangkoku straciłem rachubę, ile różnych rodzajów bananów jadłem – i wszystkie były fenomenalne.

– To jakieś piekło... – mruczę, uśmiechając się, żeby zasugerować, że nie mówię poważnie. Ale tak naprawdę wcale nie żartuję.

– Soku pomarańczowego? – pyta Sally.

Kiwam głową.

– Kiedy damy Che prezenty? – słyszę i czuję ukłucie dumy, że Rosa zadaje takie normalne pytanie.

– Wiesz, że nie potrafi podjąć żadnej decyzji, zanim nie zje pierwszego z miliona codziennych posiłków – ironizuje David.

– To moje urodziny, więc nie wolno ze mnie kpić – protestuję.

– Wycofuję komentarz. To kiedy chcesz dostać prezenty?

Spoglądam na ogromny kontener transportowy obłożony stertami naszych bagaży.

– Będziecie umieli je znaleźć?

– I tak, i nie.

– Mogę poczekać – oznajmiam, choć chętnie bym przyjął prezenty

teraz. Byłby to jakiś uroczysty akcent w obliczu niedziałającego telefonu i braku życzeń od przyjaciół.

– Mogę dostać na urodziny dostęp do Internetu? – pytam.

– Nie uda mi się tego załatwić przed godzinami pracy – wyjaśnia David. – Ale stanie się to dziś albo polecą głowy.

– Ja mam prezent na górze – mówi Rosa. – Mogę go wręczyć Ci teraz?

– Jasne – zgadzam się.

Pędzi do swojego pokoju i wraca z paczką.

– Sama go zapakowałam.

To oczywista nieprawda, bo jak na nią jest zbyt starannie owinięty papierem.

– Dość duży – zauważam. – Miałaś go w samolocie?

– Tak – potwierdza.

Rozwiązuję elegancką czarną wstążkę i ostrożnie odwijam srebrny papier. W prostej drewnianej skrzyneczce znajduje się plastikowy edukacyjny model ludzkiego mózgu. Unoszę go w górę.

– Popatrzcie, jest tu nawet pień mózgu – entuzjastycznie się.

– A poza tym się rozkłada – podpowiada mi siostra.

Zdejmuję płat czołowy, potem ciemieniowy, potyliczny, skroniowy i limbiczny.

– Mmmm... mózg – mruczę moim najlepszym głosem zombi.

Rosa się uśmiecha. To nie jest jej prawdziwy uśmiech. Nieważne, napominam się. To stosowny uśmiech. Podobnie jak prezent. Więcej niż stosowny, jest idealny. Sally i David wiedzą, że chcę być lekarzem, ale Rosa wzięła pod uwagę to, że zamierzam zostać neurologiem lub psychiatrą.

– Mogę obejrzeć jeden płat? – pyta.

Podaję jej czołowy.

– Trzymasz w dłoniach świadome myśli, Roso. Ta część mózgu czyni nas ludźmi.

Siostra obraca ją w rękach. Zastanawiam się, czy rozmyśla nad swoim człowieczeństwem równie wiele jak ja. Czy interesuje ją, której części płata czołowego jej brakuje?

– Jest taki dokładny. – Podziwiam płat ciemieniowy. Przyglądam się bruździe bocznej. W jej głębi znajduje się przednia część wyspy, być może odpowiedzialna za empatię. Przesuwam palcem po jej plastikowej powierzchni.

– Bardzo mi się podoba – oznajmiam, uśmiechając się do Rosy, i przytulam ją. – Dziękuję.

Siostra odwzajemnia uścisk. To jej idzie o wiele lepiej niż uśmiechy.

– Trudno będzie to przebić – stwierdza David, jakby nie miał pojęcia, co Rosa zamierzała mi podarować. – Czy chciałbyś dziś robić coś szczególnego, drogi jubilate?

– Hmm... – Czuję się całkowicie rozbudzony, ale zmęczony. Chciałbym tylko skryć się w pokoju z działającym telefonem, tabletem lub laptopem i nawiązać kontakt z przyjaciółmi.

– Rozmawialiśmy właśnie o przejażdżce rowerowej. – David wyjaśnia, że chciałby sprawdzić system rowerów miejskich. – Jeśli przestanie padać... – Macha ręką w stronę okien, w które deszcz siecze niemalże poziomymi strugami.

– Paskudna pogoda – przyznaje Sally. – Plan B zakłada pójście do kina albo na sztukę na Broadwayu.

– Zasnęlibyśmy – protestuję. Nie ma jeszcze szóstej. Przedemną jawi się perspektywa niekończącego się dnia. Może mógłbym pójść na zajęcia do mojej nowej sali treningowej? Zamierzałem się tam wybrać dopiero jutro.

– Tak – zgadza się David. – Jest wcześnie. Możemy zagrać w pokera.

Z gardła mojego i Sally wrywa się jęk.

David jest mistrzem pokera, a Rosa jego zagorzałą uczennicą. Siostra ma do tego odpowiednio beznamietną twarz – poza tym, że kiedy zmusza się do uśmiechu, jest on zupełnie pozbawiony wyrazu. David w imponujący sposób potrafi zachować zimną minę pokerzysty, zwłaszcza że nie przychodzi mu to tak naturalnie jak Rosie.

Mój ojciec twierdzi, że w pokerze chodzi o używanie głowy, a nie

emocji, co nie ma najmniejszego sensu. Emocje, podobnie jak myśli, powstają w głowie. Nie da się ich rozdzielić.

– Nie ma mowy – oznajmiam. – Może chodźmy gdzieś, gdzie jest wi-fi? Mają tu w pobliżu jakąś bibliotekę? – Tam zawsze jest darmowe wi-fi.

– Otwierają dopiero w godzinach pracy.
Jęczę głośno.

* * *

Rosa zwija się obok mnie na kanapie w bibliotece z najnowszym wydaniem czasopisma „Życie Szachów”. Sally siedzi na krześle naprzeciwko, dziobiąc w swój tablet. Ja trzymam na kolanach laptopa, ustawionego tak, by Rosa nie widziała ekranu. David został w domu i rozwiązuje problemy z siecią.

Dwadzieścia minut czekaliśmy na miejsca do siedzenia. Biblioteka pełna jest grupek nastolatków oraz starszych ludzi przygarbionych nad kilkoma dostępnymi komputerami. Kolejka zaczyna się niemalże na ulicy.

Deszcz zalewa okna, prawie całkiem przesłaniając nagie drzewa. Tak mógłby wyglądać koniec świata.

Odpisuję na urodzinowe SMS-y. Niemalże wybucham płaczem, gdy widzę, ile ich jest. Przesadna reakcja na wydarzenia, nad którymi człowiek normalnie nigdy by się nie roztkliwiał, jest jednym z wielu symptomów jetlagu.

A potem znów spisuję swoją listę. Robię to za każdym razem, gdy się przeprowadzamy w nowe miejsce. Moje priorytety. Od jakiegoś czasu się nie zmieniają. Tworzę listę, a potem ją usuwam, ale nie zapominam o niej. To ona rządzi moim życiem.

Nie, to nieprawda. Tylko pierwszy punkt, reszta to wyłącznie moje nadzieje.

1. Muszę kontrolować Rosę.

Zawsze na pierwszym miejscu Rosa. Nie mogę dopuścić do tego,

by zrobiła coś strasznego. Chciałbym znaleźć sposób, żeby rozwiązać to raz na zawsze. Czy istnieje taka metoda? „Raz na zawsze” brzmi dość złowieszczo, prawda? Jakbym chciał ją uśmiercić. Ale ja ją kocham. To moja młodsza siostrzyczka – nie mogę jej nie kochać.

Czy może się nauczyć empatii? Książka na temat zaburzeń społecznych u dzieci, którą teraz czytam, nie napawa mnie nadzieją. Przeprowadzono wiele badań przypadków dzieciaków takich jak Rosa, które na prośbę o zmianę zachowania odpowiadały: „Nic mnie to nie obchodzi”. Oczywiście jeśli akurat nie próbowały oszukać osoby zbierającej wywiad. Jeśli były szczere. „Nic mnie to nie obchodzi”.

Rosy również nic nie obchodzi.

Jak mogę sprawić, by zaczęła się przejmować? Chciałbym zrobić rezonans magnetyczny jej mózgu, żeby sprawdzić, czy rozjaśniają się właściwe obszary. A jeśli nie? Jeśli się upewnię, że jest taka, jak myślę? Co wtedy?

Jedynie, co mogę zrobić, to rejestrować wszystkie jej występki i nagrywać nasze rozmowy.

A oto moje niezwiązane z siostrą cele:

2. Chcę wziąć udział w sparingu.

Nigdy nie wejdę na wyższy poziom w boksie, jeśli nie zacznę walczyć. Powstrzymuje mnie obietnica złożona rodzicom, której nie mogę złamać.

3. Chcę mieć dziewczynę.

To wyznanie wygląda żałośnie. Serduszka, róże, trzepoczące rzęsy i radosne śpiewy: „Chcę miłości!”.

Ale ja naprawdę chcę. Pragnę poznać kogoś inteligentnego, zabawnego i seksownego, kto lubi boks, Muhammada Alego i oglądał *Ong-bak* co najmniej dwadzieścia razy.

To normalne, że chce się mieć dziewczynę. Albo chłopaka.

Oczywiście Jason nie chce mieć chłopaka. Ciągłe zgrywa wielkiego podrywacza, co nas setnie bawi. Czy ktoś jest podrywaczem tylko dlatego, że tak postanowił? To zdecydowanie bardziej żalosne niż potrzeba związku z jedną osobą.

Zaczynam pragnąć seksu. Mnóstwa seksu. Albo, szczerze mówiąc, jakiegokolwiek seksu. Jason podchodzi do tego tak, jakby nie miało żadnego znaczenia, co myśli o tym druga osoba – ta, z którą uprawiasz seks. Jakby była liczbą, a nie człowiekiem.

Jason uważa, że jest taki jak Rosa – twardy i nieczuły. Tymczasem to po prostu dobry facet, który udaje złego. (I proszę, oczywiście muszę wspomnieć o siostrze nawet przy czymś, co nie ma z nią nic wspólnego).

Chcę mieć dziewczynę, która będzie inteligentna, zabawna, silna, zdrowa i wrażliwa na innych. (Byle nie blondynka!) Nie chcę liczby.

4. Chcę wrócić do domu.

Wciskam klawisz DELETE akurat, gdy siostra ciągnie mnie za kaptur.

– Co robisz, Che?

Zadaje mi to pytanie, od kiedy nauczyła się mówić.

– A ty co robisz, Roso?

Odpowiadam jej tak samo, od kiedy zaczęła pytać. Mam nadzieję, że nie widziała mojej listy.

– Zaczepiam cię. A ty co robisz?

– Opróżniam kosz – wyjaśniam, na wszelki wypadek rzeczywiście to robiąc. Teraz moja lista jest usunięta dwukrotnie. – A co będziesz robiła, kiedy przestaniesz mnie zaczepiać?

Rosa chichocze.

– Nigdy nie przestanę cię zaczepiać, Che – odpowiada.

ROZDZIAŁ 4

Rosa nie odstępowała mnie na krok, od kiedy zaczęła chodzić. Najpierw śledziła mnie wzrokiem, potem podążała za mną, śmiesznie raczkując, jakby pupa jej ciążyła, aż w końcu zaczęła się poruszać jak przystało na istotę dwunożną.

Serce mi rosło. Odwracałem się, a ona zawsze była za mną i wlepiała we mnie wzrok. Brałem ją na ręce i przytulałem, wchłaniałem jej słodki niemowlęcy zapach, wciskałem nos w kark, czując miękką skórę i słuchając bicia małego serduszka, a miłość zalewała mnie falą tak wielką, że aż niewyrażalną.

Już przedtem stykałem się z małymi dziećmi. Oboje rodzice są najstarsi z rodzeństwa, więc mam wielu młodszych kuzynów. Oni też słodko pachnieli, ale nie tak jak Rosa. Patrzyłem jej w oczy i zastanawiałem się, czy kogokolwiek jeszcze pokocham równie mocno.

Siostra odpowiadała mi spojrzeniem, prawie w ogóle nie mrugając.

Jak wszystkie maluchy obserwowała mnie i innych, ucząc się ludzkich zachowań.

Jednak różniła się od większości dzieci tym, że prawie nic nie przychodziło jej naturalnie.

Wolniej niż jej kuzyni uczyła się wszystkiego tego, co nie jest wbudowane w układ sterowania. Raczkować i chodzić nauczyła się w zwykłym tempie.

Za to uśmiechanie się, śmiech, przytulanie, całowanie, płacz i pokazywanie palcem przyszły powoli. Rosa bardzo opornie przyswajała wszelkie wzory interakcji międzyludzkich i reakcji na zachowania drugiej osoby. Wiele miesięcy później niż jej kuzyni zaczęła wyciągać ramiona, domagając się, żeby brać ją na ręce –

choć gdy tylko zrozumiała, że inni mogą służyć za środek transportu, bardzo przypadło jej to do gustu.

Ale za każdym razem, gdy wyciągała do mnie rękę, moje serce biło szybciej. Była taka krucha, niesamodzielna, mała. Rodzice nie musieli mnie prosić, żebym zawsze ją chronił.

Przez pierwsze dwa lata życia moja siostra prawie w ogóle nie płakała. Skaleczenia, siniaki i choroby bardziej intrygowały ją, niż przerażały. Większość dzieci wybucha płaczem, gdy ktoś zalewa się łzami, zwłaszcza inny maluch. Ale nie Rosa.

Ten brak płaczu martwił rodziców najbardziej, zatem Rosa nauczyła się płakać. Przyglądała się, jak robią to kuzyni, i naśladowała ich. Początkowo niezbyt przekonująco: wydawała zdławione dźwięki i szybko mrugała powiekami, żeby wymusić łzy, ale Sally i David to kupili, a po pewnym czasie siostra umiała już wybuchać płaczem na zawołanie.

Kłamała łzami równie sprawnie jak słowami.

Zastanawiałem się, czy zwrócić na to uwagę rodzicom, ale mali kuzyni płakali zazwyczaj tylko wtedy, gdy coś sobie zrobili i widział to jakiś dorosły. Nie byłem pewien, jak wyjaśnić, że to, co robi Rosa, jest inne.

Poza tym nie odpowiadała uśmiechem na uśmiech. Nie reagowała na imię. Miała prawie dwa lata, a nie powiedziała jeszcze ani jednego słowa.

– Che też był troszkę opóźniony – usprawiedliwiała ją Sally, choć nigdy wcześniej mi o tym nie mówili. – A teraz wszystko jest z nim w porządku. Dzieci rozwijają się w różnym tempie.

– Ale nie aż tak wolno – niepokoił się David.

Zatem rodzice zabrali ją do lekarza.

Oto patrzcie i podziwiajcie: Rosa nagle zaczęła się uśmiechać. I mówić.

Pierwszy raz uśmiechnęła się podczas wizyty u lekarza, na którą wybraliśmy się całą rodziną.

Zrozumiała, co mówili dorośli o tym, że się nie uśmiecha. Nagle spojrzała na zabawki, którymi się bawiła, i rozciągnęła szeroko

usta, pokazując zęby. Nie przypominało to prawdziwego uśmiechu, ale Sally aż westchnęła z radości.

– Nie może być! – zachwycił się David. – To znak. Wszystko z nią w porządku.

Lekarz stwierdził, że jest odrobinę opóźniona w rozwoju, ale nie ma się czym martwić.

Gdy rodzice przyprowadzili Rosę do domu po drugiej wizycie u niego, podeszła do mnie i wypowiedziała swoje pierwsze słowa:

– Chcę to mieć.

To dopiero był znak: wygłosiła motto swojego życia.

Jak to możliwe, że słowa Rosy ułożyły się w pełne zdanie, z pominięciem zwykłych pierwszych słów takich jak „mama”, „tata”, „tam”, „ej”, „pa”, „lala” i „tu”, nie wspominając o etapie gaworzenia? Dziecko, które nie gaworzy, jest dziwaczne.

Gdy tylko Rosa zaczęła mówić, od razu zaczęła też kłamać.

* * *

Ruszam do mojej nowej sali treningowej, uzbrojony w działający telefon i parasol pożyczony od faceta w portierni naszego bloku, który przedstawił się jako John. Nie potrafię już dłużej usiedzieć spokojnie, ani w bibliotece, ani w nowym domu. Muszę się trochę poruszać i spociec, bo oszaleję. Czas porządnie zmęczyć każdy miesiąc.

Wiatr przenika przez polarową bluzę z kapturem oraz grube spodnie od dresu i bije we mnie strugami deszczu. Osłaniam parasolem głowę, ale niewiele więcej. Georgie będzie rozczarowana, kiedy jej powiem, że Nowy Jork wygląda jak morze żółtych samochodów płynących przez szary, zacinający deszcz. Powinienem był włożyć płaszcz przeciwdeszczowy. Powinienem był pójść spać. Docieram do recepcji mojej nowej sali treningowej przemoczony do szpiku kości i szcękający z zimna zębami.

Mimo to zauważam ją od razu.

Na pierwszym ringu ćwiczy dziewczyna o bardzo ciemnej skórze,

teraz lśniącej od potu. Zastanawiam się, czy specjalnie przydzielają ten ring u szczytu schodów, w pobliżu okien, swoim najlepszym zawodnikom, tak żeby każdy wchodzący musiał ich zobaczyć i nie mógł się powstrzymać od myśli: „O tak, chcę się poruszać jak ona. Wytrenujcie mnie, żebym był równie świetny”.

Dziewczyna wykonuje sekwencje obronne z prędkością błyskawicy. Wszystkie odskoki, odchylenia i obroty robi w sposób wprost zjawiskowy.

Ludzie myślą, że w boksie wygrywa się siłą, ale to nieprawda – najważniejsze są prędkość i zwinność. Mnóstwo zawodników zwycięża wielokrotnie bez żadnych nokautów. Dziewczyna na ringu jest szybsza od swojej instruktorki. Chciałbym ją zobaczyć w prawdziwej walce.

Mógłbym przyglądać się jej przez cały dzień, ale przyszedłem się rozbudzić. Kiedy jeszcze nie cierpiałem z powodu jetlagu, byłem na tyle inteligentny, by zarejestrować się on-line, wypełnić zgody, zapisać się na zajęcia, zarezerwować szafkę i opłacić roczną składkę członkowską, którą funduje mi dziadek. Dostałem od niego nawet kartę kredytową na pokrycie wydatków związanych z boksem.

Dziadek płaci za to, ponieważ chce, bym był prawdziwym mężczyzną. Boi się, że wyrosnę na słabeusza, bo moim rodzicom brakuje kręgosłupa, charakteru czy jakiego tam jeszcze określenia nadużywał przez ostatni tydzień. Płaci, ponieważ rodzice są przeciwni boksowi. Nie wierzą w przemoc, wbrew wszelkim dowodom na to, że ona jednak istnieje.

Byli przerażeni, kiedy dziadek nauczył mnie wyprowadzać ciosy, a potem wpadli w jeszcze większą panikę, gdy zaproponował, że sfinansuje moje treningi bokserskie. Zgodzili się, ale musiałem obiecać, że nie będę brał udziału w sparingach, dopóki nie przestanę rosnać. Od tamtej pory wielokrotnie żałowałem swojej obietnicy.

* * *

Idę do szatni, potem pod prysznic, z którego leci cudownie gorąca woda, a następnie przebieram się w suchy strój sportowy, owinąwszy mokre ubrania w jeden z puszystych, ciepłych ręczników przygotowanych w łazience. Klub w Sydney pobiera dodatkową opłatę za szorstkie, wytarte ręczniki, bynajmniej nieleżące w wielkich stertach, z których każdy może je sobie brać. Są tu też darmowe dezodoranty oraz kremy do rąk. Nawet suszarka do włosów, za pomocą której próbuję doprowadzić buty do względnego porządku.

Energicznie rozgrzewam się na bieżni, aż w końcu czuję, że przechodzą mi dreszcze.

Pierwsze zajęcia mam w sali, w której z sufitu zwiesza się gąszcz worków treningowych. Z daleka wyglądają jak ludzkie ciała, lecz na szczęście z bliska czuć je potem, nie rozkładem.

Dostrzegam wśród nich dziewczynę, którą obserwowałem na ringu. Rozmawia z koleżanką i uśmiecha się, a po chwili lekkim, kontrolowanym ruchem posyła worek w stronę przyjaciółki, niemalże jakby był przedłużeniem jej ramienia. Następnie robi unik przed szybką odpowiedzią koleżanki, umykając z obrotem, jak w tańcu.

Nie mogę oderwać od niej wzroku.

Zmuszam się, by usiąść i popatrzeć na swoje dłonie, gdy zakładam owijki, a potem przyjrzeć się pozostałym uczestnikom zajęć. Prócz mnie jest tu tylko dwóch facetów. Nigdy nie byłem na treningu, na którym większość stanowiły kobiety. Ten klub jest cudowny.

Dziewczyna i jej koleżanka wyglądają, jakby były w moim wieku, reszta trenujących wydaje się starsza. Przywykłem do tego, że jestem najmłodszy. Ciekawe, czy ona też. Jest mniej więcej mojego wzrostu, może odrobinę niższa, równie smukła i umięśniona jak ja. Kręcone włosy ma ciasno zebrane z tyłu głowy.

Znów się na nią gapię. Z wysiłkiem przenoszę wzrok na worek naprzeciwko, ale myślę wyłącznie o tym, jak by to było ją pocałować.

Kłaniamy się na powitanie i nagle jetlag uderza mnie niczym cios pałką w głowę. Otacza mnie gęste pole siłowe. Niemalże widzę wokół siebie animowane gwiazdki. Słowa instruktorki spowalniają. Zanim do mnie docierają, wszyscy inni już ruszają do działania.

– Raz, dwa, trzy! Twoja druga lewa, Jose, ta, która nie jest prawą! Jeśli ktoś się pogubi, niech popatrzy na Soldier.

Trenerka wskazuje piękną dziewczynę. Ma ksywkę Soldier? Musi być totalnym hardkorem.

Przestaję słuchać, a zamiast tego robię to, co Soldier. Pół sekundy opóźnienia jest lepsze niż kilka minut.

Nogi mam jak z ołowiu. Gdzie moja pamięć ruchowa? Gdzie moja zwykła pamięć?

– Początkujący, co? – zagaja mnie instruktorka. – Może następnym razem powinieneś pójść na zajęcia dla mniej zaawansowanych?

Mój język i mózg nie chcą współpracować, by wyjaśnić, że kilka miesięcy trenowałem boks tajski w T a j l a n d i i.

Nie zdążam nawet otworzyć ust, a ona przechodzi do następnego ucznia. Kurwa.

Pod koniec treningu opadam na matę. Marzę tylko o spaniu. Na następnych zajęciach udowodnię tej głupiej instruktorce, że nie jestem początkujący.

Soldier kiwa do mnie głową, zdejmując owijki.

– Dobrze sobie radziłeś podczas rozgrzewki. Co się potem stało? – pyta.

– Jetlag – odpowiadam po chwili, która mogła trwać i godzinę. Nawet przez wygłuszające pole siłowe słyszę, że moje serce bije szybciej. Soldier się do mnie odezwała.

– Podobno może nieźle dać się we znaki – mówi. Zdjęła owijki i wetknęła je do kieszeni spodni od dresu. Schyla się, by podnieść rękawice. – Do zobaczenia w przyszłym tygodniu? – pyta, odchodząc.

– Jasne – rzucam ledwie słyszalnym głosem, gdy ona jest już w pół drogi do szatni. Kiwam też głową, chociaż na mnie nie patrzy.

Mimo jetlagu czuję uniesienie, a usta bez udziału mojej woli układają się w uśmiech. Zauważyła mnie!

W szatni siadam na ławce najbliższej mojej szafki i pozwalam, by zawładnęło mną zmęczenie. Muszę zdjąć przesiąknięte potem ubrania, wziąć prysznic, ubrać się i dotrzeć do domu. Same niewykonalne zadania.

Mój telefon brzęczy. To Jason. Próbuję policzyć, która jest godzina w Sydney, ale nie udaje mi się.

Jestem dentka trup trup trup. Ale on gorzko.

Nie mam pojęcia, o czym on pisze, i nie tylko z powodu pisowni, na którą ustawił opcję autokorekty w smartfonie. Przywykłem do niej.

Hę?

Wpisuję litery bardzo wolno. Moje palce są za grube na klawiaturę w telefonie.

Wczoraj wieczorem. Walka!

Super!

Nie pamiętam, o jaką walkę chodzi.

Tia. Dałem czadu. Zmiotłem go.

Szkoda, że tego nie widziałem.

Noo. Wracaj! Nauczę cię nowych trików. Nie rozpoznasz Baxtera. Total czysto i wszystkie sprzety działają. Cud renowacji. I wymiarowy ring. Bosko!

Zmuszam palce do napisania odpowiedzi.

A jak tam w domu?

Starzy szaleją. Jak zwykle. Chcą, żebym rzucił boks i zajął się szkołą. Bla bla bla. Po cholerę. Bokser nie potrzebuje matury. Palanty.

Jason zamierza zostać bokserem. Właściwie już nim jest. Wygrał dwie walki w klasie juniorów. Chce dojść do poziomu Igrzysk Wspólnoty Narodów albo i wyżej.

Gdybym był w Sydney i tak widywałem go tylko na treningach. Kiedy jeszcze mieszkałem w Australii, większość weekendów spędzaliśmy na nicnierobieniu, ale teraz mój przyjaciel trenuje

codziennie. Pewnie na treningach też bym go za często nie widywał. Nie chodzi już na zwykłe zajęcia.

Obaj zaczynaliśmy w wieku pięciu lat od nauki kickboxingu u Natalie. Teraz nowy trener przekonał go, że może reprezentować Australię i zarabiać w ten sposób na życie. Jasona opętała idea, by walczyć, i to walczyć dobrze. Naprawdę tego pragnie.

Chyba wcale nie szło mu lepiej niż mnie, kiedy jeszcze trenowaliśmy razem. Ale teraz? Odskoczył ode mnie o lata świetlne. To trochę boli. Nie powinno – przecież nie chcę być zawodowym bokserem – ale mimo to boli.

Masz dziś urodziny. Wszystkiego naj!

Dzięki.

– Gorąca laska z tej Sojourner – rzuca jeden z chłopaków, którzy byli na treningu, starannie składając owijki. Nie mam pojęcia, jaki w tym sens, chyba że chce je tak wysuszyć bez prania. Lipa. – Powiedziałem jej to, a ona mnie złała. Suka!

Jestem prawie pewien, że mówi o dziewczynie, która mi się spodobała. Nie wiem, jak on się nazywa, może Dupek Gówiennik, ale za to znam już jej imię: Sojourner, nie Soldier. Podoba mi się.

– Serio? – pyta Jose. To ten, który nie odróżnia prawej od lewej.

– Nieważne. Najlepsze są zawsze największymi sukami.

Jose krzywi się i idzie pod prysznic.

Sojourner nie jest suką.

– Na co się gapisz? – pyta mnie macho.

Unoszę dłonie w uspokajającym geście.

– Na nic, koleś.

Nie spuszcza ze mnie wściekłego wzroku, a mięsień na jego szczęce drga.

– Jestem lekko nieprzytomny i tyle – tłumaczę. – Dopiero co przyleciałem. Nie mogłem spać w samolocie.

– Jetlag, co? – Mięsień przestaje drgać.

Kiwam głową.

– Amerykanin?

– Nie – odpowiadam, żałując, że w ogóle rozmawiam z tym

tępakiem. – Australijczyk.

– Aha. – Litościwie nie dodaje nic więcej i idzie pod prysznic.

Ziewam tak szeroko, że coś mi przeskakuje w żuchwie. Ciekawe, czy mógłbym się tu przespać. Czy nikomu by to nie przeszkadzało? Nie, na pewno by przeszkadzało.

Zerkam na telefon. Przyszło kilka kolejnych SMS-ów od Jasona, ale jestem zbyt zmęczony, by je czytać.

Zdejmuję wilgotny strój i wstaję, żeby otworzyć szafkę. Nagle uświadamiam sobie, że nie mam pojęcia, jaki kod ustawiłem w zamku. Kurwa!

Wbijam datę urodzenia. Nie. PIN do karty kredytowej. Też nie. Datę urodzin Rosy. Sally. Davida. Nie, nie, nie. Ja pierdzielę...

Dlaczego nie pamiętam, jaki ustawiłem kod?

Ustawiałem w ogóle jakiś?

Niejasno przypomina mi się, że to było coś prostego, żebym nie zapomniał. Wbijam 0000. Szafka się otwiera. No super... Nawet jak na jetlag nie wygląda to dobrze. Dziwi mnie, że moje rzeczy są jeszcze na miejscu.

Przynajmniej panika rozproszyła trochę mgłę w mojej głowie. Wciskam przeпоcone ubrania do torby, wkładam do szafki, nie zmieniając kodu – po co mam robić jeszcze większe zamieszanie w swoim mózgu? – i kieruję się pod prysznic, po drodze biorąc czysty ręcznik ze sterty. Nie sprawdzam temperatury, odkręcam kurek. Lodowata woda uderza we mnie strumieniem.

Pomaga. Nic nie działa lepiej niż wiadro zimnej wody na głowę.

Kiedy się ubieram, znów odzywa się mój telefon.

Wszystkiego najlepszego! Wstałeś?

To Nazeem.

Siadam, żeby odpisać, bo nie ufam sobie na tyle, by robić to na stojąco.

Dzięki. Tu jest popołudnie.

Jasne, ale masz jetlag. Myślałem, że odsypiasz.

Chciałbym. A ty czemu nie śpisz?

Nie mogę. Muszę ci o czymś powiedzieć. Męczą mnie to.

Co takiego?

Tylko się nie wkurzaj.

Za co miałbym się na niego wkurzać, skoro nie widziałem go od wieków?

Dlaczego miałbym się wkurzać?

Nie chciałem, żeby to się stało. Ale, wiesz, nie ma cię tu.

Złość aż skwierczy na czubkach moich palców.

Jasne. Wiem, kurwa, że mnie tam nie ma. Ale nie chciałem wyjeżdżać.

Pewnie. Sorki. Chodzi o Georgie.

Co z nią?

No, jesteśmy jakby razem.

Nieruchomieję, kompletnie zaskoczony. Dlaczego Nazeem uważał, że to mnie zdenerwuje? Dwójka moich ulubionych przyjaciół chodzi ze sobą. Czemu miałbym się wściekać?

I nagle sobie uświadamiam, że jednak jestem zły. Dlaczego?

To się stało przypadkiem. Jesteś tam jeszcze? Nie złość się. Wiem, że ci się podobała.

Kiedy miałem dziesięć lat. Jest świetna, a ty nie najgorszy. Tylko jej nie nawracaj. Ateizm rządzi!

Ha, ha. Naprawdę nie masz żalu?

Mam. Bo dzieją się między nimi różne rzeczy, a ja nie biorę w tym udziału. Jestem niemile zaskoczony. Jason pewnie już kilka tygodni temu radził im, żeby wynajęli pokój, a ja nie mogłem się z nimi tak droczyć. Bo nie wiem o ich życiu nic poza tym, co sami mi powiedzą. To boli jak diabli.

Bałem się, że może ci się nadal podobać.

Jasne.

Aleś ty zmienny.

Nowy Jork jest pełen bardzo seksownych lasek.

Myślałem, że ci tam źle. Że NY jest do bani.

Kpi sobie ze mnie z samej Australii. Nazeem nigdy by nie powiedział, że coś, czego nie widział na własne oczy, jest do bani. On musi się upewnić. Tak jak z Georgie. Pewnie durzył się w niej

przez kilka lat, zanim jej to wyznał.

Bo jest. Niefajnie tu, ale nie oślepiłem. A wy pewnie i tak zerwiecie ze sobą, zanim wrócę do domu.

Masz szczęście, że mnie tam nie ma. Dałbym ci w zęby.

Przewracam oczami. Ty? Dałyś mi w zęby? Ubawiłeś mnie.

Nazeem nie trenuje boksu. Woli krykiet.

Przysyła mi gifa z jaskrawą buźką pokazującą język.

Muszę lecieć. Nara.

Nara.

Czuję się, jakby jednak dał mi w zęby. Jakby obaj to zrobili. Jason u progu kariery boksera, na której mi nie zależy, i Nazeem chodzący z Georgie, z którą ja nie chcę chodzić. Kocham całą trójkę. Cieszę się ich szczęściem, ale równocześnie jestem załamany.

To nie ma sensu.

Ale tak właśnie się czuję. Zapomniany w mieście, do którego nie chciałem się przeprowadzić, bez przyjaciół i wsparcia. Tylko ja, moja demoniczna młodsza siostrzyczka i rodzice, którzy nie chcą przyjąć do wiadomości, jaka ona jest.

Wszystkiego najlepszego, Che.

ROZDZIAŁ 5

Docieram do domu kompletnie przemoknięty i muszę poprosić portiera, żeby wpuścił mnie do budynku. Za to drzwi apartamentu otwiera David i natychmiast wręcza mi pęk kluczy.

– Wszystkiego najlepszego – mówi.

Wciąż są moje urodziny. Rodzice nie dali mi jeszcze żadnego prezentu, no chyba że mają nim być te klucze. Staram się za bardzo nie przejmować.

– Zmokłeś.

– To prawda – potwierdzam, myśląc: „Ale jesteś spostrzegawczy”.

– Możesz mi przynieść jakiś ręcznik?

Schylam się, żeby zdjąć mokre buty.

– Jasne – odpowiada ojciec i znika w sypialni, po czym wraca z ręcznikiem. – Jak było na treningu?

– Świetnie.

Kontener został otwarty, a jego zawartość wala się po całym salonie.

– Gdzie Rosa? – pytam.

– W swoim pokoju. Sally urządza biuro, a ja skończyłem instalować wi-fi. Login ten co zwykle. Stoczyłem dramatyczną walkę, ale udało się.

– Dziękuję, to świetna wiadomość.

– Niedługo biorę się do kolacji. Postaram się ją przygotować na siódmą.

Kiwam głową. Do siódmej zostały jeszcze dwie godziny, a ja jestem głodny teraz. Biorę sobie jabłko i garść orzechów.

Rosa siedzi po turecku na łóżku i czyta podręcznik do matematyki. Uwielbia liczby. Jest w pewnym sensie matematycznym geniuszem, tak jak David. Potrafią godzinami

rozmawiać o wzorach i komputerach.

Ja za to nie jestem genialny w żadnej dziedzinie.

Jej komputer jest już podłączony, a podręczniki do nauk ścisłych i matematyki stoją na półkach. Za komputerem leży sterta książek o historii Stanów oraz powieści, które rodzice kazali nam przeczytać w ramach przygotowań do nauki w tutejszej szkole. Rosa oczywiście przejrzy streszczenia, kiedy będą chcieli nas odpytać.

– Co robisz, Roso? – zagaduję, opierając się o framugę drzwi i wrzucając orzeszki do ust.

– Czytam. A ty co robisz, Che?

– Przeżuwam i pytam cię, co robisz. O czym czytasz?

– O liczbach pierwszych.

Rosa potrafi wyrecytować po kolei tysiąc liczb pierwszych, dzięki czemu wiem, że tysięczna liczba pierwsza to 7919.

– Sally i David się kłócą – oznajmia.

– O co tym razem? – pytam sarkastycznie. Rosa często tak twierdzi, ale ja rzadko kiedy widuję, by się o cokolwiek spierali.

– O McBrunightów. David mówi, że powinniśmy być dla nich mili.

– Powinniśmy być mili dla wszystkich.

– Tak, ale nie wszyscy płacą za nasze samoloty i eleganckie apartamenty. David chce, żebyśmy byli dla nich supermili. Sally uważa, że nie powinniśmy przesadzać, bo przecież McBrunightowie są ich najlepszymi przyjaciółmi. Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego nie poznaliśmy ich wcześniej?

Nie. Rodzice jeździli z nimi na wakacje, ale nas nigdy nie zabierali ze sobą. Uznałem, że to z powodu różnic w harmonogramie roku szkolnego.

– Nie mogę się doczekać, kiedy ich poznam – wyznaje Rosa. – Chcę zobaczyć, jak wyglądają bogaci ludzie.

– Na pewno podobnie do nas.

– Muszę się im dobrze przyjrzeć, bo też chcę być bogata.

– Ty się wszystkim przyglądasz – stwierdzam. Myśl o bogatej Rosie jest przerażająca.

– No i nigdy nie znałam żadnych bliźniaków.

McBrunightowie mają trójkę dzieci: córkę Leilani, mniej więcej w moim wieku, oraz bliźniaczki, Mayę i Seimone, które są odrobinę starsze od Rosy.

– Jestem pewien, że też wyglądają podobnie do wszystkich.

Rosa kręci głową.

– Czytałam, że niektóre bliźnięta porozumiewają się własnym wymyślonym językiem i potrafią czytać w swoich myślach. Jeśli są z dala od siebie, a jednemu coś się stanie, to drugie natychmiast to wyczuwa. Bliźniaki są zawsze najlepszymi przyjaciółmi.

– Brzmi bardzo prawdopodobnie. – Kpię, bo moim zdaniem jest wręcz przeciwnie.

Rosa kiwa głową. Nie najlepiej wyczuwa ironię.

– Chciałabym mieć zdolności telepatyczne. Ciekawe, czy dziewczynki używają ich, żeby dokuczać Leilani. Zapytam.

– Na pewno opowiedzą ci wszystko o swoich bliźniaczych supermocach.

– Ludzie zawsze mówią mi interesujące rzeczy – chwali się.

To prawda, Rosa lubi wiedzieć o innych więcej niż oni o niej. Gdy tylko znajdzie się w grupie równolatków, od razu przyjmuje rolę lidera. Początkowo inne dzieciaki łakną jej aprobaty i sympatii, ponieważ jest uderzająco ładna, a może też dlatego, że to pragnienie zupełnie niemożliwe do zrealizowania. Ale później ich fascynacja przeradza się w strach. Rosa kolekcjonuje opowieści i sekrety, których nie chcą nikomu zdradzić, a potem pozwala, by jej się wymykały w najmniej odpowiednich chwilach.

Moja siostra jest obdarzona zdecydowanie zbyt wielką charyzmą.

Jednak nie każdy daje się nabrać. Zawsze znajdzie się jedno lub dwoje dzieci, które uważają, że coś z nią jest nie tak. Ale te dzieciaki nigdy nie są zbyt lubiane.

Niedługo Rosa rozpoczyna zajęcia w nowej szkole tańca, a ja staram się tym za bardzo nie martwić, bo i tak niewiele mogę zrobić.

Tato zgodził się, by chodziła na taniec, ponieważ narzekała, że to niesprawiedliwe, że ja uprawiam boks. Dlaczego ona nie może

trenować boksu? Ojciec odpowiedział:

– Dziewczęta nie uprawiają boksu. Wybierz coś innego.

Wybrała więc taniec ze stepowaniem, a on to zaakceptował. Lubi, kiedy dziewczęta robią rzeczy, które uważa za dziewczęce.

– O czym myślisz, Che? – pyta Rosa.

– O diable.

Chichocze.

– Nikt taki nie istnieje.

* * *

W wieku mniej więcej dwóch lub trzech lat Rosa zmieniła się w prawdziwego potwora.

W końcu, gdy jej napady wściekłości stały się zupełnie nie do wytrzymania, rodzice znów zdecydowali się pójść z nią do lekarza, który odesłał ją do specjalisty od zaburzeń wieku wczesnodziecięcego, a wtedy napady nagle ustały.

Widziałem, że się złości, gdy ktoś pokrzyżował jej szyki, co zdarzało się często, lecz po sesjach u terapeuty ataki furii minęły. Rosa zrozumiała, że nic dzięki nim nie wskóra. Rodzice zamiast kapitulować i dawać jej to, czego chciała, zabrali ją do lekarza, a tego rodzaju troski moja siostra wybitnie nie lubiła.

Na widok terapeuty wykrzywiła buzię we wściekłym, potwornym grymasie, ale tylko na chwilę. Napinałem się w oczekiwaniu na wrzask, który się jednak nie rozlegał.

Nikt inny nie dostrzegał tych przelotnych min. Rosa usunęła napady furii ze swojego arsenału, a zamiast tego kłamała, kłamała i kłamała.

Pewnego dnia wyszliśmy do miasta na śniadanie. Moja siostra, wówczas dwuipółletnia, siedziała w wysokim krzeselku i piła babyccino. David czarował kelnerki, a Sally pogrążyła się w lekturze weekendowego wydania gazety.

Ze zdumieniem zobaczyłem, że Rosa szczypie się w ramię, więc wyciągnąłem rękę, żeby ją powstrzymać, a ona dokładnie w tym

momencie krzyknęła i zapłakała.

– Che szczypie Rose! – wypaliła.

Moje palce spoczywały na jej ramieniu obok dużego czerwonego śladu.

Sally wzięła małą na ręce, a ta zanosła się jeszcze głośniejszym płaczem.

– Coś ty zrobił, Che? – zapytał David, a mama spojrzała na mnie z najwyższą dezaprobatą.

– Nic nie zrobiłem. Ona sama się uszczypnęła. – Ludzie przy stoliku patrzyli na mnie z takim samym niedowierzaniem jak rodzice. – Dlaczego miałbym robić jej krzywdę?

– Nie wiem – odrzekł David. – Ty mi to wyjaśnij.

– Nie zrobiłem tego – powtórzyłem.

Wtedy mi nie uwierzyli, ale zmienili zdanie tydzień później, kiedy Rosa wyznała obcej kobiecie na ulicy, że nie chce już dłużej sypiać w klatce dla psa. Nie mieliśmy nawet psa.

Zachowywała się tak tylko w miejscach publicznych, gdy w pobliżu znajdowali się świadkowie, którzy by w życiu nie uwierzyli, że ten maleńki aniołek o złotych lokach może tak perfidnie kłamać. Robiła to, żeby nas zawstydzić. Robiła to, bo ją to bawiło.

Tak więc wróciła do specjalisty od zaburzeń rozwoju.

Zasugerował, że Rosa może mieć ADHD. Albo że próbuje w ten sposób zwrócić na siebie uwagę. Wyjaśnił, że takie właśnie są małe dzieci: to potwory, uważają, że świat się kręci wokół nich. Jest szansa, zawyrokował, że ona z tego wyrośnie.

Tymczasem zalecił dalsze cotygodniowe sesje.

Rosa w obecności terapeuty zachowywała się idealnie, a w naszej koszmarnej. Ciągnęło się to całymi miesiącami. Wykańczała rodziców i mnie. Gdy tylko wychodziliśmy z domu, opowiadała kłamstwa i robiła sceny.

Specjalista uznał, że może czas wypróbować leki. Rodzice się wahali, bo przecież była jeszcze bardzo mała, ale w końcu podjęli decyzję, że jednak trzeba to zrobić.

Rosa absolutnie nie chciała wziąć lekarstwa. Wrzeszczała,

wyrywała się i wypluwała je.

Rodzice byli na skraju wyczerpania. Tymczasem następnym razem w miejscu publicznym ich córeczka nie zrobiła już sceny. I nie zdarzyło się to nigdy więcej.

Sally i David uznali, że jednak była to tylko faza przejściowa. Poczuli ogromną ulgę, że minęła i nie muszą faszerować dziecka lekami, więc postanowili pojechać na rodzinne wakacje. Słońce, piasek i Rosa, słodki aniołek.

Mimo to nadal kłamała, tylko nauczyła się być bardziej przebiegła.

Okłamywała wszystkich i ukrywała przed nimi, jaka jest naprawdę.

Oszukiwała wszystkich prócz mnie.

Mnie wykorzystywała do testowania. Sprawdzała, czy zmarszczę brwi, słysząc jej śmiech, czy jej zawtóruję. Mnie się zwierzała.

– Uszczypnęłam tamto dziecko – mówiła. – I podobało mi się to.

Chwaliła się przede mną swoją przebiegłością. Tym, że okłamała staruszka, że ukradła czyjś medal. Mnie ufała. Mnie, miałem nikłą nadzieję, kochała.

Ale tylko mnie.

Rodzice myśleli, że zła faza minęła. Rosa znów była ich cudownym, idealnym dzieciątkiem. Ja znałem prawdę.

* * *

Podczas urodzinowej kolacji David zwraca się do Sally, lekko ją przytulając:

– Mamy świetne dzieci, nie sądzisz?

Wydaję z siebie głośny jęk.

– Ja mam dopiero dziesięć lat, a Che tylko siedemnaście – zauważa Rosa. – Nie możecie mieć pewności, jacy jesteśmy, dopóki całkiem nie dorośniemy.

Rodzice wybuchają śmiechem, ale Rosa wcale nie żartowała.

Zastanawiam się, czy byliby dumni z tego, jak nas wychowali,

gdyby wiedzieli o śwince morskiej Apinyi. Albo o paszporcie pijaka z samolotu. Albo o wielu innych sprawach, o których nie mają pojęcia. Na tę myśl czuję się jeszcze bardziej zmęczony niż do tej pory.

W końcu dostaję prezent urodzinowy, który jest całkiem fajny: bibliofilskie wydanie Anatomii Graya. Przewracam stronicę, z których unosi się zapach starego papieru, dziwnie potęgując moje zmęczenie.

Idę do łóżka zaraz po kolacji, choć nie ma jeszcze wpół do dziewiątej.

Wymieniam SMS-y z Jasonem, Georgie i Nazeemem, którzy bardzo chcą wiedzieć, jakie mam wrażenia z Nowego Jorku. Tymczasem nie mam żadnych.

NY jest do bani.

Nie możesz tak mówić o Wielkim Jabłku! – Georgie marzy o tym, by tu zamieszkać i zostać projektantką mody. – Zamieniłabym się z tobą!

Taa, ja też. – Jasonowi chodzi o możliwości trenowania boksu, które tutaj są o wiele większe niż w naszym kraju.

Cholernie zimno i deszczowo. Brzydko. Niefajnie. Nie widziałem jeszcze nic prócz sali treningowej, biblioteki i szarych mokrych ulic.

To skąd wiesz, że jest do bani? – wytyka mi Georgie.

U nas słońce. – Wyobrażam sobie uśmiech Nazeema, gdy to pisze. Gamoń.

Na pewno.

Późne mango jest przepyszne.

Daj spokój! Nie chcę o tym wiedzieć.

Ale drogie – dodaje Nazeem.

Nie wysilam się, by napisać, że w Bangkoku mango jest równie dobre, ale tanie. Nie mieszkam już w Bangkoku.

Nienawidzę tego miejsca. – Wiem, że to żałosne. Nie chodzi o to, że nienawidzę Nowego Jorku. Wszystko jedno, dokąd byśmy się udali, byłoby równie źle. Nawet w jakimś słonecznym miejscu. Po prostu chcę wrócić do domu.

Wyluzuj, Che!

Dopiero tam przyleciałeś. Daj sobie więcej niż kilka minut.

Spróbuję. Po prostu żal mi, że nie jestem z wami. Nieważne. Idę spać. Późno już.

Nie ma nawet 9. Uważasz, że jesteśmy za głupi, żeby obliczyć czas?

Ja jestem – wtrąca Nazeem. – Dużo za głupi. Durne te strefy czasowe.

Mam jetlag, jestem zmęczony, śpiący i wyczerpany. Znikam.

Cienias.

Dobrej nocy, Che!

Wszystkiego najlepszego!

No, Che, wszyscy mamy teraz siedemnaście lat!

Dzięki!

Biorę *Historię mózgu* i próbuję czytać. Jest napisana trudnym językiem, ciężko się na niej skupić i zazwyczaj usypia mnie w ciągu kilku minut. Tym razem nie rozumiem ani słowa, ale nie mogę zasnąć.

Wychodzę z łóżka i wykonuję kilka sekwencji kata w nadziei, że się bardziej zmęcę.

W końcu zasypiam, lecz budzi mnie dźwięk syren. Udaje mi się przespać może trzy godziny.

Wszystkiego najlepszego – składam sobie życzenia, zanim dociera do mnie, że moje urodziny już się skończyły.

Najgorsze urodziny w życiu.

No prawie. Sojourner mnie zauważyła.

ROZDZIAŁ 6

Dziś mamy się spotkać z McBrunightami.

Deszcz ustał. Ulice lśnią w słońcu. Szarość i ponurość przeszła w miriady różnych barw: od ogromnego muralu ze szczurem w czerniach, brązach i czerwieniach przez graffiti w neonowych kolorach po barwne wystawy restauracji oraz sklepów, zastawione robotami, dinozaurami i manekinami w ubraniach sprzed dekad, które nadal noszą ludzie na ulicach. Widzę cylindry, spódnice na halkach, a także włosy we wszystkich kolorach, głównie różowe.

Trudno się nie uśmiechać i łatwo zachować przytomność. Mamy się spotkać z McBrunightami na brunchu o jedenastej, więc wiem, że jest rano, ale mój organizm nie wydaje się do tego przekonany.

Nasza rodzina postanowiła najpierw zwiedzić okolicę. Na chodnikach jest pełno kałuż, po których Rosa brodzi w kaloszach.

Wędrujemy przez park przy placu Tompkinsa, który rozciąga się na długości kilku przecznic. Nie wszystkie drzewa są nagie. Niektóre pokrywają maleńkie białe, różowe i bordowe pączki, a na kilku są nawet zielone liście. Wiosna. Wiewiórki biegają po gałęziach, z drżącymi noskami, zaniepokojone, że mogą paść czyjaś ofiarą. Mężczyźni grają w szachy przy kamiennych stolikach. Rosa zatrzymuje się obok nich jak porażona. Rodzice zostają z nią, a ja idę się przejść. Szachy mnie nudzą.

– Nie wyłączaj telefonu – prosi mnie Sally.

Przy drugim końcu parku znajduje się wybieg dla psów. Pełno na nim zwierzaków różnych wielkości i maści – są nawet dwa zafarbowane na różowo pudle – biegających tu i tam, ujadających głośno i skaczących na swoich właścicieli. Kiedy Rosa zobaczy wybieg, znów zacznie męczyć rodziców o psa. Doprasza się o niego od lat. I nigdy go nie dostanie.

Mija mnie piękna dziewczyna w czarnej sukience w czerwone kwiaty, skrojonej tak, że podkreśla jej talię, a spódnica faluje przy każdym kroku. Dziewczyna jest oszłamiająca, a jej pewne, płynne ruchy sprawiają, że nie mogę oderwać od niej wzroku. Nagle uświadamiam sobie, że to znajoma z sali treningowej.

Biegnę za nią.

– Sojourner? – wołam.

Odwraca się.

– Tak?

Widzę, że mnie nie rozpoznaje.

Kwiaty na jej sukience to tulipany.

– Cześć – mówię, czując się jak idiota. – Poznaliśmy się na sali bokserskiej. Przy Houston Street?

– Houston – poprawia mnie.

Rumienię się tak mocno, że pieką mnie pryszcze.

– Tak się to wymawia? Nie wiedziałem. Myślałem, że tak jak miasto – tłumaczę się niezdarnie.

Sojourner się uśmiecha.

– Ty jesteś ten nowy – przypomina sobie. – Z jetlagiem. Jak się masz? Nadal jesteś zmęczony?

Kiwam głową.

– No przecież źle wymówiłem nazwę ulicy. Powinno mi przejść za dzień lub dwa.

Wczoraj włosy Sojourner były ciasno zebrane, a dziś tworzą aureolę wokół jej twarzy. Usta ma pomalowane na kolor tulipanów. Na treningu nie miała makijażu. Wygląda równie ładnie, ale jednak jak nie ona.

– Nie rozpoznałam cię bez stroju sportowego – wyjaśnia, co jest bardzo uprzejme z jej strony, ponieważ spotkaliśmy się tylko raz i to przelotnie. Czy zna moje imię? – No i twoje dłonie nie są zabandażowane, czerwone i spocone. A koszula ma kołnierzyk.

Patrzę na swoje ręce. Mam lekkie zaczerwienienia na kłykciach.

– To samo pomyślałem o tobie.

– Taaa. Za każdym razem, gdy wkładam sukienkę i używam

szminki, czuję się jak w przebraniu.

– Niezbyt skutecznym. Od razu cię rozpoznałem. – Pewnie brzmi to dziwnie, bo ledwie ją znam.

– Byłbyś zdziwiony, ilu znajomych z boksu mnie nie poznaje.

Jestem pewien, że poznałbym ją w każdym stroju. Porusza się płynnie, jakby w jej mięśniach nie było żadnego napięcia. Mało kto tak chodzi.

– Dokąd się wybierasz? – Mam nadzieję, że się w nią nie wgapiam. I jestem raczej pewien, że to płonna nadzieja.

– Do kościoła. A ty?

– Spaceruję. – Chodzi do kościoła? – Dopiero co się przeprowadziliśmy. Zwiedzam Alphabet City. – Mogłem jej powiedzieć, że jestem z rodziną i mamy się spotkać po raz pierwszy z najlepszymi przyjaciółmi Sally i Davida, ale nie chcę wspominać o Rosie. To przecież nie jest kłamstwo. Naprawdę zwiedzam. – Poznają nową okolicę.

– To musisz wiedzieć, że tylko staruszkowie używają nazwy Alphabet City. Teraz mówi się Loisada.

– Lois-co?

Sojourner wznosi oczy do nieba, ale się uśmiecha.

– Jak to się pisze? – pytam.

Literuje nazwę, a ja zapisuję ją w telefonie. Później poczytam sobie o niej w Internecie.

– Wybaczam ci, bo jesteś totalnie nowy.

Uśmiecham się do niej, prawdopodobnie zdecydowanie za długo. Myślę o tym, że Nowy Jork jest dla mnie całkowitą tajemnicą, a w tej okolicy – Alphabet City, East Village, Lois-cośtam – znajduje się mnóstwo ulic, którymi jeszcze nie chodziłem. Chciałbym je przemierzać razem z nią.

– Pełno tu wiewiórek – mówię dokładnie w tej samej chwili, w której ona pyta:

– Od jak dawna uprawiasz boks?

– Od...

– To twoja siostra?

Moje serce przyspiesza. Rosa stąpa na paluszkach tak, że jej loki podskakują, dzięki czemu wygląda zupełnie jak dziecko z reklamy. Blond włosy, niebieskie oczy, zaróżowione policzki z dołeczkami, promienny uśmiech. Na wypadek gdyby ktoś nie skojarzył, wzięła ze sobą małą białą torebkę z wizerunkiem Shirley Temple.

– Podobna do ciebie – stwierdza Sojourner.

Absolutnie się z nią nie zgadzam. Mamy podobny koloryt i to wszystko. Moje włosy są proste i gęste jak Davida. Mam też nos po nim, a Rosa po mamie. Za to oczy mam takie jak Sally, w o wiele ciemniejszym odcieniu niebieskiego.

– Jestem Rosa Klein – odzywa się moja siostra, wyciągając rękę, którą Sojourner ujmuje. Stoję w milczeniu, myśląc, że powinienem był je sobie przedstawić.

– Miło mi cię poznać. Mam na imię Sid.

Sid?

– Jesteś ładna – oznajmia Rosa, znów prezentując dołeczki. – I podoba mi się twoja sukienka. Czerwony i czarny razem wyglądają świetnie.

– Dziękuję. Mnie też się podoba twoja sukienka.

Rosa dyga. Zastanawiam się, skąd jej się to wzięło. Z lekcji tańca? Czy stepujący tancerze dygają?

– Soj... Sid trenuje boks tam, gdzie ja – wyjaśniam w końcu.

– Lubisz puszczać ludziom krew? – pyta Rosa.

Sojourner wybuchą śmiechem.

– Złamałaś kiedyś komuś nos? – drąży moja siostra.

– Raz.

– Było fajnie?

– Fajnie? Nie. Ale cieszyłam się, że wygrałam tę walkę.

– A gdybyś kogoś zabiła?

Zastanawiam się, gdzie są rodzice i dlaczego pozwolili córce oddalić się samej. Chciałbym, żeby już się pojawili. Rosa przestanie zadawać podobne pytania, gdy tylko znajdą się w zasięgu słuchu.

– To by było okropne – odpowiada Sojourner. – Na szczęście to się prawie nigdy nie zdarza. Więcej osób ginie, grając w piłkę nożną,

niż boksując.

Ciekawe, czy to prawda.

– Boks wcale nie jest taki brutalny, jak się powszechnie sądzi – tłumaczy dalej. – Chodzi w nim o to, by nauczyć się kontrolować emocje. Jeśli stracisz nad sobą panowanie albo uderzysz kogoś, bo się wściekniesz, przegrasz. Dobrzy zawodnicy nie czują złości. Nie chcę robić nikomu krzywdy. Nie po to uprawiam boks.

Zastanawiam się, co Rosa zrozumie z tej odpowiedzi, biorąc pod uwagę to, że zawsze chce zrobić innym krzywdę.

– Lubię mieć kontrolę – mówi.

No cóż, to akurat jest prawda.

– Chyba jak my wszyscy – zauważa Sojourner. Uśmiecha się do Rosy, która ewidentnie wydaje jej się urocza, a mnie serce zamiera. Kocham Rosę, lecz za każdym razem, gdy ktoś ją polubi, ogarnia mnie smutek. Jakim cudem ludzie nie widzą, kim ona jest?

– Ty też musisz tłumaczyć się z tego, że lubisz boks? – pyta mnie Sojourner. – Czy tylko my dziewczyny tak mamy?

– Nieustannie. Moi rodzice nie mogą się pogodzić z tym, że go uprawiam.

– Czy na wasze treningi chodzi więcej dziewcząt? – odzywa się w tej samej chwili Rosa.

Sojourner się śmieje.

– Jasne. Trenuję z moją najlepszą przyjaciółką Jaime.

– Masz najlepszą przyjaciółkę? – Rosa wkłada w to pytanie całą tęsknotę, na jaką ją stać.

– Błagam... – mruczę pod nosem, ale chyba żadna z nich mnie nie słyszy.

– Pewnie – potwierdza Sojourner. – A ty nie?

Dokładnie takie pytanie Rosa chciała usłyszeć.

– Nasi rodzice ciągle się przeprowadzają, więc uczymy się głównie w domu. Trudno się z kimś zaprzyjaźnić – odpowiada lekko łamiącym się głosem.

Sojourner spogląda na mnie.

– Czasami uczymy się w domu – wyjaśniam. – Zazwyczaj jednak

chodzimy do normalnej szkoły. Rosa lubi przesadzać. Gdzie Sally i David? – zwracam się do siostry. – Nie spóźnimy się?

Sojourner zerka na telefon.

– Ja też muszę już lecieć. Będiesz na treningu w poniedziałek?

Kiwam głową.

– Po południu. A ty?

– Też. Do zobaczenia.

– Pa, Sid – wtrąca Rosa. – Bardzo się cieszę, że cię poznałam.

Sojourner uśmiecha się i macha ręką.

– Widzimy się jutro – rzuca.

– Jutro... – powtarzam. Nie patrzę za nią, gdy odchodzi, choć mam na to wielką ochotę.

– Chyba trochę przegiełaś, nie sądzisz? – zwracam się do Rosy, kiedy tylko Sojourner nie może nas usłyszeć. – I gdzie są rodzice? Powinniśmy być na miejscu za pięć minut. David dostanie szalu, jeśli się spóźnimy.

Zamiast jakoś zareagować na moją uwagę o prowokowaniu Sojourner, Rosa oznajmia, że powinna zagrać w szachy z mężczyznami w parku.

– David twierdzi, że to starzy wyjadacze, ale założę się, że nie grają tak dobrze jak ja. Na pewno bym ich wyrolowała.

Nie wątpię w to.

Szukamy rodziców. Okazuje się, że wdali się w dyskusję o polityce ze starszym mężczyzną rozdającym anarchistyczne ulotki po drugiej stronie parku. Nawet nie zauważyli nieobecności Rosy.

David macha do nas.

– Jesteście gotowi?

Żegnają się z anarchistą, który nieuprzejmie mamrocze coś pod nosem.

– Tędy – ocenia Sally, patrząc na ekran telefonu. – Nie mogę się doczekać, aż ich poznacie. Cieszycie się?

Rosa twierdzi, że tak, dołączkami podkreślając swój entuzjazm. Ja zmuszam się do uśmiechu. Przypuszczam, że pociechy McBrunightów to rozpuszczone bachory. Od dzieciństwa mogą

sobie pozwolić na wszystko, czego zechcą. Pewnie uważają, że ludzie mniej zamożni nie są warci ich uwagi.

David obejmuje Sally ramieniem, odsuwając ją z drogi innych przechodniów, bo idzie po niewłaściwej stronie chodnika. Rosa i ja podążamy za nimi.

– Podoba ci się Sid, prawda? – pyta siostra, przyglądając się przepychającemu się obok rodziców mężczyźnie z miniaturowym pudłem w ramionach. – Ma piękną cerę.

Mruczę coś niezobowiązująco.

– Rodzice nie pozwolą ci zagrać w szachy w parku – rzucam po chwili, jakby miało to dla mnie większe znaczenie niż Sojourner.

Rosa tylko uśmiecha się w odpowiedzi.

* * *

McBrunightowie urodzili się i wychowali właśnie tu, w Nowym Jorku. Najwyraźniej to rzadkość. Podobnie jak bycie w związku od czasu liceum. Tak jak nasi rodzice. Mam nadzieję, że w przeciwieństwie do Sally i Davida McBrunightowie potrafią utrzymać ręce z dala od siebie. Posiadanie rodziców, którzy są w sobie rozpaczliwie zakochani, bywa żenujące.

McBrunightowie wraz z trzema córkami czekają na wolny stolik w wejściu do greckiej restauracji.

Gene i Lisimaya krzyczą radośnie na widok Sally i Davida, ale i bez tego bym ich rozpoznał. Obejrzałem miliony zdjęć całej rodziny. Choć nie do końca przygotowały mnie one na urodę bliźniaczek: wielkie ciemne oczy, wysokie kości policzkowe, twarze w kształcie serca. Są niemal tak idealne jak Rosa. Są też identyczne, naprawdę identyczne. Gdyby Seimone nie miała krótszych włosów, rozróżnienie ich byłoby zupełnie niemożliwe. Maya nosi koński ogon, a Seimone jest obcięta na pazia.

Gene i Lisimaya puszczaają swoje dłonie, żeby przytulić naszych rodziców. Trzymają się za ręce w miejscu publicznym... Bardzo w stylu Sally i Davida.

Rosa chwyta mnie za rękę i lekko ściska. Jest podekscytowana. Nie chcę wiedzieć, o czym myśli. Pewnie cieszy się, że będzie miała więcej osób do manipulowania.

Gene ma łzy w oczach, gdy bierze Sally w ramiona. Ona też.

– Dziękuję... – mówi mama z przejęciem.

Wycierają oczy i trajkoczą jak najęci, nadal blokując wąskie wejście do restauracji.

– Ma taki sam uśmiech jak ty – zwraca się Lisimaya do Davida po przywitaniu z Rosą. – Też potrafi nakłaniać ludzi, żeby robili, co zechce?

David się uśmiecha, ukazując, jak podobnie to robi, włącznie z dołeczkami.

Wszyscy w restauracji gapią się na nas. Czuję, że się rumienię. Wydaje się, że bliźniaczki są równie zażenowane i speszone jak ja, za to Leilani wygląda na znudzoną.

Kelner odchrząkuje i odzywa się:

– Przepraszam. Państwo pozwolą, stolik czeka.

Dorośli nie zwracają na niego żadnej uwagi, więc znów chrząka, tym razem głośniej.

– Przepraszam. Przepraszam!

Sally w końcu go zauważa i idziemy zająć miejsca. Dwie kobiety przy stoliku obok szepczą coś do siebie.

My, dzieciaki, nie kłopotujemy się formalną prezentacją. Ja i Rosa wiemy, kim są one, one wiedzą, kim jesteśmy my. To jedyne osoby na świecie o tym nazwisku. Wiem, kiedy obchodzą urodziny. Wiem, że Seimone ma alergię na orzeszki ziemne. Wiem, że Leilani jest prawie w tym samym wieku co ja. Wiem...

– Zamierzasz się na nie gapić cały czas? – zwraca się do mnie Leilani. – Tak, są jak dwie małe koreańskie księżniczki, które zstąpiły prosto ze stron manhwy. Takie egzotyczne! Dwie śliczne, nieodrodne córeczki swojego koreańskiego tatusia.

Nie wiem, co to jest manhwa.

– Nie gapię się, tylko...

– Owszem, są bardzo ładne – przerywa mi.

– Ja też jestem ładna – wtrąca Rosa.

– Wszyscy są ładni – dodaje Maya.

Seimone wybucha śmiechem.

– Wszyscy jesteśmy bardzo ładni.

Leilani prycha.

Nie chodzi o to, że Leilani jest brzydka. Jest chyba dość urodziwa. Już słyszę reprimendę Sally – niemalże tak, jakbym powiedział to na głos: „Dość urodziwa na co właściwie?”.

Leilani ma taką urodę jak ja. Babcia powiedziałaaby, że „zwykłą”. Jedziemy na tym samym wózku: najmniej atrakcyjni członkowie niezwykle atrakcyjnych rodzin. Zastanawiam się, czy jej to doskwiera? Czy czuje ulgę, tak jak ja? Przynajmniej nie ma pryszczki.

Za to wydaje się o wiele bardziej interesująca niż jej siostry. Widać dokładnie, co myśli, nie musi nawet nic mówić. A myśli przede wszystkim, że to straszna strata czasu i że ja jestem kompletnie nieciekawym. Chciałbym myśleć to samo o niej, ale obserwowanie jej twarzy jest fascynujące.

Siedzimy naprzeciwko siebie, z bliźniaczkami po bokach i Rosą u szczytu stołu. Nasi rodzice już piją wino i gadają jak najęci, wybuchając zbyt głośnym śmiechem i zamazyście gestykułując. Co drugie zdanie zaczynają od: „Niemożliwe, że to już dwadzieścia lat...” lub „A pamiętacie, jak...”. Śmieją się z tego, jak David ogrywał ich w pokera, jak wybrali się na katastrofalnie nieudany wyjazd narciarski. Są niedorzecznie szczęśliwi.

– Uczycie się w domu, tak? – pyta mnie Leilani, ponownie kierując moją uwagę na część stołu zajmowaną przez młodych.

To będzie długi brunch.

– Dzięki temu nasze umysły nie są spaczone przez kapitalistyczną wytwórnę parówek. – Rosa podpuszcza Leilani.

Bliźniaczki chichoczą.

– Nie czuję się jak parówka – oznajmia Maya. – A ty, Seimone?

– Cóż, jestem trochę głodna.

Znów chichoczą, a Rosa dołącza do nich.

– Podobają mi się twoje rękawiczki – zwraca się po chwili do Seimone. Rękawiczki są czerwono-czarne. Maya takich nie nosi. – Grasz w pokera?

Seimone kręci przecząco głową.

– Nauczę cię. A w szachy?

– Tak!

– Czy nauka w domu ma same zalety? – pyta mnie Leilani, gdy Rosa i Seimone trajkoczą na temat szachów.

Udaje jej się to powiedzieć tak, że gdybym potwierdził, wyszedłbym na idiotę, a jednocześnie dać jasno do zrozumienia, że moja odpowiedź kompletnie jej nie interesuje. Osiąga to, unosząc brwi i równocześnie wydymając górną wargę. Natomiast gdybym zaczął wyjaśniać, że częściej uczę się w szkole niż w domu, jej brwi pewnie podjechałyby wyżej.

– Lubisz swoją szkołę? – pytam zamiast tego, reagując banałem na banał.

Lewa brew dziewczyny wygina się jeszcze mocniej. Ja bym nie umiał unieść brwi tak wysoko. Ten jeden elegancki grymas wyraźnie mówi, że nikt przy zdrowych zmysłach ani nie lubi szkoły, ani nie zadaje takich durnych pytań. Czy to jakiś rodzaj testu? W takim razie chyba go oblałem. Wiem przecież, że to głupie pytanie, zadałem je celowo, dlatego właśnie, że jest głupie. Mógłbym to wyjaśnić, ale niewiele by to zmieniło. Korci mnie, żeby na bieżąco zdawać relację Georgie z tego przezabawnego brunchu.

– Zamierzasz mnie zapytać, co chcę robić, kiedy dorosnę? Na jakie studia planuję się dostać? Jakie mam plany zawodowe?

Te pytania rzeczywiście przeszły mi przez głowę.

– Przecież uczę się w domu – odpowiadam. – To nie sprzyja biegłości w kontaktach towarzyskich.

– Za to dzięki temu twój romans ze słownikiem wyraźnie kwitnie. – Posyła mi chłodny uśmiech, który mówi „palant”, tak wyraźnie, jakby wypowiedziała to słowo na głos.

– Powinnaś zostać aktorem – oznajmiam. – Masz cudownie ekspresyjną twarz.

Widzicie? Też potrafię być wredny. Ale wtem przypominam sobie, że ona chodzi do liceum o profilu aktorskim, zapewne więc kształci się w tym kierunku.

– Chyba chciałeś powiedzieć „aktorką”. Nie oszukujmy się, że nie ma różnicy w tym, ile zarabiają mężczyźni i kobiety wykonujący ten sam zawód. Nic nie zmienia udawanie, że płeć w tej profesji nie gra roli. I dlatego właśnie zamierzam kręcić własne filmy kinowe i telewizyjne. Aktorstwo jest dla kobiet, które chcą być wykorzystywane przez mizoginicznych dupków.

– Mówisz jak Sally – zauważam.

– A ty jak mój ojciec. Cudownie, prawda? Dopiero co się poznaliśmy, a już jesteśmy niczym rodzina.

Kusi mnie, żeby jej powiedzieć, że też nie mam ochoty tutaj być, i zasugerować, że nie musimy tego skopać tylko dlatego, że naszym rodzicom za bardzo zależy na naszej przyjaźni. Przecież nie musimy robić wszystkiego, by to spotkanie było jeszcze okropniejsze, niż jest. Chciałbym zaproponować rozejm. Ale wyobrażam sobie, jak szybko by mnie usadziła.

Rosa zaśmiewa się z czegoś, co powiedziała jedna z bliźniaczek, ale widzę, że chłonie każde słowo Leilani. Jej oczy lśnią z podziwu. Na pewno uznała, że starsza McBrunightówna nauczy ją paru nowych rzeczy o gnębieniu innych.

Zamierzam trzymać je z dala od siebie. Wystarczy, że Leilani zachowuje się jak wzorzec wredności, ale co jeśli jest taka jak Rosa i nauczy ją czegoś znacznie gorszego? Wyraźnie nie emanuje empatią. Bezwzględna – nie dba o to, czy zrani moje uczucia, pozbawiona zahamowań – mówi, co chce, nie bojąc się konsekwencji, charyzmatyczna – trudno nie zwrócić na nią uwagi. Czy jest uzależniona od dreszczyku emocji? Korci mnie, żeby ją zapytać, czy lubi szybką jazdę samochodem.

Posiadanie takiej siostry jak Rosa sprawia, że inaczej patrzę na ludzi. Nie ufam ich urokowi – nie, żeby Leilani celowo jakiś roztaczała, ale wiem, że potrafiłaby, gdyby zechciała. Jedynymi ludźmi wzbudzającymi moje zaufanie od razu, są ci, którzy czują się

nieswojo przy Rosie. Jestem trochę rozczarowany, że Sojourner jej nie rozgryzła.

– Podoba mi się twoja rolnicza koszula – zwraca się do mnie Leilani kpiącym tonem, na co Rosa wybucha głośnym śmiechem. Leilani spogląda na nią taksująco. – Potrafisz wykorzystać te dołączki, co?

Oczy mojej siostry się zwięzają. Ledwie na chwilę, ale dostrzegam to.

No cóż, Rosa nieprędko owinie sobie Leilani wokół palca. Trafił swój na swego.

Mój ojciec ma w sobie taki sam nieodparty urok jak Rosa, ale jego obchodzą inni ludzie. Rosa za bardzo przypomina dziadka i wuja Saula. W tych dwóch nie ma ani grama empatii. Dziadek ciągle próbuje manipulować otaczającymi go ludźmi. Uwzględnia ich w testamencie, kiedy jest z nich zadowolony, albo wykreśla, gdy coś jego zdaniem nie gra. Każda przysługa ze strony dziadka pociąga za sobą konsekwencje. Wuj Saul jest ulepiony z tej samej gliny.

– I jak się dogadujecie? – pyta Gene.

Leilani ostentacyjnie wznosi oczy do nieba.

– Och, po tej stronie stołu jest wprost baśniowo. Che i ja już planujemy ślub. Będą białe gołębie. A także pingwiny.

Rumienię się, ale nie dlatego, że zdemaskowała moje uczucia. Bliźniaczki śmieją się i posyłają mi spojrzenia, wyrażające niewzruszoną pewność, że już się zakochałem w ich siostrze.

– Szybko poszło – stwierdza Gene.

– Daj spokój, tato – prosi Leilani. – Dopiero co się poznaliśmy. Nie jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi od czasów, gdy telefony komórkowe nosiło się w specjalnych neseserach, okej?

– Dobra, dobra! – Gene się poddaje i odwraca do Sally.

– Telefony komórkowe nosiło się w neseserach? – dziwię się, ale Leilani to nie bawi.

– Na wypadek gdyby coś ci wpadło do głowy – mówi – i ten rumieniec nie był tylko objawem nadreaktywności współczulnego układu nerwowego, to mam dziewczynę. Nie interesuję się

facetami. Nie próbuj nawet wymieniać nazwisk gwiazdorów filmowych.

Nie zamierzałem wymieniać żadnych nazwisk. Za bardzo jestem zaskoczony, że wie, co to jest współczulny układ nerwowy. W końcu kształci się na reżysera, nie lekarza.

– Gdyby kiedyś spodobał mi się jakiś facet, na pewno nie byłby nim nudny, karmiony kukurydzą chłopak z australijskiej farmy taki jak ty.

Rosa i bliźniaczki wprost pękają ze śmiechu.

– Dobrze wiedzieć – odpowiadam. Nikt nigdy mnie tak nie określił. Może nudny i na pewno z Australii. Ale reszta? W życiu nie postawiłem nogi na farmie i nie przepadam za kukurydzą.

– Mimo to mogłabym cię zabrać na zakupy. – Zerka na moją koszulę. – Jeśli zostaniemy zmuszeni do spędzania czasu w swoim towarzystwie tak często, jak przypuszczam, musisz mieć ubrania, od których nie będą krwawiły mi oczy.

– Przepraszam, jeśli mój strój cię obraża – mamroczę.

Leilani się uśmiecha. Zdumiewa mnie, że to potrafi. Przez sekundę czuję, że chyba jednak nie jest taka jak Rosa.

ROZDZIAŁ 7

Po brunchu idziemy do domu McBrunightów. Okazały budynek dawnej synagogi góruje nad okolicą, zajmując niemalże całą przecnicę. Wchodząc po schodach, a następnie przez olbrzymie drewniane wrota, czuję się, jakbym wkraczał do Wielkiej Synagogi w Sydney.

Wiedziałem, że są bogaci, ale dopiero na widok ich domu dociera to do mnie naprawdę.

Smugi światła wpadają przez ogromny świetlik w hallu, jakby zesłane z niebios. To tak, jakby mieszkali w Luwrze, tylko że Luwr jest o wiele bardziej zagracony.

Właściwie świetlik to złe słowo. Dwa wielkie fragmenty sufitu oraz dachu nad nim zostały zastąpione przejrzystym szkłem.

Sufit wygląda jak wnętrze paszczy wieloryba z żebrowaniem, które przechodzi w kolumny. W nocy pewnie widać tu gwiazdy.

– Masz otwartą buzię – zwraca mi uwagę Leilani.

Szybko zamykam usta.

– Wszyscy się tak gapią, choć ty jesteś pierwszym, który się ślini.

Odruchowo wycieram brodę, zanim uświadamiam sobie, że wcale się nie ślinię. Każdy inny wyśmiałby mnie bezlitośnie, lecz Leilani osiąga ten sam efekt, tylko lekko unosząc brew.

– Oprowadzić cię czy zadowolisz się staniem tu i wytrzeszczaniem oczu? Tak przy okazji, znów masz otwarte usta.

To prawda. Ponownie je zamykam.

Projektanci zrobili, co mogli, by to kolosalne pomieszczenie nabrało trochę bardziej ludzkiej skali. Połowę miejsca zajmują wygodne meble wypoczynkowe. Seimone ciągnie Rosę w stronę największej sofy, gdzie rozpoczynają konkurs podskoków. Całą drogę z restauracji szeptały coś do siebie i chichotały. Maya nie

brała w tym udziału. Trzymała się blisko matki.

– Czy tam był babiniec? – pytam, patrząc w górę.

Leilani kiwa głową.

– Zsyłali do niego kobiety. Przerobiliśmy go na pokoje, oczywiście po przeprowadzeniu ceremonii oczyszczającej, by pozbyć się z budynku ducha mizoginii.

Nie wiem, czy mówi serio, czy nie.

– Chodźcie zobaczyć moje kuchenki – proponuje Lisimaya.

– Ach – wzdycha Sally – twoje osławione kuchenki nieemitujące dwutlenku węgla.

Rodzice i Gene idą za gospodynią w stronę drzwi po drugiej stronie hallu.

– To tylko kuchenka – prycha Leilani.

– Twoja mama powiedziała „kuchenki”. Nie emitują dwutlenku węgla?

– To bez znaczenia. Staruszkowie i tak nic nie gotują. Pokażę ci resztę domu.

Kusi mnie, by odpowiedzieć: „Jeśli to nie będzie dla ciebie zbyt wielki kłopot”, ale ona wyraźnie okazuje, że będzie.

– Dziękuję – mówię więc.

Są tam dwie windy – po jednej na każdą część budynku, czy też na skrzydło, jak określa je Leilani. Wschodnie i zachodnie skrzydło.

– Gdyby to mój ojciec cię oprowadzał, powiedziałby: „Tak jak w Białym Domu”.

Prycham, bo tego się po mnie spodziewa, ale nie jestem pewien, co skrzydła mają wspólnego z Białym Domem. Wyobrażam sobie ogromnego ptaka i cały budynek zrywający się do lotu.

– Nigdy nie byłem w prywatnym domu z windą.

– Z dźwigiem osobowym. Ustaliliśmy przecież, że to duży dom.

– Są aż cztery piętra – zauważam idiotycznie, patrząc na panel sterujący. Jest też przycisk awaryjny i słuchawka jak w windzie w bloku mieszkalnym.

– Pięć, zapomniałeś o piwnicy. Tam jest basen.

– O rany – wzdycham i od razu tego żałuję.

Leilani sugeruje, że przewraca oczami, tylko lekko unosząc powieki.

– Żartowałam z tym basenem.

– Och. – Powiedziałbym: „No oczywiście, że żartowałaś”, tyle że to wcale nie jest oczywiste. Dlaczego nie mieliby mieć basenu? Choć przecież na panelu są tylko cztery przyciski. – To chyba oznacza, że nie macie lądowiska dla helikopterów na dachu?

– Nie bądź głupi. Lądowisko jest za garażem z tyłu domu.

– Serio?

– Nie, nie serio. W Nowym Jorku obowiązują przepisy regulujące, któredy mogą latać helikoptery. Tutaj nie mogą.

– Skąd to wiesz?

Leilani nie parska śmiechem, prezentuje tylko substytut w postaci uniesionej brwi.

– Zawsze mieszkaliście w tym domu?

– Chyba chciałeś powiedzieć „mauzoleum”. Tak, należy do rodziców od dwudziestu lat.

Nie popełniam błędu i nie mówię znów „o rany”. Nie potrafię sobie wyobrazić dzieciństwa w takim domu. Nie potrafię też sobie wyobrazić, jak to jest mieszkać całe życie w jednym miejscu. My mieszkaliśmy w jednym domu, dopóki nie skończyłem siedmiu lat. Potem nastąpił chaos. Różne domy w Sydney do dwunastego roku życia, potem różne miasta w Australii, następnie Nowa Zelandia przez kilka lat, z powrotem Sydney przez rok, później Indonezja, Tajlandia i teraz tu.

– Szczęściara z ciebie – mówię. Leilani posyła mi spojrzenie, które świadczy o tym, że się ze mną nie zgadza. – Jak to jest być bogatym?

– A jak to jest być Australijczykiem?

Winda się zatrzymuje i drzwi otwierają się na pokój pełen książek.

– To nie moje pieniądze, tylko ich – dodaje.

– Mimo to... – zaczynam. Nie ma znaczenia, kto zarabia pieniądze, bo przecież ona i tak się w nich tarza. – To twoi rodzice. Czyli ty też nie jesteś biedna.

Kolejne pogardliwe spojrzenie.

– Nie powiedziałam, że jestem biedna, ale to wszystko należy do nich. Gdyby nie moi rodzice, nie mieszkałabym w takich warunkach.

– Jasne. Gdyby nie moi rodzice, nie zamieszkałabym w Nowym Jorku. Mają nad nami władzę, dopóki nie dorośniemy na tyle, by się uniezależnić.

– No niestety.

– Równie dobrze więc można się tym cieszyć, prawda?

Znów zasłużyłem na spojrzenie mówiące: „Idiota”.

– A czym się tu cieszyć? Spłodzili nas tylko po to, żebyśmy poniosły dalej nazwisko – głupie, wymyślane nazwisko rodowe – i żebyśmy były ich idealnymi miniaturowkami. To i tak się nigdy nie udaje, ale zdziwiłbyś się, jacy próżni są ludzie. Mnie to nie dziwi, ale ciebie chyba wszystko zaskakuje.

– To przez tę całą kukurydzę, którą jem. Robię się po niej naiwny. Może przez te środki owadobójcze, którymi ją spryskują.

Leilani wydaje dźwięk przypominający parsknięcie.

– Prawie się zaśmiałaś!

– Wcale nie – zaprzecza, zasłaniając usta dłonią. – Nawet się nie uśmiecham. Tędy.

Idę za nią, zastanawiając się, dlaczego jest taka cięta na rodziców.

– To sypialnia Mayi i Seimone.

Drzwi z namalowanym sierpem i młotem są zamknięte. Nie zadaję pytań.

– Sprawka Mayi. Chodzi o coś związanego z Syberią.

I nawet nie musiałem pytać.

– Mają wspólny pokój?

– Tak, lubią to. Robią wszystko razem, tylko że Seimone trenuje taniec, a Maya tenis. Bliźniaki tak mają. A tu jest ich pracownia.

Drzwi są otwarte. Zauważam dwa biurka, krzesła, poduchy do siedzenia, książki, tablety, akwarium oraz malowidło ścienne przedstawiające podwodne stworzenia. Nad jednym biurkiem znajdują się plakaty z piękną azjatycką gwiazdą pop, nad drugim

podkowa na gwoździu. Na ścianie naprzeciwko wisi wielki zwój.

– To po chińsku? – pytam.

– Po koreańsku. Tato pochodzi z Korei, więc byliśmy tam już z milion razy. Mamy rodzinę w Seulu.

Wiem o tym. Gene został adoptowany przez białe amerykańskie małżeństwo, które dopilnowało, żeby nauczył się koreańskiego i dowiedział wszystkiego o obu ojczyznach. Utrzymywał też kontakt ze swoją biologiczną matką.

– Tu jest moja sypialnia. – Drzwi są zamknięte i nie ma na nich żadnego znaku. Leilani ich nie otwiera. – A to moja pracownia.

Podłoga jest czarna i miękko ugina się pod moim stopami, gdy idę za dziewczyną.

– Wykładzina sportowa. Super. Jaką sztukę walki uprawiasz?

– Żadną w stopniu zaawansowanym. Gram, pamiętasz? Aktorstwo to praca ciałem, więc ćwiczę trochę wszystkiego – odrobinę karate, szermierki, boksu, gimnastyki. To pozwala zachować sprawność.

– Stąd bieżnia – domyślam się.

– Nie zawsze mam czas biegać na zewnątrz. Bieżnia to całkiem akceptowalne rozwiązanie.

Mam już na końcu języka zaproszenie, żebyśmy czasami pobiegali razem. Na Manhattanie są świetne trasy.

– Chodźmy na taras – proponuje Leilani.

– Jeśli macie jakiś taras... – mruczę pod nosem.

– Pewnie, że mamy – odzywa się Maya od drzwi. Oboje z Leilani podskakujemy nerwowo.

– Gdzie Rosa i Seimone? – pytam, czując ukłucie niepokoju.

– Tato pokazuje im sztuczki magiczne.

Leilani jęczy, a Maya chichocze.

– Rosa chciała je zobaczyć, więc Seimone zachowała się miło i też została oglądać.

– Biedna Seimone. Jest zbyt uprzejma.

– Rosa trenuje taniec – dodaje Maya, jakby to tłumaczyło wszystko.

– Ach... – odpowiada Leilani.

– Też będzie się uczyła u McKendrick.

To nazwisko uruchamia dzwonek alarmowy w mojej głowie.

– Rosa i Seimone chodzą do tej samej szkoły tańca?

– Aha – potwierdza Maya. – Po tym głupim pokazie sztuczek idziemy popływać. Zgodziłam się przynieść stroje kąpielowe.

– Naprawdę macie basen?

Leilani przykłada dłoń do ust, a Maya znów chichocze.

Natomiast na pewno mają taras.

I to z widokiem. Widać stąd szczyty innych budynków, zbiorniki na wodę, kilka ogrodów na dachach i pranie suszące się na sznurkach.

– Starym nie wolno tu w ogóle wchodzić – wyjaśnia Maya. – To miejsce należy wyłącznie do nas. Widzisz ten kościół? I jego dach? Pewna kobieta wyprowadza tam psa i nigdy po nim nie sprząta. Musi tam totalnie śmierdieć. Nigdy nie widziałyśmy, żeby ten pies wychodził gdziekolwiek indziej. Biedak.

– Jak oni tam się dostają? – Dach jest płaski i ma dwie wieżyczki na obu końcach, ale nie widzę żadnego wejścia.

Leilani gapi się na mnie jak na półgłówka.

– Przez drzwi – odpowiada.

– To kościół katolicki – oznajmia Maya, jakby to wszystko wyjaśniało, ale ja nadal nie rozumiem.

– Czyli do tego służy wam taras? – pytam. – Do podglądania ludzi?

– Wszyscy to robią – odpowiada Maya. – Ale niestety nigdy nie widziałyśmy morderstwa.

– Maya nie traci nadziei – zgryźliwie komentuje Leilani.

To uwaga w stylu Rosy.

– Pan Nałogowy Palacz miał atak serca. – Maya wskazuje na blok mieszkalny obok kościoła. Na wysokości piątego piętra na schodach przeciwpożarowych siedzi mężczyzna, który pali papierosa. – Założę się, że zakazali mu palić, ale on ciągle to robi. Odpala jednego papierosa od drugiego. Żal. Widziałyśmy, jak zabierało go pogotowie. Miał zupełnie siną twarz. Yani ze spożywczaka mówi, że

serce mu stanęło. Był martwy. Potraficie to sobie wyobrazić?

– Tak – odpowiada Leilani.

Maya nie zwraca na nią uwagi.

– A mimo to pali jakby nigdy nic. Yani mówi, że kupuje tylko suszoną wołowinę, cukierki i fajki. Twierdzi też, że facet ma czterdzieści trzy lata. Jest młodszy od naszych rodziców!

– A wygląda jak nasi dziadkowie – stwierdza Leilani.

– Pradziadkowie – poprawia ją Maya.

– Pradziadkowie mumii w Muzeum Historii Naturalnej.

Maya wybucha śmiechem.

– Chcecie się pobawić w chowanego? – proponuje.

– Nie – odmawia Leilani. – Nie mam pięciu lat. Ani nie jestem nawalona.

– Lubię chowanego. – Maya zwraca się do mnie: – A ty miałbyś ochotę?

– Hmm – mruczę niezobowiązująco. – Może zapytasz Rosę i Seimone?

Maya wzrusza ramionami.

– Przecież oglądają sztuczki.

– Lepiej się w to bawić, kiedy jest więcej ludzi.

– Pewnie tak.

– Choć w tym domu to musi być niezła frajda – stwierdzam. – Mnóstwo tu kryjówek.

Leilani wydaje stłumiony dźwięk.

– No co? – oburzam się.

– Ona ma jedenaście lat, nie pięć.

– Tu naprawdę jest mnóstwo kryjówek – potwierdza Maya. – Można nawet się schować pod sufitem. Dlaczego tak nienawidzisz zabawy, Leilani?

Leilani znów prychnęła.

– Nienawidzę Zabawy przez wielkie „Z” z tego samego powodu, dla którego ty nienawidzisz idiotycznych boysbandów Seimone. Bo są złe i głupie.

Maya wybucha śmiechem. Ja też. Nawet Leilani lekko się

uśmiecha. Ciekawe, czy kiedykolwiek się śmieje.

Brzęczy jej telefon.

– SMS od staruszków. Wasi rodzice zbierają się już do domu. Najwyraźniej te brunchy to będzie cotygodniowa tradycja. Bosko...

Schodzimy na dół, gdzie wszyscy właśnie się żegnają.

– Zatem jutro o dziesiątej rano, tak? Skontaktujemy się z wami asap w sprawie daty tego przyjęcia – mówi Gene.

Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś używał asap jak zwykłego słowa.

Rosa i Seimone, obejmując się mocno, oznajmiają, że zostały najlepszymi przyjaciółkami. Maya upewnia się, że dorośli nie patrzą, i wznosi oczy do nieba.

– Nauczmy was używać autostrzykawki. To łatwe. Zaraz prześlę wam link do filmiku – oznajmia Gene. – Wygląda na to, że dziewczynki będą spędzać mnóstwo czasu razem.

– Czego używać? – dopytuje się David.

– Autostrzykawki. Na wypadek, gdyby Seimone miała kontakt z orzechami ziemnymi.

– Popatrzcie! – woła Rosa, wyciągając coś z kieszeni. – Seimone dała mi takie same rękawiczki! Oczywiście, nie muszę ich nosić, bo nie mam alergii, ale teraz jesteśmy rękawiczkowymi bliźniaczkami! Ładne, prawda?

Wkłada je i znów obejmuje Seimone.

– Cześć, Che – mówi Leilani. – Miło było cię poznać.

– Nawzajem – odpowiadam zupełnie bez sarkazmu.

* * *

– Dlaczego nie mogliśmy popływać? – pyta Rosa, kiedy wychodzimy na ulicę. – I dlaczego my nie mamy basenu?

– Może następnym razem, Roso – uspokajam ją.

– Chcę zamieszkać w domu McBrunightów.

Rodzice idą przed nami ramię w ramię, śmiejąc się z czegoś.

Gdy wchodzimy do parku przy placu Tompkinsa, siostra ujmuje mnie za rękę tak jak wtedy, gdy była młodsza, i mówi:

– Pewnego dnia zamieszkać w tym domu.

Wiem, że chce, bym spytał, jak do tego doprowadzi, więc nie robię tego.

– Zabrałaś jakieś pamiątki?

Wyciąga z torby z Shirley Temple upiornie bladą koreańską lalkę w strojnej sukni i unosi triumfalnie do góry.

– Suknia jest z jedwabiu. To dama dworu. Szkoda, że też nie jestem Koreanką.

– Oddasz ją – oznajmiam stanowczo.

– To prezent. Seimone mi ją dała.

– Naprawdę? – nie dowierzam.

– Oczywiście. Ona mnie lubi. Nie mogę podpaść McBrunightom. David by się wściekł.

Już mówiła coś podobnego.

– Sally i David niedługo się rozstaną – obwieszcza takim tonem, jakby podawała mi godzinę.

– Co? – wymyka mi się wbrew woli.

Macha naszymi dłońmi w tył i w przód. Za chwilę zacznie podskakiwać.

– Zobaczysz – odpowiada tylko.

Patrzę na naszych rodziców idących kilkadziesiąt metrów przed nami. Sally pochyla się w stronę Davida, a on obejmuje ją za ramiona. Będą razem zawsze.

ROZDZIAŁ 8

Rosa była jeszcze maleńka, gdy po raz pierwszy wymusiłem na niej obietnicę, że nie będzie zabijać.

Opinia lekarzy nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia, bo wiedziałem, że coś z moją siostrą jest mocno nie tak.

Wpisałem w wyszukiwarce „moja siostra jest dziwna” i otrzymałem wyniki dotyczące sióstr, które nie chciały jeść, ciągle biegały, wyrywały sobie włosy, rozdrapywały twarz lub się cięły. Rosa nie robiła żadnej z tych rzeczy.

Zmieniłem słowo „siostra” na „dziecko”.

Bingo!

A zatem istniały inne dzieci, które kłamały i nie przejmowały się tym, że je przyłapano, które nie miały żadnych uczuć, uśmiechały się, śmiały i przytulały tylko po to, by uzyskać to, czego chciały.

Inne dzieci takie jak Rosa.

Nieodczuwające empatii. Poznałem nowe słowo: empatia.

Prawie wszystkie dzieci są na początku egoistami, ale potem uczą się empatii. Dlaczego Rosa się jej nie uczyła?

Rodzice się tym nie przejmowali. Nie miewała już napadów furii, nawiązywała kontakt wzrokowy (zbyt bezpośredni, gdyby ktoś mnie pytał), więc tylko napominali ją, kiedy została przyłapana na kłamstwie.

– Dzieci kłamią – tłumaczyli ją.

Ale gorsze było to, jak bardzo fascynowało ją zabijanie. Owszem, mnóstwo dzieci to robi, ale nie w taki sposób jak Rosa.

Widziałem, jak mordowała mrówki.

Jedną po drugiej, metodycznie podążając wzdłuż mrówczej ścieżki i rozgniatając każdego owada po kolei pulchnym paluszkiem. Spojrzenie miała na zmianę to skupione, to

zachwycone.

Potem zaczęła łapać ćmy i rozdzierać je na kawałki.

Miałem wówczas jedenaście lat, a ona cztery.

Sally i David kazali mi ją chronić. Gdybym im zdradził, co robi moja siostra, czy to by była ochrona? Mogła z tego wyrosnąć. Niemalże we wszystkich materiałach na ten temat, które czytałem, zapewniano, że większość dzieci z tego wyrasta.

Powiedziałem rodzicom.

Podziękowali mi i przeprowadzili rozmowę z Rosą. Upierała się, że to ja zabijałem mrówki i ćmy, a nie ona, na szczęście rodzice wiedzieli, że ja nigdy nie kłamię.

Zabrali córkę do lekarza, który odesłał ją do psychiatry dziecięcego. Nie wiem, co stwierdził psychiatra, lecz później przez wiele miesięcy Rosa chodziła na cotygodniowe sesje, których szczerze nienawidziła.

Przestała zabijać owady, kiedy istniało zagrożenie, że ktoś ją zobaczy.

Ja widziałem.

Znow przyłapałem ją na zabijaniu mrówek. Była tak tym pochłonięta, że mnie nie zauważyła.

– Co robisz? – spytałem.

– Nic – odrzekła szybko.

Kciuk i palec wskazujący miała czarne.

– Dlaczego zabiłaś te mrówki?

– Podoba mi się strzelający dźwięk, który wydają.

Nie wydawały żadnego dźwięku, a przynajmniej ja go nie słyszałem.

– Lubię zmuszać je do tego, żeby przestawały się ruszać. Lubię rządzić.

– Nie wolno ci tego robić – oznajmiłem.

Zwróciła na mnie to niepokojące i bezpośrednie spojrzenie szeroko otwartych oczu.

– Bo to się nie podoba Sally i Davidowi? Dlatego każą mi chodzić do tej lekarki, prawda? Ona ciągle mnie o to wypytuje.

- Bo zabijanie jest złe. Mnie też się nie podoba, kiedy to robisz.
 - Wuj Saul płacił ludziom za wytępienie mrówek w jego domu. Ja przynajmniej nie zanieczyszczam środowiska trucizną jak oni. – To był cytat z Davida.
 - Wuj Saul nie postępuje zbyt etycznie – odrzekłem, również cytując Davida.
 - Ale Sally wystawia pułapki na karaluchy. Dlaczego zabijanie karaluchów jest słuszne?
 - Ponieważ to szkodniki, które roznoszą choroby. – Miałem nadzieję, że to prawda, i ucieszyłem się, gdy tak się okazało, kiedy później to sprawdziłem.
 - Ale te lepkie pułapki zabijają też mrówki, a czasami ćmy, i raz nawet scynka.
 - Sally i David byli z tego powodu bardzo nieszczęśliwi.
 - Byli nieszczęśliwi z powodu scynka, mrówkami i ćmami w ogóle się nie przejmowali. Ale denerwują się, kiedy to ja zabijam mrówki i ćmy.
 - Bo to wywołuje twój uśmiech. – Ten prawdziwy uśmiech.
 - Więc nie lubią, gdy jestem szczęśliwa?
 - Zabijanie nie powinno cię cieszyć, Roso. Dlatego właśnie się niepokoją.
- Widziałem, jak przyswaja tę informację. Wyciągnęła ramiona, żebym wziął ją na ręce, i mocno się do mnie przytuliła. Znów zalała mnie fala miłości do niej. Do tej małej dziewczynki, która lubiła zabijać owady, która prawdopodobnie nie miała w sobie ani cienia empatii.
- Musisz mi obiecać, że nie będziesz już zabijać.
 - Kiedy ja to lubię...
 - Co by się stało, gdyby Sally i David cię przyłapali?
- Nie odpowiedziała.
- Jak by zareagowała twoja lekarka?
- Rosa przygryzła wargę.
- A co z komarami?
 - Komary można zabijać.

– Muchy?
– Też.
– Pchły?
– Tak.
– Dżdżownice?
– Nie, one użyźniają ziemię.
– Pająki?
– Nie. Pająki jedzą komary.
– A jeśli pająk mnie ugryzie?
– Włóż go do słoika, żeby lekarz wiedział, jaką odtrutkę ci podać, jeśli będzie trzeba.

– A co z...

Uniosłem dłoń.

– Żadnych więcej wyjątków – zastrzegłem.
– Dobrze – poddała się. – Nie będę już zabijała.

Niedługo po naszej rozmowie przestała chodzić do psychiatry. Sally i David oznajmili, że zrobiła znaczne postępy. Przyznała się do zabijania mrówek.

Nigdy później nie przyłapałem jej na zabijaniu czegokolwiek poza komarami. Choć czasami bawiła się martwymi zwierzętami. Szczurem, wiewiórką. Już nie żyły, gdy zaczęła je dźgać patykami, co i tak było dość niepokojące, ale tłumaczyłem sobie, że kieruje nią naturalna ciekawość.

Aż do sytuacji ze świnką morską Apinyi.

Apinya była o dwa lata młodsza od Rosy i mieszkała w sąsiednim apartamencie w Bangkoku. Była szczęśliwa, że starsza dziewczynka chce się z nią bawić, a jeszcze bardziej się ucieszyła, kiedy Rosa jej powiedziała, że mogą zostać najlepszymi przyjaciółkami. Były jedynymi dziećmi na naszym piętrze. Apinya zrobiłaby dla Rosy wszystko.

Obwinałem się. Może gdybym bardziej starał się nauczyć tajskiego... Ale nauka języków nie przychodzi mi łatwo. Nie tak jak Rosie, która przyswaja je płynnie niemalże w kilka minut. A do tego tajski jest absurdalnie trudny. Ciągłe używałem intonacji

wznoszącej, gdy powinna być opadająca, i się zniechęciłem. Nauczyłem się niewiele ponad „cześć”, „do widzenia” i „dziękuję”. Umiałem też składać dłonie w modlitewnym geście, żeby okazać szacunek.

Pewnego dnia usłyszałem, że siostra coś woła. Brzmiało to jak moje imię, więc wszedłem do jej pokoju. Apinya wciskała poduszkę w podłogę.

– Co wy ro... – zacząłem.

– Hej, Che! – odpowiedziała Rosa.

Dlaczego Apinya walczyła z poduszką?

Rosa mruknęła coś do niej zachęcająco, a ja zauważyłem pustą klatkę na podłodze. Siostra spojrzała mi prosto w oczy i uśmiechnęła się. Rzuciłem się w stronę poduszki.

Za późno.

Pod nią leżało bezwładne ciało świnki morskiej Apiny.

Słowo „potwór” wymknęło mi się, zanim zdołałem nad sobą zapanować. Ogarnęły mnie mdłości. Rosa obiecała, że nie będzie zabijać, i nie zabiła. Zrobiła to za nią jej przyjaciółka.

Apinya miała łzy w oczach. Spojrzała na Rosę, która z aprobatą kiwnęła głową.

Nie mogłem wydusić z siebie ani słowa. Tymczasem moja siostra spokojnie włożyła ciało świnki do klatki.

Rozległ się dzwonek do drzwi, więc Rosa pobiegła otworzyć. To ojciec Apiny wrócił do domu z pracy. Dziewczynka wybuchnęła płaczem, a Rosa przybrała smutną minę.

Sally i David wyłonili się ze swojego gabinetu, więc moja siostra też się rozpłakała, a oni zaczęli ją pocieszać.

Wycofałem się do swojego pokoju, usiadłem na łóżku i zapatrzyłem w nicość.

Rodzice powiedzieli, że chętnie odwołaliby kolację, ale byli umówieni z inwestorem i to by nie wyglądało dobrze. Łzy Rosy nie skłoniły ich do zmiany planów.

Zostałem sam z siostrą.

Odgrzałem spaghetti po bolońsku – jej ulubione danie. Musiałem

wymóc kolejną obietnicę, tym razem sformułowaną tak, by nie było w niej żadnych luk.

Nigdy wcześniej nie nakłoniła nikogo do zabijania. Nigdy nie zamordowała niczego wielkości świnki morskiej. Wyraźnie się rozwijała.

– Dlaczego Apinya zabiła swoją świnkę? – zapytałem, choć doskonale znałem prawdziwy powód.

Rosa napchała sobie spaghetti do ust i zaczęła przeżuwać, odliczając dokładnie pięćdziesiąt razy. Sally nauczyła ją tej sztuczki, kiedy siostra była mała, żeby nie połykała niepogryzionego jedzenia. Podziałało. Rosa uwielbia zasady. Lubi je wykorzystywać, żeby dokuczać innym.

Odłożyłem widelec.

– Bo chciałam się przekonać, czy to zrobi – odpowiedziała w końcu.

– Jak się czułaś, kiedy to zrobiła?

– Dobrze.

– Ale wiesz, że to było złe, Roso.

– Rodzice kupią jej nową świnkę – stwierdziła niefrasobliwie.

– Zmusiłaś ją, żeby zabiła stworzenie, które kochała.

– Gdyby je kochała, toby go nie zabiła.

– Może ciebie kocha bardziej niż swoją świnkę.

– To jej problem. Powinna mieć inne priorytety. – Tak powiedziałby wuj Saul. – Powinna cenić życie.

– Tak jak ty je cenisz? To ty jej kazałaś zabić.

– Nie sądziłam, że to zrobi.

– Masz nad nią władzę, Roso – wyjaśniam. – Apinya jest od ciebie młodsza. Podziwia cię. Nie mogła ci się sprzeciwić. Wiesz, że to było złe.

Rosa napchała sobie spaghetti do ust i rozpoczęła swoje milionowe odliczanie.

Zupełnie się nie przejmowała tym, co się stało. Jak miałem sprawić, żeby zaczęła coś czuć? Chciałem podzielić się swoimi lękami z Sally i Davidem, ale oni widzieli tylko jasną stronę Rosy. W

chwili, gdy wychodzili za drzwi, uśmiech zniknął z twarzy ich córki. Buzia Rosy traciła wszelki wyraz, kiedy na nią nie patrzyli.

– Czułam przyjemność, bo zrobiła to, czego chciałam.

– Czy zapragnęłaś wtedy to powtórzyć? – zapytałem z nikłą nadzieją, że mnie okłamie.

– Tak.

– Będziesz próbowała zrobić to jeszcze kiedyś?

Znów napchała sobie makaronu do buzi.

Cieszyło ją przeciąganie tej sytuacji. Lubiła mówić mi prawdę, bo nikomu innemu nie mogła jej wyznać.

– Podobało mi się obserwowanie, jak Apinya walczy ze łzami. Podobało mi się, że jej ręce się trzęsły, kiedy przyciskała poduszkę. Zabierała się do tego pięć razy. Najpierw próbowała to zrobić jedną ręką. To było dość głupie, bo zwierzęta zaciekle walczą o przeżycie. Widziałeś, jak to zwierzę ją podrapało?

– Czy tak Apinya nazywała swoją ulubienicę? Tym zwierzęciem?

– Nie, nazywała ją Kitty. Uważała, że to zabawne.

– A ty myślisz, że zabawne było, gdy Kitty ją podrapała?

– Nie powiedziałam, że to było zabawne. Ale ciekawie było obserwować, jak walczy o przeżycie.

– Chcę, byś obiecała, że nigdy już nie namówisz nikogo do zabijania – powiedziałem w końcu.

Ostatni widelec spaghetti trafił do jej ust.

A jeśli nie obieca?

Co powiem Sally i Davidowi?

Czy opowiem im, czego się dowiedziałem? Pokażę swój dziennik? Zdradzę, że wpisałem w wyszukiwarkę „moja siostra jest psychopatką” w desperackiej nadziei, że okaże się, iż może jednak nie jest?

Jeśli wymówię na głos słowo „psychopatka”, a lekarze się ze mną zgodzą, co się wtedy stanie?

Czytałem, że zdaniem niektórych specjalistów przyklejenie dziecku etykiety psychopaty oznacza, iż nie ma dla niego już żadnej nadziei.

– Obiecuję – odpowiedziała. – Nie będę zabijała ani nakłaniała innych do zabijania.

Nie dostrzegłem żadnych luk w tym zapewnieniu.

Poza tym od czasu świnki morskiej Apinyi nie było więcej podobnych wypadków. Z tego, co wiem.

CZEŚĆ DRUGA

Chcę wziąć udział w sparingu

ROZDZIAŁ 9

Nasz nowy nauczyciel matematyki przychodzi w poniedziałek dwadzieścia minut przed czasem. To najbielszy z białych mężczyzn o nazwisku Geoffrey Honeyman. Nie mogę uwierzyć, że rodzice nie dali nam trochę odetchnąć przed powrotem do nauki. Przecież jesteśmy w Nowym Jorku dopiero od jakichś dziesięciu minut.

Matematyka, podobnie jak większość nauk ścisłych, to zupełnie nie moja działka. Biologia owszem, ale fizyka? Blech. Chemia jak wyżej. A matma? Najgorsza ze wszystkich. Niestety, bez wiedzy z tych przedmiotów nie dostanę się na medycynę.

Chciałem chodzić do normalnej szkoły, lecz rodzice zaoponowali, twierdząc, że kwiecień to już prawie koniec roku szkolnego. Zajęcia zaczynają się ponownie we wrześniu. Minęło ponad pół roku, od kiedy chodziliśmy do Australijskiej Niezależnej Szkoły w Dżakarcie. Uwielbiałem to. Rosa również, ale ona ze złych pobudek. W jej wypadku edukacja domowa jest bezpieczniejszym rozwiązaniem.

Tymczasem musimy się zadowolić panem Honeymanem do matmy i przedmiotów ścisłych oraz stertą książek do pozostałych.

Sally i David zamierzają nas odpytywać raz w tygodniu. Zawsze mają takie plany, ale rzadko udaje się im je zrealizować. Od wyjazdu z Sydney nasza edukacja wyglądała, mówiąc oględnie, dość chaotycznie.

Teraz przycupnęliśmy razem z Rosą u szczytu schodów i podsłuchujemy.

– Jest łysy – zauważa Rosa. – Lubię, jak zatrudniają starych nauczycieli.

No oczywiście, starsi ludzie uwielbiają Rosę.

Głowa nauczyciela lśni imponująco. Ciekawe, czy ją poleruje.

Rodzice ściskają mu dłoń i sadzają na jednej z dwóch sof, a następnie opowiadają co nieco o mnie i Rosie, choć zapewne już milion razy przekazywali mu wszystko, czego potrzebuje o nas wiedzieć.

– Mówią mu, że jestem genialna – szepcze Rosa.

– Tak, i że ja jestem dość bystry, choć mam problemy z matematyką.

– I z innymi przedmiotami ścisłymi – dodaje Rosa. – Wcale nie jesteś taki bystry, Che.

– Dzięki.

– Chcę chodzić do szkoły razem z Seimone. Wystawiają tam sztuki.

Zastanawiam się, czy bliźniaczki chodzą do różnych szkół, czy też Rosa wyparła już istnienie drugiej siostry.

– Wy dwoje tam na górze! Jesteście gotowi? – woła David. – Zejdźcie tu.

Odczekujemy trzydzieści sekund, po czym schodzimy na dół. Geoffrey nie wygląda na starego. W ogóle nie ma zmarszczek. Na pewno jest młodszy od rodziców.

Prosi nas, byśmy zwracali się do niego per Geoff, i wyciąga rękę na powitanie. Jego dłoń jest wilgotna. Nie rozumiem, dlaczego tak się poci, skoro w pokoju jest chłodno, a on ostatnie dwadzieścia minut przesiedział na sofie.

– Musimy się już zbierać – oznajmia Sally. Poprawia rękawy żakietu, żeby nie przesłaniały mankietów koszuli. Potem rozpina dwa górne guziki płaszcza, a następnie znów je zapina. Rodzice idą na pierwsze formalne spotkanie z McBrunightami. Mają poznać swoich nowych pracowników i chcą wywrzeć dobre wrażenie.

– Dobrze wyglądam? – pyta Sally.

– Cudownie. – David całuje ją w czoło. – A ja?

Mama kiwa głową, zdejmując jakąś zbłąkaną nitkę z jego rękawa. Geoff jest wyraźnie skrępowany tymi czułościami.

– Oboje wyglądacie świetnie – mówię – jak na zdenerwowanych ludzi cierpiących na jetlag.

- To bardzo ważne spotkanie – podkreśla Sally.
- Nie jesteśmy zdenerwowani, tylko podekscytowani – wyjaśnia David. Ciekawe, czy sam w to wierzy.
- Oni was kochają – dodaje Rosa. – Tak piszą na pocztówkach, które przysyłają.
- Masz rację, słonko – zgadza się David. – Wszystko będzie dobrze.
- Całują mnie i Rosę na pożegnanie, a potem ściskają wilgotną dłoń Geoffa.
- Nie zapomnijcie obejrzeć filmu o autostrzykawce – dodaje ojciec.
- Znów? – dziwi się Rosa. – Widzieliśmy go już cztery razy.
- Znów. Wrócimy, zanim pójdziesz na boks, Che.
- I wychodzą.
- Geoff, wyraźnie spięty, stoi koło sofy, spoglądając na coś po mojej lewej.
- Zacziesz od testu – podpowiada mu Rosa – żebyś mógł sprawdzić, czego powinieneś nas uczyć. Nauczyciele matmy zawsze tak robią. Mam nadzieję, że będzie trudny, bo ostatnim razem był żenująco łatwy.
- Jędza! – rzucam.
- Yhm, tak – odpowiada równocześnie ze mną Geoff. – Test... Zastanawiam się, czy kiedykolwiek wcześniej kogoś uczył.
- Nauczyciele początkowo nigdy nie wierzą w mój geniusz – ciągnie Rosa. – Zbyt wielu rodziców uważa, że ich dzieci są genialne, jeśli tylko nauczą się liczyć do dziesięciu, zanim skończą dwa lata. Jednak ja naprawdę jestem cudownym dzieckiem. Już potrafię wyprowadzać dowody. Czy możemy uczyć się w kuchni? Lubię siedzieć na wysokim stołku.
- Hmm... jasne. Możemy siedzieć, gdzie zechcecie.
- Jesteś Anglikiem? – pyta Rosa, choć już to wie, bo rodzice nam powiedzieli.
- Hmm... tak.
- Siadamy na stołkach, a Geoff wręcza nam testy. Rosa natychmiast

zaczyna rozwiązywać zadania, a ja czytam polecenia i oczy już mi się szklą.

– To irytujące – oznajmia Rosa. – Przestań, Che.

– Rzeczywiście to trochę przeszkadza – przyznaje Geoff.

Nie mam pojęcia, o czym oni mówią.

– Kopiesz – wyjaśnia Geoff.

Spoglądam na swoje nogi. Palcami stukam o bok wyspy, a piętami o stołek. Przeszuję.

– Przepraszam – mówię.

Nigdy nie miałem mniejszej ochoty na liczenie. Boli mnie głowa i jestem śpiący – no może nie zupełnie śpiący, ale czuję się, jakbym nie do końca się obudził.

Pierwsza część testu dotyczy analizy matematycznej. Staram się nie jęczeć głośno. Założę się, że gdybym chodził do normalnej szkoły, nie musiałbym jeszcze tego robić. Wtedy też nie siedziałbym obok mojej dziesięcioletniej siostry, która już potrafi wyprowadzać dowody matematyczne.

– Kopiesz – odzywa się Rosa. – Przestań.

Próbuję się powstrzymać. Telefon wibruje w mojej kieszeni. Pewnie Nazeem, Georgie lub Jason. Albo cała trójka.

– Mogę na chwilę wyjść, zanim zacznę? – pytam.

Geoff kiwa głową, choć jest wyraźnie zaskoczony.

Idę do łazienki, zamykam drzwi i zaczynam chodzić. Cztery kroki do ściany, cztery z powrotem. Bardzo bym chciał pójść teraz na trening.

Spoglądam na telefon.

Wstałeś?

To Georgie. Siadam na blacie obok umywalki i macham nogami.

Piszę do ciebie, co dowodzi, że wstałem. A u was nie jest przypadkiem koszmarnie późno?

Taa. Nie mogę spać, ale nie mam siły, żeby coś porobić. Poza tym nie mogę szyć, bo robię za dużo hałasu.

Georgie często cierpi na bezsenność, w przeciwieństwie do mnie, no chyba że mam jetlag.

Naz mówi, że nie masz do nas żalu.

Pewnie, że nie.

Jak tam Rosa?

Georgie zawsze pyta, a ja zawsze odpowiadam. Usuwam to, co już napisałem o niej i Nazeemie, a zamiast tego relacjonuję sprawę paszportu.

Małoletnia psychopatyczna mścicielka. Może od teraz będzie używała swoich mocy w dobrych celach.

Śmieję się, wyobrażając sobie minę Georgie.

Chciałbym. Teraz marzy o tym, by się przeprowadzić do rezydencji tych bogatych przyjaciół rodziców. Powinnaś zobaczyć nasze mieszkanie. Jest niezłe. Ale Rosa zobaczyła już lepsze...

Ona będzie kiedyś rządziła światem. Słaba perspektywa.

– Wszystko u ciebie w porządku, Che? – woła Rosa, bo niby dlaczego miałyby mi pozwolić na więcej niż pięć minut wytchnienia.

– Tak. Zaraz wrócę – odpowiadam.

Muszę lecieć.

Wsuwam telefon do kieszeni i wykonuję kilka podskoków przed wyjściem z łazienki. Rosa siedzi pochylona nad testem, a Geoff wpatruje się w swój tablet.

Siadam na stołku.

– Przepraszam – mówię.

Nauczyciel podnosi na chwilę wzrok, ale nie odpowiada. Nie widzę, co czyta.

– Skończyłam pierwszą część – oznajmia moja siostra.

– Zaskakujesz mnie – chwali ją Geoff.

Zabieram się do testu. Dlaczego mam zaczynać od analizy matematycznej? Dlaczego nie od algebry, geometrii czy czegoś bardziej przyjaznego dla mózgu z jetlagiem, jak na przykład od kolorowanek?

– Gdybyśmy chodzili do normalnej szkoły – mówię – zbliżałby się koniec roku, prawda?

Geoff kiwa głową.

– I nie rozwiązywalibyśmy teraz testów?

– Chyba byście rozwiązywali. Koniec kwietnia i początek maja to czas egzaminów.

Wzdycham. W Tajlandii rok szkolny właśnie się rozpoczyna, a w Australii trwa dopiero od kilku miesięcy. Zmuszam mój gumowaty mózg do pracy i próbuję rozwiązać równanie, korzystając z kalkulatora w telefonie.

Stołek ma nieodpowiednią wysokość. Wyginam się w jedną stronę, żeby rozluźnić bolesny skurcz w plecach, a potem w drugą. Muszę iść pobiegać. Ciekawe, czy Sojourner biega.

Brnę przez kolejne zadania, zastanawiając się, dlaczego to zawsze jest „x”. Dlaczego nie „r” lub „!”? Kiedy będzie mi potrzebna wiedza na temat zależności przyspieszenia od prędkości? Zsuwam się ze stołka, rozciągam łydki, mięśnie czworogłowe i pośladkowe.

– Proszę – mówi Rosa, odkładając długopis i podając kartki Geoffowi. – To było całkiem ciekawe.

Pyta go o poli-cośtam. Już po kilku sekundach gubię się w odpowiedzi. Rosa jest jak zahipnotyzowana. To jedna z niewielu chwil, gdy nie martwię się, że zrobi coś złego, bo nauka zbyt ją pochłania.

Kończę test dość szybko, ponieważ udaje mi się zabrać do ledwie jednej trzeciej zadań w ostatniej części.

Podczas gdy Geoff sprawdza nasze prace, robię sobie kanapki z serem i szynką. Podejmuję decyzję, że dziś na trenigu podam Sojourner swój numer telefonu. Poznaliśmy się już lepiej, prawda? Zatem to wcale nie będzie dziwne.

Rosa pije sok pomarańczowy i przygląda się, jak Geoff poprawia nasze testy.

Oddaje je nam po chwili. Mój jest cały pokreślony na czerwono. Ledwie zdałem, natomiast Rosa zrobiła dwa błędy. Ja czuję ulgę, a ona jest rozdrażniona. Koncentruje się w pełni, gdy Geoff tłumaczy jej, w którym miejscu się pomyliła i dlaczego, a potem podaje kolejne przykłady. Ja prawie go nie słucham.

Czasami wydaje mi się, że Rosa potrafi nawiązać relacje jedynie z

ludźmi, którzy są lepszymi matematykami i szachistami niż ona.

Mój telefon wibruje kilka razy. Chciałbym, by to była Sojourner, ale ona nie zna mojego numeru i nie miałaby jak go zdobyć.

Geoff dalej zagłębia się w wyjaśnienia i przykłady. Czuję się, jakby mnie tu w ogóle nie było. Wolałbym, żeby mnie nie było.

Robimy kolejną przerwę. Dostaję wiadomości od Nazeema i Jasona. Mimo że dostarczyłem organizmowi proteiny, znów otacza mnie szklany mur. Głos Geoffa dobiega z odległości jakiegoś miliona kilometrów.

Tuż przed drugą, gdy właśnie kończymy lekcję, przychodzi SMS od Sally.

Spotkanie się przeciąga. Wrócimy o piątej. Możesz opuścić dziś trening? Tylko ten jedyny raz?

Nie mogę.

Wiesz, że nie prosilibyśmy o to, gdyby sprawa nie była ważna.

Gapię się w telefon.

– Kto to? – pyta Rosa.

– Sally. Wrócą dopiero o piątej.

– Ale przecież masz trening – dziwi się Rosa.

– Miałem trening – rzucam.

Odpisz, żebyśmy wiedzieli, że dostałeś wiadomość.

– Czasami – zwracam się do telefonu – wpieniacie mnie do bólu.

Geoff się pakuje.

– Mógłbyś zostać dłużej? – pyta go Rosa.

Spogląda na nią i gwałtownie mruga oczami. Ja chyba też mrugam.

– Rodzice ci zapłacą. Bardzo bym chciała mieć dodatkową lekcję.

– No cóż... – odpowiada Geoff.

Czy będzie potrafił utrzymać Rosę w ryzach? Chcę iść na trening. Muszę iść. Muszę się porządnie zmęczyć, bo wtedy będę potrafił zasnąć i wyjść z tego durnego jetlagu. Muszę znów zobaczyć Sojourner.

Rosa prezentuje dołki w policzkach.

– Proszę, proszę, proszę, poucz mnie jeszcze.

Kolejny SMS od Sally:

Odpowiedz, Che.

Nie zamierzam błagać Geoffa, ale chciałbym. Przecież nic się nie stanie, jak ich na chwilę zostawię? Rosa ma obsesję na punkcie matmy i szanuje jego wiedzę.

– Tak bardzo proszę! – nalega siostra. – Możemy popracować nad dowodami!

– No dobrze, Roso – ulega nauczyciel. Jego czoło lśni od potu. Najwyraźniej dowodom nie można się oprzeć. A ja nawet nie do końca wiem, na czym polega dowód matematyczny.

– Dziękuję – zwracam się do niego, opierając się chęci, by krzyknąć z wdzięczności. – Jestem bardzo zobowiązany.

Geoff zostanie, żeby pouczyć Rosę matematyki. Ja idę na trening. Będziecie musieli mu dodatkowo zapłacić.

Robię sobie kanapki i pakuję torbę sportową.

– Będiesz grzeczna, Roso? – pytam.

Znów prezentuje dołączki.

– Będę.

– Nie pokazuj dołączków. Nie ufam im.

Wygląda twarz.

– Obiecuję, że będę grzeczna – mówi.

Jesteś pewien, że to dobry pomysł? – pisze Sally.

Za późno – odpowiadam.

– Dopilnujesz, żeby była grzeczna? – proszę Geoffa. – Nie pozwól jej się namówić na nic, co nie ma związku z matematyką.

Mruga gwałtownie.

– Jestem jej nauczycielem matematyki.

Całuję Rosę w czoło, chwytam torbę i wybiegam.

Za plecami słyszę jeszcze głos siostry:

– Pozdrów ode mnie Sid.

ROZDZIAŁ 10

Sojourner przyszła na te same zajęcia co ja o piętnastej w sali z workami. Niestety, chamski mięśniak też się pojawił.

– Hej, Kangurze z Zadupia – odzywa się błyskotliwie, trochę za mocno przykładając mi pięścią w ramię. – Co tam?

Mamroczę coś, co można by wziąć za „wporzo”, i siadam przy worku najbliższym Sojourner, owijając pięści i jednocześnie pochylając się w przód, żeby rozciągnąć ścięgna podkolanowe.

Po chwili unoszę wzrok, spoglądam na Sojourner i uśmiecham się. Odpowiada uśmiechem, ale pozostaje skoncentrowana na rozgrzewce. Obok ćwiczy jej przyjaciółka, która wspomina o jakiejś demonstracji. Sojourner potakuje skinieniem głowy i marszczy czoło. Mam ochotę podejść i wygładzić te bruzdy.

Wchodzi nasza instruktorka. Jest niska, szczupła i ma krótko obcięte jasne włosy.

– Jestem Dido – przedstawia się. – Ci, którzy mnie jeszcze nie znają, powinni wiedzieć, że jestem ostra, ale sprawiedliwa.

Odejmuję jej punkty, ponieważ każdy trener mówi coś w tym stylu. Czekam na pierwszego, który oznajmi: „Jestem łagodny i totalnie niesprawiedliwy”.

– Chcę tu widzieć świetną formę i ciężką pracę. Jeżeli ktoś się czuje do dupy, niech się przepisze na inne zajęcia. A jeśli nie wyjdziecie stąd, tonąc we własnym pocie, to będzie znaczyło, że spartoliłam robotę. Dobra, rozgrzaliście się?

Potwierdzamy.

– Wkładajcie rękawice. Pokażcie mi, na co was stać. Dwie dwuminutowe rundy z dziesięciosekundową przerwą. Dajcie czadu!

Wykonuję polecenie. Wytaczam przeciwko workowi treningowemu cały arsenał: proste, krzyżowe, sierpowe, haki,

kombinacje. Odskakuję, nurkuję, robię uniki, odchylenia i gardy, paruję i tańczę wokół worka. Wyobrażam sobie, że to dwumetrowy potwór zbudowany niczym ceglany wychodek. Ale jest ode mnie wolniejszy i da się go szybko znokautować. Ma niską wytrzymałość. Latam wokół niego jak komar i sprzedaję dziesiątki ciosów w nerki.

Dzwonek oznajmia koniec pierwszej rundy. Cieknie ze mnie pot.

– Dziesięć sekund na odpoczynek! – woła Dido.

Uśmiecham się.

Dzwonek na drugą rundę.

Wszystko płynie. Tańczę. Dwumetrowy potwór pada.

Następne ćwiczenie – obrona. Dido chodzi po sali, korygując wszystkich. Ma bzika na punkcie dokładnych, starannych ruchów. Podoba mi się to.

Pod koniec jestem wyczerpany, ale szczęśliwy. Wszyscy zawodnicy stoją pochyleni, sapiąc ciężko, ale większość się uśmiecha.

– Sparingi odbywają się co wieczór o siódmej. Żadnych żółtodziobów, ale wszyscy w tej sali są gotowi, by do nas dołączyć. Witamy nowych zawodników. Zainteresowany? – Dido zwraca się do mnie, a moje serce przestaje na chwilę bić.

– Nie walczę w sparingach – bąkam pod nosem. Durna obietnica. Ciekawe, czy tak się czuje Rosa, dotrzymując danego mi słowa.

– Jeśli zmienisz zdanie, to serdecznie zapraszam.

Kiwam głową, wycieram ręcznikiem pot z twarzy i rąk, po czym zdejmuję owijki.

– Pochodzisz z Australii? – pyta Sojourner.

Spoglądam na nią i kiwam głową. Musiała usłyszeć żarcik Mięśniaka.

– Nie wyglądasz na Australijczyka – dodaje.

Zaskakuje mnie to.

Nikt nigdy nie powiedział mi czegoś takiego. Mam blond włosy i niebieskie oczy. Zazwyczaj, gdy ludzie mnie pytają, skąd jestem, i odpowiadam, że z Australii, ich następne pytanie brzmi: „Surfujesz?”. Z powodu blond włosów i niebieskich oczu. Zakładają,

że każdy Australijczyk wygląda tak jak ja, co nie jest prawdą, i że wszyscy surfujemy, co też nie jest prawdą. Nigdy nawet nie stałem na desce surfingowej.

– Wszyscy znani mi Australiczycy mają złamane nosy i zniekształcone uszy – wyjaśnia.

– Ładny z nas ludek...

Sojourner parska śmiechem. Wkładam owijki do kieszeni, biorę ręcznik, butelkę z wodą i rękawice, po czym wstaję. Jesteśmy tego samego wzrostu. Stoimy naprzeciwko siebie, otoczeni lasem worków do boksowania. Pochylam się lekko w jej stronę, jakbym chciał wchłonąć trochę tego śmiechu. Rzęsy ma nedorzecznie długie i wywinięte tak, że niemalże dotykają jej brwi. Piję łyk wody, żeby skupić się na czymś innym.

– Twoja siostrzyczka jest bardzo śliczna – mówi Sid.

– Za bardzo – odpowiadam. Nie mam ochoty myśleć o Rosie. – Ucieszyło mnie nasze wczorajsze spotkanie. Nie znam tu zbyt wielu ludzi.

Uśmiecha się.

– Dlaczego nie bierzesz udziału w sparingach? – pyta.

– Obiecałem rodzicom, że nie będę tego robił, dopóki nie przestanę rosnać – wyrzucam z siebie. Policzki mnie palą. Dlaczego to powiedziałem? Rodzice mi zabraniają... Ile ja mam lat? Pięć?

Jestem pewny, że dziewczyna próbuje się nie śmiać z żalosego neptka robiącego tylko to, co mu każą rodzice. Czy powinienem teraz zacząć się tłumaczyć, że nie zawsze robię to, co mi każą? Wydałbym się jeszcze bardziej żalosej. Dlaczego muszę być taki szczery?

– A jeśli już przestałeś rosnać?

Wybucham o wiele za głośnym śmiechem.

– Też im to powiedziałem. Zgodzili się, że jeśli przez trzy lata z rzędu nie urosnę, to uznamy, że przestałem. Udało mi się tę liczbę zbić z pięciu, ale sądzę, że rok by wystarczył.

– Hmm...

Za dużo informacji. Za dużo paplaniny. Jason by się wściekł,

gdyby to usłyszał, Georgie też, nawet Nazeem. Ale na szczęście nigdy się o tym nie dowiedzą.

– Już jestem o centymetr wyższy niż w zeszłym roku. – Zamknij się, Che.

– Lubię sparingi – wyznaje Sojourner. Śmieje się. Mam nadzieję, że śmieje się ze mną, a nie ze mnie. Czy to ma sens, czy ta historia ze mną/ze mnie dotyczy tylko śmiania się? – Wręcz je uwielbiam. Są milion razy lepsze niż jakiegokolwiek treningi, a treningi też uwielbiam. Dido jest świetna.

– Jest w porządku, to prawda. – Uznałem, że przedwcześnie odjąłem jej punkty za „ostrą, ale sprawiedliwą”. Natalie też tak mówiła. Ale tego wymagasz od dobrego trenera: żeby był twardy i sprawiedliwy.

– Jestem Che Taylor, tak przy okazji – mówię, podając jej rękę. – Nie przedstawiliśmy się sobie, choć ja już znam twoje imię.

Wyciąga do mnie pięść. Przybijamy żółwia, a ja czuję się jak kretyn. Pięściarze zawsze przybijają żółwia.

– Che był rewolucjonistą z dwudziestego wieku – tłumaczę automatycznie. – Moi rodzice chcą zbawić świat i popierają rewolucjonistów.

Sojourner znów się śmieje.

– Często cię pytają, kim był Che? – domyśla się.

– Dosyć. Z zasady zakładam, że ludzie nie wiedzą, po kim dostałem imię. Wyjaśniam to, zanim padnie pytanie... – zmieniam ton, naśladowując snobistyczny akcent: – „Czy ty w ogóle wiesz, kim on był?”. – Znów mówię zwyczajnie. – To w końcu moje imię. Oczywiście, że wiem, kim był Ernesto „Che” Guevara. Zdrajcą klasowym, seksownym rewolucjonistą z plakatu, straconym w Boliwii, gdzie jego głowę nabito na pal, bla, bla, bla.

Sojourner ciągle się śmieje.

– Też tak mam! Ciągle mi się to zdarza. Od teraz ja też będę uprzedzała pytania.

Przez chwilę mam ochotę odpowiedzieć: „Ale przecież ty nie masz na imię Che”, a potem mnie olśniewa. Cholera, nie mam

pojęcia, na czyją cześć została nazwana. Po prostu uznałem, że to fajne imię, i nie przyszło mi do głowy, by je sprawdzić.

– To zabawne, że oboje dostaliśmy imiona po rewolucjonistach – stwierdza. – Tylko że ja po amerykańskich. Nazywam się Sojourner Ida Davis, ale przyjaciele mówią na mnie Sid, od inicjałów. Ciekawe, jak ty będziesz się do mnie zwracał.

Chciałbym jej powiedzieć, że ma piękne imię. Sojourner. Chcę tak ją nazywać, nie Sid. Sid to paskudne staromodne męskie imię. Ale pragnę też być jej przyjacielem, więc jeśli nazywanie jej Sid oznacza, że będziemy przyjaciółmi, to będę do niej mówił, jak zechce. Mam ochotę ją zapytać, czy ma wolną chwilę. Może wybrałaby się ze mną na spacer? Opowiedziała więcej o sobie? Pocałowała mnie?

– Chcesz może... – zaczynam.

– Jak tam, Sid? – Podchodzi do nas jej przyjaciółka, ma mokre włosy, a torbę niesie przewieszoną przez ramię.

– Hej, Jaime – odpowiada Sojourner.

– Ktoś ty? – pyta Jaime. – Byłeś na treningu u Dido?

Potakuję skinieniem głowy.

– To jest Che – przedstawia mnie Sojourner.

– Che? – Jaime się śmieje. – Serio?

Znów kiwam głową, czując się głupio.

– Daj spokój, Jaime, on wie, kim był Che – wyjaśnia Sojourner. – Musimy lecieć! Miło było cię spotkać, Ernesto.

Zakłada plecak na ramiona i idzie do drzwi, rzucając do Jaime jakąś uwagę, która rozśmiesza je obie. Uszy mnie palą. Mam nadzieję, że nie nabijają się ze mnie.

Zastanawiam się, czy nie pójść za nimi. Może się zlitują nad obcokrajowcem? Ale to „musimy lecieć” było wymowne. Nie chcę robić z siebie głupka większego niż do tej pory. Zamiast tego patrzę, jak Sojourner odchodzi.

Wyciągam telefon, żeby sprawdzić hasła „amerykańscy rewolucjoniści”, „Ida” i „Sojourner”.

Przyszło mnóstwo SMS-ów od Sally z kilkoma różnymi

wariacjami na temat: Spotkanie nadal trwa. Możliwe, że pójdziemy później na kolację. Czy możesz wrócić do domu i zwolnić Geoffa? A także cztery nieodebrane połączenia od niej.

Już mam do niej oddzwonić, kiedy przychodzi kolejny SMS, tym razem od Davida.

Wszystko ok. Wracamy po Rosę. Pójdzie na kolację z nami. Ćwicz sobie, jak długo zechcesz.

Wymierzam pięścią tryumfalny cios w powietrze.

Sojourner przyszła na te same zajęcia co ja o piętnastej w sali z workami. Niestety, chamski mięśniak też się pojawił.

– Hej, Kangurze z Zadupia – odzywa się błyskotliwie, trochę za mocno przykładając mi pięścią w ramię. – Co tam?

Mamroczę coś, co można by wziąć za „wporzo”, i siadam przy worku najbliższym Sojourner, owijając pięści i jednocześnie pochylając się w przód, żeby rozciągnąć ścięgna podkolanowe.

Po chwili unoszę wzrok, spoglądam na Sojourner i uśmiecham się. Odpowiada uśmiechem, ale pozostaje skoncentrowana na rozgrzewce. Obok ćwiczy jej przyjaciółka, która wspomina o jakiejś demonstracji. Sojourner potakuje skinieniem głowy i marszczy czoło. Mam ochotę podejść i wygładzić te bruzdy.

Wchodzi nasza instruktorka. Jest niska, szczupła i ma krótko obcięte jasne włosy.

– Jestem Dido – przedstawia się. – Ci, którzy mnie jeszcze nie znają, powinni wiedzieć, że jestem ostra, ale sprawiedliwa.

Odejmuję jej punkty, ponieważ każdy trener mówi coś w tym stylu. Czekam na pierwszego, który oznajmi: „Jestem łagodny i totalnie niesprawiedliwy”.

– Chcę tu widzieć świetną formę i ciężką pracę. Jeżeli ktoś się czuje do dupy, niech się przepisze na inne zajęcia. A jeśli nie wyjdziecie stąd, tonąc we własnym pocie, to będzie znaczyło, że spartoliłam robotę. Dobra, rozgrzaliście się?

Potwierdzamy.

– Wkładajcie rękawice. Pokażcie mi, na co was stać. Dwie dwuminutowe rundy z dziesięciosekundową przerwą. Dajcie czadu!

Wykonuję polecenie. Wytaczam przeciwko workowi treningowemu cały arsenał: proste, krzyżowe, sierpowe, haki, kombinacje. Odskakuję, nurkuję, robię uniki, odchylenia i gardy, paruję i tańczę wokół worka. Wyobrażam sobie, że to dwumetrowy potwór zbudowany niczym ceglany wychodek. Ale jest ode mnie wolniejszy i da się go szybko znokautować. Ma niską wytrzymałość. Latam wokół niego jak komar i sprzedaję dziesiątki ciosów w nerki.

Dzwonek oznajmia koniec pierwszej rundy. Cieknie ze mnie pot.

– Dziesięć sekund na odpoczynek! – woła Dido.

Uśmiecham się.

Dzwonek na drugą rundę.

Wszystko płynie. Tańczę. Dwumetrowy potwór pada.

Następne ćwiczenie – obrona. Dido chodzi po sali, korygując wszystkich. Ma bzika na punkcie dokładnych, starannych ruchów. Podoba mi się to.

Pod koniec jestem wyczerpany, ale szczęśliwy. Wszyscy zawodnicy stoją pochyleni, sapiąc ciężko, ale większość się uśmiecha.

– Sparingi odbywają się co wieczór o siódmej. Żadnych żółtodziobów, ale wszyscy w tej sali są gotowi, by do nas dołączyć. Witamy nowych zawodników. Zainteresowany? – Dido zwraca się do mnie, a moje serce przestaje na chwilę bić.

– Nie walczę w sparingach – bąkam pod nosem. Durna obietnica. Ciekawe, czy tak się czuje Rosa, dotrzymując danego mi słowa.

– Jeśli zmienisz zdanie, to serdecznie zapraszam.

Kiwam głową, wycieram ręcznikiem pot z twarzy i rąk, po czym zdejmuję owijki.

– Pochodzisz z Australii? – pyta Sojourner.

Spoglądam na nią i kiwam głową. Musiała usłyszeć żarcik Mięśniaka.

– Nie wyglądasz na Australijczyka – dodaje.

Zaskakuje mnie to.

Nikt nigdy nie powiedział mi czegoś takiego. Mam blond włosy i niebieskie oczy. Zazwyczaj, gdy ludzie mnie pytają, skąd jestem, i

odpowiadam, że z Australii, ich następne pytanie brzmi: „Surfujesz?”. Z powodu blond włosów i niebieskich oczu. Zakładają, że każdy Australijczyk wygląda tak jak ja, co nie jest prawdą, i że wszyscy surfujemy, co też nie jest prawdą. Nigdy nawet nie stałem na desce surfingowej.

– Wszyscy znani mi Australiczycy mają złamane nosy i zniekształcone uszy – wyjaśnia.

– Ładny z nas ludek...

Sojourner parska śmiechem. Wkładam owijki do kieszeni, biorę ręcznik, butelkę z wodą i rękawice, po czym wstaję. Jesteśmy tego samego wzrostu. Stoimy naprzeciwko siebie, otoczeni lasem worków do boksowania. Pochyliam się lekko w jej stronę, jakbym chciał wchłonąć trochę tego śmiechu. Rzęsy ma nedorzecznie długie i wywinięte tak, że niemalże dotykają jej brwi. Piję łyk wody, żeby skupić się na czymś innym.

– Twoja siostrzyczka jest bardzo śliczna – mówi Sid.

– Za bardzo – odpowiadam. Nie mam ochoty myśleć o Rosie. – Ucieszyło mnie nasze wczorajsze spotkanie. Nie znam tu zbyt wielu ludzi.

Uśmiecha się.

– Dlaczego nie bierzesz udziału w sparingach? – pyta.

– Obiecałem rodzicom, że nie będę tego robił, dopóki nie przestanę rosnać – wyrzucam z siebie. Policzki mnie palą. Dlaczego to powiedziałem? Rodzice mi zabraniają... Ile ja mam lat? Pięć?

Jestem pewny, że dziewczyna próbuje się nie śmiać z żalosego neptka robiącego tylko to, co mu każą rodzice. Czy powinienem teraz zacząć się tłumaczyć, że nie zawsze robię to, co mi każą? Wydałbym się jeszcze bardziej żalosej. Dlaczego muszę być taki szczery?

– A jeśli już przestałeś rosnać?

Wybucham o wiele za głośnym śmiechem.

– Też im to powiedziałem. Zgodzili się, że jeśli przez trzy lata z rzędu nie urosnę, to uznamy, że przestałem. Udało mi się tę liczbę zbić z pięciu, ale sądzę, że rok by wystarczył.

– Hmm...

Za dużo informacji. Za dużo paplaniny. Jason by się wściekł, gdyby to usłyszał, Georgie też, nawet Nazeem. Ale na szczęście nigdy się o tym nie dowiedzą.

– Już jestem o centymetr wyższy niż w zeszłym roku. – Zamknij się, Che.

– Lubię sparingi – wyznaje Sojourner. Śmieje się. Mam nadzieję, że śmieje się ze mną, a nie ze mnie. Czy to ma sens, czy ta historia ze mną/ze mnie dotyczy tylko śmiania się? – Wręcz je uwielbiam. Są milion razy lepsze niż jakiegokolwiek treningi, a treningi też uwielbiam. Dido jest świetna.

– Jest w porządku, to prawda. – Uznałem, że przedwcześnie odjąłem jej punkty za „ostrą, ale sprawiedliwą”. Natalie też tak mówiła. Ale tego wymagasz od dobrego trenera: żeby był twardy i sprawiedliwy.

– Jestem Che Taylor, tak przy okazji – mówię, podając jej rękę. – Nie przedstawiliśmy się sobie, choć ja już znam twoje imię.

Wyciąga do mnie pięść. Przybijamy żółwia, a ja czuję się jak kretyn. Pięściarze zawsze przybijają żółwia.

– Che był rewolucjonistą z dwudziestego wieku – tłumaczę automatycznie. – Moi rodzice chcą zbawić świat i popierają rewolucjonistów.

Sojourner znów się śmieje.

– Często cię pytają, kim był Che? – domyśla się.

– Dosyc. Z zasady zakładam, że ludzie nie wiedzą, po kim dostałem imię. Wyjaśniam to, zanim padnie pytanie... – zmieniam ton, naśladując snobistyczny akcent: – „Czy ty w ogóle wiesz, kim on był?”. – Znów mówię zwyczajnie. – To w końcu moje imię. Oczywiście, że wiem, kim był Ernesto „Che” Guevara. Zdrajcą klasowym, seksownym rewolucjonistą z plakatu, straconym w Boliwii, gdzie jego głowę nabito na pal, bla, bla, bla.

Sojourner ciągle się śmieje.

– Też tak mam! Ciągle mi się to zdarza. Od teraz ja też będę uprzedzała pytania.

Przez chwilę mam ochotę odpowiedzieć: „Ale przecież ty nie masz na imię Che”, a potem mnie olśniewa. Cholera, nie mam pojęcia, na czyją cześć została nazwana. Po prostu uznałem, że to fajne imię, i nie przyszło mi do głowy, by je sprawdzić.

– To zabawne, że oboje dostaliśmy imiona po rewolucjonistach – stwierdza. – Tylko że ja po amerykańskich. Nazywam się Sojourner Ida Davis, ale przyjaciele mówią na mnie Sid, od inicjałów. Ciekawe, jak ty będziesz się do mnie zwracał.

Chciałbym jej powiedzieć, że ma piękne imię. Sojourner. Chcę tak ją nazywać, nie Sid. Sid to paskudne staromodne męskie imię. Ale pragnę też być jej przyjacielem, więc jeśli nazywanie jej Sid oznacza, że będziemy przyjaciółmi, to będę do niej mówił, jak zechce. Mam ochotę ją zapytać, czy ma wolną chwilę. Może wybrałaby się ze mną na spacer? Opowiedziała więcej o sobie? Pocałowała mnie?

– Chcesz może... – zaczynam.

– Jak tam, Sid? – Podchodzi do nas jej przyjaciółka, ma mokre włosy, a torbę niesie przewieszoną przez ramię.

– Hej, Jaime – odpowiada Sojourner.

– Ktoś ty? – pyta Jaime. – Byłeś na treningu u Dido?

Potakuję skinieniem głowy.

– To jest Che – przedstawia mnie Sojourner.

– Che? – Jaime się śmieje. – Serio?

Znów kiwam głową, czując się głupio.

– Daj spokój, Jaime, on wie, kim był Che – wyjaśnia Sojourner. – Musimy lecieć! Miło było cię spotkać, Ernesto.

Zakłada plecak na ramiona i idzie do drzwi, rzucając do Jaime jakąś uwagę, która rozśmiesza je obie. Uszy mnie pałą. Mam nadzieję, że nie nabijają się ze mnie.

Zastanawiam się, czy nie pójść za nimi. Może się zlitują nad obcokrajowcem? Ale to „musimy lecieć” było wymowne. Nie chcę robić z siebie głupka większego niż do tej pory. Zamiast tego patrzę, jak Sojourner odchodzi.

Wyciągam telefon, żeby sprawdzić hasła „amerykańscy

rewolucjoniści”, „Ida” i „Sojourner”.

Przyszło mnóstwo SMS-ów od Sally z kilkoma różnymi wariacjami na temat: Spotkanie nadal trwa. Możliwe, że pójdziemy później na kolację. Czy możesz wrócić do domu i zwolnić Geoffa? A także cztery nieodebrane połączenia od niej.

Już mam do niej oddzwonić, kiedy przychodzi kolejny SMS, tym razem od Davida.

Wszystko ok. Wracamy po Rosę. Pójdzie na kolację z nami. Ćwicz sobie, jak długo zechcesz.

Wymierzam pięścią tryumfalny cios w powietrze.

Poszukiwania w Internecie prowadzą mnie do Sojourner Truth i Idy B. Wells. Okazuje się, że oryginalna Sojourner urodziła się jako niewolnica, a potem walczyła o abolicję i prawa kobiet. Wells natomiast była dziennikarką oraz badaczką aktywnie przeciwdziałającą linczom na czarnoskórych i również propagującą prawa kobiet.

Mam ochotę natychmiast poinformować Sojourner, że moja siostra otrzymała imię na cześć Róży Luksemburg i Rosy Parks. Będzie pod wrażeniem.

Rozkoszuję się tym, że znów rozmawiałem z Sojourner, że stałem na tyle blisko, by poczuć zapach jej potu. Może to jetlag, ale w tej chwili ta myśl sprawia, że czuję się niepokonany. Chciałbym zostać sam z tym uczuciem, nie odpowiadać na pytania rodziców i nie przejmować się Rosą. Siostra jest w swoim matematycznym niebie. Przynajmniej raz nie muszę się o nią niepokoić.

Posilam się kanapkami, zakładam słuchawki i wsuwam telefon do kieszeni, odcinając się od reszty świata. Przez pół godziny biegam na bieżni najszybciej, jak potrafię, potem przerzucam się na trening interwałowy na wiosłach, a następnie na podnoszenie ciężarów.

Podnoszenie ciężarów to jedna z najnudniejszych rzeczy na świecie. Powtarzające się ruchy, niemające żadnego innego celu niż tylko przyrost mięśni. Ciężary nie uczynią cię zwinniejszym. Nie ma w nich artyzmu takiego jak we wszystkich sztukach walki. Niewiele

wnoszą w trening cardio. Nawet nie bardzo da się w tej dziedzinie doskonalić. Kiedy już opanujesz właściwą technikę, możesz tylko nabierać siły i podnosić większe ciężary.

Ćwiczę intensywnie i długo, cały czas myśląc o Sojourner.

Trenuję aż do zupełnego wyczerpania. Dopiero około ósmej, kiedy niemal lecę z nóg, wyciągam telefon.

Widzę milion SMS-ów od coraz bardziej zaniepokojonej Sally, a także mnóstwo nieodebranych połączeń.

Rosa zaginęła.

ROZDZIAŁ 11

Nie biorę nawet prysznic, wrzucam tylko sprzęt do szafki, wybiegam na ulicę i zatrzymuję jedną z miliona żółtych taksówek.

Gdzie David? Dlaczego napisał, że mogę zostać na treningu?

David zgubił telefon.

Niech to szlag. SMS-a napisała Rosa, nie David.

Wiadomość od Davida, czy raczej Rosy, przyszła o 17:15. Trzy godziny temu. Czy przez cały ten czas jej nie było?

Masz pomysł, gdzie ona może być? – pisze Sally.

Gdybyśmy byli w Sydney, znalazłbym kilkadziesiąt miejsc, w które mogła pójść, kilkadziesiąt osób, do których mógłbym zadzwonić.

Sprawdzaliście u McBrunightów?

Tak.

Tylko oni przychodzą mi na myśl. Nikogo innego tu nie znamy.

Taksówka ledwie się posuwa naprzód. Rzucam kierowcy całą moją gotówkę – pięć dolarów – i wysiadam. Resztę drogi do domu pokonuję biegiem, wdzięczny za numeryczny i alfabetyczny porządek ulic, dzięki któremu tak łatwo się poruszać po Nowym Jorku. W hallu naszego budynku pytam portiera, czy widział Rosę.

– Mówiłem już rodzicom, że nie. Przykro mi, chłopaku. Zadzwonię, jak ją zobaczę.

Winda stoi na naszym piętrze, nie mogę czekać, aż zjedzie na dół, więc wbiegam po schodach. David gwałtownie otwiera drzwi, gdy tylko wkładam klucz do zamka. Wpadam do środka, usiłując wyciągnąć klucz.

Patrzy na mnie chwilę.

– Och... – wzdycha.

Miał nadzieję, że to Rosa.

– Przepraszam. Nie powinienem był zostawiać jej z Geoffem.

Liczyłem na to, że matematyka...

Sally podaje mi telefon ojca.

– Był w misie z owocami.

Czytam SMS-y, które Rosa wysłała do Geoffa.

Jedziemy do domu. Bardzo dziękujemy. Jutro rano przelejemy dodatkowe honorarium.

Już prawie na miejscu. Możesz iść. Jesteśmy wdzięczni za dodatkowe lekcje.

Czy na pewno mogę zostawić ją samą? – odpisał Geoff.

Tak. Pewnie spotkamy się na dole w hallu.

– Sprytnie – komentuję.

– Gdybyś tu był, Che – odzywa się David – nic takiego by się nie stało.

– Czyli to moja wina? Gdybyście wy tu byli, też nic takiego by się nie stało – wybucham. – Wiedziałeś, że mam trening. Wiesz, ile to dla mnie znaczy.

Czuję, że narasta we mnie złość. Mam ochotę wyrzeszczyć, że jestem ich siedemnastoletnim synem, a nie trzecim rodzicem Rosy. Ale niestety taką mam funkcję, nawet jeśli oni nigdy tego nie przyznają.

Już nie raz zostawiali ją pod moją opieką, kiedy miałem zaplanowany trening albo spotkanie z przyjaciółmi. Ale po raz pierwszy im odmówiłem. Powinienem był postawić sprawę jasno: „Nie ma mowy. Nie obchodzi mnie, jak ważne jest wasze spotkanie, wychodzę w tej chwili, a wy lepiej wróćcie zająć się córką”.

– To nie pora na kłótnie – wtrąca Sally, jakby to nie oni zaczęli. – Ile czasu minęło, od kiedy wezwaliśmy policję? – Spogląda na telefon. – Pół godziny. Mam znowu zadzwonić?

– Czy brakuje jakichś jej rzeczy? – pytam.

– Plecaka, płaszcz przeciwdeszczowego, kaloszy. Ale telefon zostawiła.

Bez telefonu nie możemy jej namierzyć. Jest wpół do dziewiątej. Na dworze zrobiło się już ciemno.

– Nie sądzę, by miała jakieś pieniądze, za to mnie chyba brakuje

dwudziestu dolarów – dodaje Sally.

Po raz pierwszy przyznaje, że Rosa kradnie.

– O której zamykają zoo? – pytam. Ostatnim razem, gdy Rosa zaginęła, poszła do Dusit Zoo w Bangkoku. Chciała zobaczyć białego bengalskiego tygrysa, a rodzice jej zabronili. Wtedy popełniła błąd i zabrała ze sobą telefon.

– Kilka godzin temu.

– Pójdę jej poszukać – mówię. Ruszam do drzwi, zanim Sally i David zdążą odpowiedzieć. Po drodze zdejmuję z wieszaka kurtkę i narzucam ją na bluzę z kapturem.

– Pójdę z tobą – proponuje David.

– Nie! – protestuje Sally. – Nie wyłączaj telefonu! – woła jeszcze za mną.

* * *

Mój strój sportowy jest mokry od potu, więc marznę mimo kurtki. Powinienem był wziąć prysznic i się przebrać, ale muszę jak najszybciej ją odnaleźć. Czuję lód w żołądku na myśl o tym, co mogło się stać. Nie jestem pewien, czy martwię się o Rosę, czy o to, co mogła zrobić.

O jedno i drugie, oczywiście.

Rosa nie boi się niczego oprócz wizyt u lekarzy i ograniczeń. Nie przerażają jej wściekłe psy, wysokość, obcy ludzie.

Ale nie ma najmniejszego znaczenia, jaka ona jest, wobec możliwości, że spotka kogoś gorszego od siebie. Ma dziesięć lat i nie zna lęku. A jeżeli stwierdzi, że zabawnie będzie wsiąść do samochodu z obcym facetem? A jeśli przystanie na zaproszenie na kolację u kogoś w domu?

Idę ulicą, mijając ludzi z partnerami, przyjaciółmi, wyprowadzających psy albo po prostu wracających z pracy do domu w nudnych garniturach i biurowych strojach, ale z rozluźnionymi krawatami lub piętami butów zdeptanymi dla wygody. Może powinienem ich wypytywać i pokazywać zdjęcie

Rosy? „Widzieliście tę dziewczynkę”?

Naturalnym celem wędrowek Rosy są parki, zwłaszcza takie z placami zabaw, bo uwielbia dręczyć inne dzieci. Największy jest ten przy placu Tompkinsa, lecz po drodze znajduje się jeszcze kilka mniejszych osiedlowych. Pierwszy bardziej przypomina ogród niż park, za to w drugim pełno jest betonowych niecek i ramp. W żadnym nie ma placu zabaw dla dzieci.

Policja już jedzie.

Sprawdzam parki. Mnóstwo tu ludzi. Ktoś musiał ją widzieć.

Zaczyna padać drobny deszcz, zmieniając powietrze w mgiełkę, a mnie robi się jeszcze chłodniej. Naciągam kaptur na głowę i zapinam kurtkę.

Wśród tłumów na ulicach jest mało dzieci. Pewnie pora już dla nich za późna. Kiedy przechodzę przez Aleję A w stronę placu Tompkinsa, deszcz się wzmacnia i pojawiają się parasole. Niedaleko wejścia od Dziewiątej Ulicy znajduje się plac zabaw, ale nie ma na nim nikogo prócz wiewiórek. W następnej kolejności sprawdzam wybieg dla psów. Obchodzę go naokoło, lecz nigdzie nie widzę Rosy zaglądalej przez płot i planujacej kradzież pieska.

Ruszam na niewielki plac po wschodniej stronie parku. Zauważam rozchichotanego chłopczyka, którego goni kobieta wyglądająca o wiele za młodo na jego matkę. Oboje mają płaszcze przeciwdeszczowe i kalosze.

– Wystarczająco mocno pada? – pyta dziewczyna.

Chłopiec śmieje się głośno.

– Przepraszam! – wołam do nich. Kobieta się odwraca. – Widzieliście może małą dziewczynkę o blond włosach? Ma dziesięć lat.

– Goń mnie dalej – ponagla ją chłopiec.

– Łobuz! – rzuca do niego kobieta, kręcąc głową. – Jesteśmy tu od dziesięciu minut i nikt inny w tym czasie się nie pojawił. Przykro mi.

Rosa pewnie znalazła jakąś lodziarnię albo sklep z używanymi rzeczami i próbuje właśnie wyłudzić od sprzedawcy rozek lub

straszną, starą porcelanową lalkę. Wróci, powtarzam sobie. Większość zaginionych wraca. Gdzieś o tym czytałem. Czy może o tym, że najczęściej wracają w ciągu pierwszej doby, bo jeśli nie...

Dzwoni mój telefon. To David.

Odczekuję kilka sygnałów. Boję się złych wieści. Deszcz ustaje, ale mój kaptur całkiem już przemókł. Zawracam na zachód ścieżką wzdłuż dolnej krawędzi parku prowadzącą z powrotem na Aleję A.

– Tak? – odbieram w końcu.

– Policja chce z tobą...

I wtedy dostrzegam Rosę.

Oczywiście. Przecież rodzice jej tego zabronili...

– Widzę ją! – wołam. – Gra w szachy w parku!

Biegnę w jej stronę. Trzyma palce na czarnym gońcu. Jest zbyt skoncentrowana na szachownicy, żeby mnie zauważyć. Mężczyzna, z którym gra, mamrocze coś pod nosem. Wygląda na bezdomnego. Jego długa broda jest splątana, a ubranie brudne.

Rosa, jej przeciwnik i kibice w ogóle nie zważają na deszcz.

– Dzięki Bogu! – wzdycha David. Słysząc stłumione dźwięki w telefonie, gdy przekazuje wiadomość pozostałym.

– Szach mat! – oznajmia moja siostra.

Mężczyzna potrząsa głową.

– Mały oszust z ciebie.

Rosa wyciąga rękę. Zanim mężczyzna zdąży podać jej pieniądze, kładę jej dłoń na ramieniu. Siostra podskakuje nerwowo, a banknoty lądują na stoliku.

– Oddzwonię. Zabieram ją do domu – informuję Davida i się rozłączam.

– To moje pieniądze, Che! – protestuje Rosa.

– On potrzebuje ich bardziej niż ty.

– Wygrała – oznajmia mężczyzna. – W sprawiedliwej walce. – Wstaje.

Rosa chwyta pieniądze i chowa je do kieszeni płaszcza.

– To moje – powtarza, patrząc na mnie ze złością. – Morris mówi, że moje. Słyszałeś go.

Jeden z widzów wsuwa się na wolne miejsce.

– A mnie pokonasz, mała?

– Nie zrobi tego – odpowiadam za nią, chwytam Rosę za rękę i ściągam z siedzenia. Spogląda na mnie z jeszcze większą wściekłością.

– Wróc niedługo, dziewczuszko – prosi mężczyzna. – Chętnie nauczę cię trochę pokory.

Rosa zerka na niego gniewnie, a on wybucha śmiechem.

– Nie chcę iść – upiera się moja siostra. – Chcę udowodnić, że jestem tu najlepsza. Przegrałam tylko jedną partię, i to dlatego, że jeszcze się nie rozgrzałam. Chcę zarobić więcej pieniędzy. Przez ciebie straciłam kolejkę.

Dzwoni mój telefon. Znów David.

– Wracam z nią do domu – mówię. – Nic jej nie jest.

– Pospiesz się. Policja chce z nią rozmawiać.

– Nie chcę! – buntuje się Rosa.

– Już idziemy. Będziemy za pięć minut.

David nawet nie wspomina o tym, że chciałby pogadać z córką. Chowam telefon do kieszeni.

– Idziemy. Rodzice odchodzą od zmysłów. Myśleli, że zostałam porwana i zamordowana.

– Jasne – mruczy Rosa ze spokojnym przekonaniem, że coś takiego nigdy nie mogłoby się jej przydarzyć.

– I nie wolno brać pieniędzy od obcych.

– To nie są obcy. Znam ich imiona. Nie uprawialiśmy hazardu.

Rosa pokazuje ustawioną za stołami tablicę, na której widnieje tekst: **STOŁY DO UŻYTKU PUBLICZNEGO. SŁUŻĄ WYŁĄCZNIE DO GRY W SZACHY I WARCABY. OBOWIĄZUJE DWUGODZINNY LIMIT GRANIA PRZY JEDNYM STOLE. UPRAWIANIE HAZARDU I GRA NA PIENIĄDZE SUROWO WZBRONIONE.**

– Cudownie, do tego złamałaś prawo – wzdycham.

– Nie uprawiałam hazardu.

– Dostałaś pieniądze od tego człowieka, bo wygrałaś. To jest hazard.

– Morris nie wierzył, że mogę go pokonać. Dał mi pieniądze, bo udowodniłam, że nie miał racji.

– To jest zakład, Roso. A robienie zakładów to hazard.

– Ale ja nie miałam mu zapłacić, gdyby to on wygrał.

– niesprawiedliwy zakład nadal pozostaje zakładem.

Spoglądałam w obie strony przed przejściem przez ulicę, niepewny, czy obowiązuje tu ruch prawo- czy lewostronny.

– Wszyscy inni też się zakładali. Tam są kamery. Morris mówi, że kamery są w całym Nowym Jorku. Niektóre nadają obraz na żywo. Przecież nie uprawialiby hazardu pod okiem kamer. Miałam właśnie zagrać z Isaiahem, który jest najlepszym graczem. Zamierzam go pokonać.

– Nikt cię nie pytał, gdzie są twoi rodzice?

– Pytali o różne rzeczy, ale głównie o moich rodziców.

– Co im powiedziałaś?

– Że ich zjadłam.

– Jezu...

– Śmiali się. Isaiah powiedział, że białe dziewczyny zazwyczaj są okrutne, a oni śmiali się jeszcze bardziej.

ROZDZIAŁ 12

Czeka na nas dwoje policjantów, poważnych i nieco przerażających.

Rosa okazuje kamienny spokój, gdy ją szczegółowo wypytują o to, gdzie była i co robiła.

Poszła do parku. Głaskała psa. Próbowwała też pogłaskać kota, ale uciekł. Patrzyła, jak inne pieski biegają – „Czy mogłabym dostać psa?”, pyta – a potem wybrała się na plac zabaw, ale nie było tam żadnych dzieci w jej wieku, więc przypomniała sobie o szachach. Lubi szachy.

– Jestem cudownym dzieckiem w dziedzinie szachów – oznajmia. Nie uśmiecha się i nie pokazuje dołeczków.

Wyraz twarzy wysokiej policjantki wyraźnie dowodzi, że przede wszystkim uważa Rosę za rozwydrzoną smarkulę. Kobieta ma włosy spięte w kok tak ciasny, że wygląda, jakby miał zaraz eksplodować. Broń na jej biodrze budzi we mnie niepokój.

– Musisz szanować wolę rodziców, jeśli mówią ci, że masz zostać w domu – mówi policjantka. – Powinnaś słuchać i być posłuszną. To nie jest Australia. Nowy Jork to bardzo duże i niebezpieczne miasto.

– Mieszkaliśmy w Bangkoku – ripostuje Rosa. – Tam jest o wiele bardziej niebezpiecznie.

– Wątpię, dziecko – odpowiada policjantka.

– Bangkok ma znacznie wyższy wskaźnik zabójstw niż Nowy Jork. – Rosa postanawia posłużyć się statystykami, żeby dowieść swojej racji.

– Roso! – napomina ją Sally. – Policja jest tu, żeby ci pomóc, a nie słuchać wykładu na temat wskaźników zabójstw.

– Nie zrobiłam nic złego. – Siostra zerka na mnie. – Byłam grzeczna. Nie wsiadłam do samochodu z obcym. Gra w szachy jest edukacyjna.

– Możesz grać w szachy – odzywa się David. – Nie zakazujemy ci tego. Na pewno są tu kluby szachowe dla dzieci w twoim wieku.

Moja siostra zaczyna protestować.

David unosi rękę i Rosa milknie, zakładając ramiona na piersi. Posyła ojcu jadowite spojrzenie.

– Dziękujemy bardzo – mówi David do policjantów. – Dopilnujemy, żeby to się nie powtórzyło.

– Niezły z niej gagatek – stwierdza niski policjant. Nie wygląda na zauroczonego.

– To prawda – zgadza się Sally. – Bardzo wam dziękujemy. Porozmawiamy z nią o tym. Nie spodoba jej się kara, którą dostanie.

– To dobrze, psze pani. Powinniście ją jakoś ujarzmić – radzi policjantka.

– Dziękujemy – powtarza Sally. – Jesteśmy naprawdę wdzięczni. Przykro nam, że niepotrzebnie was kłopotaliśmy.

– To nie było niepotrzebne, psze pani.

David odprowadza policjantów do drzwi. Kiedy je zamyka, wydaje mi się, że słyszę ich śmiech. Bawią ich głupi cudzoziemcy i ich nieznośny dzieciak.

– Okłamałaś nas, Roso – mówi Sally, podnosząc telefon Davida. – Oszukałaś rodziców i brata.

– Nieprawda!

David znów unosi dłoń, żeby ją uciszyć. Rosa wygląda, jakby była gotowa uciąć mu ją w nadgarstku.

– Nie możesz nas okłamywać, Roso. Rozmawialiśmy na ten temat, a ty obiecałaś, że nie będziesz tego robić.

– Jestem dzieckiem – oznajmia Rosa. – Dzieci powinny się bawić. Bawiłam się w udawanie! Jako dziecko powinnam się tak zachowywać!

– Udawałaś, że jesteś Davidem, żeby złamać zasady! To nie to samo. Coś ty sobie myślała? – złości się Sally. – Co w ciebie wstąpiło?

Nic, chcę im powiedzieć. Taka właśnie jest Rosa.

Sally i David widują ją codziennie. Czasami również wtedy, gdy zapomina udawać, że obchodzi ją, czy ktoś cierpi lub jest chory,

nawet jeśli to jedno z nas. Widzieli jej kompletny brak strachu w obliczu policji.

Dlaczego nie potrafia zrozumieć, że różni się od innych dzieci?

– Co cię opętało, że wyszłaś sama z domu? – dopytuje się mama.

– Wszystko mogło się zdarzyć! – dorzuca ojciec.

– Wygrałam – oznajmia Rosa. – Pokonałam tych mężczyzn, którzy grają w szachy dłużej, niż ja żyję. Powinniście być dum...

– Dumni z ciebie?! – wybuchają David. – Myśleliśmy, że zostałaś porwana! Baliśmy się, że możesz już nie żyć!

Rosa wytrzeszcza oczy. Ojciec rzadko podnosi głos.

– Esej – oznajmia Sally. – Chcemy przeczytać tysiąc słów wyjaśnienia, czego się dziś nauczyłaś. Mamy go dostać przed jutrzejszą kolacją.

Rosa nienawidzi pisania esejów.

– Tysiąc słów?

– Tak, Roso – potwierdza David. – To nie w porządku, że się pod mnie podszywałaś. Są różne rodzaje udawania, a to nie była dziecięca gra ani zabawa. To było podłe i złe. Ukradłaś mój telefon, choć wiedziałaś, że nie wolno tak robić.

– Pożyczyłam go. Udawałam... – zaczyna znów Rosa, ale potem jej mina się zmienia, jakby nagle zrozumiała, że źle to rozegrała, że powinna okazać skruchę, oczarować policjantów. Rodzice nie uznali za dowód jej inteligencji tego, że wygrała w szachy z dorosłymi i wykazała, iż wie lepiej od policji, które miasta są niebezpieczne.

Następnym razem szybciej się zorientuje, kiedy być genialnym dzieckiem, a kiedy małą dziewczynką.

Natychmiast zalewa się łzami.

Między szlochami udaje się jej wydukać rwane zdanie o tym, że przeprasza, że nie wiedziała i co tam jeszcze jej zdaniem rodzice chcieliby usłyszeć.

David bierze ją w ramiona.

– Och, słonko, wszystko już dobrze.

– Przestraszyłaś nas – wyjaśnia Sally, obejmując oboje. – Nie

możesz tak znikać. Zwłaszcza jeśli nie znasz nikogo w mieście. Jesteśmy tu bardzo krótko. Mogłaś się zgubić.

Rosa odwraca głowę i zerka na mnie, po czym posyła mi uśmiech. Muszę jej przyznać, że wywinęła się z opalów.

Ale mnie się nie wywinie. Porozmawiamy sobie o tym, jak rozumie bycie grzeczną.

Obiecała, że będzie greczna, i nie dotrzymała słowa.

* * *

Gdy wchodzę na górę, spod drzwi Rosy sączy się światło. Pukam.

– Śpię – oznajmia.

– Tak, ja też – odpowiadam na tyle głośno, by usłyszała. Włączam dyktafon w telefonie i wchodzę.

Zamykam za sobą drzwi i siadam na krześle przy biurku.

– Złamałaś obietnicę – oznajmiam.

– Wiesz, że oni kochają się nawzajem bardziej, niż kochają nas – mówi Rosa w tej samej chwili.

Wiem, ale staram się o tym nie myśleć, a co dopiero rozmawiać. Nie chcę, by to była prawda. To nasi rodzice i powinni kochać nas najbardziej na świecie. Niestety, tak nie jest i dlatego to ja stałem się odpowiedzialny za Rosę. Nie kochają nas na tyle mocno, by zrozumieć, co z nią jest nie tak.

– Złamałaś obietnicę – powtarzam. – Dałaś słowo, że będziesz greczna.

– Przecież byłam. Seimone gra w szachy, więc chciałam tylko poćwiczyć, zanim z nią zagram. Zdobyła nagrody w wielu konkursach.

– Grzeczność nie polega na samowolnym znikaniu z domu i uprawianiu hazardu z obcymi.

– Owszem, polega. Rodzice powtarzają, że chcą, byśmy poznawali świat i byli dzielni. Poznawałam i byłam dzielna. Byłam greczna.

– Bzdury, Roso.

– Nie obiecywałam, że nie będę udawać i że nie będę kłamać.

- A obiecasz? – pytam.
Kręci głową.
- Kłamanie jest zbyt przydatne – stwierdza rzeczowo.
- Czy kłamiesz, kiedy składasz obietnice?
- Nie. I nie złamałam obietnicy: byłam grzeczna.
- Bezpośrednio sprzeciwiając się wszystkim nakazom rodziców.
- Nigdy mi nie zabraniali poznawać świata – podkreśla.
- Powiedzieli, że nie wolno ci grać w szachy w parku, i zorganizowali wszystko tak, byś nie została w domu sama. To oczywiste, że nie chcieli, abyś wybrała się na zwiedzanie miasta nocą.
- Nie powiedzieli tego.
- Jak przebiegła łasica szukasz dziur w zasadach, to wcale nie jest grzeczne zachowanie.
- Nie skrzywdziłam nikogo ani niczego, nawet pająka. Nie kradłam. P o ż y c z y ł a m telefon Davida – punktuje szybko, zanim podam kolejne argumenty. – Nie zmusiłam nikogo do robienia tego, czego nie chciał. Byłam g r z e c z n a. – Pochyliła się i opiera podbródek na kolanach. Wygląda tak, jakby wierzyła w każde swoje słowo. – Złość rodziców na mnie jest nieuzasadniona.
- Ile aniołów zmieści się na główce szpilki, Roso?
- Co? Byłam dobra dla ciebie, Che. Chciałeś iść na ten trening. Dzięki mnie mogłeś ćwiczyć wiele godzin!
- Naprawdę? Poszłaś do parku grać w szachy dla mojego dobra? Cóż za uprzejmość.
- Rosa potakuje skinieniem głowy.
- To był sarkazm – wyjaśniam.
- Sarkazm jest głupi. Widziałeś się z Sid?
- Kim jest Sid? – pytam, na chwilę zapominając, że to przezwisko Sojourner. Rumienię się gwałtownie.
- Rosa chichocze.
- Mogę się postarać być grzeczna, jeśli chcesz. Choć za bardzo nie wiem, co to oznacza.
- To oznacza wykonywanie poleceń, nieuprawianie hazardu,

niezabieranie czyichś rzeczy bez pytania, niepodszycanie się pod kogoś za pomocą jego telefonu...

– Nawet w żartach?

– To nie był żart.

Rosa wzdycha.

– A czy czasami robienie tego, co ktoś ci każe, nie jest złe? Jak wtedy, gdy Apinya zabiła Kitty, bo jej kazałam?

– Rozmowa z tobą jest jak rozmowa z... – już miałem powiedzieć „diabłem” – oślizgłym węgorzem.

– Staram się zrozumieć. Grzeczność jest skomplikowana. Ale spróbuję, bo nie lubię, kiedy się na mnie złości.

– Obchodzi cię to, co o tobie myślę? – Wcale nie chciałem tego powiedzieć.

– Podoba mi się, że lubisz mnie najbardziej na świecie. Lubię być lubiana.

ROZDZIAŁ 13

Następnego popołudnia muszę na chwilę zerwać się z treningu, żeby odprowadzić Rosę na pierwsze zajęcia z tańca. Rodzice są na kolejnym spotkaniu z McBrunightami. Spędzają teraz z nimi większość czasu. Opiekunka odbierze dziewczynki po lekcji i zaprowadzi je do rezydencji. Sally i David wpadną później po córkę, więc kiedy wrócę na trening, będę mógł ćwiczyć, jak długo zechcę.

Zastanawiam się, czy rodzice ostrzegli McBrunightów lub ich opiekunkę do dzieci, że Rosa może być k ł o p o t l i w a. Nie, żebym się martwił. Raptem wczoraj sprawdzała granice swojej „grzeczności”, a zwykle pomiędzy kolejnymi incydentami następuje pewna przerwa.

Siostra bierze mnie za rękę. Gdyby to było jakieś inne dziecko, uznałbym, że się denerwuje.

– Nic nie jedzie – oznajmia, spojrzawszy w prawo i w lewo jednokierunkowej ulicy.

– Sprytnie – mówię kpiąco. – Ale i tak poczekamy na zielone światło.

Po drugiej stronie ulicy siostra puszcza moją dłoń, żeby pogłaskać psa, który jest większy od niej. Kobieta trzymająca go na smyczy uśmiecha się.

– To Harry, wilczarz irlandzki.

– Jest piękny – odpowiada Rosa.

Kobieta dziękuje za komplement i rusza, a pies posłusznie truchta za nią.

– Chcę takiego psa.

– To nie pies, Roso, tylko koń. – Przynajmniej miałyby trudności z zabiciem takiego wielkiego zwierzęcia.

– Nie wygłupiaj się, Che, przecież to pies.

Kiedy stoimy na następnych światłach, znów ujmuje moją dłoń.

– Kiedy napiszesz esej? – pytam.

Prycha i puszcza moją rękę.

– Rodzice powiedzieli, że mają go dostać przed północą – przypominam.

– Może zapomną.

– Nie.

– Suzette kocha się w Davidzie.

– Kto?

– Niania McBrunightów.

– Wszyscy kochają się w Davidzie, nie zmieniaj tematu.

Włącza się zielone, więc przechodzimy przez ulicę.

– Czego się nauczyłaś wczoraj?

– Nie być niecierpliwą, gdy chcę dać mata. Chodzi o tę partię, którą przegrałam. Wygrałabym, gdybym poczekała jeszcze kilka ruchów.

– Zabawna jesteś.

– Nie żartuję.

Wiem o tym. Jedyne rodzaje humoru, jaki Rosa rozumie, to slapstick.

– Pytałem, czego się nauczyłaś o zachowaniu normalnej osoby?

– Muszę lepiej kłamać. Powinnam była od razu zacząć udawać, że mi przykro. Następnym razem wybuchnę łzami na sam widok policji.

– A może następnym razem nie nakłonisz nauczyciela do zostawienia cię samej i poczekaasz, aż ktoś dorosły wróci do domu?

– Nie jesteś dorosły – wytyka.

– Może następnym razem nie wyjdiesz sama z domu?

– Przecież nic się nie stało. Nie odeszłam daleko. Nie rozumiem, dlaczego uważasz, że nie byłam grzeczna.

No i proszę, najnowsza strategia: nie rozumiem, co znaczy „być grzecznym”.

– Dlaczego zostawiłaś telefon, skoro uważałaś, że postępujesz dobrze?

– Zapomniałam go zabrać.
Rosa nigdy o niczym nie zapomina.
– Kłamiesz.
– Kłamanie nie jest złe.
– Co? – Wpatruję się w nią ze zdumieniem.
– Wszyscy kłamią – oznajmia Rosa. – Wszyscy udają, że kłamstwo jest złe, ale je wykorzystują. Mówienie prawdy jest o wiele bardziej nieuprzejme niż kłamanie. Gdybym mówiła ludziom to, co myślę, miałabym same kłopoty. Mój błąd wczoraj polegał na tym, że powiedziałam prawdę: że byłam dumna, bo pokonałam dorosłych w szachy. Tymczasem powinnam była kłamać.
– Ja nie kłamię.
– Kłamiesz. Nie odpowiadając na pytania, na które nie możesz odpowiedzieć tak, by nie wpakować się w tarapaty.
– To nie jest kłamanie – oponuję.
– Jest. Na przykład mówisz, że wszystko w porządku, choć jesteś smutny. A kiedy ludzie pytają cię o mnie lub o rodziców, nie zdradzasz, że twoim zdaniem ja jestem wcieleniem zła, a oni fatalnymi rodzicami.
– Wcale nie uważam... – Nie potrafię dokończyć tego zdania.
– No właśnie – radośnie odpowiada Rosa. – Założę się, że będę najlepszą tancerką w mojej grupie.
Tak mnie pochłonęła nasza rozmowa, że nawet nie zauważyłem, iż otacza nas gromada odzianych w trykoty dziewcząt od maleńkich po niemalże mojego wzrostu. Podchodzę z Rosą do biurka recepcjonistki i sprawdzam, czy została zapisana na właściwe zajęcia. Szkoła tańca pachnie jak moja sala treningowa: potem i przemysłowymi środkami do czyszczenia. Kierując się wskazówkami recepcjonistki, prowadzę Rosę do odpowiedniej sali.
Powinni się tym zajmować Sally i David.
Nie uważam, że są fatalnymi rodzicami. Kochają nas, tylko mocno zaniedbują. A to nie to samo.

* * *

Wracam na salę i ćwiczę ciężko, starając się wyprzeć z myśli poglądy Rosy na temat kłamstw. Obawiam się, że ona ma rację. Martwię się, że rozwiązanie nie polega na tym, by nauczyć ją być dobrą – ona nigdy nie zrozumie, co to jest dobro – ale nauczyć ją, jak udawać dobrą.

Zamieniam tylko kilka słów z Sojourner, bo towarzyszy jej przyjaciółka Jaime. Nie proszę też o numer telefonu ani nie podaję swojego. Kiedy zaczyna się sesja sparingowa o siódmej, ruszam do szatni. Zamierzam napisać do Georgie i Nazeema z pytaniem o opinię na temat kłamania. Jeśli chodzi o Jasona, to zapewne ma zdanie takie jak Rosa.

Zamiast tego piszę do mojej trenerki boksu z Sydney:

Zastanawiam się nad udziałem w sparingach. Myślisz, że jestem gotów?

Już mam włożyć telefon do kieszeni, kiedy przychodzi odpowiedź:

Jesteś gotów od lat.

Gapię się w ekran. Nie spodziewałem się, że tak szybko odpisze. Natalie sprawdza telefon tylko między zajęciami.

Wszystko u ciebie w porządku? – pytam.

Wzięłam dzień wolnego.

Natalie nigdy nie bierze wolnego.

Serio?

Stosuję się do własnych rad i uczę się luzu. Jesteś gotów do sparingu. Sporo ci to da.

Nigdy tego nie mówiłaś.

Teraz też nie mówię. Piszę.

Ale zabawne. Jesteś pewna?

Tak. Rodzice zmienili zdanie?

Nie.

Aha.

Nooo.

Czyli ty zmieniłaś zdanie na temat posłuszeństwa?

Nie wiem, co odpowiedzieć. Nie chcę ich okłamywać. Ale czy

zamierzam być nieposłuszny? Nie chcę tego, lecz oni są niesprawiedliwi i nie mają racji.

Nie wiem.

Mogę z nimi porozmawiać, jeśli chcesz. Oferta nadal aktualna.

– Wygląda słabo – odzywa się Sojourner. Siedzi na ławce pod damską szatnią, przykładając łód do ręki.

– Co ci się stało?

– Uderzyłam się w nadgarstek. Nie będzie sparingu.

– Mocno?

– Nie, ale czeka mnie walka, więc wolę niepotrzebnie nie ryzykować.

Zgadzam się z nią.

– Coś nie tak? – pyta, spoglądając na mój telefon. Nadal trzymam go w ręku, zastanawiając się nad słowami Natalie. Myślę, jak by to było mieć sparing z Sojourner. Walczy fantastycznie. Czy udałoby mi się choć raz ją trafić?

– Esemesuję z moją trenerką z kraju. Zapytałem ją, czy uważa, że jestem gotowy na sparing.

– I co?

– Sądzi, że tak.

Sojourner daje mi lekkiego kuksańca w ramię.

– Pewnie, że tak. Świetnie ci dziś poszło na treningu. Jetlag minął?

– Chyba. – Mam nadzieję.

– I zamierzasz brać udział w sparingach?

– Chciałbym.

– Więc zrób to!

– Masz ochotę coś zjeść? – pytam, zanim się rozmyślę. – Skoro żadne z nas nie walczy. Ja umieram z głodu.

Sojourner spogląda mi prosto w oczy, jakby chciała w nich wyczytać, czy warto ze mną coś zjeść. Nie otwieram ust, żeby przypadkiem nie powiedzieć niczego głupiego.

– Jasne – mówi. – Lubisz meksykańskie żarcie?

Bez słowa kiwam głową, ze wszystkich sił starając się nie krzyknąć radośnie: „Tak, tak!”. Zjadłbym wszystko, co by kazała.

Biorę prysznic, przebieram się w błyskawicznym tempie, a potem czekam na tej samej ławce, na której ona siedziała, i próbuję zapanować nad ekscytacją, jaką to we mnie budzi. Podobnie jak to, że boksowaliśmy te same worki, chodziliśmy po tej samej podłodze, wdychaliśmy to samo powietrze. Ponieważ to jest śmieszne. Ja jestem śmieszny.

Idziemy razem wzdłuż Houston – Howsten – a ja usiłuję znaleźć temat do rozmowy. Chciałbym ją zapytać o walki. Sojourner odbyła już dwie prawdziwe walki. Czy pomogły jej w rozwoju? Ale najpierw ona pyta mnie o to, dlaczego waham się w kwestii sparingów. Najwyraźniej jej zdaniem powinienem tylko wyjaśnić rodzicom, że nie zrobię dalszych postępów bez sparingów, i bingo! – zmienia zdanie. Tymczasem ja mam wybór: albo ich okłamię, albo się sprzeciwię. Żadne wyjście mi nie odpowiada i nie mam ochoty o tym rozmawiać.

Chciałbym zapytać, do której szkoły chodzi. A jeśli już studiuje? Może nie będzie chciała się zadawać z siedemnastolatkiem.

– Myślisz, że powinienem potrenować z Dido? – pytam. – Jeden na jeden?

Sojourner kiwa potakująco głową.

– Jest bardzo opanowana. Mój pierwszy trener walił mnie rękawicą po głowie za każdym razem, gdy popełniłam błąd. Cały czas wrzeszczał. A ja nie potrafię się uczyć, kiedy ktoś na mnie krzyczy.

– Słusznie. Moja trenerka z Sydney często porównuje boks do medytacji.

– Ponieważ wpadasz w trans?

Kiwam głową.

– Uwielbiam, gdy to się dzieje – mówi. – Ten moment, kiedy coś zaskakuje i tak jakby staję obok siebie.

– „Jesteśmy ledwie atomami, częścią całości o wiele większej od nas” – cytuję Natalie.

– Jak w kościele.

– Hm, pewnie tak...

- Nie chodzisz do kościoła, prawda?
- Dlaczego tak uważasz? – Durne pytanie, zważywszy, że prawie prychnąłem na sam dźwięk tego słowa.
- Bo dostałeś imię po komunistycznym partyzancie i jesteś biały. Nie mam racji?
- Masz – przyznaję.
- Tak myślałam, że Jezus nie jest obecny w twoim życiu. Wiesz, że Sojourner Truth była kaznodzieją? Tak jak moja mama. Niestety, nie mogę z tobą chodzić.
- Czuję się, jakbym dostał cios pięścią w brzuch. Gdybym był Jasonem, odpowiedziałbym: „Wcale na ciebie nie leczę”, dając jej do zrozumienia, że za dużo sobie wyobraża. Ale nie jestem Jasonem.
- Och... – wzdycham, co bynajmniej nie oddaje tego, jak nędznie się czuję.
- To było dość brutalne, ale nie chcę cię zwodzić. Wydaje mi się, że jesteś fajnym chłopakiem, i czuję, że moglibyśmy się zaprzyjaźnić. Ale nie mogę się umawiać z kimś, kto nie przyjął Jezusa do swojego życia.
- Zatem nie chodzi o księżycowe kraterzyki na mojej twarzy? Sojourner patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.
- Co? – dziwi się.
- Chyba się rumienię. Oczywiście, że się rumienię. Pali mnie każda kropka na twarzy.
- Próbowałem zażartować. Przepraszam. Unosi brwi.
- To był zupełnie nieśmieszny żart – dodaję.
- Bardzo nieśmieszny. Nie chodzi o nic takiego. Podoba mi się to, co o tobie wiem. Po prostu uważam, że w porządku jest mówić wprost o swoich przekonaniach. Zwłaszcza białym chłopcom o imieniu Che.
- Teraz ty powiedziałaś żart. Rozpoznałem, bo był zabawny.
- Wiem, że to przykre, ale to najważniejsza kwestia w moim życiu.
- Rozumiem. A nie mogłabyś spróbować mnie nawrócić?

Mógłbym dać się przekonać.

Żartuję. Ale przez sekundę idąc obok niej, spoglądając na jej profil, te duże miękkie usta, podkreścone rzęsy, myślę: Może jednak Bóg istnieje? Mógłbym czcić Boga, który byłby taki jak Sojourner. Uświadamiam sobie, że gdybym jej to powiedział, wkurzyłaby się. Zresztą może spodziewa się bluźnierstwa po białym chłopaku o imieniu Che.

– Nie. Nawracanie ludzi to prosta droga do tego, by twoja wiara wypaczyła się w coś brzydkiego. Wierzysz w to, w co chcesz wierzyć, Che. Albo nie. Dbasz o siebie i jesteś dobry dla innych. Do tego nie jest potrzebna żadna religia. Znam wielu bezbożników, którzy są dobrymi ludźmi. Nie osądzam ich.

Kiwam głową. To w skrócie moja etyka. Plus zapobieganie temu, by ktoś, na przykład młodsza siostra, krzywdził innych ludzi...

– Jeśli kiedyś zaczniesz zadawać sobie pytania – ciągnie Sojourner – jeśli zaczniesz myśleć o znalezieniu innej ścieżki, wtedy możemy porozmawiać.

– Czyli zanim to się stanie, nie będziesz ze mną rozmawiała?

Sojourner delikatnie uderza mnie pięścią w ramię.

– Jasne, że będę. Teraz rozmawiamy. Pójdziemy też razem coś zjeść. Ale nie będę z tobą mówiła o Bogu, religii i duchowości.

– Ani o randkach? – Uśmiecham się, by zaznaczyć, że żartuję.

Sojourner wybucha śmiechem.

– Ani o randkach.

Nie wzdrygam się, choć to boli. Staram się nie myśleć o tym, jak uwielbiam jej śmiech. Albo widok jej ust. Sojourner nie jest mną zainteresowana i muszę sobie z tym poradzić. To nie pierwszy raz, kiedy dziewczyna mnie nie chce. Również nie drugi i nie trzeci.

Ale zaraz, co ona w sumie mówi?

– Czy to znaczy – pytam – że gdybym był wierzący, to byłabyś zainteresowana?

Spogląda na mnie z ukosa.

– Ale nie jesteś.

– Ale gdybym był?

– Prosisz, żebym powiedziała, czy uważam cię za atrakcyjnego?
No oczywiście. Przecież właściwie cały czas wyznaję jej, że moim zdaniem jest fantastyczna.

– Podobasz mi się – mówię. – Sądzę, że...

– Hej, laska! Niezła jesteś.

Odwracam się i widzę faceta taksującego Sojourner pożądlivym wzrokiem.

– Co robisz z tym brzydkim białasem?

– Pilnuję własnego nosa – odpowiada, nawet nie odwracając głowy. – Też spróbuj.

Mężczyzna gwizdzie przeciągle i zrównuje się z nią, pochylając się, jakby miał jej dotknąć, po czym się odsuwa.

Już otwieram usta, żeby mu kazać się odwalić, kiedy przyspiesza kroku i nas wyprzedza.

Zamykam usta. Jestem wściekły. Co to, do diabła, było? Facet znika w wejściu do metra, a ja zastanawiam się, czyby za nim nie pobiec. Jak śmiał się tak zwrócić do Sojourner?

– Wszystko w porządku? – pytam.

Wypuszcza powietrze przez zęby.

– To tylko wiatr.

– Przepraszam – rzucam.

– Za co?

– Powinienem był jakoś zareagować, dogadać mu. Zachował się chamsko.

– I co byś powiedział?

Boże, nie mam pojęcia.

– „Spadaj”?

– To by na pewno podziałało – stwierdza Sojourner ze śmiechem.

– Mocna riposta. Zabiłbyś go dowcipem.

Rumienię się jeszcze mocniej, ale ona nie wygląda na przejętą. Chętnie bym zamordował tego gościa.

– Może by zrozumiał, że źle się zachowuje.

– On to wie, tylko że ma to w nosie.

– Ale...

Sojourner kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Niestety, nawet gdybyś dał mu w pysk, niczego by to nie zmieniło. Ciągłe mi się przytrafiają takie sytuacje. To nie problem.

Wiem, że to nieprawda.

Nie wiem, ile miałem lat, kiedy Sally po raz pierwszy rozmawiała ze mną o napastowaniu. Zależało jej na tym, by jej syn nigdy nikomu się nie naprzykrzał. Sally i Georgie twierdzą, że każdego dnia spotykają się z zaczepkami. Nienawidzą tego.

Chowam ręce do kieszeni, żeby nie było widać, jak się trzęsą. Powinienem był jakoś zareagować.

– Słuchaj, Che, to nie było fajne, ale jeśli zacznę się tym przejmować, to zwariuję albo pozabijam ich wszystkich, rozumiesz?

Kiwam głową. Chcę wymordować wszystkich mężczyzn, którzy kiedykolwiek napastowali Sojourner. Albo Sally, Georgie czy jakąkolwiek kobietę.

– Wybierzesz się ze mną do kościoła? – pyta nagle.

– Słucham?

– Chodź ze mną do kościoła w tę niedzielę, na wieczorne nabożeństwo. Twierdzisz, że jesteś mną zainteresowany, więc powinieneś zobaczyć to, co jest najważniejsze w moim życiu.

– Myślałem, że nie chcesz mnie nawracać?

Sojourner się uśmiecha.

– Nie chcę. Ale pomyślałam, że zaciekaw cię, jak to wygląda. Byłeś kiedyś na nabożeństwie?

Nie byłem.

– Jasne, chętnie – odpowiadam. Czemu nie?

* * *

Tej nocy śpię. Głębokim snem niezakłóconym przez nowojorską kakofonię klaksonów, syren i ludzkich krzyków.

Śnię o Sojourner.

Ma na sobie tę sukienkę w tulipany, a potem jej już nie ma. Stoimy piersią w pierś i całujemy się. Czuję dotyk motyli. Są

wszędzie, maleńkie i złociste. Włosy Sojourner spadają wokół niej kaskadą. Kładzie dłonie na mojej piersi, potem na brzuchu. Nigdy nie byłem tak szczęśliwy. Świeci światło jasne niczym słońce. Robi się coraz jaśniejsze i jaśniejsze.

Aż eksploduje.

Budzę się z uśmiechem. Jestem mokry.

Wstaję z łóżka, żeby się umyć, i robię krok w ciemności w stronę łazienki.

– Byłam dziś grzeczna – oznajmia Rosa.

Podskakuję i wydaję cichy okrzyk, czując, jak palą mnie policzki, choć siostra nie może wiedzieć, dlaczego wstałem.

Rosa stoi w nogach mojego łóżka. Nie dostrzegłem jej w ciemności.

I śmieje się swoim prawdziwym śmiechem. Choć coraz częściej jej fałszywy śmiech brzmi jak prawdziwy, nadal potrafię dostrzec różnicę.

– Cholera, Rosa, co ty wyprawiasz?

Jak długo tam stała, patrząc, jak śnię o Sojourner?

– Nie powinieneś przy mnie przeklinać, jestem jeszcze dzieckiem.

Zgodnie z polityką rodziców przeklinanie jest w porządku, jeśli nikomu nie sprawia przykrości.

– Przestraszyłaś mnie.

– Wiem. Krzyknąłeś. Interesuje mnie sen, więc cię obserwowałam.

– To chore, Roso. Nie rób tego więcej.

Śniłem właśnie o seksie z Sojourner i jestem uwalany spermą, a młodsza siostrzyczka wlepia we mnie wzrok.

– Nigdy nie wchodź do mojego pokoju bez pukania – złoścę się.
– To kompletnie chore.

Rosa tylko wzrusza ramionami.

– Jeśli chcesz uchodzić za normalną osobę – ciągnę – nie zakradaj się do czyjejś sypialni w nocy! Nigdy.

– Przy tobie mogę być pokręcona.

– Nie, nie możesz! Idź już sobie.

– Pójdę poobserwować rodziców.
– Nie, Roso. Nie możesz nikogo obserwować podczas snu. Rozumiesz?
– Jeśli się obudzą, uznają, że lunatykowałam. To się zdarza. Zawsze wiem, co im powiedzieć.

– Wracaj do łóżka.
Siostra potrząsa głową, po czym włącza światło.
– Dlaczego masz mokre slipki?
– Przydarzył mi się wypadek – odpowiadam, co poniekąd jest prawdą.

Gdyby Rosa nie istniała, czy byłbym tak bardzo przeciwny kłamstwom? Czy kłamałem, zanim się urodziła? Uświadamiam sobie, że niewiele pamiętam z tego okresu. Ta myśl sprawia, że robi mi się niewesoło.

– Zmoczyłeś majtki? – dopytuje. – Jak dzidzius?
– Tak, zmoczyłem majtki. Więc teraz chcę wziąć prysznic i się przebrać, a ty wracasz do swojego pokoju.

Rosa nawet nie drgnie, więc zadaję pytanie obliczone na to, by ją zirytować.

– Napisałaś esej?
Kiwa głową.

– Napisałam o tym, jak nauczyłam się, że nie wolno mi wychodzić z domu bez opieki twojej albo rodziców, mimo że potrafię czytać mapę i nie wsiadam do samochodów z obcymi. Nauczyłam się, że nie powinnam być niemila dla policjantów, bo mogą mnie aresztować lub nawet zastrzelić, jeśli zechcą, i nie poniosą żadnych konsekwencji. Odkryłam, że nasze społeczeństwo nie toleruje u dziesięciolatków niezależności, odwagi i potrzeby poznawania świata, nawet jeśli rodzice twierdzą, że im na tym zależy, i dlatego właśnie dziesięciolatki zachowują się jak małe dzieci. Wyciągnęłam z tego wniosek, że nasze społeczeństwo jest zakłamane.

– Brzmi jak świetny esej. Co na to rodzice?
– Nie przeczytali, zanim poszłam do łóżka, czyli dowiedziałam się również, że pisanie eseju to strata czasu. Wiedziałaś, że kiedy śpisz,

twoje nogi ruszają się tak, jakbyś próbował biec? Śniło ci się bieganie?

– Nie.

– A pamiętasz, co ci się śniło?

Milczę.

– Ja nigdy nie pamiętam snów – podejmuje Rosa. – Może ich nie mam. Pod tym względem też różnię się od innych ludzi. Większość z nich ma sny.

– Skąd wiesz? Na pewno są ludzie, którzy nie śnią albo nie pamiętają swoich snów.

Rosa nie odpowiada, tylko nadal się we mnie wpatruje. Zimno mi i czuję się tak niekomfortowo, że mam ochotę wziąć ją pod pachę i po prostu wynieść z pokoju.

– Myślę, że śniła ci się dziewczyna – oznajmia nagle, przenosząc wzrok z wilgotnej plamy na slipach na moją twarz. – Wiem też która. – Następnie wychodzi, trzaskając drzwiami.

Uświadamiam sobie, że jestem zlany potem.

ROZDZIAŁ 14

Nie wracam już do łóżka. W mroku, na tyle ciemnym, na ile to możliwe w Nowym Jorku, schodzę na dół na śniadanie. Sally już siedzi w kuchni z filiżanką kawy w dłoniach.

– Ty też nie możesz spać? – pyta.

Kiwam głową, biorę miskę i łyżkę i nakładam sobie płatki. Mama już pokroiła trochę owoców. Przyciągam stołek i siadam naprzeciwko niej.

Ktoś krzyczy na ulicy, a kawałek dalej słychać policyjne syreny. Dziwne, ale zaczyna mi się wydawać, że taka sytuacja to względny spokój. Czas na kolejną rozmowę o Rosie.

– David śpi jak dziecko – mówi Sally. – Kusilo mnie, żeby go obudzić pytaniem, czy śpi. Nienawidzi tego. Przykro mi, że nie odziedziczyłeś po nim genów mocnego snu.

Parskam śmiechem, zamiast jej powiedzieć, że geny tak nie działają. Myślę o genach, które dzielę z Rosą, ale przecież nie tylko one determinują to, kim jesteśmy. Dzięki Bogu. Wolę bezsenność od psychopatii.

– Są gorsze rzeczy – odpowiadam. – Na przykład te banany.

– Znajdziemy lepsze. Obiecuję.

– Chodzi o Rosę... – zaczynam. – Martwię się o nią. Wiem, że twoim zdaniem jej ucieczka to nie było nic wielkiego.

– Tego nie powiedziałam, ale moim zdaniem ona po prostu nie zdaje sobie sprawy z zagrożeń. Jest młoda i bezmyślna.

– Racja – mówię – ale uważam, że ona nie pojmuje, dlaczego nie powinna robić wszystkiego, co zechce. Sporo czytałem i myślę...

– A który dziesięciolatek to rozumie? – przerywa mi Sally.

– Ja – odpowiadam. – W jej wieku już to rozumiałem. Rosa nie rozumie, dlaczego ma się stosować do zasad, co więcej, zupełnie nie

dba o to, czy zostanie przyłapana. Ilu znasz dziesięciolatków takich jak ona?

– Więcej, niż przypuszczasz – mówi Sally, ale żadnego nie wymienia. Nikt spośród kuzynów czy dzieci przyjaciół nie przypomina mojej siostry. – Z pewnością nie jest przeciętna. Ilu dziesięciolatków zajmuje się analizą matematyczną? Owszem, Rosa nie zawsze sobie radzi w relacjach społecznych, ale doktor Chu uważa, że się rozwija i mieści w zakresie odpowiednim dla jej wieku.

Doktor Chu ostatni raz widział Rosę, gdy była małeńka.

– Ona nie ma już dwóch lat. Ani trzech, ani czterech, tylko dziesięć.

– Wiem, Che. Rosa postrzega świat inaczej. Zawsze zachęcaliśmy was oboje do poznawania...

– Nie o tym mówię. Mówię o tym, że ona ma w nosie, co myślicie wy czy ktokolwiek inny. Nigdy za nic nie czuje się winna. Kompletnie nikim się nie przejmuje. Więcej nawet, zwyczajnie nie umie się przejąć. Nie ma w sobie ani krzty empatii. Jest jak wuj Saul. Ma antyspołeczne zaburzenie osobowości.

– Nie wygłupiaj się.

– Nie wygłupiam się!

– Nie musisz krzyczeć, Che.

Nie krzyczę, choć dłonie mam zaciśnięte w pięści. Rozluźniam je z wysiłkiem.

– Wiem, że Rosa nie jest zwykłą dziesięciolatką – mówi Sally. – Niewiele ich gra w szachy tak jak ona. Ty też nie byłeś typowym dzieckiem, Che. Miałeś obsesję na punkcie przemocy i chciałeś wiedzieć wszystko o broni. O broni! Potem dziadek nauczył cię boksować i zacząłeś trenować kickboxing. Ciągle chciałeś patrzeć na walczących ludzi...

Słyszałem już to wszystko.

– To nie to samo – oponuję. – Ja nigdy nikomu nie zrobiłem krzywdy.

– Twój ojciec zrobił, kiedy był młody, ale nauczył się kontrolować

swoje emocje. Przeraża mnie to, jak bardzo kochasz boks.

– Nie jestem Davidem – protestuję. – W ogóle nie jestem porywczy. Nigdy nawet nie wdałem się w bójkę.

– Tak, ale chcesz walczyć.

– Na ringu bokserskim, w kontrolowanych okolicznościach i w stroju ochronnym. Poza tym dlaczego mówimy o mnie? To nie ja jestem problemem, lecz Rosa.

Twarz Sally tężeje. Mama bierze głęboki oddech.

– Wiem, że się martwisz o siostrę. Jesteście sobie bliscy. Ale musisz zaakceptować to, że ona nie jest taka jak ty. Ty zawsze byłeś bardzo wrażliwy.

– Jak na brutala z obsesją na punkcie przemocy?

– Nigdy nie mówiłam, że jesteś agresywny, Che. Nie jesteś. Ale masz w sobie coś, co...

– To jestem wrażliwcem czy brutalem?

– Nie jesteś brutalem. Zawsze się o wszystkich martwiłeś. W jej wieku zachowywałeś się jak dorosły. Zawsze byłeś odpowiedzialny i niesamolubny. Rosa taka nie jest, jak większość dziesięciolatków. Dzieci w jej wieku są egoistami. Czy chciałabym, żeby była mniej egoistyczna i bardziej wrażliwa? Tak! Ale czasami wolałabym, żebyś ty był mniej wrażliwy. Tak łatwo cię zranić, Che.

Nie jestem pewien, czy rozpoznaję tego chłopaka, o którym mówi.

* * *

Biegnę wzdłuż East River. Nie spodziewałem się, że będzie tu aż tylu biegaczy. Słońce nawet nie wzeszło, a tu taki tłum. Wszyscy mają uszy zatkane słuchawkami i nikogo nie zauważają, nie mówiąc nawet o witaniu się z innymi. Zastanawiam się, czy nie ma tu gdzieś Leilani, ale ona nie wyglądała mi na kogoś, kto wstaje wcześniej, niż musi.

W mroku przed świtem rzeka wygląda jak smuga oleju. Wyobrażam sobie wielkie wodne stwory czyhające pod powierzchnią, z ostrymi zębami, szponami i trującymi mackami.

Rosa czułaby z nimi mocną więź.

Nie lubię przemocy.

Dopasowuję rytm kroku do sylab. Nie-lu-bię-prze-mo-cy. Nie-lu-bię-prze-mo-cy. Nie-lu-bię-prze-mo-cy.

Jak Sally może mnie porównywać do Rosy? Nie jesteśmy w ogóle podobni!

Nie-lu-bię-prze-mo-cy. Nie-lu-bię-prze-mo-cy. Nie-lu-bię-prze-mo-cy.

Nie jestem taki jak Rosa. Nie jestem taki jak wuj Saul.

On nie odczuwa w ogóle empatii, ledwo nad sobą panuje, zmienia dziewczyny i żony jak rękawiczki, jest uzależniony od adrenaliny, uwielbia szpanerskie samochody, szybką jazdę, lata helikopterem i skacze ze spadochronem. Przypuszczam, że ma i gorsze skłonności. Zdobyłby sporo punktów w kwestionariuszu cech psychopatycznych.

Myślę, że dziadek też jest taki jak Rosa.

Bywa naprawdę agresywny, przynajmniej bywał. Nadal krzyczy, lecz kiedyś bił Davida i Saula, dopóki nie dorośli na tyle, by mu się przeciwstawić. Kiedy był młodszy, miewał liczne romanse. Robił, co chciał. Sally uważa za cud to, że David nie przypomina swojego ojca, a ja przypuszczam, że to zadanie przejął wuj Saul: jest dokładnie taki jak dziadek.

Psychopatia może krążyć po rodzinie, bo jest zależna od DNA. Choć środowisko też odgrywa ważną rolę. Trudno oddzielić te dwa elementy.

Kiedy spytałem dziadka o jego rodziców, a moich pradziadków, powiedział, że byli inteligentni i ambitni. „Dzięki nim jestem tym, kim jestem”. Jeżeli to prawda, to oni też mogli być tacy jak Rosa.

Natomiast David twierdzi, że jego dziadkowie byli nieszczęśliwymi ludźmi. Jego dziadek nigdy się nie śmiał i ciągle wszystkich krytykował, a babcia rzadko się odzywała. Pradziadek bił dziadka, tak jak ten swoich synów. „Solidne lanie – powtarzał dziadek Davidowi – uczyni z ciebie mężczyznę”.

Choć to może nic nie znaczyć, bo w tamtych czasach bicie dzieci

było normą.

Dziadek bardzo się cieszy, że uprawiam boks.

Zdaniem Davida dziadkowie zostali złamani przez nazistów. W czasie wojny stracili rodziców, braci, siostry, kuzynów, wujów, ciotki, dziadków, siostrzenice, bratanków, przyjaciół, znajomych i wrogów. Rabinów, swatów, rzeźników, majstrów i krawców. Wszyscy zginęli w powstaniu warszawskim lub podczas prób ucieczki z getta. Umarli w Treblince, Sobiborze, Auschwitz-Birkenau, a niektórzy z głodu już po wojnie.

Przetrwało troje: pradziadek, prababcia i ich synek, czyli mój dziadek.

Trauma też może zabić w człowieku zdolność do empatii, ale jedynie przy predyspozycjach genetycznych.

Dziadek nie opowiada zbyt wielu historii rodzinnych. Chętnie wspomina tylko o jakimś praprapradziadku – można odjąć lub dodać kilka „pra” – który był strzelcem wyborowym oraz wyśmienitym jeźdźcem, słynącym z brawury i powodzenia u kobiet.

Pokazał mi jego zdjęcie, na którym nasz przodek ma absurdalnie zakręcone wąsy i kufel piwa w dłoni. Nie uśmiecha się, a jego oczy są zimne, ale w tamtych czasach każdy jasnooki człowiek wyglądał na zdjęciach lodowato. No i nikt się nie uśmiechał, ponieważ nie wolno się było ruszać przez dłuższą chwilę.

Mógł być taki jak Rosa albo mógł być pełen empatii. To, że lubił strzelać i jeździć konno, nie oznacza, że musiał być psychopata.

Czy jeśli zostanę ojcem, moje dziecko będzie takie jak Rosa, czy takie jak ja?

Nie da się tego przewidzieć. To wynikowa natury oraz wychowania. Stanowimy sumę naszych genów, budowy mózgu i wpływów środowiska. Nasze dziedzictwo to nie tylko DNA, z którym się rodzimy, ponieważ środowisko może wpływać na geny. Morfologia mózgu również nie jest stała, umysł się przeprogramowuje w trakcie dorastania, a także w reakcji na doświadczenia. Nasze środowisko to coś więcej niż przestrzeń, w

której się rozwijamy – to wszyscy, z którymi mamy interakcje, od rodziców, przez opiekunki, rodzeństwo, po przyjaciół.

Mogą na nas wpłynąć dramatyczne wydarzenia, takie jak porwanie, ale też czynniki zupełnie zwykłe, na przykład nowi znajomi, nawet książka czy film.

Odkrycie boksu przeprogramowało mój mózg, sprawiło, że stałem się szybszy i sprawniejszy. Nasze podróże, mieszkanie w Auckland i Wellington w Nowej Zelandii, Dżakarcie w Indonezji, Bangkoku w Tajlandii – nawet jeśli nie nauczyłem się indonezyjskiego czy tajskiego – też mnie odmieniły.

Jest ciemno, a ja bardzo potrzebuję snu. Ale jestem podminowany, zły, głodny i nie mam pieniędzy, tylko kartę kredytową dziadka. Co by powiedział na postawienie mi śniadania? Mógłbym mu wyjaśnić, że rodzice zapomnieli o moim kieszonkowym, co jest prawdą. David dał mi dwadzieścia dolarów pierwszego ranka, a potem już nic. Została mi garstka drobniaków.

Dziadek na pewno by się ucieszył, że nie układa mi się z rodzicami, zwłaszcza z Sally. W tej chwili Rosa i ja jesteśmy ujęci w jego testamencie, a David nie. Sally nigdy nie była. Dziadek żyje w przekonaniu, że gdyby nie jej zły wpływ, David zostałby potentatem przemysłowym.

Piszę SMS-a do rodziców, że zamierzam spędzić dzień na zwiedzaniu miasta. Nie czekam na odpowiedź.

Biegnę dalej.

Nie-lu-bię-prze-mo-cy. Nie-lu-bię-prze-mo-cy. Nie-lu-bię-prze-mo-cy. Nie-lu-bię-prze-mo-cy. Nie-lu-bię-prze-mo-cy.

* * *

Sojourner przychodzi na trening o piątej. Niemalże zasnąłem podczas rozgrzewki przed zajęciami, ale na jej widok mija mi zmęczenie. Niestety, towarzyszy jej Jaime.

– Hej! – witam je.

– Nadal masz ochotę pójść do kościoła?

Kiwam głową. Jaime uśmiecha się kpiąco. Sojourner podaje mi godzinę i adres.

Wyjmujemy telefony, a ja z radością zauważam, że ona też ma taki stary i badziwny jak mój. Powinienem poprosić ją o numer, ale nie umiem tego zrobić przy Jaime.

Kościół znajduje się przy Drugiej Alei, kilka przecznic od naszego apartamentu. Czy to oznacza, że ona mieszka gdzieś w pobliżu? Trening już się zaczyna, a ja nadal nie zdecydowałem się podać jej swojego numeru.

Piszę do rodziców, że wrócę późno. Nie jestem gotów stawić czoła ani im, ani Rosie.

Zostaję, żeby pooglądać sesję sparingową o siódmej. Nogi mam ciężkie jak ołów, ale rozpira mnie energia i gotów jestem na wszystko. Może już nigdy nie zasnę. Nie obchodzi mnie to. Czy Rosa czuje się tak cały czas? Ma wszystko w nosie?

W sesji udział biorą Sojourner, Jaime, Mięśniak, cztery inne osoby, które rozpoznałem, ale nie znam ich imion, oraz sześć zupełnie obcych. Dido koordynuje całość. Chyba ją zapytam, czy zgodzi się na indywidualny trening.

A potem jakoś tak wychodzi, że biorę udział w sparingu.

Nie podejmuję decyzji, tylko to się po prostu dzieje... Dido zakłada, że po to przyszedłem. Pyta Sojourner, czy będzie moim przeciwnikiem, i dziewczyna odpowiada szerokim uśmiechem.

A potem stoję na ringu w zatęchłym kasku, który czuć potem setek ludzi, i w twardym plastikowym niepasującym ochraniaczu na zęby, który Dido trzyma na wszelki wypadek. Zapewnia mnie, że został zdezynfekowany. Wierzę jej, bo smakuje środkiem odkażającym.

Trenerka daje znak, a my dotykamy się rękawicami.

Pierwszy cios dosięga mnie, gdy jeszcze nie jestem gotowy. Mrugam oczami i czuję ból w nosie.

Nie wiem, czy uderzyła mnie prawym, czy lewym. Czy to był prosty, sierpowy czy hak.

Lewy policzek. Potem żebra.

Zatem prosty, a potem hak. Chyba. I kolejny. Później znowu w nos.

Muszę przestać myśleć i zacząć obserwować.

Muszę patrzeć jej w oczy.

Zaczynam się ruszać. Jej prosty tylko muska mój podbródek.

Patrzę na nią. Widzę, jak wyprowadza cios.

Odskakuję w lewo, obracam się, paruję kolejny prosty, robię unik.

Przypominam sobie, na czym polega obrona.

Ona naprawdę mnie bije.

Rękawicami. W twarz. W tors.

W nos.

Boli! Nie mówię tego, tylko jęczę.

Znów myślę, zamiast obserwować. Kiedy spoglądam jej w oczy, dostrzegam nadchodzące ciosy. Znów prosty. Odskakuję.

Ktoś krzyczy, ale kask tłumi dźwięki.

Jej pięść znów mnie dosięga. Wychylam się w prawo. Nie trafia! A jednak potrafię to zrobić.

Robię wykrok i schodzę jej z drogi. Cofam się, uderzając o liny, a potem skaczę w bok. „Bokser nigdy nie porusza się w linii prostej”. Ale też nigdy nie stoi bez ruchu. Robię obrót, unikając ciosu.

Odskakuję i odchylam się, ale paruję ułamek sekundy za późno. Prawy sierpowy sięga mojego nosa. Znów. Czuję pulsowanie.

Jakaś ciecz spływa mi po twarzy. Krew? Ślina? A może tylko pot? Pewnie pot. Oczy mnie pieką i czuję słony smak. Ale przecież krew też jest słonawa. Wierzę, że Dido przerwałaby walkę, gdybym krwawił.

Mam za dużo potu w ustach, które i tak są już pełne śliny. Ochraniać na zęby wzmacnia jej wydzielanie. Chciałbym wyjąć go z ust.

Znów robię odskok i prawie upadam. Uciekam w narożnik ringu, odwracam się szybko, ale ona idzie za mną, zasypując gradem ciosów, które próbuję blokować, parować, kontrować. Głównie robię gardę, oparty plecami o liny z rękawicami uniesionymi przed

twarzą.

Odpycham się od lin, uciekając przed jej pięściami. Patrząc Sojourner w oczy i unikam kolejnego ciosu.

Dzwoni dzwonek. Nareszcie.

Dziewczyna zatrzymuje się, opuszcza rękawice i uderza w moje. Odpowiadam tym samym gestem i opadam na podłogę. Opierając się o liny, usiłuję zdjąć rękawice.

Dido wchodzi na ring, odpina rzep na mojej prawej rękawicy i zdejmuję mi kask.

– Dobry początek – mówi. – Ale może następnym razem spróbujesz wyprowadzić choć jeden cios? Obrona to nie wszystko, wiesz?

Unoszę na nią wzrok, mimo że pot zalewa mi oczy, a potem spoglądam na Sojourner.

– Nie trafiłem cię?

– Ziomek, nawet nie próbowałeś – odpowiada, wycierając twarz ręcznikiem.

Nie?

Bokser, który nie boksuje, superpoczątek, Che. Szkoda, że Sally tego nie widziała, może by uwierzyła, że nie jestem agresywny.

Dido poklepuje mnie po plecach.

– Następnym razem się uda. Dobrze pracowałeś nogami i pamiętałeś o zachowaniach defensywnych. Sid z trudem sięgała cię rękawicami. Widziałam tylko cztery porządne uderzenia. Nieźle.

Myślałem, że ją trafiałem. Myślałem, że chociaż wyprowadzałem ciosy.

– I jak się z tym czujesz? – pyta trenerka. – Pierwszy raz może być trudny.

– Było totalnie odjazdowo! – odpowiadam. Nie uświadamiałem sobie tego aż do tej chwili, ale teraz radość bierze górę. – Nie ma porównania ze zwykłym treningiem. Kurde, uwielbiam to!

Dido klepie mnie po głowie.

– Dobry chłopak. Następnym razem wyprowadź cios! Przyłóż sobie lód do nosa, bo inaczej zrobi się siny. – Przygląda mu się

dokładniej. – Chyba nie jest złamany.

* * *

Kiedy docieram do domu, w salonie jest pusto. Robię sobie po cichu kanapkę i zjadam ją nad zlewem, a potem przekradam się na górę i zamykam za sobą drzwi, podpierając kłamkę krzesłem. Nie mam ochoty na kolejną nocną wizytę Rosy. Po plecaku i butach przy drzwiach na dole zorientują się, że wróciłem do domu.

Wpełzam do łóżka. Chyba nie ma nawet dziewiątej. Udało mi się uniknąć rozmowy z rodzicami o sparingu. Niezależnie od tego, co sądzi Rosa, to nie jest kłamanie. Złamałem obietnicę, ale nie skłamałem. Powiem im rano.

To było mocniejsze doświadczenie, niż sobie wyobrażałem. Jakaś część mnie myślała, że Sojourner próbuje mnie, kurwa, zabić. Serce nadal bije mi nieco za szybko. Muszę to przeżyć znowu.

Zasypiam.

Budzę się dopiero następnego dnia po południu. Po raz pierwszy od kilku dni czuję, że jestem sobą.

– Obudził się! – wrzeszczy Rosa, gdy idę po schodach.

Sally i David wychodzą z gabinetu.

– Witaj w krainie żywych – mówi Sally. – Pokonałeś jetlag?

– Chyba tak. Mam taką nadzieję.

– Dlaczego masz czerwony nos? – pyta Rosa.

– Bo ktoś mi w niego przyłożył – odpowiadam.

David wpatruje się we mnie.

– Co takiego? – pyta.

Sally mówi równocześnie:

– Obiecałeś, że nie będziesz walczył!

Już mam im wyznać, że złamałem obietnicę, ale nie mogę w obecności Rosy. Jeśli ja łamię obietnicę, to dlaczego ona ma dotrzymywać swoich?

– Czasami ochraniacze się zsuwają – mówię, co jest prawdą, ale równocześnie wykrętem. To też rodzaj kłamstwa. Kłamię ze

względu na Rose.

Unoszę ręce, żeby zademonstrować.

– Czasami trenujemy parami w ochraniaczach.

– Brzmi niezbyt bezpiecznie – stwierdza Sally. – Może nie powinieneś tego robić.

– Robię to od lat i jak często wracam z obitym nosem?

Sally przygryza wargę.

Powiniennem natychmiast wyznać im prawdę o sparingu.

Ale Rosa...

Jak mam sprawić, by uznała, że takie naruszenie zasad to nie to samo, co złamanie obietnicy, że nie będzie zabijać?

Sally wyciąga rękę, żeby dotknąć mojego nosa.

– Wygląda na spuchnięty.

– Okładałem go lodem – wyjaśniam. – Nic mi nie będzie. Nie boli, jak nie dotykam.

– Zrób kolejny okład – zaleca mi.

Robię. Boli jak diabli.

ROZDZIAŁ 15

W niedzielę przychodzę do kościoła trochę wcześniej i czekam na ulicy, czując się jak idiota.

Nad drzwiami wisi ogromna tęczowa flaga. Mam na sobie swój jedyny garnitur, nie całkiem już na mnie pasujący, wraz z krawatem pożyczonym od Davida, który uznał moją wyprawę do kościoła za bardzo zabawną.

Nie wiedziałem, co powinienem na siebie włożyć. Te kilka razy, gdy byłem w różnych świątyniach, nosiłem garnitur, ale ten budynek nie przypomina żadnej z nich. Tęczowa flaga łopocze na wietrze, a wszyscy chłopcy w moim wieku są ubrani w dżinsy i koszulki. Jeden nawet balansuje deskorolką między nogami. Ups...

Wszyscy są biali. Dociera do mnie, że spodziewałem się kościoła dla ciemnoskórych.

Sojourner nadal nie ma. Rozglądam się po ulicy, licząc na to, że się pojawi. Trzymam ręce w kieszeniach, ponieważ nie wiem, co z nimi zrobić. Po raz kolejny wyjmuję telefon. Żadnych SMS-ów.

Wtem ktoś klepie mnie po ramieniu. Odwracam się, a za mną stoi ona w niebieskiej sukience i błyszczących czarnych butach. Włosy ma związane z tyłu. Nie potrafię powstrzymać uśmiechu.

– Skąd się tu wzięłaś?

Macha ręką w stronę schodów.

– Pomagam mamie. Jest tu pastorem.

A rzeczywiście, wspominała o tym. To kolejny powód, dla którego zdecydowałem się na garnitur.

– Elegancko wyglądasz – oznajmia. – Jestem pod wrażeniem.

– Nie byłem pewien, co powinienem włożyć... Ty wyglądasz pięknie.

Witają się z nią dwaj ciemnoskórzy mężczyźni, obaj są w

garniturach.

Pojawia się więcej ludzi. Czarnych, brązowych, Azjatów i białych. Starsze kobiety w sukienkach, niektóre mają wielkie kapelusze, nawet dostrzegam jeden przybrany piórami. Starsi mężczyźni przeważnie noszą garnitury, ale większość ludzi w naszym wieku jest ubrana zwyczajnie. Jednak nie wyróżniam się za bardzo i nie jestem jedynym nastolatkiem w garniturze.

– Co to za kościół?

– Kościół przyjazny i międzywyznaniowy. Kościół różnorodności.

Miejsce czci i równości społecznej.

– Brzmi to, jakbyś czytała broszurę.

Sojourner wybucha śmiechem.

– Pomagałam mamie ją napisać.

– Och. – Znów nerwowo oglądam się na wejście do kościoła.

– Poradzisz sobie, Che. Chodź, znajdziemy jakieś miejsca siedzące.

Wchodzę za nią do środka, czując się jak hipokryta, którego w każdej chwili może trafić grom. Przy drzwiach stoi biała kobieta w luźnej sukni.

– Cześć, Sid – mówi, przytulając Sojourner. – Kogo przyprowadziłaś?

– To Che. Trenujemy razem. Jest nowy w mieście. – Sojourner odwraca się do mnie. – Poznaj Alice.

Podajemy sobie ręce, ale zamiast cofnąć swoją, Alice kładzie drugą dłoń na mojej i trzyma mocno, jakby się bała, że ucieknę.

– Witaj w naszym kościele i w Nowym Jorku. Skąd pochodzisz?

– Z Sydney, z Australii.

– Piękny kraj.

– Dziękuję.

Uśmiecha się do mnie ciepło i puszcza moją dłoń.

– Mam nadzieję, że znajdziesz tu swoje miejsce.

Wszyscy machają lub witają się z Sojourner, a ona przedstawia mnie jako przyjaciela z treningów, który chce się dowiedzieć czegoś więcej o ich kościele. To prowokuje wiele serdecznych gestów, mocnych uścisków dłoni i szczerych życzeń, bym odnalazł to, czego

szukam. Prawie każdy poznany daje mi swoje błogosławieństwo.

– Znasz tu wszystkich – dziwię się.

– Mama jest pastorem, pamiętasz? – odpowiada Sojourner. – Przychodziłam tu jeszcze, jak byłam w jej brzuchu.

Przez te wszystkie powitania, kiedy już chcemy usiąść, okazuje się, że zostało tylko ciasne miejsce w ostatnim rzędzie. Wciskamy się na nie i siadamy blisko siebie, stykając się udami.

– Przepraszam za ten tłum, powinnam była cię ostrzec. Nabożeństwo wieczorne jest bardzo popularne. Mamy świetny chór.

Tłum wcale mi nie przeszkadza.

Członkowie chóru w powłóczyстых szatach ustawiają się na scenie. Kościół przepelnia szmer rozmów. Wygląda na to, że wszyscy się tu znają.

Potem chór zaczyna śpiewać. Sojourner nie kłamała: jest fenomenalny. Bez zastanowienia wstaję i kołyszę się wraz z innymi, z uśmiechem na twarzy.

Pieśń sprawia, że też mam ochotę śpiewać, ale gdy włączam się w refren, uświadamiam sobie, że to by była obłuda, ponieważ nie kocham Jezusa. Nucę więc samą melodię i kołyszę się do rytmu.

Kiedy pieśń dobiega końca, siadamy przepelnieni radością, więc kobietę, która wstaje, by nas powitać, przyjmujemy z ciepłem i uśmiechem. Tak nastawiła nas muzyka, a my przekazujemy jej te emocje, choć czytane przez nią ogłoszenia organizacyjne są totalnie nudne.

Później są kolejne pieśni.

Wszyscy wstają i kołyszą się ramię w ramię, wychwalając Jezusa. Przystaję się czuć jak zakłamany ateista wzruszony muzyką gospel i po prostu ruszam się z nimi. Nie jestem pewien, czy to sama muzyka budzi we mnie te uczucia, czy Sojourner u mojego boku porwana tą muzyką.

– Ja też cię lubię...

Wydaje mi się, że słyszę te słowa, lecz Sojourner mówi cicho, a chór śpiewa głośno.

Nasze ramiona ocierają się o siebie, a dłonie muskają. Oboje uśmiechamy się szeroko i wtedy ona znów szepcze:

– Ja też cię lubię.

Jej oddech muska moje ucho. Gwałtownie przełykam ślinę.

Czuję dziwną lekkość, zawroty głowy, przejmującą radość i natychmiast gubię rytm.

– Biały chłopcze... – mówi ona ze śmiechem. Też się uśmiecham, znów odnajduję rytm, kołyszę się wraz z nią i czuję, jak muzyka przenika nasze ciała.

Jej ręka jest tuż obok mojej. Wsuwam w nią dłoń, a ona się nie cofa. Nasze palce się splatają, ciepłe, mocne, stwardniałe. Sojourner lekko ściska moją rękę. Zapiera mi dech w piersi.

– Tak? – mówię.

Sojourner kiwa głową.

– Wiem, że ty też mnie lubisz.

To prawda, ale czuję coś więcej niż zwykłą sympatię, więcej niż pragnienie. To, co czuję do Sojourner, jest zbyt wielkie na słowa. Sprawia, że całe moje ciało, serce, umysł, nawet trzustka, tęsknią aż do bólu.

Odwracamy się w tej samej chwili i nasze usta przez ułamek sekundy są tak blisko siebie, że moglibyśmy się pocałować, ale chwila mija. Jesteśmy w kościele, otoczeni jej rodziną i przyjaciółmi – to nie pora ani miejsce na pocałunek.

Muzyka milknie. Stoję, gwałtownie mrugając, podczas gdy wszyscy siadają. Sojourner pociąga mnie w dół.

– Che... – szepcze. Jestem zupełnie oszołomiony.

Rozglądam się wokół. Nie tylko ja się tak czuję. Fale szczęścia przepływają przez zgromadzonych. Trzymamy się z Sojourner za rękę. Alice, która mnie powitała, stoi na mównicy, opowiadając o czymś, zapewne o Jezusie, ale ja słyszę tylko tętno Sojourner w jej palcach i dłoni.

Jestem pewien, że się zakochałem.

Ogarnia mnie miłość do wszystkich. Rozglądam się po kościele, chłonąc widok uśmiechniętych twarzy... i małej dziewczynki z

lśnjącymi blond lokami.

– O mój Boże!

Rosa siedzi po drugiej stronie przejścia dwa rzędy dalej. Nie ma z nią Sally ani Davida.

– Co? – szepcze Sojourner.

Pokazuję palcem.

– Twoja siostra?

– Co ona tu, u diabła, robi...

Mężczyzna przed nami odwraca się i przykłada palec do ust.

Pochyliłam się, żeby wyszeptać jej do ucha:

– Ona tak ma. Ucieka z domu. Muszę ją natychmiast odprowadzić.

Rodzice będą się martwili.

– Nie możesz poczekać do końca nabożeństwa? – Usta Sojourner niemalże dotykające mojego ucha na chwilę rozpraszają myśli o Rosie.

Kręcę głową. Siostra nie może tu zostać.

– Wrócę jak najszybciej.

Ścisną moją dłoń, a ja wysuwam się z ławki, choć cierpię na myśl o tym, że muszę puścić rękę Sojourner. Idę na drugą stronę przejścia i kucam przy rzędzie Rosy.

– Idziemy – mówię cicho.

Kobieta siedząca po drugiej stronie Rosy spogląda na mnie pytająco. Ma na głowie wielki czerwony kapelusz ozdobiony piórami. Uśmiecham się do niej uspokajająco.

Rosa kręci głową.

– Nie chcę. – Nawet nie ścisza głosu.

– Musisz. – Odwracam się, by zerknąć na Sojourner, która spojrzeniem dodaje mi otuchy. – Wyniosę cię, jeśli będę musiał.

– Podoba mi się tu.

– Wstawaj, już.

– Chcę zostać! – Rosa mówi tak głośno, że ludzie w kilku rzędach się odwracają. – W domu mnie biją!

Zmuszam się do uśmiechu.

– Ona kłamie.

– Wszystko w porządku, skarbie? – pyta kobieta obok Rosy.

Rosa z rozpaczą kręci głową.

– To moja siostra – wyjaśniam. – Nie powinno jej tu być. Wymknęła się potajemnie z domu. Muszę ją odprowadzić do rodziców.

– Czy to prawda, skarbie?

Rosa znów kręci głową.

Sojourner kuca przy mnie.

– Roso, co ty tutaj robisz?

– Chcę się uczyć o Jezusie.

– Na pewno będziesz mogła tu wrócić, jeśli poprosisz rodziców o pozwolenie – szepcze Sojourner.

– Ona twierdzi, że rodzice ją biją – oznajmia kobieta w czerwonym kapeluszu.

– To prawda, Roso?

Siostra spuszcza wzrok i rumieni się, co jest nową sztuczką. Nigdy jeszcze tego nie widziałem. Jak można się zaczerwienić na żądanie?

– Nie, to nieprawda – przyznaje. – Chciałam tylko dowiedzieć się czegoś o Jezusie.

– Jezus nie lubi dzieci, które kłamią – wtrąca kobieta w czerwonym kapeluszu.

Patrzy na nas cały kościół. Nawet Alice zamilkła. Rosa na pewno jest zachwycona, będąc w centrum uwagi. Sojourner ujmuję ją za rękę i Rosa posłusznie idzie za nią przejściem między ławkami. Mam ochotę ją udusić.

Stajemy przed wejściem do kościoła, a ja spoglądam na nią z wściekłością. Trzyma Sojourner za rękę i wygląda żałośnie.

– Chcę się uczyć o Jezusie, ale rodzice mi nie pozwolą – próbuje kolejnego argumentu.

– Brednie, Roso! – wybucham. – Rodzice pozwolą ci się uczyć, o czymkolwiek zechcesz.

– Chcę chodzić do kościoła z Sid. Chcę się uczyć o Jezusie.

– Roso, jeżeli twoi rodzice się zgodzą, możesz chodzić ze mną do kościoła, kiedy tylko będziesz chciała. Możesz dołączyć do szkółki

biblijnej dla dzieci. – Sojourner otwiera torebkę i wyjmuje podniszczoną książkę. – To moja pierwsza Biblia. Możesz ją pożyczyć, jeśli chcesz.

Rosa bierze od niej Biblię i przyciska do piersi.

– Dziękuję – szepcze, pozwalając, by kilka łez spłynęło jej po policzkach. – Przeczytam każde słowo. Pomożesz mi wszystko zrozumieć?

Błagam... Sojourner pochyla się, żeby ją przytulić.

– Muszę wracać – mówi. – Zobaczymy się później?

– Niedługo wrócę – odpowiadam. – Mieszkamy tylko kilka ulic dalej. Przepraszam za zamieszanie.

Sojourner zbywa moje obiekcje śmiechem.

– Bądź grzeczna, Roso, i słuchaj brata. Do zobaczenia niedługo – rzuca do mnie. Mam ochotę pocałować ją w policzek, ale już wbiega po schodach.

– Łzy? Serio? – Ciągnę Rosę za sobą ulicą. – I skąd, do diabła, wiedziałaś, gdzie jestem? Co ty w ogóle wyprawiasz? Gdzie Sally i David?

– Śledziłam cię – chwali się. – Nawet nie zauważyłaś. Byłabym świetnym szpiegiem.

– Na miłość boską, Roso!

– Chciałam zobaczyć, co robisz. – Rosa się śmieje. – Nie musisz tak mocno ciągnąć, przecież idę za tobą.

W drugiej ręce trzyma długie czerwone pióro. Jest takiej samej wielkości i koloru jak pióra na kapeluszu kobiety, obok której siedziała.

– Skąd to masz? – pytam, choć oboje znamy odpowiedź.

– Nie ukradłam go, tylko podniosłam z podłogi. Ładne? Chcę mieć wielki kapelusz cały w piórach. Możemy chodzić do kościoła? Podobało mi się z powodu muzyki i kapeluszy, a ta pani opowiadała fascynujące rzeczy o życiu w czystości. Jestem uczciwsza od ciebie. Siedziałam tam, bo to było interesujące, a ty tylko dlatego, że podoba ci się Sid.

Sprawdzam telefon. Żadnych wiadomości od rodziców.

– Nawet nie zauważyli, że wyszłam – ciągnie moja siostra. – Sojourner mnie lubi. A co będzie, jeśli polubi mnie bardziej od ciebie? – Unosi wzrok, żeby sprawdzić moją reakcję. Jestem prawie pewien, że nic po mnie nie widać. – Będzie mnie uczyła o Biblii. Zamierzam spędzać z nią mnóstwo czasu, więcej niż ty.

Nie odpowiadam.

– Wiedziałaś, że to ci się nie spodoba. Będziemy się często spotykały i może Sid spadnie ze schodów...

– Jezu Chryste, Roso. Grozisz Soj... Sid? Ona jest doświadczoną bokserką, a ty dziesięcioletnią dziewczynką. Co ty mogłabyś jej zrobić?

Rosa chichocze.

– Zostanie moją najlepszą przyjaciółką.

– Nie. – Wysłałam do rodziców SMS-a, że prowadzę Rosę do domu. Piszę też do Georgie:

Ona znów ze mną pogrywa.

* * *

Pukam do drzwi gabinetu. Otwiera mi David z markerem do tablicy w ręku. Sally siedzi na sofie pochylona nad laptopem. Rodzice nawet nie zauważyli zniknięcia Rosy. Nie spojrzeli też na telefony.

– Co... – zaczyna Sally.

– Rosa poszła za mną do kościoła. Powiedziała tam na forum, że ją bijecie.

– Znowu? – dziwi się David. – To kłamstwo przestało działać, gdy byłaś siusiumajtkiem.

– I ukradła pióro z kapelusza.

– Nie ukradłam – prostuje Rosa. – Znalazłam je. – Nadal trzyma pióro w ręku. – Che powiedział, że mogę iść z nim do kościoła, ale potem zmienił zdanie, bo chciał być sam ze swoją dziewczyną.

– Przestań kłamać, Roso – rzucam tylko, kierując się do drzwi.

– Czeka! – woła Sally, biegnąc za mną. – Wszystko w porządku?

Nie odpowiadam, a ona przytula mnie mocno.

– Wiem, że Rosa jest... krnąbrna. Porozmawiamy z nią. Nie wybiegaj w złości, bo mógłbyś się potknąć.

To słaby żart, ale uśmiecham się, czując, jak gniew wyparowuje.

– Rosa cię podziwia, wiesz? Chce być taka dorosła jak ty.

Wyobrażam sobie Rosę w wieku siedemnastu lat i się wzdrygam.

– Nic się nie stało, ale chcę tam wrócić. Spodziewałem się czegoś zupełnie innego. W ogóle nie przypomina to świątyni.

Sally kiwa głową.

– Zamierzasz się nawrócić?

– Raczej nie, ale muzyka była genialna. – Kapelusze zresztą też.

– Zatem nie chodzi o dziewczynę?

– No cóż... – Nie wiem, co odpowiedzieć. Chodzi wyłącznie o Sojourner.

– Aha. Kocham cię, Che – dodaje Sally.

– Ja ciebie też.

* * *

Gdy wchodzę do kościoła, na mównicy stoi czarnoskóra kobieta, która opowiada o tym, jak wiele siły dała jej choroba. Zastanawiam się, czy to mama Sojourner i na co choruje.

Siadam z powrotem na swoim miejscu.

– Rosa dostanie po uszach? – pyta Sojourner.

Potakuję.

W ławce nie jest już tak ciasno, jak było, więc między naszymi udami pozostaje wolna przestrzeń. Sojourner nie bierze mnie za rękę. Rosa ma, co chciała. Cała ta przepyszna energia między nami, ta bliskość niemalże zwiastująca pocałunek – wszystko przepadło.

– Pewnie po prostu nie chciała zostawać sama – dodaje szeptem.

Kiedy nabożeństwo się kończy, Sojourner dziękuje mi za przyście i wyraża nadzieję, że teraz lepiej rozumiem jej wiarę i jej Jezusa. Uśmiecha się, po czym ujmuje moją dłoń na kilka sekund. Kręci mi się w głowie. Stać mnie tylko na to, by się na nią gapić. Nie potrafię wydusić z siebie ani słowa.

– Muszę pomóc mamie – mówi, puszcżając moją rękę. – Możesz chwilę poczekać? Wybierzemy się na kawę? Chcę się dowiedzieć, co myślisz.

Kiwam głową.

Podchodzi do mnie Alice.

– Jak ci się podobało?

– Hmm... – mrużę, cały pochłonięty wspomnieniem dłoni Sojourner w mojej. – Przepraszam, że moja siostra przeszkodziła. Przyszła tu bez pozwolenia, więc musiałem odprowadzić ją do domu.

Alice się uśmiecha.

– Zdarza się – mówi, jakby Rosa była przelotnym deszczykiem. – Może przyprowadzisz ją następnym razem? Będzie nam bardzo miło.

Nie jestem pewien, czy będzie jakiś następny raz.

– Dziękuję. Cieszę się, że przyszedłem. Muzyka była cudowna. Wydaje się, że wszyscy są tu tacy serdeczni, tacy szczęśliwi. Poczuję się dobrze, bo inni wyglądają na takich... szczęśliwych – powtarzam się.

– Ja też się cieszę, że mogłeś przyjść.

Podchodzi do mnie jakaś starsza kobieta, ujmuje moją dłoń w obie ręce, dziękuje za przyjście i błogosławi mnie. Później zaczepiają mnie inni i w końcu mam wrażenie, że podałem już rękę wszystkim obecnym. Ale mimo to nadal czuję jedynie uścisk Sojourner.

– Dziękuję, że dołączyłeś dziś do nas – mówi kolejna kobieta. To ta ciemnoskóra, która opowiadała o swojej chorobie z mównicy. Ma balkonik, który ułatwia jej poruszanie się. Wyciąga rękę, by ująć moją dłoń.

– Jestem Diandra Davis, mama Sojourner – przedstawia się.

– Och, miło mi panią poznać – mówię. – Jestem Che. Trenuję razem z Sojourner. Podobało mi się pani... – Milknę, niepewny, jak to nazwać. Kazanie? Mowa?– Podobało mi się to, co pani mówiła o chorobie.

Kobieta kiwa głową. Patrzy mi w oczy z taką intensywnością, że mam ochotę wyznać jej grzechy. Ale to chyba katolicki obyczaj? Choć w sumie nawet nie wiem, do jakiego wyznania przyporządkować ten kościół.

– Uważaj na siebie, dziecko – mówi – i na moją Sojourner. Niech cię Bóg błogosławi. – Ścisną moją dłoń, a potem rusza dalej porozmawiać z kimś innym.

* * *

Kiedy już idziemy z Sojourner ulicą, ponownie przeproszam za Rosę i rozluźniam krawat.

– Może kazania dobrze na nią wpłyną – zastanawia się dziewczyna. – Powinieneś znów ją przyprowadzić. Poproszę mamę, żeby wygłosiła kazanie na temat szacunku i posłuszeństwa. Chyba padnie ze śmiechu, jak to usłyszysz.

– Świetnie, czyli jeszcze więcej czasu muszę poświęcić na opiekę nad prześladowaną mnie siostrzyczką. – Wolałbym nie rozmawiać o Rosie. – Czy w twoim kościele odprawia się egzorcyzmy?

– Nie przesadzaj. Przecież większość dzieci ma diabła za skórą. Nie takiego jak Rosa.

Jesteśmy w parku na placu Tompkinsa. Chyba wszystkie ścieżki tędy prowadzą.

Zastanawiam się, czy opowiedzieć Sojourner o Rosie, ale stwierdzam, że to by było zbyt wiele. Przecież ledwie się znamy.

Idziemy do oddalonej o kilka przecznic kawiarni i zajmujemy stolik przy oknie. Pijemy kawę, a Sojourner nalega, żebym spróbował pysznego ciastka z czerwoną czekoladą. Nie pyta mnie, co sądzę o nabożeństwie. Ja jej nie pytam, co znaczy „międzywyznaniowy”. Myślę głównie o tym, jak bardzo chciałbym ją pocałować.

– Twoi rodzice muszą być trochę hippisami, prawda? – pyta ona.

– Skąd ten wniosek? Chciałbym, żeby tak było.

– Dali ci imię po rewolucjoniście, więc musi im zależeć na

sprawiedliwości społecznej i zmienianiu świata, tak?

– Nie całkiem, może trochę – odpowiadam. – Głównie chodzi im o samodyscyplinę i naprawianie świata przez pracę u podstaw. Uważają, że kapitalizmu nie da się obalić, więc zamiast tego należy prowadzić dochodowe przedsiębiorstwa, które jednocześnie produkują przedmioty pomocne dla potrzebujących, a zarobione pieniądze trzeba pompować w kolejny interes, działający na takich samych zasadach, bla, bla, bla. I są zdyscyplinowani nawet w odpoczywaniu: nie pracują tylko jeden dzień w tygodniu. Cytowałem ich.

– Brzmi, jakby byli purytanami.

– No może, poza tym że piją, tańczą i nie wierzą w Boga – żartuję.

– Pewnie zwracasz się do nich po imieniu.

– Skąd wiesz?

Śmieje się.

– Na podstawie tego, co powiadasz, i z powodu twojego imienia. Czyli mówisz do nich per ty?

– Tak. Zawsze tak było, bo, znów ich cytuję, „nie jesteśmy rolami społecznymi, nie jesteśmy tatusiem i mamusią, tylko ludźmi”. Wierzą, że dzieci również są ludźmi i powinny rozwijać się we własnym tempie, niezmuszane do odgrywania wiecznej roli „dziecka”.

– I możesz robić, co zechcesz? Zazdroszczę ci!

Śmieję się głośno.

– No coś ty! Zamiast mówić: „Bo tak ci każemy”, mówią: „Bo jesteśmy zobowiązani prawem do opieki nad tobą i uczenia cię zasad, więc jeśli zrobisz to, na co ci nie pozwalamy, mogą pojawić się prawnie usankcjonowane reperkusje. Nawet jeśli się nie pojawiają, to dopóki nie będziesz pełnoletni, masz obowiązek okazywać nam posłuszeństwo”.

– Rany...

– Taaa. Dyskusja z nimi jest jak rozmowa z wiatrem. Troskliwym, kochającym wiatrem, który chciałby ci pomóc. Ale to jednak wiatr. Tylko wiatr.

– Masz czasami ochotę ich walnąć?

Nie-lu-bię-prze-mo-cy. Mogę odpowiedzieć: „Nie, nigdy”, ale przecież ja nie kłamię. Za to, że nie pozwalają mi na sparingi, za to, że nas tu przywlekli. Za to... Wiele razy miałbym ochotę im przyłożyć.

– Może – przyznaję.

Sojourner się śmieje.

– Ja często chętnie bym sprąła moich. Dlatego boksuje: żeby nie bić nikogo poza ringiem. Znajduję ujście dla furii w treningach, żeby zniknęła. Może nie całkiem zniknęła, ale przemieniła się w coś bardziej pożytecznego niż czysta furia. Kocham boks.

– Ja też.

– Nie mogę przysparzać mamie powodów do niepokoju, wiesz? Choruje na stwardnienie rozsiane i bardzo się stara, żeby nasze życie wyglądało tak jak kiedyś. Nie chcę jej martwić.

Kiwam głową, bo opisuje moją sytuację. Nie przysparzać kłopotów, bo wystarczy tego, co mamy z Rosą. Zastanawiam się, czy nie opowiedzieć o tym Sojourner, ale nie chcę zniszczyć resztek tego, co poczuliśmy do siebie w kościele, kiedy wzięliśmy się za ręce i prawie się pocałowaliśmy.

Sojourner opowiada o swojej następnej walce i o tym, ile kilogramów powinna zrzucić, a potem musi już iść. Będą się uczyły razem z Jaime, bo mają zaraz egzaminy.

Na pożegnanie dotykamy się pięściami, nie ustami.

ROZDZIAŁ 16

W poniedziałek rano siedzę przy wyspie kuchennej i jem śniadanie, podczas gdy David pije kawę. Rosa zbiega w podskokach ze schodów w radosnym nastroju pod tytułem „cudownie, że zaraz będzie matma”.

– Dzień dobry – odzywa się swoim najpromienniejszym tonem. – Jak się dziś czujecie?

Można by niemal pomyśleć, że naprawdę ją to interesuje. Ma na szyi łańcuszek z zawieszka w kształcie serca, której nigdy nie widziałem.

– Skąd to masz? – pytam, dotykając błyszczącego czerwonego serduszka. Chyba nie jest ze szkła.

– Seimone mi dała – mówi, wdrapując się na stołek.

– Nie masz dziś matematyki – oznajmia David. – Dziś piszesz esej i czytasz o historii Stanów.

– Nie! – jęczy Rosa. – Nie mówisz poważnie.

– Owszem – potwierdza David. – Będziesz pracowała w gabinecie ze mną i Sally. Rozchmurz się, jutro idziesz do Nowojorskiego Towarzystwa Historycznego z Seimone, Mayą i ich opiekunką.

– Suzette – podpowiada Rosa.

– Słucham? Jutro w ich szkole odbywa się rada pedagogiczna, więc mają wolne. Poczysz się historii i napiszesz esej o wrażeniach z wizyty w Towarzystwie.

– Nawet nie czytacie esejów, które każecie mi pisać.

– Ten przeczytamy.

– A ja? – pytam. – Też mam iść z nimi? – Mam nadzieję, że nie.

– Ty możesz robić, co chcesz, Che.

– To niesprawiedliwe – protestuje Rosa.

– Wymykanie się z domu i kłamanie niesie za sobą pewne

konsekwencje – wytyka jej David.

Rosa patrzy na niego gniewnie.

– Ty nigdy nie ponosisz konsekwencji.

– Moje życie jest jedną wielką konsekwencją. Idź się uczyć do gabinetu. Tylko cicho, bo Sally rozmawia przez telefon.

Rosa odchodzi, powłócząc nogami.

Niestety, ja muszę iść na matematykę. Nawet strapiona mina Geoffa na wiadomość, że będzie miał lekcję z Rosą dopiero w przyszłym tygodniu, nie rekompensuje mi perspektywy kilku godzin nad analizą matematyczną. Zaczynam odliczać minuty, zanim będę mógł pójść na trening i na sparing. Decyduję, że znów wezmę w nim udział.

Godzinę później dostaję SMS-a, więc wychodzę do łazienki, żeby go spokojnie przeczytać. Nie znam numeru, z którego został wysłany.

Zabieram cię na zakupy.

A kim jesteś?

Przez krótką chwilę łudzę się, że to Sojourner. Ale dlaczego miałaby mnie zabierać na zakupy? Poza tym nadal nie zna mojego telefonu.

Leilani McBrunight, twoja wizerunkowa zbawczyni.

Nie wpadam w popłoch, ale też nie przepełnia mnie radość.

To chyba pomyłka. To numer Che Taylora. (A zbawczyni pisze się przez „w”).

Nie w tym kraju, wieśniaku.

W tym nieoświeconym kraju, chciałaś napisać. Dlaczego zabierasz mnie na zakupy? Przecież mnie nie lubisz.

Ale lubię robić zakupy. Starzy zamierzają mnie wrobić w ciągłe spotkania z tobą. Nie życzę sobie znów patrzeć na twoje beznadziejne ciuchy. Trzeba to naprawić.

Kusi mnie, żeby odpisać: „Pierdol się”, ale mam przeczucie, że ona właśnie na to liczy.

Rany, podbiłaś mnie. Powinnaś zostać dyplomatką, jak dorosniesz.

Mam to na liście. Masz czas dziś po południu?

Nie.

Nie zrezygnuję z boksu i Sojourner, żeby iść na zakupy z Leilani McBrunight.

Jutro? To ostateczna oferta.

Ona myśli, że oddaje mi przysługę.

Nie lubię zakupów.

To oczywiste. Ale udowodnię ci, że to nie musi być nużący obowiązek, który wpędza człowieka w marazm.

Będziemy się często widywali. Rodzice wydają przyjęcie, a ona na nie przyjdzie. Równie dobrze możemy się zaprzyjaźnić.

Poza tym Leilani wie więcej o tym mieście niż ktokolwiek, kogo poznam. Może pouczyć mnie o swoim Nowym Jorku, tym należącym do bogatych ludzi. Nowy interes rodziców oznacza, że będziemy się sporo zadawać z bogaczami. Muszę się z nimi oswoić. Rosa też tak twierdzi, choć mnie chodzi o coś innego niż jej.

Dobra. Może jutro rano?

Przesyła mi adres i umawiamy się na jedenastą.

To na północno-zachodnim rogu.

Wezmę ze sobą kompas. Mam też przynieść astrolabium?

Ale śmieszne. Chodzi o północno-zachodni Manhattan.

Co z tego wynika?

Numery ulic rosną = północny Manhattan, numery alei rosną = zachodni. Nie musisz dziękować.

* * *

Po drodze na trening wstępuję do sklepu sportowego polecanego przez Dido, powołuję się na nią, jak kazała, i dostaję dwadzieścia procent zniżki. Zamierzam walczyć w sparingach, więc dziadek będzie zachwycony, kiedy zobaczy, za co zapłacił.

Sojourner już się rozciąga na macie. Nie widziałem jej od niedzieli. Co prawda to było wczoraj, ale mnie wydaje się, że wieki temu. Wygląda fantastycznie. Uśmiecham się zupełnie odruchowo.

– Hej. – Zaczynam rozciągać nogi. – Dzięki, że mnie wczoraj zaprosiłaś.

– Hej – odpowiada. – To była przyjemność.

Próbuję wymyślić, co jeszcze mógłbym dodać.

– Cześć – rzuca Jaime. Nie dostrzegłem jej, bo nie potrafię oderwać wzroku od Sojourner. Poznaje ją po jej uśmiechu, że to zauważyła.

– Cześć – odpowiadam.

– Rosa dostała jakąś karę? – pyta Sojourner.

Kiwam potakująco głową.

– Chętnie z nią porozmawiam, jeśli myślisz, że to coś da.

Muszę zmienić temat. Jaime zerka to na mnie, to na Sojourner, i nie przestaje się uśmiechać.

– No co? – pytam ją w nadziei, że może przyjaciółka zdradziła jej, że mnie lubi.

– Nic – odpowiada Jaime, gdy Sid posyła jej gniewne spojrzenie.

– Chyba jednak coś – upieram się, choć może powinienem odpuścić. To sprawa między mną i Sojourner. Ale muszę wiedzieć. Czuję, że piecze mnie twarz.

– No więc... – zaczyna Jaime.

Sojourner kręci ostrzegawczo głową.

– Nie ma sprawy – zmuszam się do ustąpienia, choć teraz pali mnie również słońce. – Nie musisz mówić. Dzięki za zaproszenie do kościoła, Sid. Miałaś rację. Chór jest fantastyczny.

– Podobała ci się muzyka? – upewnia się Jaime.

Kiwam głową.

– A coś jeszcze ci się podobało? Coś jeszcze c z u ł e ś?

– Jesteś beznadziejna – odzywa się Sojourner. – Powiedziałam ci to w zaufaniu. Obiecałaś, że nie rozgadasz.

Jaime chichocze.

– Wiem, ale nie mogę się oprzeć. Od jak dawna mnie znasz, Sid? Nie powiedziałaś mi o tym, gdybyś nie chciała, żebym się wygadała.

– Cały czas liczę na to, że pewnego dnia dorośniesz. Pewnego dnia

ty, Jaime Maria Abreu de Leon, zasłużysz na zaufanie, którym cię tak głupio obdarzam.

– Gadasz jak twoja mama. Uprzedzam na wypadek, gdybyś nie wiedziała.

Sojourner się krzywi.

– Podobasz mu się – ciągnie Jaime. – Ona ci się podoba, prawda, Che?

Nie wiem, co powiedzieć. Powinienem potwierdzić? Sojourner przecież wie, że mi się podoba.

– Muzyka była świetna – powtarzam. Czuję się, jakby te słowa były martwą rybą wypadającą mi z ust.

Czy moje pryszcze są jeszcze bardziej czerwone niż ten najczerwiejszy rumieniec wstydu, którym płonie moja szyja?

– Ona myśli, że odnalazłeś Boga – dodaje Jaime.

– Słucham? – dziwię się.

– Nie powiedziałaś tego! – protestuje Sojourner.

– Pewnie, że tak. Powiedziałaś, że wyglądał tak, jakby Duch Święty go natchnął. – Jaime spogląda na mnie i unosi brew niczym Leilani, dając mi do zrozumienia, że dokładnie wie, która część mojej anatomii została natchnięta, i że znajduje się ona bardzo daleko od duszy. – Nie odnalazłeś Boga, prawda, Che?

Kręcę głową.

Mogę okłamywać (w pewnym sensie) rodziców w kwestii sparingów, ale nie zamierzam oszukiwać Sojourner.

– Nie. Nie czułem duchowego ani religijnego uniesienia. Podobała mi się muzyka i panująca tam energia oraz to, że wszyscy byli serdeczni i przyjaźni. Wyglądają na dobrych ludzi, ale nadal nie sędzę, by Bóg istniał.

Sojourner się wzdryga.

„Ale przeżyłem objawienie – mam ochotę jej powiedzieć. – Uświadomiłem sobie, że mogę być w tobie zakochany”. Myślałem, że zaczęła coś do mnie czuć, tymczasem nie chodziło jej wcale o mnie, tylko o Jezusa. Kurwa.

– Wiem o tym – mówi, lecz w jej głosie słyhać smutek. – Mimo to

cieszę się, że przyszedłeś.

* * *

Zostaję na sparingu. Tym razem mam dopasowany ochraniacz na zęby i kask, który nie śmierdzi potem tysięcy innych pięściarzy. Mam się zmierzyć z Mięśniakiem. Mogę go pokonać. Gdy tylko ta myśl przychodzi mi do głowy, on trafia prawym prostym w mój posiniaczony nos. Jęczę głośno.

– A masz, Kangurze! – krzyczy.

Nie podejrzewa, że mógłbym z nim wygrać. Bierze zamach do kolejnego prostego. Odchylam się.

Za każdym razem, gdy robię unik, on próbuje uderzyć mocniej, ale ja przewiduję jego ruchy. Unosi podbródek, zdradzając, gdzie mierzy. Kiedy nie trafia, robi się coraz bardziej nieuważny. Próbuje wejść w zwarcie. Robię odskok w bok i unik w tył. Nie trafia, a ja zasypuję go gradem prostych i sierpowych.

Mięśniak wydaje dźwięk pośredni między rykiem i jękiem, po czym próbuje rzucić się na mnie.

– Skurwiel! – wrzeszczy.

Dido wchodzi na ring i odpycha go.

– To sparing, nie walka! Odpręż się. Oddychaj. Zachowaj kontrolę. Spójrz na mnie. Jesteś spokojny?

Mięśniak kiwa głową. Nie patrzy na Dido. Nie jest spokojny.

– Nie wyglądasz na spokojnego.

– Jestem spokojny!

Dido unosi dłoń.

– Nie jesteś. Koniec walki.

Mięśniak zdejmuje rękawice, z których wylewa się pot, przerzuca je przez liny, zdiera kask i patrzy na mnie z furią, jakby miał ochotę cisnąć nim w moją głowę.

Dido chwytą go za podbródek i zmusza, by spojrzał jej w oczy.

– Nie jesteś spokojny. Wcale. Jeśli stracisz panowanie nad sobą, nigdy nie wygrasz walki. Chcesz wygrywać? Chcesz być bokserem?

Przez chwilę wydaje mi się, że Mięśniak ją uderzy, ale nagle uchodzi z niego powietrze.

– Chcę być bokserem – mamrocze. – Przepraszam.

– Dobrze. Wiesz, co robić. – Puszczą go.

Mięśniak podchodzi do mnie i unosi pięść. Dotyka dłonią w owijkach mojej rękawicy.

– Przepraszam – wydusza z siebie niewyraźnie. – Mam problemy z panowaniem nad złością.

– Przyłóż sobie lód do oka – nakazuje Dido. – A ty do nosa, Che. Żaden z was nie powinien bić tak mocno. Macie być bardziej opanowani. Ale zacząłeś wyprowadzać ciosy, Che. To dobrze.

Opuszczamy ring, a po nas wchodzi Sojourner i Jaime. Sojourner stuka się ze mną rękawicą i posyła mi zdawkowy uśmiech.

Siedzę z zimnym okładem na nosie i przyglądam się, jak daje Jaime szkołę za wypaplanie sekretów. Jest taka szybka, taka skoncentrowana. Więcej się uczę, oglądając ją podczas sparingu, niż w ciągu tysiąca zwykłych lekcji.

Gdyby tylko nie była wierząca.

Gdyby tylko nie zależało jej na tym, żebym ja był.

Gdyby tylko Rosa nie próbowała namieszać między nami.

* * *

Kiedy docieram do domu, Rosa i Seimone układają puzzle na stoliku do kawy. Zdjęły w tym celu rękawiczki. Spoglądają na mnie, gdy ściągam buty i zrzucam plecak. Zastanawiam się, co Seimone robi u nas tak późno.

– Nocka? – domyślam się, pełen wątpliwości, czy to dobry pomysł.

Rosa kiwa głową.

– Leilani była wredna, więc Seimone zostaje u nas, dopóki siostra nie zacznie być dla niej miła.

Seimone chichocze.

– Lei-Lei jest paskudna. Zawsze trzyma stronę Mayi. Hej, Che!

– Znow masz czerwony nos – zauważa Rosa.

– Rzeczywiście, jest zaczerwieniony – potwierdza Seimone. –
Przeziębilesz się?

– Cześć, Seimone. Nic mi nie jest. Gdzie Sally i David?

– W gabinecie, pracują – odpowiada siostra.

– Skończyłaś esej?

Rosa wydaje taki dźwięk, jakby wymiotowała.

– Jaki esej? – pyta Seimone.

– Ma napisać o tym, dlaczego kłamstwo jest złe – wyjaśniam.

Seimone wzdycha współczująco.

– Przyłapano cię na kłamstwie?

Rosa wzrusza ramionami.

– Wszyscy kłamią, ale dorośli nigdy nie ponoszą za to kary.

– Ponoszą – mówię. – Kiedy składają fałszywe zeznania.

– Kłamanie jest zabawne.

Biorę trochę lodu, zawijam w ściereczkę i przykładam do nosa.

– Mówiłeś chyba, że nic ci nie jest – wytyka mi Rosa. – Kłamca.

– Za chwilę nic mi nie będzie.

– Ktoś go uderzył – wyjaśnia moja siostra Seimone. – On lubi się
bić z ludźmi.

Seimone się wzdryga.

Wzdycham.

– To się nazywa boks, Roso. Uprawiam sport.

– Che z nikiem się nie bije – oznajmia Sally, wchodząc do kuchni,
żeby nalać sobie herbaty. – Uczy się boksować, ale bez boksowania.
To bardzo poprawia ogólną sprawność. Nos ci dokuczają?

– Zapobiegam temu.

Sally poklepuje mnie po ramieniu z aprobatą. Czuję, że twarz
mam gorącą od rumieńca, i jestem wdzięczny za szybko topniejący
lód. Siostra ma rację: jestem kłamcą.

Rosa uśmiecha się ironicznie, jakby wiedziała.

– Skończyłaś esej, Roso? – pyta Sally. – Musisz go nam dać, zanim
pójdiesz do łóżka.

Rosa w podskokach biegnie do tabletu leżącego na sofie i
uruchamia go.

– Jak się pisze „hipokryzja”? – pyta.

ROZDZIAŁ 17

Jadę pod adres, który podała mi Leilani, ale to wcale nie wygląda jak sklep. Stoję pod czarnymi drzwiami z wizerunkiem szpuli bawełnianych nici. Już mam wcisnąć dzwonek, kiedy otwiera je krzepko zbudowany ochroniarz, który spogląda na mnie pogardliwie. Zgodnie z poleceniem Leilani mówię mu, że jestem z nią, a on niechętnie wpuszcza mnie do środka.

To jednak jest sklep z ciuchami, czy raczej butik. Chyba że istnieje jakieś bardziej wymyślne określenie na takie miejsce. Nawet ja potrafię stwierdzić na podstawie elegancko wyeksponowanych ubrań i obrazów zdobiących ściany, że muszą tu mieć niedorzecznie wysokie ceny.

Leilani gawędzi z jedną ze sprzedawczyń, wysoką i szczupłą, o złotych włosach kontrastujących z ciemnobrązową skórą. Nie mam pojęcia, jak można sobie zrobić złote włosy.

– Hej, Che – woła Maya. Niemal jej nie widać w wielkim czarnym aksamitnym fotelu, w którym siedzi, machając nogami.

– Nie wiedziałem, że idziesz z nami na zakupy – odpowiadam.

Siadam na metalowej drabince obok niej. Koło fotela leży duża sportowa torba.

– Twój sprzęt do tenisa? – pytam.

Maya kiwa głową.

– To dlatego, że mi niedobrze.

Nie wygląda na chorą.

– Niedobrze mi przez Seimone – wyjaśnia. – Zachowuje się okropnie, więc Leilani powiedziała, że nie muszę iść z nimi do muzeum.

– A dlaczego Leilani nie jest dziś w szkole?

– Chyba ma zajęcia indywidualne. Kto to wie? Leilani sama

ustanawia zasady.

Maya ma taki sam łańcuszek z czerwonym serduszkiem jak Seimone.

– Skąd to masz? – pytam.

– Rosa nosi teraz wisiołek Seimone, prawda? – Domyśla się, o co mi chodzi.

Kiwam głową.

– Babcia nam je dała. – Pokazuje mi serduszko. – To rubin.

– Odzyskam go dla twojej siostry, obiecuję – zapewniam ją.

– Seimone mówi, że podarowała go Rosie, ale ja wiem, że nigdy by tego nie zrobiła z własnej woli.

Złotowłosa sprzedawczyni pokazuje Leilani ciemnoczerwoną sukienkę, rozkładając spódnicę, by zaprezentować kontrastujące pomarańczowe plisy. Tyle że nie nazywa jej sukienką, lecz kreacją.

– Hej, Che – odzywa się Leilani, jakby dopiero mnie zauważyła. – Staruszkowie są obłędnie szczęśliwi, że wyszliśmy dziś razem.

– A reszta drobiazgu poszła do muzeum – dodaję. – Muszą być w siódmym niebie.

– Che, poznaj Deannę.

Sprzedawczyni wyciąga dłoń. Ma długie eleganckie palce ozdobione pierścionkami. Lekko ściska moją rękę.

– Rozumiem teraz, o co ci chodziło – zwraca się do Leilani, obrzucając mnie takim samym spojrzeniem z góry na dół jak facet przy drzwiach.

Mam na sobie spodnie od dresu i koszulkę.

– Nie interesuję się modą – wyjaśniam.

– To oczywiste. Ale możemy cię nauczyć czerpać z niej radość, prawda, Leilani?

– Wszystko jest możliwe – odpowiada Leilani tonem, który oznacza „wszystko prócz tego, by Che nauczył się ubierać”.

– Co powiesz na to? – Deanna unosi zielono-srebrne spodnie. Pyta Leilani, nie mnie.

– Fajne – stwierdza Maya.

– Nie chcemy go przestraszyć – oponuje Leilani. – Che, wychodząc

z domu, wkłada na siebie rzeczy o rozmiar lub dwa za duże. Nosi wyłącznie dżinsy, koszulki i koszule z krótkimi rękawami.

To przerażająco trafny opis.

– Skąd wiesz, co noszę? – denerwuję się.

– Widziałam o wiele za dużo twoich zdjęć – wyjaśnia – i na wszystkich byłeś ubrany. Żadnych koszulek polo, Deanno.

Nie jestem pewien, jak wygląda polo.

Deanna pokazuje czarną koszulę, Leilani kiwa z aprobatą, a sprzedawczyni mi ją podaje.

Spoglądam na metkę z ceną.

– Jak to możliwe, że koszula kosztuje tysiąc dolarów? – pytam głośniej, niż zamierzałem. To zwykła czarna koszula. Guziki nie są zrobione ze złota i brylantów. Materiał jest miękki, przyznaję, ale mam tanie koszulki, które są równie miłe w dotyku.

Maya wybucha śmiechem.

Jedna z pozostałych sprzedawczyń patrzy na mnie, jakbym był gigantycznym karaluchem, który jakimś cudem przedostał się do jej sklepu. Posyła Leilani pełen współczucia uśmiech.

O dziwo, dziewczyna nie przewraca oczami.

– Wiesz, jak produkuje się ubrania? – Nie daje mi szansy na odpowiedź i od razu kontynuuje: – Ta koszula nie została uszyta w fabryce czy przez szwaczki, pracujące we własnych domach, zarabiające znacznie poniżej płacy minimalnej i niemające ubezpieczenia zdrowotnego w razie choroby czy wypadku. Ludzie, którzy skroili i uszyli tę koszulę, zarabiają kwoty znacznie wyższe niż minimalne stawki związkowe i pracują na pełnym etacie ze wszystkimi świadczeniami. Materiał powstał w tkalni, której pracownicy są zatrudnieni na podobnych warunkach. A wykonano go z bawełny uprawianej bez pestycydów, w prywatnych gospodarstwach rolnych. Została zaprojektowana przez jednego z najlepszych japońskich projektantów, który, tak się składa, kładzie również wielki nacisk na etykę pracy. Przy produkcji tej koszuli żaden człowiek nie został wykorzystany. W przeciwieństwie do koszulki za pięć dolarów jest sprzedawana po swoich prawdziwych

kosztach, a one przy całkowitej eliminacji wyzysku wynoszą tysiąc dolarów.

Czuję, jak poci mi się ręka, w której trzymam wieszak. Czy będę musiał zapłacić za tę koszulę, jeśli kapnie na nią mój pot?

– Nawet jeśli nie obchodzi cię etyka – ton Leilani świadczy o tym, że spodziewa się po mnie dokładnie takiej odrażającej postawy – ta koszula może być inwestycją. Na świecie jest ich tylko pięć. Za rok lub dwa będziesz mógł ją odsprzedać za więcej, niż za nią zapłaciłeś. Dlatego kosztuje tysiąc dolarów.

– No właśnie – potwierdza Deanna. – Bardzo dobrze to wyjaśniłaś, Lei-lei.

Rumienię się. Przed przeprowadzką do Nowego Jorku mógłbym przysiąc, że rzadko się rumienię. Wtedy była to prawda.

Zatem tylko bogaci mogą sobie pozwolić na etyczne zachowanie? Koszulka, którą mam na sobie, została wyprodukowana zgodnie z zasadami fair-trade. To jedno z poprzednich przedsięwzięć rodziców. Kusi mnie, by spytać Leilani, dlaczego nie szyje własnych ubrań.

Oddaję koszulę Deannie i próbuję znaleźć coś, czego zakup nie doprowadzi rodziców do szału. Jedyna rzecz, to znaczy część kreacji, poniżej dwustu dolarów, to krawat.

– Przymierz to – rozkazuje Leilani, wręczając mi dwie koszule i trzy pary dżinsów. Nie ma szans, bym cokolwiek z tego kupił. Mam dwie karty kredytowe – jedną rodziców, a drugą dziadka – i wywołałbym awanturę, wydając chociażby pięćdziesiąt dolarów na koszulę.

Otwieram ciężkie drewniano-metalowe drzwi do przebieralni. Powiem jej, że żadna z tych rzeczy mi się nie spodobała. W tym świetle nawet moja skóra wygląda dobrze. Czy da się osiągnąć taki efekt światłem? Czy może lustro oszukuje? Wyglądam niewiarygodnie korzystnie.

Dotykam pierwszej koszuli. Jest nieco szorstka, ale druga pasuje idealnie i jest miłsza w dotyku niż ta za tysiąc dolarów. Być może kosztuje milion.

W lustrze w przymierzalni ma ten sam odcień błękitu co moje oczy. Wiem, że to pewnie efekt odpowiednio dobranego oświetlenia, ale i tak mi się podoba. Dżinsy są tak wygodne, jakby były moją drugą skórą. Są bardziej obcisłe i węższe niż te, które zazwyczaj noszę. Doskonale się w nich czuję.

Ciekawe, czy podobałbym się w nich Sojourner. Wyobrażam sobie, jak idziemy razem: ona w sukience w tulipany, ja w tych ekskluzywnych ciuchach.

Kiedy wychodzę, Leilani parska śmiechem. A zatem to tylko światło.

– O wiele lepiej – mówi tymczasem. Spodziewałem się, że będzie ze mnie kpić. – Niemalże jakbyś był prawdziwą istotą ludzką, a nie oddychającą, nieco ucywilizowaną sportową małpą.

– Odpieprz się, Leilani.

Maya unosi wzrok znad gry w telefonie i się śmieje.

– Rzeczywiście wygląda lepiej – stwierdza jedna ze sprzedawczyń, a w jej głosie słychać zdumienie. – Mamy te koszule też w innych kolorach, jeśli jesteście zainteresowani.

– Wprost idealnie – wtóruje jej Deanna.

Naprawdę podoba mi się ta koszula. Nie przypuszczałem, że strój może tak na mnie wpłynąć, ale czuję się w niej inaczej, fajniej. Nie mam ochoty jej zdejmować. Ostatnio czułem się tak w wieku sześciu lat, kiedy zły wuj Saul podarował mi kostium Supermana na chanukę, bo uznał, że to wkurzy rodziców. Nosilem go, dopóki się nie rozpadł.

Idę za Deanną jak zaczarowany i staję przed lustrem, podczas gdy ona i Leilani debatują, jakie kolory najbardziej do mnie pasują.

Sprzedawczyni przynosi koszule w różnych odcieniach błękitu i zieleni. Podobają mi się. Ukradkiem zerkam na metki. Kosztują ponad tysiąc dolarów. Dżinsy też.

Wracam do przymierzalni, przebieram się we własne ubrania, a „kreacje” oddaję Deannie.

– Które wybrałeś?

Kręcę głową.

Leilani włożyła czerwono-pomarańczową sukienkę. Gdy się okręca, materiał lśni w świetle.

– Ładnie – mówię.

Maya kiwa głową.

– Biorę ją. Daj mi minutę, jeszcze buty.

Ile mogą kosztować buty? Wiem, ile kosztują niektóre tenisówki. Bywają drogie, ale raczej nie droższe niż tysiąc dolarów. Kupię sobie jakieś. Jeśli będą tak wygodne i ładne jak te koszule, to warto.

Maya wychodzi ze mną na zewnątrz z ogromną torbą tenisową na ramieniu.

– Ponieść ci ją? – proponuję.

– Nie trzeba. Trenerka mówi, że noszenie jej mnie wzmocni.

– Albo nabawisz się kontuzji ramienia. Wygląda na ciężką.

Maya wzrusza ramionami.

– Jestem dość silna.

– Proszę – mówi Leilani, pojawiając się na ulicy kilka minut później, i podaje mi torbę z zakupami. – Kupiłam ci te koszule, dzinsy i kurtkę.

– Nie możesz...

Unosi dłoń.

– Przestań! – ucina. – Zrobiłam to i już. A ty możesz podziękować, ale raczej niezbyt wylewnie. Często robię tu zakupy, więc nie płacę pełnych cen. Jeśli mamy się spotykać, powinieneś się dobrze ubierać. Muszę dbać o swoją reputację.

Nie chcę być niegrzeczny, ale opieram się mimo to:

– Nie mogę tego przyjąć.

– Ależ możesz. – Maya trzyma stronę siostry. – Dobrze w tym wyglądałeś.

– Nie podobały ci się? – pyta Leilani.

– Nie przymierzałem kurtki, więc skąd mam wiedzieć? – żartuję.

Zbywa mnie machnięciem ręki.

– Przymierzałeś koszule i podobały ci się. Widziałam to.

– Owszem. Ale nie stać mnie na nie.

– Mnie stać.

– Tylko że teraz mam u ciebie dług, którego nie dam rady spłacić. Nie mogę wyrzucić pieniędzy na wszystko, co mi przyjdzie do głowy.

– Nie bądź sknerą – ruga mnie Maya, wspierając dłonie na biodrach.

– Nie jestem – oponuję. – Po prostu nie stać mnie na to. Nawet za milion lat nie mógłbym odwdziżyć się Leilani niczym podobnym.

– Nie musisz, głuptasie – oznajmia Maya. – Leilani ma wszystkie ciuchy, które zechce.

– A ja nie – tłumaczę dalej. – Nie mam pieniędzy. Nie tak jak wy. Jak miałbym się zrewanżować?

– A możesz je przyjąć ode mnie w prezencie?

– Słucham?

– Wyglądasz w nich świetnie, Che.

Maya kiwa głową.

– Będę szczęśliwa, mogąc ci je dać – przekonuje Leilani. – Jaki sens mają pieniądze, jeśli nie można ich używać, by sprawiać przyjemność przyjaciołom?

– Jesteśmy przyjaciółmi?

– No raczej – potwierdza.

– Che miał niedawno urodziny – oznajmia Maya. – Rosa mówiła Seimone, że dała mu mózg.

Siostra patrzy na nią nierozumiejącym wzrokiem.

– Plastikowy model mózgu – wyjaśnia dziewczynka.

– Możemy uznać, że to prezent urodzinowy? – pyta mnie Leilani.

– Wszystkiego najlepszego, Che – dodaje Maya.

Leilani uśmiecha się do mnie, jakby była autentycznie zachwycona, że może dać mi prezent.

– Dziękuję – mówię. Jakaś część mnie się cieszy, bo dowiem się, czy spodobał mi się w tym stroju Sojourner.

Ale czuję się też... no cóż, zmanipulowany.

Podobnie jak wtedy, kiedy Rosa robi jeden ze swoich numerów i uchodzi jej to na sucho. Wiem, że to nie to samo, ale nie do końca mi komfortowo z tym prezentem.

* * *

Leilani prowadzi mnie jeszcze do kilku innych sklepów, ale nie zgadzam się, by kupiła mi cokolwiek więcej.

– Na pewno nie ponieść ci torby? – pytam znów Mayę.

Kręci głową.

– Tenisiści sami noszą swoje rzeczy, na przykład Serena Williams.

– Serena jest od ciebie większa. – Torba wygląda na niemalże tak dużą jak Maya.

– Nie zawsze taka była.

– Nie ma sensu się kłócić – wtrąca Leilani. – Ona nie ustąpi. Nawet jeśli to dźwiganie na stałe uszkodzi jej kręgosłup.

Kupuję parę czarnych skórzanych butów, które zdaniem Leilani mogą być noszone zarówno ze strojem formalnym, jak i codziennym. Zostały przecenione, więc kosztują „tylko” dwieście dolarów. Niemalże mdleję, płacąc za nie. Tłumaczenie się rodzicom nie będzie przyjemne. Maya kupuje jaskrawoniebieskie tenisówki z cekinami i wychodzi w nich ze sklepu. Lśnią przy każdym kroku.

Wszędzie, dokąd idziemy, Leilani jest znana.

– Kim ty jesteś, królową zakupów w Nowym Jorku? – dziwię się. – Skąd wszyscy cię znają?

Maya wybucha śmiechem.

– Pora na tenis – zwraca się do siostry. – Możemy się przejść High Line?

– Jasne. – Leilani prowadzi nas przez staromodną ulicę wyłożoną gładkimi cegłami i w górę po szerokich schodach. – Byłeś tu już?

– Nie. – Nie mam pojęcia, o czym one mówią.

– To podniebny park – wyjaśnia Maya.

– Zdecydowanie za wąski podniebny park pełen wkurzających turystów, którzy ciągle się zatrzymują i na wszystko wywalają gały. Ale to oznacza brak samochodów przez cztery przecznice.

U wylotu schodów znajduje się szeroka ścieżka obrzeżona drzewami i zapchana ludźmi.

– Kiedyś była tu nadziemna linia kolejowa – wyjaśnia Leilani,

ruszając przodem i torując nam drogę przez tłum.

Drzewka wyglądają na młode. Zastanawiam się, od jak dawna ten park istnieje, bo wydaje się dość nowy. Ścieżka biegnie między budynkami mieszkalnymi, biurami i hotelami na wysokości czwartego lub piątego piętra. Odsuwam się na bok, ustępując miejsca obejmującej się parze.

Następny fragment parku jest szerszy i mieści rząd ławek pełnych ludzi pławiących się w słońcu, niezwracających uwagi na mijający ich strumień turystów, którzy gapią się na wszystko wokół. Słyszałem już sześć różnych języków.

Alejką znów się zwęża, gdy wkraczamy pod baldachim drzew rozłożony nad naszymi głowami. Jest tu pięknie, nawet jeśli ludzie idą o wiele za wolno i zatrzymują się o wiele zbyt często jak na upodobania Leilani.

– Powinieneś to zobaczyć, zanim pojawiły się te tłumy – mówi.

– Było dość łyso – protestuje Maya. – Małe drzewka, a niskie rośliny w ogóle jeszcze nie wzeszły. Teraz wygląda lepiej.

– Poza tłuszcza.

– Ja lubię ludzi. O, tam jest moja szkoła tenisowa! – Maya pokazuje na zachód, gdzie widać błysk rzeki Hudson.

* * *

Odprowadziwszy Mayę, ruszamy z powrotem w kierunku East Village.

– Powinieneś zapuścić brodę – rzuca Leilani.

– Mam siedemnaście lat. Nie mogę zapuścić brody.

– Połowa chłopaków w mojej szkole nosi brody.

Spoglądam na nią z powątpiewaniem.

– Naprawdę – upiera się. – Nie takie gęste brody „hoduję własne mięso i warzę własne piwo”, poza Mikalem, ale on ma metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i jest walnięty. Po prostu ładny zarost. Mnóstwo ludzi takie nosi. Widzisz?

Wskazuje mężczyznę z długą, czarną, zbójnicką brodą, który

właśnie nas mija. Uśmiecha się do niej, ale Leilani już pokazuje kolejnego brodacza.

– Wiem, co to jest broda. Chcesz, żebym oddał hołd najnowszej modzie balwierskiej?

– Oddał hołd? Jeśli to dobra moda, to pewnie. Wyglądałbyś mniej wieśniaczo z brodą.

Poważnie w to wątpię.

– Jestem blondynem.

– No i?

– Jak często się golę, twoim zdaniem?

– Nie mam pojęcia. – Cesarskie brwi Leilani się unoszą. – Nie poświęcam zbyt wielu myśli zwyczajom goleniowym chłopaków. Codziennie?

Prycham ironicznie.

Ostrożnie dotyka mojego policzka, omijając przyszcze.

– Gładki. Kiedy się ostatnio goliłeś? – pyta.

– Tydzień temu? Zaraz, nie goliłem się, od kiedy wylądowaliśmy. Zatem dziesięć dni? Dwa tygodnie?

– Boże, jesteś praktycznie bezwłosy. – Chwyta moje przedramię, przygląda się mu, a potem wskazuje na swoje. – Nie masz włosów na rękach! Ja mam ich więcej niż ty, a nie jestem zbyt owłosiona. Dobra, zapomnij o zapuszczaniu brody. Zajęłoby ci to tysiąc lat.

– Nawet wtedy byłaby to tylko miękka kępka dziewiczego zarościku.

– Dziewiczy zarościk! – Wydobywa się z niej dźwięk przypominający gdakanie kury, którą ktoś tłucze siekierą. Chwilę trwa, zanim sobie uświadomiam, że Leilani się śmieje, a nie umiera. Ten raniący uszy jazgot i zarumienione policzki sprawiają, że po raz pierwszy nie wydaje mi się ani trochę zimna. – Dziewiczy zarościk! Co to w ogóle znaczy? Czy wy, Australijczycy, hodujecie kępki bawełny na tyłkach, czy co?

Śmieje się coraz głośniej, dodając chrumknięcia do gdakania. Ludzie się na nas gapią.

Nie mam pojęcia, co ją tak rozbawiło, ale ten śmiech? To

najcudacniejszy dźwięk, jaki w życiu słyszałem. Ja też zaczynam się dziko śmiać.

– Twój śmiech... – udaje mi się wydukać. – Twój śmiech!

– Wiem – mówi między kolejnymi chrumknięcio-gdakami, zgięta wpół. – Muszę przestać. – Ociera łzy z oczu.

– Jest zjawiskowy!

Znów parska.

– Masz najokropniejszy śmiech na świecie – dodaję.

Kiwa głową, cały czas wydając te szalone dźwięki.

– A ja myślałem, że jesteś taka opanowana. – Mój śmiech przechodzi w krzywy uśmiech.

– Jestem – udaje się jej powiedzieć. Oddycha wolniej. – Niezwykle opanowana. Dzielę się tym, hm, wyjątkowym śmiechem wyłącznie z nielicznymi wybrańcami.

Ociera resztki łez swoim bez wątpienia absurdalnie drogim rękawem.

– Dość tego, zabieram cię na spotkanie z Ronnie. Słyszałeś mój śmiech, więc nie mam już przed tobą żadnych tajemnic.

– Ronnie?

– Tak. Ronnie – Veronica – moja dziewczyna. No chodź. Kończy zmianę za czterdzieści minut. Idziemy do tej nowej knajpy ramen z jej najlepszym przyjacielem. Mamy dość czasu, żeby zanieść torby do domu, żebyś się przebrał i żeby dotrzeć na miejsce. Jesteś głodny?

Jestem głodny zawsze, ale myśl o opuszczeniu treningu budzi we mnie niepokój. Chociaż wiem, iż nie będzie na nim Sojourner. Ale mogę pójść na późniejsze zajęcia, a sparing zaczyna się dopiero o siódmej. To nie grzech, mówię sobie, czasami mieć luźniejszy dzień.

– Jasne – odpowiadam. – Spotkajmy się z twoją dziewczyną.

ROZDZIAŁ 18

– Nazywa się Veronica Diaz. Była moją szkolną ukochaną. – Leilani podkreśla słowo „ukochaną”, żeby zabrzmiało kpiąco, ale też by sprawdzić, czy się zaśmieję.

– Była?

– Skończyła już szkołę, a teraz pracuje w Sunshine przy Houston – wyjaśnia. Ciekawe, jak długo zajmie mi przyzwyczajanie się do wymowy „How-sten”. Zastanawiam się również, czym jest Sunshine.

– Ona też gra. Występowała w filmach studenckich, w kilku reklamach i w jednym odcinku *Prawa i porządku*, kiedy była mała. Była już chyba na milionie castingów. Dostała rolę w off-broadwayowskiej produkcji, ale przedstawienie nie doszło do skutku.

Staram się zachowywać tak, jakbym był pod wrażeniem, jakby mi to imponowało, choć nie jestem pewien, czy to właściwa reakcja.

– Ale nie wystarczy jej na czynsz, więc pracuje w Sunshine i takiej głównianej kawiarni przy St. Mark’s. Coffee Noir. Idiotyczna nazwa.

Leilani mówi niemal tak, jakby była zirytowana. Ciekawe, czy proponowała Veronice pieniądze. Ma kupę forsy, a jej dziewczyny nie stać na czynsz. Żadne z moich przyjaciół nie jest znacznie bogatsze albo biedniejsze ode mnie. No, poza Leilani.

Wiem, jak się czułem, kiedy bez pytania kupiła mi te ciuchy. Jeśli się o to kłóć, to stoję po stronie Veroniki. Ale nagle przypominam sobie, że McBrunightowie przecież płacą za mój czynsz. Przedtem się tym nie przejmowałem. Jak sobie z tym radzą Sally i David?

– Czy to miłość? – pytam, gdy przechodzimy przez ulicę.

– Z pewnością pożądanie – odpowiada Leilani. – Ogromne pożądanie. Poczekaj, aż ją zobaczysz.

Sunshine to kino. Wisi na nim banner reklamujący festiwal filmów irańskich.

Nawet przez podrapany pleksiglas Veronica wygląda nieźle: kręcone blond włosy i zielone oczy. Jest typową pięknoscią o wielkich oczach, małym nosku i wydatnych ustach. Ratuje się przed zaszufadkowaniem asymetrycznie przyciętą fryzurą i piercingiem. Nie budzi we mnie pożądania, ale Leilani uśmiecha się szeroko, gdy tylko ją dostrzeżga, i pędzi, by przechylić się nad kontuarem i ją pocałować.

– Tęskniłam – mówi cicho, odsuwając się. – To jest Che.

– Cześć, wiele o tobie słyszałam – wita się ze mną Veronica.

Raczej nic dobrego, jestem pewien.

Wyciąga do mnie rękę.

Czekamy chwilę na jej zmienniczkę, a potem ruszamy ciemną alejką do restauracji, która pojawia się przed nami jakby znikąd. Wejście jest małe i wąskie, ale sam lokal bardzo przestronny. Za długim kontuarem kucharze uwijają się wokół ogromnych garnków z wrzątkiem, z których sprawnie wyławiają kluski. Kelnerka śpiewnym głosem recytuje powitanie po japońsku. Dziewczęta kłaniają się i odpowiadają. Dostajemy ostatni wolny stolik.

– Elon zawsze się spóźnia – wyjaśnia Veronica. – Powinniśmy zacząć bez niego.

– Słyszałem to – oznajmia ciemnoskóry chłopak, nieco niższy ode mnie, z kozią bródką i długimi do ramion lśniącymi włosami. Przypomina Księcia Walecznego.

– Matko, Elon, zdejmij to z siebie – prosi Veronica. – Wyglądasz dennie.

Elon ściąga perukę i brodę, po czym wciska je do kieszeni, z której wystają niczym jakieś dzikie stwory, gotowe wyskoczyć i nas zaatakować. Bez przebrania wygląda jak dziewczyna.

– O wiele lepiej – oznajmia Veronica, wyciągając rękę, by pogłaskać jego gładki, zaczerwieniony od fałszywego zarostu podbródek. Może Elon jest kobietą?

– Wyglądam bosko – stwierdza Elon głosem zbyt głębokim na

dziewczynę, wsuwając się na miejsce. Może jednak jest facetem? Moje policzki nie są bardziej szorstkie od jego. Jej?

Włosy ma przyklepane. Przesuwa po nich dłonią i krzywi się.

– Złożę zamówienie i pójde doprowadzić się do porządku – oznajmia. – Umieram z głodu, ale muszę wyglądać okropnie bez moich książęcych akcesoriów.

– To jest Che – mówi Veronica.

– Och, to ten ciołek, syn najlepszych przyjaciół twoich starych? Dobrze kojarzę, Lei-Lei? To określenie wybrałaś ze słownika dawnego slangu kropka com?

– Elon! – oburza się Veronica. Leilani nawet nie przewraca oczami.

– To chyba ja – mówię i wyciągam dłoń.

– Och – wzdycha ponownie Elon. – Lubi ścisnąć dłonie, jakie to ciołkowate. – Nachyla się, żeby cmoknąć powietrze obok mojego policzka. – Nie wyglądasz na bogatego. A może bogaci Australijczycy nie obnoszą się ze swoją zamożnością?

– Nie jestem bogaty.

– Nie jest bogaty – mówi równocześnie ze mną Leilani. – Nie wszyscy przyjaciele moich rodziców są bogaci.

– To dzięki niemu rozwinęłaś w sobie upodobanie do slumsów? – Elon odwraca się do mnie i zniża głos. – Veronica i ja chodziliśmy do szkoły dzięki stypendium, a teraz wynajmujemy stancję w budynku objętym kontrolą czynszów, ale nie mów nikomu. – Wstaje. – Dla mnie tonkotsu. Z jajkiem.

Patrzę, jak Elon idzie do toalety. Ma wąskie biodra, ale też zaznaczoną talię. Rusza się rozkołysanym krokiem. Nie pomaga mi to ustalić jego płci, ale przeczuwam, że lepiej nie drażnić tematu.

– Nie jesteś w typie Elona – napomina mnie Leilani.

Oblewam się rumieńcem.

– Nie dlatego patrzę...

Dziewczyny śmieją się ze mnie.

– Elon też nie jest w moim typie – próbuję odpowiedzieć dowcipnie, ale brzmi to słabo.

– Ooooch – wzdycha ironicznie Veronica – a kto jest w twoim typie?

Mój telefon brzęczy, więc zerkam na ekran.

Przeleciałeś ją już?

SMS od Jasona. Krzywię się.

Leilani zagląda mi przez ramię, a ja szybko wyłączam ekran.

– Kogo przeleciałeś? – docieka subtelnie, akurat gdy kelner podchodzi zebrać zamówienia. Mężczyzna unosi wymownie brwi, ale nic nie mówi. – No więc? – naciska Leilani, gdy kelner odchodzi.

– Kogo masz przelecieć?

– Nikogo. To żart. Słaby żart, ale mój kumpel na ogół nie jest takim gnojkiem. – To nieprawda. Jason potrafi być totalnym gnojkiem i prawdopodobnie tym razem nie żartuje. Nie powinienem był mu mówić, że podoba mi się Sojourner. Przynajmniej zachowałem tyle zdrowego rozsądku, że nie zdradziłem jej imienia.

Veronica trąca Leilani łokciem.

– Co było w tym SMS-ie? Powiedz mi.

– Jakim SMS-ie? – pyta Elon, siadając.

– Nic – odpowiadam w tym samym momencie, w którym Leilani cytuje:

– „Przeleciałeś ją już?” Tak brzmiał SMS – wyjaśnia. – Nie zadawałam pytania.

– To był żart – wije się. – Nie dotyczył nikogo konkretnego.

– Chodziło o Leilani? – dopytuje się Elon. – Myślę, że masz u niej szansę. – Pochyliła się nad stołem i ciągnie teatralnym szeptem: – Tak między nami, uważam, że jest już gotowa na zmianę. Ona i Veronica są ze sobą od zarania dziejów.

Veronica daje mu kuksańca.

– Auć!

Kelner przynosi zamówione dania.

– Uśmierz swój ból tonkotsu – radzi Veronica.

Makaron jest przepyszny.

– Dobrze, co? – pyta Elon, a zupa cieknie mu/jej po brodzie. – Och,

Lei, wiesz, że nie mam tej roli?

Veronica wznosi oczy do nieba.

– I nie wiesz dlaczego...

Elon prychnął głośno.

– Owszem, wiem. Najwyraźniej nie mam typu urody odpowiedniego dla Piotrusia Pana.

– To teraz nazywają bycie ciemnoskórym „typem urody”? Co za postęp. – Leilani wydyma wargi. – Byłbyś idealny.

– Musimy o tym rozmawiać? – pyta Veronica.

Mój telefon znów brzęczy. Rzykuję i zerkam na ekran. To Rosa.

Tęsknię za tobą! W muzeum było super.

* * *

Wędrujemy po okolicy, którą mój telefon identyfikuje jako Lower East Side, podczas gdy Leilani, Veronica i Elon plotkują o swoich znajomych i dyskutują o ciuchach, sklepach, restauracjach i jakimś nowym hotelu, jakby byli dorośli jak nasi rodzice. Elon pyta Leilani o jej stronę internetową.

– Masz stronę internetową? – dziwię się. Wydaje mi się to staromodne.

Cała trójka wybucha śmiechem.

– Tak, Leilani McBrunight ma swoją stronę – potwierdza Elon. – Nazywa się Neofita. – Patrzy na mnie, jakby sądził, że powinienem znać tę nazwę.

– Dajcie spokój – prosi Leilani. – Che nie interesuje się modą.

– Serio? – wtrąca Veronica. – Ta koszula jest boska.

– Zmusiałam go, żeby ją kupił.

Telefon znów brzęczy. Tym razem Sally zawiadamia mnie, że Rosa spędza noc u Seimone i Mayi w domu McBrunightów, a ona i David idą tam na kolację. Wątpię, by Maya była z tego powodu szczęśliwa.

– Muszę lecieć – oznajmiam.

– Masz jakieś zajęcia?

– Trening – wyjaśniam.

– Ale jeszcze nie ma nawet wieczoru – protestuje Elon – a ja nie poznałem twoich sekretów.

– Skąd pomyśl, że w ogóle mam jakieś sekrety?

– Słusznie – wtrąca Leilani. – Zostań z nami. Przecież możesz raz odpuścić sobie trening. Jesteś nowy w Nowym Jorku, a my możemy ci przekazać tajemną wiedzę.

– Pokazać, gdzie śpią smoki – dodaje Veronica.

– I jak z nimi walczyć – uzupełnia Elon.

Przyjaciele Leilani mnie intrygują, bo są zupełnie inni od moich kumpli z kraju. Nazeem, Jason i Georgie nie dyskutują o ciuchach ani o tym wszystkim, o czym oni lubią rozmawiać.

W sumie mam ochotę się dowiedzieć, jak Leilani i spółka się bawią, a rodzice będą zachwyceni, że spędzam z nimi czas. To może zrównoważyć ich brak zachwyty, gdy się dowiedzą o sparingach.

– Dobra – zgadzam się. – Pokażcie mi swoje ścieżki.

Elon udaje, że mnie tuli, a potem wydaje serię radosnych okrzyków.

– Niech rozpocznie się nauka!

Wysłałam Sally wiadomość, że zostaję z Leilani i jej przyjaciółmi.

Baw się dobrze – odpisuje.

– Krok pierwszy – oznajmia Leilani. – Odwiedzimy Ronnie i Elona.

– A ramen nie był krokiem pierwszym? – pytam.

– Nie, krokiem pierwszym było odebranie mnie z totalnie nudnej pracy – stwierdza Veronica.

– Otwórz drzwi, Ronnie.

Veronica otwiera pokryte graffiti drzwi i prowadzi nas schodami na czwarte piętro.

– Uwielbiam chodzić po schodach – prycha Leilani.

– Skromny, ale dom – oznajmia Elon z uśmiechem. – Lada dzień założymy w naszym apartamencie windę.

Klatka schodowa jest brudna. Czuję zapach kurzu i wieloletniego brudu wdeptanego w wytartą wykładzinę. Przy każdym kroku mam

wrażenie, że moje buty lekko się do niej kleją. Ściany są zupełnie obdrapane. Na każdym piętrze przynajmniej przed jednym mieszkaniem leży sterta śmieci. Na pierwszym jest tylko jeden worek i nie śmierdzi tak strasznie, za to na drugim jest dużo gorzej.

– Lokatorzy liczą na to, że elfy wyniosą śmieci za nich – wyjaśnia Elon, gdy docieramy na czwarte piętro. Przed drzwiami ich mieszkania stoją dwa worki śmieci. – Veronica! To twoja kolej.

Ronnie jest na tyle urocza, że mamrocze pod nosem przeprosiny, ale potem wchodzi za Elonem do mieszkania.

– Veronica! – wrzeszczy Elon. – Znieś śmieci na dół.

– No dobra.

– Ale już!

Dziewczyna potulnie wychodzi, zabierając ze sobą worki.

– Ronnie jest paskudna – skarży się Elon, opadając na jedną z sof. – Jakby brud był dla niej niewidzialny. Gdyby nie była taką świetną kucharką, to od razu szukałbym nowej współlokatorki. – Strzela palcami.

– I gdyby nie była twoją najlepszą przyjaciółką, od kiedy macie pięć lat – dodaje Leilani.

– Sześć. Tak, to prawda. Choć straszna z niej fleja. Nie przeszkadza mi bałagan, ale brud? Nawet nie myje muszli klozetowej po tym, jak...

Leilani unosi ostrzegawczo dłoń.

– Nie chcemy tego wiedzieć!

– Kłapnijcie sobie – proponuje Elon.

Leilani siada na sofie naprzeciwko, a ja opadam na miejsce obok Elona. Siedzenie zapada się tak, że pośladkami niemal dotykam podłogi, a kolana mam na wysokości oczu.

– Witaj w naszym królestwie.

Śmieję się.

– Jest bardzo okazałe.

Trudno wyobrazić sobie coś bardziej różnego od rezydencji Leilani. W pokoju znajdują się dwie sofy, stół, krzesła, półki uginające się pod książkami i płytami DVD, głośniki, ekrany,

komputery, routery i okablowanie. Meble kuchenne są ustawione pod jedną ze ścian. Wąskie, wysokie okno obok nich wychodzi na schody przeciwpożarowe.

– Byłoby posprzątane, gdybyśmy nie musieli zwolnić kamerdynera. – Elon zniża głos i dodaje konspiracyjnym szeptem: – Pustoszył nam barek.

Leilani pisze coś w telefonie. Mam niejasne przeczucie, że McBrunightowie mają kamerdynera. Może nawet więcej niż jednego.

Kiedy wraca Veronica, Elon wyjmuje jointa, zapala i podaje jej, a ona bierze macha i przekazuje go Leilani, która zaciąga się tak mocno, że mam wrażenie, iż cały skręt zaraz zniknie.

Przyjaciółka podaje mi jointa. Nie udaje mi się nawet otworzyć ust, by wyjaśnić, że nie biorę narkotyków. Trzymam go i zastanawiam się, jak by zareagowali. Zamęczyliby mnie namowami.

Leilani i tak już sądzi, że jestem – jak to ujęła – ciołkiem. W sumie przywykłem do tego. Większość moich rówieśników uważa mnie za dziwaka: nie chodzę do szkoły, używam zbyt wyszukanych słów, blablabla. Nie obchodzi mnie, co myślą, ale jeśli teraz odmówię palenia trawy, natychmiast zaczniesz się męczyć o tym, „jaki on dziwny”. Nie mam ochoty wysłuchiwać, jak się rozwodzą nad moim sztywniarstwem przez kilka następnych godzin. Albo dni. Lub, nie daj Boże, dopóty, dopóki będę tu mieszkał.

Udaję, że się zaciągam, i przekazuję jointa Elonowi. Nikt nie zauważa.

Ciekawe, jakie to uczucie być upalonym? Nie wiem nawet, co znaczy być wstawionym czy na rauszu. Zawsze jestem grzeczny. Staram się nie sprawiać kłopotów, bo jestem boleśnie świadom piekła, w które Rosa może nas pewnego dnia wtrącić.

Dlaczego nie mogę choć raz zrobić czegoś niewłaściwego?

Ponieważ za bardzo się boję, że nie będę całkowicie przytomny w chwili, gdy Rosa postanowi na przykład zepchnąć Sojourner ze schodów.

Ale nie zobaczę siostry aż do jutra. Przebywa z Seimone i Mayą pod nadzorem dorosłych. Jeśli mam spróbować, to nie będzie lepszej chwili.

Kiedy Leilani ponownie podaje mi jointa, zaciągam się i wstrzymuję oddech. Nie kaszlę, choć drapie mnie w gardle. Przekazuję go Elonowi. Oczy mnie pieką.

Robimy jeszcze dwie rundy, aż skręt staje się za mały, by go utrzymać. Dym smakuje słodko, niemal jak bazylia. Wciągam najmniejszą możliwą dawkę, bo nie chcę przesadzić. Zastanawiam się, kiedy coś poczuję. Pewnie niedługo. Pozostali zachowują się całkowicie normalnie. Kiedy idę do łazienki, zauważam w lustrze, że mam zaróżowione białka oczu.

– Byłbym najlepszym Piotrusiem Panem w historii – oznajmia Elon.

– Elon! – irytuje się Veronica. – Odpuść już!

– No co, Ronnie? Wszyscy wiemy, że nie odróżniasz kolorów.

– Nie o to mi chodzi – mruczy Veronica.

– Twoja siostra mnie nie lubi – odzywa się Leilani, kiedy siadam ponownie na kanapie.

– Oczywiście, że nie. Nie uważasz jej za uroczą, a ona przywykła do tego, że każdego potrafi oczarować.

– Nie jest urocza. Przeraza mnie.

Serce bije mi szybciej. Leilani zauważyła. Równocześnie robi mi się niedobrze, ponieważ czuję, że ani na chwilę nie mogę uwolnić się od Rosy. Nie ma jej tutaj, a jednak jest. A może to zły omen, że Leilani o niej wspomniała? Niemalże ulegam pokusie, by zadzwonić do domu McBrunightów i zapytać, czy bliźniaczkom nic nie jest.

– Oczy ma odrobinę zbyt wielkie. Jest zbyt idealna. I te złote loki. Niemal jak ilustracja efektu „doliny niesamowitości”.

Czyli chodzi jej tylko o to, że Rosa wygląda jak lalka. Mam nadzieję, że nie okazuję po sobie rozczarowania.

– A to co znowu? Dolina niesprawiedliwości? „Hej, tam w dolinie...” – śpiewa Elon. – „Hej, tam przy młynie...”

– Ciii! „Dolina nie-sa-mo-wi-to-ści” – powtarza wolniej Leilani. –

To zjawisko związane z androidami. Kiedy ktoś wygląda prawie, ale nie do końca jak człowiek, budzi nasz niepokój. Dopóki nie przyjrzymy mu się bliżej, uważamy, że jest ładny. Jakbyś spoglądał na garnek do ryżu albo pluszowe misie czy cokolwiek, co wydaje ci się ładne. Aż do pewnej granicy, i wtedy...

– *Ekspres polarny!* – woła Elon.

– O mój Boże! – wykrzykuje Veronica. – Starzy kazali mnie i Saskii oglądać to, gdy byłyśmy małe. Miałam koszmary. Miesiącami. Ba, latami! Nadal przeżywam traumę. Co oni sobie wyobrażali? Co sobie myśleli wszyscy zamieszani w realizację tej potworności?

– Co to jest *Ekspres polarny*?

– On nie chodzi do szkoły i uczy się w domu. – Leilani udaje, że szepcze.

– Czasami, ale nie jestem ze średniowiecza.

– Czy to nie głównie amiszki uczą się w domu? – pyta Veronica.

– Czy ja wyglądam na amiszka? – Mam tylko niejasne pojęcie o tym, kim są amiszki.

– Musiałbyś mieć brodę – oznajmia Leilani, po czym szybko zakrywa usta dłonią, żeby powstrzymać swój szaleńczy śmiech.

– Poza tym ubierają się znacznie gorzej – dodaje Veronica, zerkając na przyjaciółkę i wyraźnie zastanawiając się, co ją tak rozbawiło.

– Mówiłam ci przecież, że zmusiłam go, by ją kupił. – Z ręką na ustach brzmi nieco mniej przemądrzale. – A także dzinsy i buty. Był smutną sportową ciapą, zanim go doprowadziłam do porządku.

– Nie uczę się w domu i nie jestem amiszem. Mam komputer, telefon i tablet. – Chciałbym wykrzyknąć, że uprawiałem też seks i brałem narkotyki, ale to nieprawda, no nie całkiem, choć robiłem to przed paroma sekundami, minutami czy ile tam czasu już minęło, i dotyczy tylko narkotyków. – Jestem ateistą wierzącym w społeczną sprawiedliwość i równość dla wszystkich niezależnie od koloru skóry, płci, upodobań seksualnych i wszystkiego innego. Nie słyszałem tylko o *Ekspresie polarnym!* Co to jest?!

Śmieją się. Przez chwilę mam ochotę na nich nawrzeszczyć, ale

potem czuję, jak ich śmiech wnika w moje pory, łaskocze mnie od środka, i ja też zaczynam się śmiać. Śmiejemy się tak szaleńczo, że dostajemy zadyszki.

– To film – wyjaśnia Veronica. – Naprawdę okropny film animowany.

– Co zatem – podejmuję temat, gdy śmiech w końcu cichnie – dolina niesamowitości ma wspólnego z Rosą?

Od razu żałuję, że zapytałem. A tak dobrze się bawiłem...

– No więc – zaczyna Leilani – ona żyje w dolinie niesamowitości. Tak jakby uczyła się być człowiekiem, ale jeszcze nie do końca załapała, o co chodzi. Jej skóra wygląda, jakby była plastikowa, a do tego ma totalnie niesamowite oczy. No i to, jak się uśmiecha lub śmieje, zawsze ułamek sekundy później niż wszyscy. Szczerze mówiąc, Che, w jej obecności chodzą mi po plecach pierdolone ciarki.

– Rany – wzdycha Veronica – muszę poznać tego dzieciaka.

– Taa, ja też – wtrąca Elon.

– Gdybym przesunęła włącznik na jej plecach – ciągnie Leilani – zaczęłaby tańczyć.

Wybucham śmiechem.

– Ona tańczy. To prawda! Zaczęła się uczyć stepowania, kiedy obejrzała film z Shirley Temple. Ludzie ciągle powtarzali, że jest do niej podobna.

Nagle przypominam sobie, że Leilani o tym wie. Seimone i Rosa chodzą do tej samej szkoły tańca.

– Shirley Temple musi być najbardziej upiornym białym dzieckiem w historii. – Leilani się wzdryga.

– Kim jest Shirley Temple? – pyta szeptem Veronica.

– Ech, ci aktorzy sceniczni... Nic nie wiedzą – komentuje Elon. – Jakim cudem dostałaś pracę w kinie, Ronnie? Widziałaś kiedyś jakiś film?

Veronica wydyma usta.

– My, ludzie sceny, wznosimy się ponad waszą plebejską sztukę.

– Mówi dziewczyna, która grała w Prawie i porządku.

– Byłam dzieckiem! Poza tym każdy aktor w historii wszechświata występuje w tym serialu!

– Już nie – stwierdza Elon. – Proszę o chwilę ciszy dla uczczenia pamięci wielkiego nowojorskiego pracodawcy zatrudniającego rzesze bezrobotnych aktorów.

– Och, na litość boską, Elon, nie kręcą go już od lat.

– Maya też nie lubi Rosy – wtrącam. – W przeciwieństwie do Seimone. Bliźniaczki zawsze miały różnych przyjaciół?

– Nie. Rosa to pierwsza osoba, z którą nie przyjaźnią się obie. Maya nie chce nawet przebywać w tym samym pokoju, co twoja siostra. Powiedziała Seimone, że coś z nią jest nie tak i że powinna się od niej trzymać z dala. A Seimone na to, że chciałaby, żeby Maya umarła. Kiedy na nią nakrzyczałam, dorzuciła, że ja też mogłabym umrzeć.

Elon wydaje przerażające dźwięki, a potem chichocze.

To wcale nie jest śmieszne.

– Ciężka sprawa – stwierdza Veronica. – Ile lat ma Rosa?

– Dziesięć – odpowiadam. Zerkam na Leilani, która odpowiada mi spojrzeniem. Przez długą, długą, długą chwilę, może nawet całe godziny, łączy nas to spojrzenie i gotów jestem zdradzić jej wszystko, opowiedzieć o całym strachu przed Rosą.

Wydaje się, że Leilani odbiera ją tak jak Georgie. Poczulbym wielką ulgę, gdybym z nią porozmawiał.

– Mam ochotę na kanapkę z homarem – oznajmia Leilani. – Ktoś jeszcze?

Chwila mija.

ROZDZIAŁ 19

Docieram do domu dopiero o czwartej nad ranem. Zamiast paść na łóżko, robię kolejny wpis do dziennika. Słowa wylewają się ze mnie. Zastanawiam się, czy nadal jestem upalony. A może tylko pijany? Kiedy zaczęliśmy pić? Czy moje wątpliwości dowodzą, że jestem pijany, czy że nie jestem?

Idę do łóżka, po drodze zrzucając kurtkę oraz buty, wsuwam się pod prześcieradło, zamykam powieki.

I nagle jest już rano.

Oczy mam sklezione na amen od snu, a język przywarł mi do podniebienia. Przez chwilę wydaje mi się, że nadal jestem w samolocie.

Łapczywie piję wodę. Język się odkleja, ale pozostaje ohydny posmak po wszystkim, co piłem i paliłem ostatniego wieczoru. Wlokę się do łazienki. Szczotkuję i nitkuję zęby, po czym zużywam pół butelki płynu do ust, na przemian płucząc i plując. Myję twarz, wycieram do sucha, nakładam krem przeciw pryszczom, znów piję wodę.

Wyciągam telefon. Dostałem zbyt wiele wiadomości, by móc je teraz przeczytać.

Schodzę na dół, krzywiąc się, gdy słyszę, jak trzeszczą schody. Nie zauważyłem przedtem, że aż tak skrzypią.

– Późno wczoraj wróciłeś – odzywa się David, który siedzi przy kuchennej wyspie i pije kawę.

– Gdzie Sally i Rose? – pytam, wspinając się na stołek naprzeciwko niego.

– Jedzą śniadanie z bliźniaczkami, Lisimayą, Gene'em i ich *au pair*. Nie pamiętam jej imienia.

– Wiedziałeś, że *au pair* znaczy „równy”? – mówią moje usta,

zanim mózg zdąży zarejestrować myśl. Niezbyt to trafne, skoro David nie potrafił nawet zapamiętać jej imienia.

– Hmm... Wrócą po śniadaniu. Wyglądasz jak śmierć na chorągwi.

– To fatalny wpływ Leilani. – Kawa smakuje paskudnie. Mam nadzieję, że z powodu płynu do płukania, który wytrawił moją jamę ustną.

– Widzę właśnie.

– Czy to reprimenda? – pytam.

David wybucha śmiechem.

– Po pierwszym razie, gdy zdecydowałeś się zachować jak typowy nastolatek?

– Chciałem sprawdzić, jak wpłyną na mnie narkotyki i alkohol. Wiesz, nastolatki to robią od niepamiętnych czasów.

– Nastolatki to wynalazek naszych czasów – stwierdza David, uśmiechając się, bo tak zwykła mawiać Sally. – I co sądzisz o narkotykach i alkoholu?

– Zeszłej nocy czy teraz?

– Zeszłej nocy.

– Było zabawnie i dziwnie, prowadziłem ciekawe rozmowy i zjadłem więcej niż kiedykolwiek w życiu.

– W to trudno mi uwierzyć – rzuca z przekąsem David.

– „Złego” jedzenia. Teraz za to czuję się koszmarnie. Wciąganie dymu do płuc jest wstrętne. Nie myślę jasno i marzę o powrocie do łóżka.

– Nie spałeś za wiele.

– To był raczej antysen – stwierdzam. – Idę na salę sprawdzić, jak bardzo popsuky mi się odruchy.

– Pewnie bardzo. Jesteś taką idealnie dostrojoną machiną, że z pewnością jakieś sworznie ci się poluzowały.

– Wyglądasz na zadowolonego z tego powodu. – Muszę się bardzo koncentrować, żeby nadążyć za tym, co mówi David, i znaleźć odpowiedzi.

Na twarzy ojca wykwita promienny uśmiech, w komplecie z

dołeczkami i całą resztą.

– Cieszę się, widząc, że zachowujesz się jak typowy nastolatek, jak ja i Sally w twoim wieku. Twoja niechęć do eksperymentów trochę nas niepokoi.

Oczy Davida wydają się większe. Mam też wrażenie, że poruszają się niezależnie od jego twarzy, co nie może być prawdą.

– Przepraszam, że nie chcę pić i palić trucizny. Winię was za to, że nie mogłem w żadnej szkole zostać na tyle długo, bym musiał sięgać po narkotyki, żeby się wpasować w środowisko.

– Ależ proszę bardzo – odpowiada ojciec. – Jesteśmy dumni, że wychowaliśmy dwoje dzieci o umysłach nieskażonych szkodliwymi bzdurami, które zostałyby w nie wpompowane, gdyby spędzały za dużo czasu w zwykłej szkole.

Brzmi to tak, jakby recytował wyuczony tekst. Przez chwilę zastanawiam się, czy David naprawdę tak myśli, czy też powtarza opinie Sally. Chyba nadal jestem upalony. Pokój lekko się przechyla. Nie doszedłem jeszcze do siebie. Źle mi z tym.

– Nie chcę, żebyś wpadł w narkotyki i alkohol, bo zaprowadziły zbyt wielu ludzi w złe miejsca. Lecz nie ufam ekstremom. Abstynenci niepokoją mnie równie bardzo jak alkoholicy.

– To głupie. Niepicie nie jest ekstremum. To nierobienie czegoś, co robią wszyscy inni. A jeśli chodzi o zeszłą noc, czy raczej dzisiejszy ranek, to wiem już, dlaczego unikałem alkoholu i narkotyków i dlaczego zamierzam nadal to robić. – Popijam kawę. Czuję się po niej gorzej. – To jakby mówić, że ateizm jest ekstremalny.

David znajduje się za blisko mnie. Choć chyba wcale nie. Nie jestem pewien.

– Ateizm... – kontynuuję. O czym to ja mówię? – Ateizm nie jest... no, nie jest. To znaczy, chodzi tylko o to, że się nie wierzy w Boga.

Wiem już, co chcę powiedzieć.

– Jedyne, co wiesz, gdy ktoś ci mówi, że jest ateistą, to fakt, że nie wierzy w Boga. Ekstremalne byłoby, gdyby ateści próbowali powstrzymać wszystkich od wierzenia w to, w co chcą. Jeśli ktoś tak

się zachowuje, to umyka mu sedno niewiary w Boga. – Zaraz, rozmawialiśmy przecież o niepicciu. – Nie znam nikogo, kto nie pije i nie bierze narkotyków, a do tego próbuje powstrzymać przed tym wszystkich innych.

– Przypomnij mi, żebym kiedyś ci opowiedział o prohibicji. – David unosi ręce w ironicznym geście kapitulacji, żeby powstrzymać mnie od dalszych wywodów. – Jesteś dość wygadany jak na nastolatka na kacu. Winię za to twoje dobre wychowanie.

– Samochwalstwo to żadna pochwała.

– To co będziesz dziś robił?

– Mówiłem ci: idę na trening. Muszę się chyba też trochę pouczyć. Poczytać te podręczniki do historii, z których nigdy mnie nie odpytacie. Są jajka?

David potakuje.

– I bekon. Zrobić ci jajecznicę?

– Jasne. Choć wiesz, to dziwne, że tak się mną zajmujesz w nagrodę za noc spędzoną na paleniu i picciu.

– Zawsze byliśmy dziwnymi rodzicami.

Zapach smażonych jajek zmusza mnie do natychmiastowej wizyty w toalecie.

* * *

Ewakuuję się do swojego pokoju. Powinienem rozwiązać zadania, które dał mi Geoff, ale no cóż... moja głowa. Sięgam po jeden z podręczników Studsa Terkela, ale nie mogę się skupić. Zamiast tego otwieram swój dziennik. Aż do znudzenia wałkuję w nim kwestię Rosy.

Leilani zauważyła jej inność.

Czytam notatki na temat siostry, zastanawiając się, jak by je odebrał ktoś z zewnątrz. Co by pomyślała Leilani?

Powinienem był spróbować porozmawiać z Davidem. Miał taki dobry nastrój, przygotowując mi śniadanie, dumny z tego, że paliłem jointa. Ale nie jestem gotów na powtórkę konfrontacji z

Sally.

Czytam o tym, jak Rosa nakłoniła Apinyę do zabicia świnki morskiej.

I nagle, w samym środku relacji widzę zdanie: „Podpal i patrz, jak płonie”.

Nie pamiętam, żebym je napisał.

Czy mogłem to dodać zeszłej nocy? Nie pamiętam powrotu do domu. Wiem, że otworzyłem dziennik i coś zapisałem. Nie przypominam sobie co.

Najnowszy wpis to chaotyczna, bezładna relacja z wieczoru w towarzystwie Leilani i jej przyjaciół. Nie ma tam nic dziwnego, prócz tego, że jestem bardziej, niż przypuszczałem, zaintrygowany tym, czy Elon jest dziewczyną, czy facetem. Może ani tym, ani tym. Są tacy ludzie.

Jestem też zafascynowany Sojourner dokładnie tak bardzo, jak myślałem. Usuwam te fragmenty. Rozwodzę się również nad tym, że uwielbiam sparingi, choć jestem w nich słaby. Snuję fantazje, jak by to było naprawdę kogoś trafić. Najwyraźniej roję sobie, że to będzie coś w rodzaju orgazmu. Hmm, przecież wcale tak nie myślę. Zdecydowanie nie chcę nigdy więcej się upić ani upalić. Idiocieję od tego.

Wracam do wpisu na temat Apinyi.

„Podpal i patrz, jak płonie”.

To niepodobne do mnie. Czy Rosa mogła to dopisać?

Słyszę chichot mojej siostry.

Odwracam się, a ona stoi w drzwiach.

– Sally i David mówią, że dostanę psa, jeśli przez dwa miesiące zdołam się zajmować tym wirtualnym i go nie zabić. – Podnosi tablet, żeby mi pokazać aplikację.

– Gratki – rzucam.

Nie mogła się włamać do mojego dziennika, prawda? Pilnuję zmiany haseł, a plik jest głęboko schowany. Wychodzę z dziennika, usypiam komputer i przełączam telefon na nagrywanie.

– Chcę, żebyś oddała naszyjnik Seimone – oznajmiam. – Dostała

go od babci.

– Już go oddałam. To była pożyczka. Widzisz? – Rosa rozciąga kołnierzyk, pokazując, że nie ma nic na szyi.

Wyjmuję telefon.

– Co robisz, Che?

– Piszę do Leilani, żeby sprawdziła, czy Seimone dostała swój wisiołek z powrotem.

Rosa wydyma usta.

– Dostała, dostała. Tańczyłyśmy wczoraj razem, choć ona trenuje balet, nie stepowanie. Uczyłyśmy się nawzajem różnych kroków.

Na dowód wykonuje piruet.

– A co robiła Maya?

Rosa wzrusza ramionami.

– Skąd mam wiedzieć? Zadawałam Seimone mnóstwo pytań, a ona na nie odpowiadała. Okazałam zainteresowanie. Wiem teraz o niej wiele różnych rzeczy.

– Wspaniale – mówię, choć wcale nie jestem tego taki pewien. – Ale nie bawiliście się z Mayą?

– Oczywiście, że nie. Ona mnie nie lubi i jest wredna.

W to pierwsze, w przeciwieństwie do tego drugiego, potrafię uwierzyć.

Mój telefon brzęczy. SMS od Leilani.

Miała go dziś rano. Dlaczego pytasz?

Rosa uśmiecha się ironicznie, choć nie widzi ekranu.

– Będę miała psa, Che – powtarza. – Nie skrzywdzę go, zobaczysz. Dotrzymuję obietnic.

– Cieszę się.

Siostra obejmuje mnie z tabletem w dłoni. Mam ochotę ją spytać, czy będzie mnie też ścisnęła ze szczeniakiem na ręku. Ale jest ciepła i przytula się do mnie tak jak wtedy, gdy była malutka. Ten delikatny, świeży zapach niemowlaka dawno zniknął, a ona od tamtej pory zrobiła i powiedziała wiele okropnych rzeczy, ale potrzebuję wierzyć temu uściskowi.

Kocham Rosę. Nie sądzę, bym kiedyś przestał.

– Przytulanie jest miłe – mówi, a ja już mam na końcu języka,
żeby nie przeginała.

„Podpal i patrz, jak płonie”.

Czy to właśnie próbuje mi zrobić?

CZEŚĆ TRZECIA

Chcę mieć dziewczynę

ROZDZIAŁ 20

Cztery tygodnie po wylądowaniu w Nowym Jorku znów zapisuję, a potem usuwam swoją listę priorytetów.

1. Muszę kontrolować Rosę.

Rosa, Rosa, Rosa, Rosa, ciągle Rosa.

Dobra wiadomość jest taka, że nie zrobiła nic gorszego niż ucieczka z domu, niegrzeczne zachowanie wobec policji i kradzież: pióra z kapelusza kobiety w kościele, koreańskiej lalki i wisiora, który ponoć dostała od Seimone. Och, i kłamstwa, niekończący się strumień kłamstw. Wszystko to jest jej status quo. Ale nie było więcej martwych świnek morskich ani innych stworzeń. Ani dziwnych wpisów w moim dzienniku.

Zła wiadomość jest taka, że przykleiła się do Sojourner. Poszła już dwa razy do szkoły biblijnej, w której Sojourner uczy, i nie chciała o tym w ogóle opowiadać. Twierdzi, że jest teraz jej przyjaciółką. Georgie uważa, że ona próbuje mną manipulować i że nie powinienem na to pozwolić.

Wcale nie jestem bliżej poważnej rozmowy z rodzicami na jej temat.

Zresztą co by to dało?

2. Chcę brać udział w sparingach.

Walczyłem w sparingu! Walczę! Będę walczył!

Jestem uzależniony.

Potrafię się w tym zatracić nawet bardziej niż w treningach. Nie myślę o niczym innym prócz ataku, obrony, kontrataku. Widzę tylko przeciwnika, jego oczy i pięści w rękawicach.

Rosa wtedy nie zajmuje moich myśli nawet przez nanosekundę.

Wszystko, czego doświadczyłem wcześniej, nie ma porównania z potyczką na ringu. Z wymianą ciosów. Z obroną. Ze wszystkim. Teraz wiem, czym jest walka. Jak niewielką, a zarazem jak ogromną kontrolę sprawuję nad własnym ciałem. Nie muszę świadomie wyprowadzać ciosu. To się dzieje automatycznie. Nauczyłem się tego. Zostałem bokserem.

Dido jest pod wrażeniem moich postępów. Ja też jestem pod wrażeniem, a Jason nie może się doczekać wspólnego sparingu.

Na razie nic nie powiedziałem rodzicom, co w pewnym sensie czyni ze mnie kłamcę. Muszę im powiedzieć.

3. Chcę mieć dziewczynę.

Przyjaźnię się z Sojourner. Jest totalnie niesamowita. Świetnie boksuje, jest inteligentna i zabawna. Nie tak jak Leilani, w spokojniejszy sposób. Czuję się przy niej wyluzowany. No, poza chwilami, kiedy myślę o tym, jak by to było wziąć ją w ramiona, przyłgnąć skórą do skóry... Ech.

Staram się nie zastanawiać, jak by to było, gdybyśmy przeszli od przyjaźni do czegoś więcej. Nie dojdzie do tego. Nie wierzę w Boga i nie będę udawał, że jest inaczej.

4. Chcę wrócić do domu.

Już nie tak bardzo jak wcześniej. To miasto jest nawet fajne, ale to nie mój kraj i czuję, że za długo się błąkam po świecie.

* * *

Dziś mam drugą walkę z Mięśniakiem. Do tej pory unikał sparingów ze mną. Pewnie się wstydził.

Tym razem panuje nad sobą, ale nadal jest powolny. Widzę ruch jego oczu i ramienia na długo przed tym, zanim wyprowadzi cios, przez co łatwo mi zrobić unik. W związku z tym on stara się ruszać szybciej i robi się bardziej niezdarny.

– Patrz na oczy, nie na rękawice! – woła Dido.

Widzę tylko przekrwione oczy Mięśniaka, którymi mruga szybko, żeby nie zalewał ich pot.

Potem rozlega się dzwonek. Koniec walki, zetknięcie się rękawicami, cofnięcie, zdjęcie rękawic i kasku.

– Dobra robota – chwali nas Dido, odciągając Mięśniaka na bok, żeby przekazać mu więcej szczegółowych uwag.

Jestem wniebowzięty. To było łatwe. Mięśniak nie stracił kontroli nad sobą, a ja nie zrobiłem się rozlazły wtedy, kiedy on się taki zrobił. Obaj walczyliśmy lepiej niż podczas pierwszej sesji. Oddycham ciężko. Nie czuję, że minęły tylko trzy minuty. Chcę znów walczyć. Najchętniej przeciwko Sojourner. Ona nie jest powolna i nie oznajmia telegrafem, gdzie uderzy.

– Che! – woła ktoś, gdy schodzę z ringu.

Brzmi jak Sally. Odwracam się.

To jest Sally.

Chryste! Cała moja rodzina stoi w sali, gapiąc się na mnie.

Sally, David i Rosa, a z nimi McBrunightowie. Seimone ma zielone rękawiczki. Maya macha do mnie radośnie ręką, gestem zupełnie nie na miejscu. Twarz mam rozgrzaną od wysiłku, ale teraz robi się jeszcze gorętsza. Boję się, że pryszczce wybuchną jak małe wulkany.

Rosa uśmiecha się szeroko.

– Pomyśleliśmy, że będziesz miał ochotę wybrać się z nami na kolację. – Sally zwraca się do mnie tak chłodno, jak jeszcze nigdy w życiu. – Za kwadrans mamy zarezerwowany stolik w knajpce za rogiem.

David nic nie mówi. Ma usta ciasno zasznurowane.

– To jedna z naszych ulubionych restauracji – dodaje Gene, jakbym nie został właśnie przyłapany na robieniu czegoś, czego obiecałem nie robić. Może on nie wie. Może uważał, że to całkiem normalne, że schodzę z ringu.

– Brzmi świetnie – odpowiadam.

– Dobra robota – powtarza Dido, klepiąc mnie po ramieniu. – Zwłaszcza twój prosty. Przy haku lewa ręka opada, a podbródek idzie ci w górę. Ale jest o wiele, wiele lepiej.

– To moi rodzice – mówię, bo dziwnie by było, gdybym ich nie przedstawił. – Dido, moja trenerka. Jest świetna.

– Masz sporo rodziców. – Uśmiecha się do czwórki dorosłych i podaje rękę Davidowi, który prezentuje swój uśmiech w całej krasie. – Jestem Dido – dodaje, rumieniąc się, gdy ściskają sobie dłonie.

– David, ojciec Che. Miło mi panią poznać.

– Sally. – Mama wyciąga rękę i Dido mruga raptownie, przypominając sobie, że powinna wypuścić dłoń Davida i przestać się w niego wpatrywać. Sally przedstawia pozostałych, a jej głos znów nabiera ciepłej barwy.

– Ja jestem Rosa – oznajmia moja siostra, zanim Sally zdąży się odezwać. Wykonuje swój uroczy dyg. – Czy Che brał udział w sparingu? Wygrał? Wyglądało, jakby wygrał.

– Tak, to był sparing. Nie wygrał, bo to nie jest walka, tylko sprawdzian umiejętności – wyjaśnia Dido. – Ale dobrze sobie poradził. Che jest urodzonym bokserem, a do tego myślącym. Wspaniałe połączenie. Możecie być z niego dumni. A teraz proszę mi wybaczyć.

– Masz niezły zapał, Che – odzywa się Gene. – Trening w piątkowy wieczór, no no...

Uśmiecham się, nie wiedząc, jak na to odpowiedzieć przy rodzicach.

– Ładna sala – stwierdza Lisimaya. – Nie tego się spodziewałam. Jest bardzo czysto i ćwiczy tu mnóstwo kobiet.

– Tak – potwierdzam. – Nie to, co dawniej. Wtedy było niefajnie, za dużo testosteronu.

Sally i David milczą.

– Eee, hm, chyba powinienem się przebrać – dodaję.

– Poczekamy na zewnątrz – proponuje mama i oddala się wraz z Davidem.

Stoję, ociekając potem.

Rosa i bliźniaczki przyglądają się treningowi judo na innym ringu. Przeciwnicy szamoczą się na macie. Seimone chichocze.

– Cześć – mówi Sojourner, podchodząc do Rosy. – Teraz wierzysz, że nie jestem tu jedyną dziewczyną?

Zdejmuje owijki i się uśmiecha.

Uświadamiam sobie, że ja nadal nie zdjąłem swoich, które są przesiąknięte potem.

Rosa kiwa głową.

– Ja też chcę się nauczyć walczyć.

Sojourner wybucha śmiechem.

– Mogę ci dać kilka wskazówek na temat samoobrony, kiedy zechcesz.

– Tak, proszę!

– Mnie też? – dopytuje się Seimone. – Jestem Seimone.

– To moja najlepsza przyjaciółka – wyjaśnia Rosa.

– Miło mi cię poznać – odpowiada Sojourner. – Chętnie was pouczę.

– A to jest Maya – wtrącam.

– Cześć – mówi Maya.

– Ciebie też miło mi poznać – wita ją Sojourner. – Jesteś...

– Mam pytanie – przerywa Rosa, nachylając się do Sojourner. – O Księgę Hebrajczyków rozdział czwarty wers trzynasty. Właściwie o większą część tej Księgi.

Pytania o Biblię? No błagam...

– A może zjesz z nami kolację? – proponuje Rosa, podnosząc głos i zerkając na Gene'a i Lisimayę, która natychmiast odpowiada:

– Oczywiście, zapraszamy, im nas więcej, tym weselej.

Odmów, odmów, odmów – błagam w myślach Sojourner.

– Bardzo chętnie – zgadza się ona. – Tylko muszę się przebrać.

– Ja też – wtrącam. Kurwa. Nie ma nic lepszego do roboty? – To nie potrwa długo.

– Wyślemy wam adres SMS-em – mówi Lisimaya. – Knajpka jest przy Clinton. Leilani będzie już na miejscu.

Bosko, myślę.

Ruszamy do szatni.

– Nie musisz iść na tę kolację – mówię. – Rosa każdego próbuje

terroryzować.

– Ale chcę. Tak postępują przyjaciele: dowiadują się więcej o rodzinie przyjaciół, żeby móc ich później zawstydzić.

– Świetnie. – Wzdycham. – Słuchaj, to nie będzie typowa kolacja. Wiesz, że obiecałem im nie uczestniczyć w sparingach?

Sojourner potakuje.

– No więc nie powiedziałem im...

– Skłamałeś?

– Nie. Po prostu o tym nie mówiłem... Ale na jedno wychodzi, wiem. Zatem to będzie cholernie nieprzyjemne przeżycie.

Sojourner się uśmiecha.

– Teraz to dopiero chcę pójść i zobaczyć, jak bolesny może być zimny wzrok twoich rodziców.

– Super – mruczę pod nosem, po czym skręcam do męskiej szatni.

– Che! – woła za mną Sojourner. – Nie pójdę, jeśli tego nie chcesz.

– Naprawdę?

– Pewnie.

Chciałbym poprosić, żeby nie szła, ale nie mogę się na to zdobyć, bo w ten sposób będę mógł spędzić z nią trochę więcej czasu.

– Nie, chodź. Ale w rewanżu musisz zaprosić mnie na kolację ze swoją rodziną i lepiej, żeby to był dla ciebie koszmar.

Sojourner wybucha śmiechem.

* * *

W restauracji panuje straszny ścisk. Podłogi i ściany wyłożone są płytkami, potęgującymi hałas wywołany brzękiem talerzy, rozmowami i stukaniem obcasów. Musimy się przeciskać między stolikami, przy których tłoczą się klienci i kelnerzy balansujący wielkimi tacami. Gdy docieramy do naszego stołu, okazuje się, że zostały tylko dwa wolne krzesła: jedno w części dla dorosłych, drugie dla dzieciaków.

– To jest Sojourner – oznajmiam. – Trenujemy razem. Rosa ją zaprosiła.

Wszyscy się witają. Sojourner zwraca się do dorosłych per „proszę pana” i „proszę pani”, ale oni wolą, by mówiła im po imieniu.

Sally kiwa do mnie głową, wskazując miejsce między nią i Davidem. Bosko. Leilani unosi brwi, jakby chciała powiedzieć: „Masz przechłapanie”.

Sojourner siada między Rosą i Leilani. Telefon w mojej kieszeni brzęczy.

Gene składa zamówienie po koreańsku, a Leilani i Maya mu wtórują. Wydaje się, że cały personel ich zna.

– Czy to ta dziewczyna, która zaprosiła cię do kościoła? – pyta Sally, niższy głos. Mimo że siedzi obok mnie, muszę się pochylić, by ją słyszeć. – Ta, która uczy Rosę o Biblii?

– Tak. – Naprzeciwko mnie Leilani mówi coś do Sojourner, potem zerka na mnie i lekko unosi brew. Sojourner się śmieje. Moje policzki oblewa rumieniec.

– Jest olśniewająca.

– Bokser musi taki być. Musi olśniewać.

Sally nie jest rozbawiona moim żartem.

Seimone, która siedzi po drugiej stronie mojej siostry, z Mayą u boku, odwraca się do Rosy, zupełnie wykluczając bliźniaczkę z rozmowy. Maya opiera się o Lisimayę, która otacza ją ramieniem.

Rosa i Seimone wybuchają śmiechem, kiedy Gene zadaje im jakieś pytanie, a potem wymieniają znaczące spojrzenia.

Leilani i Sojourner rozmawiają o czymś, chyba o bieganiu, ale jest tak głośno, że nie mam pewności. Sojourner poprawia się na krześle. Ta kolacja to jakaś tortura.

– Od jak dawna uprawiasz boks, Che? – pyta Gene. Ma z natury donośny głos.

– Od kiedy skończył pięć lat, choć z założenia miała to być samoobrona – wyjaśnia David. – Potem szybko ewoluowało w kickboxing, a następnie w boks. A ty, Sojourner?

Musi powtórzyć pytanie, żeby Sojourner je usłyszała.

– Moja ciotka Susan – wyjaśnia dziewczyna, niemalże krzyżąc –

jest trenerką w Jersey. Trenowałam boks razem z kuzynami, ale tylko mnie to naprawdę wciągnęło.

– Ja trenowałam z ojcem – zwierza się Gene. – Szczęściarze z nas, co?

Sojourner kiwa głową.

– Główna rzecz, jakiej się nauczyłem w boksie, to że podstawą jest obrona. – Gene śmieje się cicho. – A także, by nigdy nie opuszczać posiłków. Rany, jaki ja byłem głodny, kiedy trenowałam.

– Zgadza się – potwierdzam, wymieniając z Gene'em skinienia głową. Rzucam się na pikle i naleśniki, które kelner stawia przed nami.

Wszyscy zajmują się posiłkiem. Leilani rozmawia z Sojourner. Rosa i Seimone chichoczą. Niezależnie od tego, jak bardzo wyteżam słuch, docierają do mnie tylko pojedyncze słowa.

Maya spogląda na mnie, a ja się uśmiecham, wskazując wzrokiem Rosę. Maya odwzajemnia uśmiech.

Dorośli rozmawiają o interesach. Piszę pod stołem SMS-a do Jasona:

Gównno wpadło w wiatrak. Starzy wiedzą o sparingach. Nie są zadowoleni.

Gdy tylko opróżnimy jeden półmisek, kelner przynosi następny. Jestem wdzięczny, że mogę zająć się jedzeniem. Sally i David nie odzywają się do mnie.

Spoglądam przez stół na Rosę. Jestem prawie pewny, że to jej sprawka. To ona zasugerowała, żeby wpadli po mnie na trening. Od kiedy to moja rodzina nie uprzedza o wszystkim SMS-em?

Przyglądam się, jak Sojourner śmieje się z dziewczętami. Wciągnęła do rozmowy Mayę. Leilani pochyla się nad swoim telefonem. Jem dalej, zadowolony, że nie muszę z nimi gadać.

– Leilani – grzmi Gene – żadnych telefonów przy stole!

Dziewczyna nie podnosi wzroku. To niemożliwe, żeby nie słyszała.

– Żadnych telefonów przy stole, Lei! – powtarza jej ojciec jeszcze głośniejszym głosem.

Tym razem nie może udawać, że go nie słyszy.

– Czas się liczy, tato. Muszę zamieścić wpis przed północą.

– Przed północą w piątek? O kompletnie martwej porze dla informacji prasowych?

– No dobra. – Leilani kładzie telefon na kolanach.

– Poza tym będziemy w domu sporo przed północą – dodaje Gene – jeśli rzeczywiście czas jest taki istotny.

Hałas w restauracji trochę cichnie. Duża ekipa obok nas skończyła posiłek i ich stół zostaje rozłożony na kilka mniejszych.

Rosa głośno pyta Sojourner:

– Che jest twoim chłopakiem?

Sojourner się śmieje.

– Nie, tylko trenujemy razem.

Leilani unosi jedną brew. Chciałbym powiedzieć coś zabawnego, co zmniejszy napięcie, ale nic mi nie przychodzi do głowy.

– Och – wzdycha Rosa, starając się wyrazić jak największe rozczarowanie. – Che nigdy nie miał dziewczyny. Myślę, że bylibyście idealną parą.

– Hm, dziękuję – mówi Sojourner. Posyła mi spojrzenie, które, mam nadzieję, jest bardziej współczujące niż litościwe. Z jej twarzy nie czyta się tak łatwo jak z min Leilani.

Brew tej ostatniej pozostaje w górze. Już widzę, jak powtarza tę rozmowę Veronice i Elonowi. Zapewne postara się, bym był przy tym obecny.

– Naprawdę? – dziwi się Gene. – Taki przystojny chłopak?

Lisimaya daje mu szturchańca.

Sally pyta Gene'a o potencjalnego inwestora, który został zaproszony na przyjęcie. Przestają ich słuchać i atakują żarłocznie wieprzowinę, którą kelner stawia na stole.

– Co o tym myślisz, Che? – pyta nagle Sally.

Spoglądam na nią.

– O czym?

– Zaprosiliśmy twoją przyjaciółkę, Sid, i jej najlepszą przyjaciółkę... jak ona ma na imię, Sid?

- Jaime.
- Zaprosiliśmy je na parapetówkę, podobnie jak tych przyjaciół Leilani, z którymi byłeś wtedy wieczorem.
- Veronicę i Elona – podpowiada z uśmiechem Leilani.
- Zapowiada się fantastycznie – podsumowuję.

* * *

Sally, David i Rosa idą przede mną po Clinton. Rosa papie o Seimone: „Czy ona też może pojechać na obóz taneczny?”. Pada mnóstwo „Mogę?” i „Chcę”. Żadne z nich nie próbuje rozmawiać ze mną ani nawet wygłosić spodziewanego kazania na temat sparingu. Zakładam, że zrobią to dopiero w domu.

Jest tu dużo spokojniej niż na Drugiej Alei. Zamknięte na kłódkę sklepy z zasuniętymi roletami wyglądają na opuszczone. Większość drzwi jest upstrzona chaotycznymi tagami, rzadziej graffiti. Gdyby nie otwarte bary i restauracje, ulica wydawałaby się całkiem wyludniona.

Wyciągam telefon. Czytam SMS-y od Leilani, która chce wiedzieć, dlaczego moi rodzice byli tacy ponurzy, no i oczywiście:

Żadnej dziewczyny? Nigdy? To oznacza, że nasza grupa jest teraz kompletna. Od dawna brakowało nam prawiczka.

Odpisuję szybko:

Pieprz się. Poza tym brak dziewczyny nie oznacza, że jestem prawiczkiem.

A jesteś?

Czekaj, zaliczyłaś mnie do grupy? Przyjęliście mnie! Co za zaszczyt. Dostanę tiarę? Powinienem wygłosić mowę?

Nigdy nie byłem nagi przy dziewczynie. Całowałem się, dotykałem piersi i tyłków, ale wyłącznie przez ubrania. Czy to chociaż druga baza? Muszę sprawdzić. I tylko ja sam dotykałem mojego fiuta. Dość żałosne.

Telefon znów brzęczy. Wyciągam go.

Rosa zostaje z tyłu i dołącza do mnie.

– Zaraz się przewrócisz. Wiesz, że tutaj pisanie SMS-ów podczas chodzenia jest wbrew prawu?

Zerkam na nią.

– Nie jest.

– Owszem, jest – upiera się.

– To śmieszne.

– Wcale nie. Patrz, prawie się potknąłeś. A gdyby była dziura w chodniku?

– Nie ma dziury, a pisanie SMS-ów nie powoduje u mnie zaniku widzenia bocznego – ripostuję.

– W Nowym Jorku wszędzie są umieszczone kamery, żeby można było obserwować, kiedy ludzie łamią prawo, i aresztować ich.

– Za pisanie SMS-ów podczas spaceru? – szydę.

– Choć kamery nie znajdują się na każdym rogu, a do tego niektóre są popsute – dodaje moja siostra.

– Skąd to wiesz?

Rosa wzrusza ramionami.

– Lubię wiedzieć różne rzeczy – wyjaśnia. – Może cię nie sfilmowali. Tym razem...

– Dlaczego jesteś taka wredna?

– Bo to zabawne.

– I dlaczego zorganizowałaś wszystko tak, by rodzice się dowiedzieli, że walczę w sparingach?

– Nie możesz mieć pewności – odpowiada, potwierdzając moje wątpliwości. Ma minę równocześnie przebiegłą i pełną satysfakcji. – To zabawne, że ty jesteś tym złym. Powinno tak pozostać. Od teraz ja będę tą dobrą.

Spogląda na mnie, wyraźnie czekając na powtórzenie pytania, dlaczego im powiedziała. Nie zadam go.

Wiem dlaczego. Bo mogła.

– Gdybym naprawdę chciała wpakować cię w kłopoty – dodaje cicho Rosa, kiedy zbliżamy się do domu – byłyby znacznie gorsze niż te.

Po dotarciu do domu wkładam strój sportowy do pralki i

nastawiam ją. Rodzice nadal nic nie powiedzieli.

Słyszę, jak Rosa pyta, czy może zjeść lody, a potem jak zamykają się drzwi do gabinetu.

Wychodzę z pralni, a siostra siedzi przy wyspie kuchennej pochylona nad tabletem, jedząc lody. Najprawdopodobniej gra w szachy albo planuje zniszczenie świata, albo po prostu usiadła jak najbliżej drzwi do gabinetu, żeby podsłuchiwać, kiedy rodzice wezwą mnie na dywanik. Jeśli to zrobią. Może każą mi się podduścić we własnym sosie przez noc.

Uświadamiam sobie, że nie mam pojęcia, jak postąpią, bo nigdy jeszcze nie narozrabiałem.

Nalewam sobie szklankę mleka.

Rosa nie podnosi wzroku.

Podchodzę do okna. W mieszkaniach naprzeciwko rolety są spuszczone albo światła pogaszone, więc nie mogę szpiegować sąsiadów jak Leilani i jej siostry. Siadam na sofie i wyjmuję telefon. Najpierw piszę do Natalie.

Uwielbiam sparingi. Dzięki za radę.

Następnie do Jasona:

Rodzice odkryli, że walczę w sparingach. Przyłapali mnie. Jak u ciebie?

Do Nazeema:

Jak sobie radzisz w krainie miłości?

I w końcu do Georgie:

Jedna z moich koleżanek bardzo interesuje się modą. Zabrała mnie do absurdalnie drogiego sklepu pełnego ciuchów, które chybaby cię powaliły na kolana.

Szkoda, że nie mogę napisać do Sojourner, ale nadal nie mam jej numeru. Jestem pieprzonym tchórzem i boję się poprosić. Mogłem to zrobić dzisiaj, ale nie przy wszystkich, a na treningach zawsze w pobliżu kręci się Jaime.

Przychodzi odpowiedź od Georgie.

Super. Jak się nazywa ten butik?

Nie wiem. Na drzwiach był obrazek ze szpulką nici. Dziwne

miejsce. Drzwi mają zamknięte. Pewnie tutaj tak trzeba. Choć moim zdaniem powinni raczej chcieć, żeby ludzie wchodzili do sklepu.

To Szpula. O Boże! Opisujesz Szpulę? Żartujesz chyba! Nie mogłeś pójść do Szpuli.

Co?

Szpula to najbardziej ekskluzywny butik na tej planecie. Kurator najpierw sprawdza klientów on-line, zanim dostaną pozwolenie na wizytę, musisz być umówiony i nie uwierzysz, kogo tam nie wpuścili. Najsłynniejszych, najbogatszych i w ogóle.

Brzmi podle.

Ja pierdzielę, jak się tam dostałeś?! Co miałeś na sobie? Chyba nie spodnie od dresu, co? Jezu, Che!

Nie przyznaję się.

Wyglądało tak, jakby Leilani wszystkich tam знаła. Często u nich bywa.

Twoja kumpela ma na imię Leilani? Jak ta Leilani McBrunight?! Nie mówisz poważnie! Ja pierdolę pod niebo! Che, skąd znasz Leilani McBrunight?!

Sally wychodzi z gabinetu.

– Che?

Wyłączam dźwięk w telefonie i, wsuwając go do kieszeni, idę za mamą, po czym zamykam za sobą drzwi.

Nie byłem w gabinecie, od kiedy zastawili go swoimi sprzętami i zamienili w takie samo zagracone, ale dziwnie zorganizowane miejsce pracy jak wszędzie, gdzie się zatrzymujemy. Tablicę korkową pokrywają fiszki i wykresy terminów realizacji projektu. Pewnie dotyczą nowego przedsiębiorstwa McBrunightów. W ich biurze zawsze jest tablica korkowa albo inna. Na ogół wisi na niej przynajmniej jeden wykres czasowy, niekiedy kilka.

Atak jest najlepszą obroną. Oklepana zasada, ale czasem się sprawdza.

– Złamałem obietnicę – zaczynam. – Walczyłem w sparingu, ale uwielbiam to i nie zamierzam rezygnować.

Oboje próbują mi przerwać, lecz mówię dalej.

– Wszystko, czego się do tej pory nauczyłem, nabrało sensu. Kiedy opuścisz ręce, odsłaniasz się. Podobnie, gdy unosisz brodę. Kiedy poruszasz się po prostej do tyłu, utykasz na linach. Do tej pory było tak, jakbym uczył się języka, poznawał alfabet, zasady gramatyczne i pisownię, ale nie mogłem w nim mówić. Nie mogłem nie walczyć w sparingach. To była zła obietnica – mówię coraz głośniej, żeby nie dopuścić Davida do głosu. – Zawsze robię wszystko, o co poprosicie. Dotrzymywałem słowa przez lata! Ale już dłużej nie mogę. Kto wie, kiedy przestanę rosnąć? To było nie w porządku z waszej strony, że wymogliście na mnie tę obietnicę.

Siadam. Sally zajmuje miejsce obok mnie i bierze moją prawą dłoń w ręce.

– Skończyłeś?

Kiwam głową, odchylam się na oparcie i zamykam oczy.

Sally puszcza moją dłoń.

– Okłamałeś nas, Che.

Już chcę odpowiedzieć, ale David unosi rękę, jakby miał moc powstrzymania mowy.

– Pozwoliliśmy ci powiedzieć, co chciałeś.

Nie pamiętam, by kiedyś stosował w stosunku do mnie ten swój ton „zachowajmy wszyscy spokój”. Wobec Rosy owszem. Czasami wobec Sally. Wobec wszystkich innych członków rodziny, zwłaszcza wuja Saula, ale nie do mnie.

– Okłamałeś nas, Che – podejmuje Sally. – Obiecałeś, że nie będziesz walczył. Walczyłeś, nie mówiąc nam o tym. Nie ma znaczenia, że nie skłamałeś wprost. Złamałeś obietnicę i ukrywałeś to przed nami. Kłamstwo przez niedopowiedzenie nadal pozostaje kłamstwem.

Nie umiem się powstrzymać przed refleksją, że Rosa jest tego samego zdania.

– Che, jedna rzecz, której zawsze byłem pewna w tej rodzinie – poza tym że wszyscy się kochamy – to że się nie okłamujemy. Ale ty to zrobiłeś.

Nie wiem, co powiedzieć. Nie chcę wytykać, że Rosa nie jest w

stanie nikogo kochać, zatem żaden z pewników Sally nie jest pewien.

– Zamierzałem wam powiedzieć. Chciałem to zrobić dziś, ale przyszliście na trening. Dlaczego nie napisaliście przedtem?

Nie odpowiadają na moje pytanie.

– Straciłam do ciebie zaufanie – kończy Sally.

Czekam, aż mi powiedzą, jaką wymierzają mi karę, ale nie mówią. David wraca do swojego komputera, a Sally do telefonu.

– To wszystko? Mogę odejść?

– To nie jest wojsko, Che. To rodzina.

– Zastanowimy się, jak cię ukarać – dodaje David. – Jesteśmy w szoku. Nigdy nas nie okłamałeś. Nigdy nie złamałeś słowa.

Wstaję i idę do drzwi. Gdy je za sobą zamykam, wydaje mi się, że słyszę płacz Sally. Jest mi źle, że do tego doprowadziłem. Idę na górę i kładę się na łóżku. Rosa mówi coś, kiedy wchodzę po schodach, ale szczęśliwie tego nie słyszę.

Wystarczył ten jeden epizod, żeby przestali mi ufać?

Zerkam na telefon. Znów tona SMS-ów. Georgie pieje na temat Leilani, Jason współczuje i rozumie mój żal do rodziców, Nazeem każe mi się odpieprzyć, Natalie przesyła gratulacje.

Nie wiem, co im odpowiedzieć.

Chcę trochę oderwać myśli od tego wszystkiego, więc wyszukuję Leilani w Google'u, żeby sprawdzić, co tak podnieca Georgie.

Och!

Chyba jest dość sławna.

Wyskakują tysiące jej zdjęć na pokazach mody. Kiedy miała dwanaście lat, założyła blog o modzie dla nastolatek, na którym pisała głównie o ubraniach, muzyce, przemyśle modowym i polityce. Teraz to jest wielki magazyn on-line, w którym wpisy zamieszcza wielu fachowców, a odwiedza go jakaś niewiarygodna liczba osób. Nosi nazwę Neofita, tak jak mówił Elon, a jej fani mówią o sobie „neo”. Leilani ma też na swoim koncie wywiady z kilkoma najsłynniejszymi kobietami na świecie.

Oczywiście, że ją znają w tym wymyślnym butik z ciuchami.

Dlaczego się nie pochwaliła, że jest sławna?

Ale w sumie co miała powiedzieć? „Och, tak przy okazji, jestem grubą rybą”? Nie mogę w to wszystko uwierzyć. Z tego, co czytam, prawdopodobnie sama jest bardzo bogata. W wieku siedemnastu lat! Jezu...

Za to czuję się o wiele lepiej z tym, że kupiła mi ubrania. Choć nie wiem dlaczego, bo i tak przecież próbowała mną manipulować, prawda?

Piszę do Georgie.

Sprawdziłem właśnie Leilani. Nie miałem pojęcia. Nieźle.

Wstaję z łóżka. Robię kilka sekwencji kata, koncentrując się na płynności ruchów, tak by precyzja była ważniejsza od szybkości. Męcę swoje ciało, opadam na łóżko i zasypiam.

Gdy się budzę, słońce wschodzi, a Rosa leży zwinięta w kulkę na podłodze przy moim łóżku.

Twarz ma odprężoną, usta lekko rozchylone. Wygląda jak to niemowlę, które obejmowało maleńkimi paluszkami mój kciuk i uśmiechało się do mnie. Trudno uwierzyć, że to dziecko zupełnie pozbawione serca.

Otwiera oczy i uśmiecha się, jakby się ucieszyła na mój widok. Przez sekundę w to wierzę.

– Nadal badasz zjawisko snu? – pytam.

– Chciałam się upewnić, że ciągle się przyjaźnimy.

– Jestem jedynym człowiekiem na świecie, który cię rozumie – mówię, wiedząc, że sarkazm jest dla niej prawie nie do pojęcia. – Chyba musimy być przyjaciółmi.

ROZDZIAŁ 21

Tym razem nasz cotygodniowy niedzielny brunch z McBrunightami odbywa się w ich rezydencji. Ogromny stół jest zastawiony potrawami, których by wystarczyło do nakarmienia dwukrotnie większej liczby biesiadników. Nakładam sobie na talerz stertę łososia, małych tart i kiełbasy.

Żałuję, że nie ma Leilani, ale robi coś przy Neoficie. Rodzice, Gene i Lisimaya rozmawiają o interesach. Rosa i Seimone coś do siebie szepczą. Czyli pozostają ja i Maya.

– Nie wiedziałem, że Leilani jest sławna – mówię.

Maya zadziera palcem nos i robi zeza.

– Ona nie jest tak normalnie sławna, tylko trochę znana w świecie mody.

– Ludzie zatrzymują ją na ulicy i proszą o autograf?

Maya kręci głową.

– Raczej nie. Raz jedna dziewczyna chciała sobie zrobić z nią selfie. Byliśmy w sklepie na rogu. Lei-Lei zrobiła dzióbek. – Opuszcza brodę i wydyma usta, szeroko otwierając oczy.

Wyjmuję telefon i pstrykam jej fotkę, a potem robimy sobie wspólne selfie z dzióbkami.

– Pokaż – prosi Maya i oglądamy zdjęcie. Oczy mamy dwukrotnie większe niż normalnie, usta też. Wybuchamy śmiechem.

– Wyślę je do Leilani – mówię.

– Mnie też je prześlij – dopomina się Maya, biorąc ode mnie telefon i wpisując numer. Oddaje mi go, a ja ustawiam jej selfie z dzióbką jako zdjęcie kontaktu.

– Miałeś awanturę w domu? – pyta Maya cicho. Leilani pewnie wszystko jej opowiedziała.

Kiwam głową.

- Rodzice są mną rozczarowani i już mi nie ufają.
Maya zerka na Rosę.
- A jej ufają?
- Ona ma dziesięć lat. Najwyraźniej młody wiek wszystko usprawiedliwia.
Dziewczynka prychnęła pogardliwie.
- Ja mam jedenaście, i co? Każą ci rzucić boksa? Rosa twierdzi, że jak narozrabia, to zmuszają ją do pisania esejów, których nie czytają. Podobno wkleja w środek tekstu ciągle to samo zdanie, żeby ich sprawdzić, ale oni nie zauważają.
- To do niej podobne – przyznaję. – Na razie mi nie zabronili.
- A gdyby to zrobili, ulegniesz?
Kręć głową.
- Nie rozumiem, o co ten raban. To tylko sport! Chciałabym trenować boksa – dodaje Maya. – Wydaje się, że to fajna zabawa.
- Bo tak jest. A co z tenisem? Czy nie masz treningów praktycznie codziennie?
Maya potwierdza.
- I jadę też na obóz tenisowy. Na całe dwa tygodnie!
- Możemy odejść od stołu? – pyta Seimone. – Rosa chce mi wyjaśnić rozwiązanie jednego problemu szachowego.
- Pokażecie mi je później? – pyta Gene.
Dziewczynki kiwają głowami.
- Nienawidzę szachów – wyznaje Maya, gdy sobie idą.
- Ja też. David próbował mnie uczyć, ale blech... Rosa gra od czwartego roku życia.
- Seimone też nigdy ich nie lubiła.
- Przykro mi. Z powodu Seimone i Rosy.
- Mnie też – odpowiada Maya.

* * *

Idziemy przez park przy placu Tompkinsa. Sally zauważa, że jest teraz o wiele bardziej zielony niż tuż po naszym przyjeździe, a

wiewiórki wyglądają na znacznie grubsze. Niektóre drzewa nadal kwitną, lecz zielone liście zastąpiły już większość kwiatów. Maj w Nowym Jorku jest o wiele mniej żałosny niż kwiecień.

– Czy to nie Sid? – pyta Rosa, machając ręką.

To ona. Idzie w naszą stronę w sukience w czerwone tulipany. Towarzyszy jej mama. Diandra siedzi na wózku inwalidzkim popychanym przez jakąś kobietę. Zakładam, że to druga matka Sojourner.

Sojourner macha w odpowiedzi i się uśmiecha.

Wygląda pięknie. To ta sukienka, którą miała na sobie, a potem jej nie miała, w moim śnie. Rumienię się wystraszony, że patrząc na mnie, jakimś cudem domyśli się, o czym śniłem.

– Masz czerwoną twarz – zauważa Rosa. – Nie tylko nos.

– Tak – odpowiadam spokojnie. – To się nazywa trądzik.

– Nie, bardziej czerwoną niż zazwyczaj. Jakbyś się wstydził.

– No cóż, nie wstydziłem się, ale teraz już tak, bo dzięki tobie wszyscy zwrócą uwagę na mój trądzik.

– A sami to by nie zauważyli. Zwłaszcza jak się rumienisz – ripostuje Rosa. – Cześć, Sid!

Mocno obejmuje Sojourner.

– Hej – odzywam się. – Witaj, Diandro. – Pochyliam się, by uścisnąć jej dłoń. – To zabawne, że na was wpadliśmy.

– Nie do końca, bo tutaj wszyscy ciągle na siebie wpadają. To serce tej dzielnicy. Sid, kochanie – dodaje Diandra, uśmiechając się do mnie i Rosy – zamierzasz nas przedstawić?

Rumienię się jeszcze mocniej. Powinienem zacząć od przedstawienia ich.

– To moje mamy – mówi Sojourner – Diandra i Elisabeta Davis. To jest Che...

– Och – odzywa się Elisabeta – trenujesz z Sid. Chłopiec z Australii. Mówiła nam o tobie.

Moja twarz płonie.

– Miło mi panią poznać – mówię, ujmując jej dłoń. – To moi rodzice, Sally Taylor i David Klein, oraz moja siostra Rosa.

– Cóż za aniołeczek. – Z tonu Diandry nie wynika jasno, czy to komplement. – Te loki są naturalne?

Rosa kiwa głową. Udaje nieśmiałą. Nie mam pojęcia, po co się wysila, po tym jak głośno zwróciła uwagę na moją odrażającą cerę.

Wszyscy po kolei ściskają sobie dłonie. Rosa przesuwa się w pobliże Sojourner i coś do niej szepcze.

– Wracamy do domu z kościoła przy Drugiej Alei – wyjaśnia Diandra. – Che był u nas ostatnio na nabożeństwie wieczornym. Znaleźliście już kościół, który wam odpowiada? Wiem, że niedawno się przeprowadziliście. Może dołączycie do nas? Jesteśmy otwarci na wszystkie wyznania.

Elisabeta mówi cicho coś, co brzmi jak „Daj spokój, Dee”.

– Nie chodzimy do kościoła – wyjaśnia David. – Nie jesteśmy chrześcijanami.

– A jakiego wyznania jesteście? – dopytuje Diandra. – Na naszych nabożeństwach bywają też niechrześcijanie: żydzi, muzułmanie, buddyści.

– Jesteśmy świeckimi humanistami – odpowiada Sally.

– Hmm – mruczy Diandra – brzmi ładniej niż po prostu „ateistami”.

– Mamo... – mityguje ją Sojourner.

Trudno sobie wyobrazić bardziej niezręczną sytuację. Spoglądam na Rosę, czekając, aż oznajmi, że „Bóg nie żyje” lub „Tylko kretyni wierzą w Boga”, czego ani Sally, ani David nigdy nie powiedzieli. Zamiast tego znów szepcze coś Sojourner na ucho.

– Wszyscy odnajdujemy swoją ścieżkę przez mrok – mówi Diandra. – Równie wielu ateistów jak wierzących kroczy w świetle. Tylko o tym nie wiedzą.

Sally się nie odzywa.

– Jak się czujecie z tym, że wasz syn uprawia boks? – zadaje kolejne pytanie Diandra.

– Mamo! – oburza się Sojourner. – Mówiłam ci, jak rodzice Che do tego podchodzą!

– Dlatego pytam. Chcę, by wiedzieli, że nie tylko oni czują

wewnętrzny konflikt. Boks nie jest zwykłym sportem. To nie biegi czy koszykówka...

– Oczywiście, bo koszykówka jest takim bezkontuzyjnym, nieagresywnym sportem.

– Czy ty pyskujesz, Sid?

– Po prostu nie zgadzam się z tobą.

Diandra potrząsa głową.

– Nie, pyskujesz. A teraz pozwól, że powiem, co myślę. – Ujmuje dłoń Sally i trzyma ją w obu swoich rękach. – Nie byliśmy pewne, czy pozwolić Sid uprawiać boks. Przemoc jest zła. To, że się stoi w ringu naprzeciwko przeciwnika lub trenera, nie sprawia, że jest mniej zła.

Sally kiwa głową.

– Ale nasza córka kocha boks, dzięki któremu jest silna i zdrowa. Żadna z nas nie ma serca, by jej tego zabronić. Poza tym podobno jest w tym bardzo dobra.

– Sojourner jest świetna – wypalam. – To znaczy Sid. – Odwracam się do niej. – Jesteś fantastyczna. – Boże. Znow palą mnie policzki. I szyja.

– Jej trenerka też tak uważa, Che. Ale to jednak walka. Cóż, jestem z niej dumna i chcę, by była szczęśliwa, lecz nic nie mogę poradzić na to, że wolałabym, by to był jakiś inny sport.

– Tak – zgadza się David. – Jest w tym coś bardzo brutalnego. Obserwowaliśmy wczoraj Che na ringu. To było brzydkie.

Brzmi, jakby powtarzał słowa Sally. Spoglądam na niego gniewnie i korci mnie, by wytknąć mu hipokryzję. Kiedy był w moim wieku, został wydalony ze szkoły za to, że złamał szczękę innemu uczniowi. Jak mocno trzeba uderzyć, żeby złamać komuś szczękę? Ja nigdy nikomu nic nie złamałem.

– To prawda – potwierdza Sally. – Che obiecał nam, że nie będzie walczył, dopóki nie przestanie rosnać, a wczoraj wieczorem odkryliśmy, że nas okłamał.

Diandra pochyla głowę i patrzy ze współczuciem. Wolałabym milion razy umrzeć i pokładałam nadzieję w Bogu – tym Bogu, w

którego nie wierzę – że Sojourner nie słucha tych upokarzających uwag złapana w lepłą sieć szeptów Rosy.

Nic z tego, odwraca głowę.

– W sparingach nie ma nic złego – oznajmia.

– Sojourner! – upomina ją Diandra. – To nie twoja sprawa. To sprawa między Che i jego rodzicami.

– To również moja sprawa, mamó. Jego rodzice nie rozumieli, o co proszą. – Odwraca się do Sally i Davida, mówiąc niemalże przepraszająco: – Che zatrzymał się w miejscu. Ma talent i nie mógł go rozwijać. Sparingi nie są niebezpieczne. Nosimy wykładane kaski. To bezpieczniejsze niż jazda samochodem!

– Sojourner Ida Davis!

Sojourner z irytacją kręci głową, ale nie dodaje nic więcej. Sally wpatruje się w nią.

– Rozumiem, że podchodzisz do tego emocjonalnie – odzywa się David – ale my musimy chronić nasze dziecko.

– Przepraszam za moją córkę – mówi Diandra. – Ona ma dość ugruntowane poglądy.

– Nie ma za co przeproszać. Dzieci nie są naszą własnością – oznajmia Sally, a ja z trudem opanowuję się, żeby nie prychnąć. – To naturalne, że się z nami nie zgadzają albo są nieposłuszne, jeśli uznają, że postępujemy niesprawiedliwie. Nie jest łatwo być dzieckiem... ani rodzicem.

– Amen – rzuca Diandra.

– Jak się panie pogodziły z tym, że córka uprawia boks?

– Nie pogodziły się – odpowiada Sojourner. Ścisła ramię Diandry i całuje Elisabetę w policzek.

– To prawda – przyznaje ta pierwsza. – Ale co możemy zrobić? Modlę się. Pamiętam o tym, że dobry Pan nagradza miłość, cierpliwość i zrozumienie. Jak pani mówi, ścieżki naszych dzieci nie są naszymi ścieżkami.

– Dziękuję – odpowiada Sally. Pochyliła się, by ująć Diandrę za rękę. – Cieszę się, że spotkałam kogoś, kto rozumie.

– Proszę bardzo. Znajdziecie właściwe rozwiązanie, jestem tego

pewna.

– Czy są panie zajęte jutro wieczorem? – pyta nagle moja mama. – Robimy parapetówkę w domu. Byłoby nam bardzo miło, gdybyście mogły przyjść. Sojourner już przyjęła zaproszenie.

– W poniedziałek wieczorem? – dziwi się Diandra.

– Wiem, że to trochę dziwny termin, ale tylko on pasował naszym starym przyjaciółom, a nie chcieliśmy już dłużej tego odwlekać.

– Elisabeta?

Małomówna mama Sojourner kiwa głową.

– Bardzo chętnie – odpowiada Diandra.

Rodzice wymieniają się adresami i numerami telefonów, a potem ustalają, jakie w naszym budynku są udogodnienia dla wózków. Super, starsi mają numer rodziców Sojourner, a ja nadal nie mam jej.

– Nie znam twojego telefonu – mówi Sojourner, a ja się uśmiecham. – Jaime i ja czasami biegamy razem. Chcesz się do nas przyłączyć?

Kiwam głową.

Wymieniamy się numerami, a Rosa przygląda się temu bez słowa.

– Gotowa na szkółkę niedzielną? – pyta ją Sojourner.

Moja siostra potakuje.

Odchodzi z Sojourner i jej mamami, ale jeszcze odwraca się do mnie z uśmiechem, pełna satysfakcji, że to ona spędza czas z Sojourner, a ja zostaję, skazany na towarzystwo Sally i Davida. Mam nadzieję, że tam, dokąd idą, nie ma schodów. Choć tak na poważnie wcale nie martwię się, że Rosa może zagrozić Sojourner. Walczę z pokusą, by pobiec za nimi.

– Piękny dziś dzień – mówi Sally.

To prawda: wyszło słońce, jest ciepło, ludzie ubrali się tak, jakby już nadeszło lato, ale Sally zazwyczaj nie robi takich uwag. Trudno to docenić, kiedy widzę, jak zмага się ze sobą, żeby się do mnie odezwać. Mama bynajmniej nie ma twarzy pokerzysty.

Mijamy miejsce do gry w szachy. Przy wszystkich stołach toczą

się rozgrywki. Przy jednym zgromadził się spory tłumek. Kiedy go mijamy, zauważam, że to Isaiah przyjął kolejne wyzwanie. Ile zarabia na szachach? Sądząc po jego stroju, nie za wiele. Wszyscy szachiści są płci męskiej, publiczność też. Jak Rosie udało się tu wkłęcić i zagrać? Ja bym sobie nie poradził z takim wyzwaniem w wieku dziesięciu lat. Ani teraz. Jak to jest w ogóle nie czuć strachu?

– Nie ukarzymy cię – oznajmia David.

– Mogę dalej brać udział w sparingach? – upewniam się.

Sally kiwa głową.

– I tak cię nie powstrzymamy, prawda?

Przecież mnie powstrzymywali. Jeśli tak ma wyglądać kara, to powinienem był okazać nieposłuszeństwo znacznie wcześniej.

– Przeraza mnie twoje upodobanie do przemocy. Mógłbyś kogoś zabić, gdybyś stracił panowanie nad sobą. – Zerka na Davida, ale on się nie odzywa.

Poza ringiem nigdy nikogo nie uderzyłem. Nawet nie przyszło mi to do głowy. Jak Sally może tak o mnie myśleć?

– Kto wpadł na pomysł, żeby przyjść po mnie na salę? – pytam. – Wiecie, że wieczory spędzam na treningach. Dlaczego nie przysłaliście SMS-a?

– Rosa bardzo chciała, żebyś wybrał się z nami, a byliśmy niedaleko.

– Tak myślałem. Chciała, żebyście mnie przyłapali.

– Daj spokój, Che – rzuca Sally. – Rosa nie wiedziała, że walczysz w sparingu. Tu nie chodzi o nią, tylko o ciebie.

– Za każdym razem, gdy próbuję porozmawiać o Rosie, zmieniasz temat. Nie chcesz o niej rozmawiać. Nie chcesz przyznać, że coś jest z nią głęboko nie tak.

– Serio, Che? Głęboko nie tak? Wiemy, że miała problemy rozwojowe. Owszem, czasami bywa społecznie nieprzystosowana. Ma dziesięć lat i zachowuje się adekwatnie do wieku. Przestań dopatrywać się...

– Wiem, ile lat ma moja siostra.

– Rosa cię ubóstwia! – ciągnie Sally, podnosząc głos. – Wiesz, jak

długo oszczędzała, żeby ci kupić prezent na urodziny?

– A wiecie, jak umarła świnka morska Apinyi? Rosa...

David unosi rękę. Mam ochotę na nich nawrzeszczyć, ale nie mogę, prawda? To by świadczyło o nadpobudliwości.

– Che – odzywa się David tym tonem „zachowajmy spokój” – wiemy, że nie chciałeś tu przyjeżdżać. Wiemy, że wolałbyś zostać w Sydney. Ale takie wyładowywanie się nikomu nie przynosi korzyści, a najmniej tobie samemu.

– Ja się nie wyładowuję! Próbuję tylko wam powiedzieć, co zrobiła Rosa w...

Znów unosi dłoń. Z trudem pohamowuję impuls, żeby w nią uderzyć.

– Jak możemy ci ufać, skoro nie chcesz przyjąć na siebie odpowiedzialności? – pyta Sally. – Skoro winisz o wszystko Rosę?

Wpatruję się w nią. Nigdy nie obwiniałem Rosy o nic, czego nie zrobiła, a już szczególnie „o wszystko”.

– Poddaję się – oznajmiam. – Pewnego dnia zrozumiecie, jaka jest Rosa, i pożałujecie, że mnie nie słuchaliście. Idę na trening.

– Che! – woła Sally.

– Nie, puść go. – David ją powstrzymuje, a ja oddalam się tak zły jak jeszcze nigdy. Nie ma szans, by mnie posłuchali.

* * *

Ćwiczę jak szalony, ignorując fakt, że to mój dzień wolny i że powinienem dać mięśniom odpocząć. Dopiero po trzech godzinach udaje mi się wypocić złość z organizmu i mogę myśleć o rodzicach, zwłaszcza o Sally, bez natychmiastowej chęci, by roznieść na strzępy wszystkie worki bokserskie w sali.

Nie mogę wrócić do domu. Znów się zirytuję. Nie zniosę widoku żadnego z nich. Ani Rosy. Cholernej Rosy, która jest z Sojourner... To chyba by wyglądało dziwnie, gdybym napisał do niej z pytaniem, czy moja siostra dobrze się zachowuje? Zapewne tak.

Wyjmuję telefon. Dostałem mnóstwo SMS-ów. Ani jednego od

Sojourner, ale za to kilka od Rosy.

Zadawałam najmądrzejsze pytania z całej grupy. Znów. Teraz Sid lubi mnie najbardziej.

Piszę do rodziców:

Wrócę do domu, kiedy będę mniej... – Waham się. Nie mogę napisać „zły”, bo Sally i tak uważa mnie za furiata – ... zdenerwowany.

Siadam na ławce naprzeciwko szatni, wpatrując się w numer Sojourner. Mógłbym ją zaprosić, tak po przyjacielsku. Poszlibyśmy dokądś. Może zaproponuję, że weźmiemy Jaime?

Zaczynam pisać: Masz ochotę na kino? Przerywam. Nie chcę oglądać filmu. Zapytam, czy ma ochotę pobiegać. Sama to sugerowała, a ja chętnie zrobię najdłuższą trasę wokół wyspy, jaką się da.

Co porabiasz?

Boże, ale to słabe.

Chętnie bym pobiegał – dodaję. – Dołączysz do mnie? Może Jaime też?

Uff. Chowam telefon do kieszeni i postanawiam, że jeszcze nie wezmę prysznic. Podchodzę do ściany z lustrami i boksuję się z cieniem, koncentrując się na obronie, odskokach, odchyleniach, gardach, ucieczkach przed moim wyimaginowanym przeciwnikiem, który jest dziesięć centymetrów wyższy ode mnie.

Telefon milczy.

Wchodzę na bieżnię i biegnę przez dwadzieścia minut. Wycieram pot ręcznikiem. Sprawdzam telefon. Nic. Minęło już prawie pół godziny, od kiedy wysłałem SMS-a do Sojourner. Nie mam ochoty wracać do domu, ale nie chce mi się też już ćwiczyć. Mam ochotę spotkać się z kimś, z kim nie jestem spokrewniony.

Piszę do Leilani.

Co robisz?

Biorę prysznic, a potem sprawdzam telefon.

Powinieneś napisać: Co masz na sobie? Ale nie mam ochoty na sexting.

Śmieszne. Chcę się zbuntować przeciwko rodzicom, nie wracając do domu. Potowarzyszysz mi w buncie?

Idę właśnie na prywatny pokaz nowego projektanta, o którym na pewno nie słyszałeś, bo przecież nie słyszałeś o żadnym uznanym projektancie. Wątpię, czy jesteś odpowiednio ubrany.

Zapewniam, że moje spodnie od dresu i koszulka są czyste.

Nie należą ci się dodatkowe punkty za to, że twoje odrażające odzienie nie ma plam.

Nie napisałem, że nie ma plam, tylko że jest czyste.

Właściwie dlaczego z tobą koresponduję?

Ze względu na mój urok osobisty. Pokaz czego?

Pocieszne. Ubrań. A czego innego?

Mam ochotę wysłać listę. Rzep? Kangurów górskich? Łupiezu?

Co z twoimi starymi, Che? Czemu są tacy wkurzeni? Zawstydzają ich twoje dziewczęctwo?

Ha, ha. Obiecałem, że nie będę walczył w sparingach, a oni nakryli mnie na kłamstwie.

Aha.

Noo.

Przynajmniej nie zabiłeś człowieka w Reno.

Oni są pewni, że to będzie mój następny krok.

Przejrzeli cię?

Wątpię.

Jaką dali ci karę?

Już mi nie ufają.

To ma być ta straszliwa kara? Jestem rozczarowana. Myślałam, że cię wybatożą albo coś.

Przemoc jest zła, Leilani.

SMS od Rosy:

Są na ciebie cięci. Powiedziałam im, że zazwyczaj jesteś grzeczny i nie powinni się tak złościć. Wiesz, że Sid boi się wysokości?

ROZDZIAŁ 22

Postanawiam, że pobiegam nawet bez Sojourner, więc ruszam na East River Parkway. Georgie nazywa tę porę dnia – z długimi, miękkimi cieniami – złotą godziną. Nęka mnie o zdjęcia, więc zatrzymuję się, by sfotografować ścianę starego budynku. To ujęcie jej się spodoba. Dom obok został wyburzony, ale jakimś cudem z boku tego, który pozostał, zwisają metalowe schody przeciwpożarowe, prowadzące donikąd. Wysyłam fotkę. Georgie marzy, by zamieszkać w Nowym Jorku.

Robię dla niej więcej zdjęć, w tym jedno ogromnego nadmuchiwanego szczura przed sklepem z ubraniami. Powinienem zapytać Leilani, o co w tym chodzi, choć w pewnym sensie podoba mi się taka abstrakcja.

Mój telefon brzęczy. Nastawiłem głośność na maksa w nadziei na wiadomość od Sojourner, tymczasem to znowu Rosa.

Lepiej wróc do domu. Złuszczą się coraz bardziej.

Kusi mnie, by jej odpisać. Ale to by tylko spowodowało kaskadę jeszcze bardziej irytujących SMS-ów.

A potem dostaję wiadomość od rodziców.

Kiedy wracasz do domu?

Nie wiem. Idę pobiegać.

Daj nam znać.

OK.

Rosa znowu pisze.

Wiesz, że lęk wysokości ma nazwę? To akrofobia.

Telefon znów się odzywa, ale Rosa zdołała wytrącić mnie z równowagi. Kusi mnie, by nie czytać wiadomości.

Chcesz pobiegać? – pisze Sojourner. – Muszę wyjść z domu. Jestem zbyt niespokojna, żeby się uczyć.

Pewnie.

* * *

Spotykamy się na kładce dla pieszych na Szóstej Ulicy nad FDR Drive od strony parku. Sojourner rusza, nie dając mi nawet szansy na przywitanie.

– Kto cię tak wpienił? – pytam, dogoniwszy ją.

Posyła mi spojrzenie z ukosa.

– Wpienił?

– Która z osób obecnych w twoim życiu cię zdenerwowała? – precyzuję.

– Wszyscy Australijczycy mówią tak dziwnie?

– Co do jednego.

Uśmiecha się.

– Mama. Jedna i druga. Wsiadły na mnie za to, że nie okazałam szacunku twoim rodzicom.

– Przepraszam.

– Nie twoja wina.

– Stanęłaś w mojej obronie – wyjaśniam.

– Nie. Tak. Może trochę... Głównie zwracałam się do moich mam, choć bez nadziei, że usłyszą. Dorośli nie słuchają. Oni po prostu zawsze mają rację.

Śmieję się.

– Pierdolona prawda! I co teraz zrobisz? – pytam.

– Jakbym tak powiedziała przy mamach, wyszorowałyby mi usta mydłem.

– W przerośni?

– Dosłownie. Nie przeklełam przy nich, od kiedy skończyłam pięć lat.

– Muszą być ostre.

– Mama bardziej niż mami. Choć do niej też nigdy bym nie pyskowała. Mami okazuje rozczarowanie w milczeniu, co czasami jest nawet gorsze.

Rozumiem to.

– Nie kłóć się z nimi w ogóle? – dziwię się.

Dziewczyna wybucha śmiechem.

– Cały czas. Ale wiesz, z szacunkiem.

– Jezu, jak ci się to udaje?

Sojourner zatrzymuje się gwałtownie. Z rozpędu biegnę dalej i muszę po nią wrócić.

– Che, nigdy nie bluźnij przy moich mamach – prosi. – Mówię serio. Nie będą miały o tobie dobrego zdania, jeśli będziesz przeklinał, ale jeśli użyjesz imienia Pańskiego nadaremno, to będzie koniec. Absolutny.

– Ponieważ powiedziałem „Jezu”?

Sojourner kiwa głową.

– Mama jest wyświęcona. Słyszałeś jej kazanie. Traktuje bluźnierstwo bardzo poważnie.

Nie wiem, co powiedzieć. „Jezu” i „Boże” to słowa, których używam, kiedy staram się nie przeklinać przy kimś, kto mógłby poczuć się urażony. Zawsze uważałem, że to najmniej obraźliwe przekleństwa. Obok „kurka”, „szlag”, „cholera” i „matko”.

– Ty nie przeklinasz, prawda? – Uświadamiam sobie, że od kiedy się poznaliśmy, ani razu nie słyszałem, żeby powiedziała nawet „kurde”.

Kręci głową i znów rusza biegiem.

Doganiam ją.

– Nigdy nie znałem nikogo, kto by nie przeklinał – stwierdzam ze zdumieniem.

– Serio?

Próbuję odszukać w pamięci kogoś takiego. Nawet moje babki przeklinają.

– Serio. Australijczycy chyba sporo klną. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– Na to wygląda. Nie przy moich mamach, okej?

– Postaram się – odpowiadam.

– I nie bluźnij przy nich. Mówię poważnie.

– Nie będę – obiecuję.

– A co z twoją siostrzyczką? Nie słyszałam, żeby klęła.

– Klnie. – Korci mnie, żeby zapytać, jak Rosa się zachowywała w szkółce biblijnej, ale równocześnie strasznie tego nie chcę. Siostra i tak pochłania zbyt wielką część mojej uwagi.

– Rety, wy Australijczycy musicie mieć naprawdę niewyparzone buzie.

Śmieje się i przyspiesza odrobinę. Dotrzymuję jej kroku.

Biegniemy w milczeniu, kierując się na północ. Ścieżka się zwęża, park i rzeka znikają, a my truchtamy między budynkami i ulicami dróżką szerokości dwóch osób. Musimy co jakiś czas biec gęsiego, żeby przepuścić innych biegaczy.

Słyszę każdy jej oddech. Czuję zapach jej potu.

Chcę ją pocałować.

Chciałem już całować inne dziewczyny, całowałem je, ale nigdy nie chciałem nikogo pocałować tak bardzo jak Sojourner.

Bardzo staram się nie gapić na jej usta. Górną i dolną wargę ma niemal tej samej szerokości, dolna jest tylko odrobinę pełniejsza. Wgłębienie nad górną sprawia, że mam ochotę dotknąć go palcem, bo wygląda, jakby do tego właśnie zostało stworzone. Zbiera się w nim pot, a ja mam ochotę go zlizać, przesunąć językiem po jej wargach, wsunąć go do ust.

Potykam się na niczym.

– Kurwa!

Niemal się wywracam, zanim udaje mi się znów złapać rytm.

Sojourner odwraca się do mnie.

– Nic ci nie jest?

Kręcę głową, wyrównując krok.

– Ścieżka za chwilę się kończy.

– Tak? – Rumienię się, bo myślałem o jej ustach. Nie widzi tego, na pewno. Pocę się, a do tego jest ciemno i lampy na Manhattanie mają dziwną pomarańczową barwę.

– Możemy zawrócić. Pobiec do końca na południe, a potem naokoło do Hudson.

– Jasne – zgadzam się.
Zawracamy.

– Nie jestem jeszcze gotowa na spotkanie z mamami.
– A ja ze starszymi.
– Tak ich nazywasz? Czy to australijskie określenie?
– Nie, moje i Rosy.
– Jesteście sobie bliscy z siostrą?
– Raczej tak. – Nie mam ochoty rozmawiać o Rosie. – A ty nie masz rodzeństwa?
– Nie. Tylko miliony kuzynów.
– Ja też. No, może nie miliony, ale sporo.

Biegniemy dalej. Nasze stopy uderzają o ziemię w równym rytmie. Wkrótce znów znajdujemy się nad East River.

– O wiele fajniej jest biegać z kimś – stwierdzam. – Tak ogólnie to nie przepadam za bieganiem.
Sojourner się śmieje.

– Ja też nie, ale Dido nalega, bo to poprawia kondycję. Dzięki temu mogę wytrzymać na ringu dłużej niż trzy rundy.
– Pewnie tak, ale, Jezu, to takie nudne.
– Może poćwiczysz nieprzeklinanie przy moich mamach, nie przeklinając przy mnie?
– Kurwa! Przepraszam.
Śmieje się.

– Zobaczmy, jak długo potrafisz wytrzymać bez klnięcia. – Zerka na zegarek.

– Mierzysz mi czas?
– Oczywiście.
– Założymy się o coś? – proponuję.
– Rety, więc Australijczycy mnóstwo klną i uprawiają hazard. Nie dziwota, że nie jesteś chrześcijaninem!
– Biblia nie zakazuje hazardu – zauważam.
– Skąd to wiesz?
– Czytałem ją. Tylko dlatego że nie wierzę, nie znaczy, że nic nie wiem. Koran też czytałem.

– Jesteś pełen niespodzianek.
– Lubię wiedzieć różne rzeczy.
– Biblia potępia umiłowanie pieniędzy, a hazard to jego forma.
Zatem nie wprost, ale potępia hazard.
– Ale hazard nie jest nowym wynalazkiem – podkreślam. – Mógł trafić na listę rzeczy zakazanych już dawno, lecz widocznie nie został uznany za taki zły.
– Może, ale z pewnością potrafi zrujnować życie.
– Nie chciałem proponować zakładu o pieniądze.
Sojourner przyspiesza. Dotrzymuję jej kroku, ale odczuwam wysiłek.
– Próbujesz mnie zgubić?
Przyspiesza jeszcze bardziej. Biegnę szybciej i ją wyprzedzam.
Gonimy się tak i wyprzedzamy, aż docieramy na drugą stronę wyspy i podążamy wzdłuż rzeki Hudson. Jej ciemna powierzchnia odbija więcej światła niż East River. Mięśnie nóg mnie palą, płuca też, ale prędzej padnę, niż poddam się pierwszy.
Jest tu więcej ludzi, których trzeba omijać. Mniej biegaczy, ale za to sporo spacerowiczów. Są tu specjalne pirsy zbudowane z myślą o nich. Wolę ciemniejszą, spokojniejszą stronę wschodnią.
Dyszę ciężko. Ona na pewno też, ale nie słyszę nic poza własnym urywanym oddechem. Nie wiem, jak daleko na północ biegnie ścieżka po tej stronie.
Pozwalam Sojourner nadać tempo. Nie przyspieszyła już od dwóch pirsów. Wydaje mi się, że trochę zwalnia. Nie biegałem tak od wieków.
– Sid! Sid! – krzyczy ktoś.
Sojourner nie reaguje.
Podbiega do nas przystojny ciemnoskóry chłopak.
– Sid! – woła ponownie i dotyka jej ramienia.
Sojourner się zatrzymuje. Ja również, po czym pochylam się i, opierając dłonie na kolanach, dyszę ciężko.
– Przygotowujesz się do walki czy co? – pyta intruz. – Dość późno na bieganie. Kim jest ten biały chłopak?

Sojourner też się pochyla. Unosi dłoń, dając mu znać, że musi odzyskać oddech.

Wyjmuję z plecaka butelkę z wodą, upijam łyk i podaję ją Sojourner.

Prostuję się i wyciągam pięść.

– Jestem Che.

Chłopak niechętnie przybija mi żółwika. Marszczy brwi, przez co wcale nie robi się mniej przystojny. Albo niższy. Nie ma też ani jednej skazy na twarzy.

– To jest... – zaczyna Sojourner, oddając mi butelkę.

– My... – mówię w tej samej chwili.

Oboje milkniemy i spoglądamy na siebie. Mam ochotę się roześmiać, ale nie wiem, kim jest ten facet.

– Che jest moim przyjacielem – wyjaśnia w końcu Sojourner. – A to Daniel, mój były.

Och, wzdycham w myślach.

– Miło mi cię poznać, Danielu.

– Mnie również – odpowiada, ale wygląda na to, że jest równie zadowolony jak ja. Wskazuje kciukiem za swoje plecy. – Jestem tu z przyjaciółmi. Chciałem tylko zapytać, czy u ciebie wszystko okej.

– Tak.

– Dobrze wyglądasz – dodaje. – Mimo że jesteś spocona.

– Pot jest zdrowy. Ty też wyglądasz nieźle.

– Fajnie było cię zobaczyć, Sid. Cóż... – Milknie i rzuca mi kolejne spojrzenie, jakby chciał, żebym odszedł, ale ona wyraźnie nie czuje się przy nim komfortowo.

Nie ruszam się z miejsca, popijając wodę. Jeśli Sojourner poprosi mnie, żebym ich zostawił, to sobie pójdę.

– Przekaż pozdrowienia swoim mamom. Jaime też – dodaje przystojniak.

– Dzięki.

Cofa się kilka kroków i macha zdawkowo dłonią, nie spuszczać wzroku z dziewczyny ani na nikogo nie wpadając. Posyła mi kolejne wyniosłe spojrzenie, aż w końcu odwraca się i odchodzi.

Podaję Sojourner wodę. Bolą mnie nogi i stopy. Potrzebuję masażu, sauny, kąpeli.

Dziewczyna upija wielki łyk.

– Gotów na kolejny wyścig?

Gapię się na nią bez słowa. Jestem pewien, że oczy wychodzą mi z orbit.

Uderza mnie lekko pięścią w ramię.

– Żartuję! Jestem wypruta. I chyba też głodna.

– Ja umieram z głodu – przyznaję się.

Ruszamy, ociekając potem i opróżniając butelkę. Zastanawiam się, jak długo chodziła z Danielem i dlaczego ze sobą zerwali. Odniosłem wrażenie, że to ona zerwała, ale może źle odczytałem sygnały. On zdecydowanie nadal coś do niej czuje. Dlaczego musi być taki przystojny, a do tego wyższy ode mnie?

Wyglądałby świetnie u boku Sojourner w taki sposób, w jaki ja nigdy nie będę wyglądał. Pasują do siebie. Oboje piękni. Ale to ja przy niej jestem, a nie on. To ja czuję zapach jej potu, nie on. Jej zapach roztopia mój mózg, a nie jego.

Roztopia we mnie wszystko.

– Kilka przecznic stąd jest całkiem przyzwoity bar – mówi Sojourner.

Kiwam głową.

– Ty stawiasz, bogaty chłopcze – dodaje.

– Bogaty? Chciałbym.

Spogląda na mnie spod oka, ale nic nie mówi.

No nic, użyję karty kredytowej dziadka, bo rodzice nadal nie dali mi żadnych pieniędzy. Będę się musiał mu tłumaczyć i nie zdziwiłbym się, gdyby zablokował kartę, uznawszy, że jej nadużywam.

Przechodzimy przez ulicę.

Staram się nie myśleć o uczuciach, które budzi we mnie Sojourner, więc jestem zadowolony, gdy w końcu docieramy do baru. Zamawiam swojego pierwszego amerykańskiego burgera: cheeseburgera z bekonem z ogromną ilością dodatków, sporą

porcją frytek i słodowym shakiem. Potrzebuję węglowodanów i białek, i to całej tony.

Może jedzenie mnie trochę rozproszy i przestanę myśleć o ustach Sojourner, o jej skórze, o jej cudownym zapachu.

Zamawia taką samą ogromną porcją jak ja.

– Muszę korzystać, póki mogę – tłumaczy się. – W przyszłym tygodniu zacznę zrzucać wagę. To najgorszy element boksu.

– Może też być niebezpieczny – zauważam. Sally podsuwa mi wszystkie znalezione artykuły podkreślające rozliczne zagrożenia związane z boksem, w tym zgubne efekty raptownej utraty wagi. Nie docierają do niej zapewnienia, że nie zamierzam walczyć na ringu. Jeśli nie będę walczył, nigdy nie będę musiał chudnąć, żeby się wpasować we właściwy przedział wagowy.

– Tak, tatusiu – odpowiada kąśliwie Sojourner. – Trenuję u Dido, więc nigdy się nie odchudzam w niebezpieczny sposób.

– Aha. – Nie wiem, jak to możliwe. Większość naszej masy to woda, a bokserzy pierwsze co robią, to przestają pić wodę, i to jest groźne.

Najpierw dostajemy shaki. Mój smakuje czekoladą. Myślałem, że słodowy będzie bardziej egzotyczny.

Sojourner popija swój i się uśmiecha.

– Nie zamierzasz zapytać o Daniela, prawda?

Rumienię się.

– Nie chciałbym być wścibski.

– Pewnie.

– No dobra, chciałbym, ale nie znam cię aż tak dobrze, a to nie moja sprawa. Jeśli będziesz chciała, to sama mi powiesz.

– Zerwał ze mną. Wyjeżdżał na studia, a ja jeszcze chodziłam do liceum, i uznał, że związek na odległość nie ma sensu. – Wzrusza ramionami. – Lecz potem w czasie świąt Bożego Narodzenia próbował do mnie wrócić. Niestety, dowiedziałam się, że ma dziewczynę na studiach. Nie spodobało mi się to. Od tamtej pory go nie widziałam. To gnojek.

– Czy „gnojek” liczy się jako przekleństwo? Bo jeśli tak, to właśnie

przekląłaś.

Zamierza się na mnie bez przekonania. Głośno burczy jej w brzuchu, a po chwili mnie również.

– Czy to nie oznacza, że przegrałaś zakład, Soj... Sid?

– „Gnojek” to nie przekleństwo. I nie przegrałam zakładu, bo się nie założyliśmy.

– Zarejestrowałam: wolno mi używać słowa „gnojek”. Założyliśmy się, tylko nie ustaliliśmy o co – upieram się.

Dostajemy nasze hamburgery.

Wgryzamy się w nie z apetytem. Są znakomite. Gdzieś w połowie trochę zwalniam, jedząc frytkę co dwa kęsy zamiast co jeden.

– Dlaczego zawsze chcesz mówić do mnie Sojourner, a nie Sid? – pyta.

– Bo mi się podoba – mamrocę niewyraźnie.

– Słucham?

– Podoba mi się twoje imię. Sojourner. Lubię jego dźwięk. Tak o tobie myślę. – Odgryzam kęs burgera.

– Lubię, jak je wymawiasz.

– Dzięki.

– Przez twój akcent wszystko brzmi jakoś uroczo.

– Uważasz, że jestem uroczy?

– Twój akcent jest uroczy.

– Więc nie muszę nazywać cię Sid? – upewniam się.

Kiwa głową.

– Możesz mówić do mnie Sojourner. Ale nie przy Jaime, bo nie da mi potem żyć.

Ruszamy w drogę powrotną.

– Będziesz miała aferę w domu? – pytam, gdy przechodzimy przez Lafayette Street i rozpoznaję, gdzie jesteśmy.

– Nie większą niż do tej pory. Powiedziałam im, że wrócę późno, bo idę biegać z tobą. Ufają mi, nawet kiedy są wściekłe. Dałyby mi znać, gdyby chciały, żebym wróciła do domu.

Wzdrygam się lekko, słysząc słowa „ufają mi”.

– Co tam? – Dostrzega moją reakcję.

– Moi starsi twierdzą, że już mi nie ufają. Z powodu sparingów. Nigdy przedtem nie złamałem obietnicy.

– Tak myślałam. Zauważyłam, że ciężko ci wystąpić przeciwko nim. Przykro mi, że tego nie widzą.

– Mnie też. Chcą, żebym był taki jak oni. Czy raczej nie taki jak oni. Mój ojciec był dość narwany w młodości. Raz nawet złamał komuś szczękę.

Sojourner wyraźnie się napina. Zastanawiam się, czy dotknąłem jakiegoś czułego punktu. Nigdy nie wspominała o swoim ojcu, więc zakładałem, że on w ogóle nie istnieje w jej życiu.

Spoglądam na nią.

– O co chodzi?

– O nic – odpowiada cicho. – Nie patrz tam.

Oczywiście patrzę. Zbliżają się do nas dwaj wytatuowani goście w skórzanych kurtkach.

Jeśli odezwą się do Sojourner, nie zamierzam milczeć. W ostatniej chwili wyprzedza ich trzech policjantów. Jeden spogląda na mnie. Kiwam głową, a on odpowiada mi skinieniem.

Sojourner wypuszcza powietrze z płuc.

Zastanawiam się, czy ci faceci by ją zaczepili, gdyby mnie tu nie było. Nie powinienem cieszyć się, że nie jestem dziewczyną, ale to właśnie czuję.

Docieramy do parku na placu Tompkinsa, lecz Sojourner idzie dalej.

– Nie wchodzimy? – Brama jest otwarta, a w środku widać mnóstwo ludzi.

– Nie. Gliny zamykają go około północy, więc lepiej go obejść niż potem się wyklócać o otwarcie bramy.

Jest już po północy. Latarnie wzdłuż alejek nadal się świecą, ale idę za Sojourner.

– Dziwnie się czuję, nie wchodząc do parku.

– Bo ciągle tam na siebie wpadamy?

Uśmiecham się. Myślę o nim jak o „naszym” parku.

– To serce tej okolicy – mówi Sojourner. – Wszyscy tędy

przechodzą albo tu przesiadują. Wiedziałeś, że kiedyś odbył się tu nawet protest?

Nie wiedziałem.

– Mama mówi, że nowi bogaci mieszkańcy wystawili własne znaki oznajmiające, że park jest zamknięty po północy, choć wcale nie był. Nie podobało im się, że ludzie tu sypiali. Starzy mieszkańcy się zbuntowali. Mama również, choć była wtedy dzieckiem. Przegrali. Teraz w okolicy jest o wiele więcej bogatych niż biednych.

Mijamy grupkę ludzi siedzących na kocu w pobliżu wejścia. Jeden z nich brzdąka na gitarze. Ta scena zupełnie nie pasuje do historii o proteście w parku.

– Mama ciągle opowiada, że było tu całkiem inaczej. Nie umie się tylko zdecydować, czy gorzej, czy lepiej. Zmienia jej się to z minuty na minutę.

– Mieszkałaś tu przez całe życie?

– Urodziłam się tutaj. Mama też. Nigdy nie mieszkałam nigdzie indziej.

Próbuję to sobie wyobrazić, ale nie potrafię.

– Podoba mi się, że to miasto jest takie żywe – mówię. Niektóre restauracje i wszystkie bary są nadal pełne. Pod tym względem bardzo przypomina Bangkok. Mijamy inne pary, to znaczy po prostu pary. Przecież my z Sojourner nie jesteśmy parą.

– Miasto nigdy nie śpi. – Sojourner krzywi się, wypowiadając frazes. – Choć tak naprawdę dotyczy to tylko Manhattanu. Staten Island i Queens śpią twardo o tej porze.

– Nie da się w ogóle nie spać. – Mija nas wysoki mężczyzna z małym pieskiem. – Choć nigdy nie widziałem tylu ludzi wyprowadzających psy o tak późnej porze.

– Pewnie nie mogą sobie pozwolić na opiekuna do psa. – Sojourner zwalnia. – To tutaj.

Front jej domu nie różni się niczym od innych budynków przy tej ulicy, czy też przy mojej, jeśli o to chodzi. Jest tylko węższy: brązowa cegła, jeden rząd okien, na parterze sklep żelazny i drzwi z czterema dzwonkami.

– Dobranoc, Che.

– Dobranoc – odpowiadam cicho. Oczy same mi się zamykają, ale nie chcę odchodzić. Wyciągam rękę, by dotknąć jej dłoni, zupełnie bez zastanowienia, i już mam się odwrócić, ale Sojourner chwyta ją i lekko ściska. Czuję to w całym ciele. Nie puszcza mnie, a ja jej.

Pochyla się do przodu, delikatnie całuje mnie w usta, dopiero wtedy uwalnia moją dłoń, wyjmuje klucze, otwiera drzwi i odwraca się, by na mnie spojrzeć.

– Nie przekląłeś ani razu – mówi, potem znika na schodach, a drzwi zatrzasują się za nią i nie udaje mi się nawet odpowiedzieć.

Stoję bez ruchu i czuję, jak moje usta mrowią. Żałuję, że nie objąłem jej w talii, nie przyciągnąłem do siebie i nie oddałem pocałunku. Zamiast tego niemalże zapomniałem o oddychaniu.

* * *

Wracam do domu kompletnie wyczerpany. Nie biorę prysznic ani nie zmieniam ubrań. Padam na łóżko, myśląc o Sojourner i dotykając warg tam, gdzie poczułem jej usta. Ten pocałunek nie miał nic wspólnego z Bogiem czy Jezusem. Gdybym nie był tak zmęczony, pewnie bym się onanizował.

Tymczasem zasypiam, pragnąc jej.

Budzi mnie wrażenie, że ktoś jest w pokoju. Ostrożnie rozchylam powieki.

Oczywiście, Rosa stoi pochylona nad moim telefonem.

Zamykam oczy. Jestem taki zmęczony. Nie chce mi się teraz zмагаć z siostrą. Ale może ona właśnie wysyła SMS-y do Sojourner?

Nie mam ochoty na konfrontację. Nie chcę słuchać, co myśli. Nie chcę, żeby mi mówiła, że jestem jedynym człowiekiem, który ją rozumie. Nie chcę wiedzieć, co się dzieje w tym jej pozbawionym grama empatii mózgu.

– Roso – odzywam się, siadając – co robisz?

– Nic. – Nawet nie wygląda na speszoną.

– Co robisz w tym pokoju z moim telefonem?

Odkłada aparat i wzrusza ramionami.

– Roso?

– Nudziłam się, a ty spałeś.

– I postanowiłaś się zająć moim telefonem?

– Nic mu nie zrobiłam, widzisz?

Pokazuje mi go. Jest prawie czwarta nad ranem. Oddałbym wszystko za spokojny sen.

– Jak się do niego dostałaś? – pytam.

– Ma taki sam kod jak twoja karta do bankomatu – odpowiada.

– Skąd go znasz?

Znów wzrusza ramionami.

– Obserwuję.

– Nie rób takich rzeczy!

– Chciałam wiedzieć, czy się na mnie nie gniewasz.

– Zawsze się na ciebie gniewam. Możesz to założyć z góry.

Siostra siada na łóżku obok mnie.

– Ale i tak jesteś moim najlepszym przyjacielem – stwierdza.

– Myślałem, że Sid nim teraz jest.

Nie wyłapuje sarkazmu.

– Zawsze będziesz moim najlepszym przyjacielem. Chcę się z nią kolegować tylko dlatego, że ty ją lubisz. Chcę, żebyś mnie lubił najbardziej.

Sprawdzam SMS-y i maile. Nie widać, żeby coś namieszała. Tylko szpiegowała. Tylko szpiegowała?

Boże, głowa mi pęka.

– Już ze mną nie rozmawiasz – zauważa Rosa bez cienia irytacji.

– Cały czas rozmawiamy.

– Ale nie mówisz mi, co czujesz – podkreśla.

– Bo ciebie nie obchodzi, co ktokolwiek czuje – ripostuję.

– Obchodzi. Będzie obchodziło. Uczę się tego. Zadawałam Seimone różne pytania i słuchałam odpowiedzi. Spytałam Sojourner, czy jej się podobasz. Powiedziała, że tak, choć sama to już wiedziałam. Widzisz? Uczę się o ludziach. Powiedziałam jej, że jesteś najlepszym bratem na świecie.

- Super – pry cham.
- Gdyby nie było Sid, czy znów byś mnie lubił najbardziej?
- Co ma znaczyć: „gdyby nie było Sid”?
- Powiedziałaś jej, że mógłbyś się nauczyć kochać Boga, gdyby ci wszystko wyjaśniła tak, jak wyjaśnia mnie.
- Więc teraz wierzysz w Boga, tak? – ironizuję.
- Nie – zaprzecza. – Nie bądź głupi, Che. Bóg jest jak Święty Mikołaj, ale ona chce, żebym wierzyła, więc staram się być taka, jaką chce mnie widzieć. Tak robią normalni ludzie. Jestem normalna. Bo chcesz, żebym taka była.
- Jej logika jest tak wypaczona, że nie wiem, od czego zacząć.
- Zmienię kody dostępu. Nie wolno ci sprawdzać mojego telefonu i wchodzić do mojego pokoju. – Ani do mojej głowy.
- Wiesz, że poznam twoje nowe kody. David mnie tego nauczył.
- Wydaję cichy jęk. David o wiele za dobrze zna się na komputerach i zdecydowanie zbyt chętnie przekazuje tę wiedzę Rosie. Ale on nie wykorzystuje swoich umiejętności w złych celach, więc nie przychodzi mu do głowy, że ona to zrobi.
- Czy David powiedział ci, że włamywanie się do cudzych telefonów jest w porządku?
- Poważnie kiwa głową.
- Rosa! David nigdy by czegoś takiego nie powiedział.
- Owszem, David mówi wiele różnych rzeczy. Wiedziałaś, że ma zestaw ewakuacyjny?
- Co takiego?
- Torbę z rzeczami, których może potrzebować, jeśli będzie musiał w pośpiechu zwać z kraju.
- Kręcę głową.
- Po co w ogóle mówisz takie rzeczy? Przestań kłamać.
- Teraz Rosa kręci głową.
- Mówiłam ci, że nie mogę tego obiecać. Kłamstwo jest zbyt przydatne. Poza tym ty też kłamiesz. Mówiłeś, że nic ci nie jest w nos, a było. Mówiłeś, że nie walczysz w sparingach, a walczyłeś.
- Możesz obiecać, że nie będziesz się włamywała do mojego

telefonu?

– Dobra.

– Powiedz to.

– Obiecuję, że nie będę się włamywała do twojego telefonu.

– Ani niczyjego innego – dodaję.

Teraz Rosa jęczy głośno.

– Ani niczyjego innego – powtarza za mną.

– A teraz wracaj do łóżka – nakazuję.

– Nie jestem śpiąca.

– Idź i nie bądź śpiąca w swoim pokoju. Ja jestem śpiący. –

Pokazuję palcem drzwi.

Rosa wydyma usta, ale wychodzi. Staram się nie myśleć o słowach: „gdyby nie było Sid”.

Rano zamontuję zamek w swoich drzwiach.

ROZDZIAŁ 23

Przy śniadaniu prawie się do siebie nie odzywamy. To tyle, jeśli chodzi o kochającą, otwartą, komunikującą się rodzinę. Rosa uśmiecha się pod nosem.

Mam wrażenie, że spiskują, żeby wymazać z mojego mózgu ostatni wieczór z Sojourner. Nie uda im się. Moje usta nadal lekko mrowią. Sojourner mnie pocałowała.

Nie mówię im o tym, że Rosa myszkowała w moim telefonie. Nawet jeśli wysłuchają i łaskawie zareagują, co to zmieni? Rosa ma tylko dziesięć lat, nie jest zdolna do żadnego zła i, hej, jest nad wiek rozwinięta, skoro już potrafi hakować.

Słyszę, że Sally, rozmawiając z kimś przez telefon, używa zwrotu, który brzmi jak „spóźniony bunt nastolatka”. Chyba chciała, bym to usłyszał. Mimowolnie zaciskam dłonie w pięści.

Idę do najbliższego sklepu z artykułami żelaznymi, kupuję najtańszą wiertarkę elektryczną i zasuwę do drzwi. To powstrzyma Rosę przed wchodzeniem do mojego pokoju. Podaję przy kasie kartę kredytową rodziców, której mogę używać w wyjątkowych wypadkach.

– Przykro mi – mówi kasjer – ale karta została odrzucona. Ma pan inną?

– Odrzucona? Nie rozumiem.

– Nie może pan zapłacić tą kartą. Nie działa.

Musi mnie uważać za idiotę. Wiem, co oznacza „odrzucona”. To pewnie chwilowy błąd systemu. Może użyję karty dziadka? Wścieknie się. Będę musiał zadzwonić i wyjaśnić. Kolejny raz. Mimo to podaję jego kartę, która działa.

Gdy wracam do domu, Sally i Davida nie ma, a Geoff i Rosa siedzą na dole pochłonięci zgłębianiem zjawiska fraktali.

– Dzień dobry – mówię.

Geoff odpowiada na powitanie.

Oddaję mu zadanie domowe, znów z analizy matematycznej, ponieważ zupełnie jej nie ogarniam. Sprawdza je wraz ze mną, podczas gdy Rosa bawi się fraktalami na tablecie. Próbuję się skoncentrować, ale mam przemożną ochotę pójść na górę i zamontować zamek.

Geoff marszczy brwi. Zależy mu na tym, bym zrozumiał. Nagle wydaje cichy dźwięk, coś pomiędzy świstem a westchnieniem.

– Che, co to jest analiza matematyczna? – pyta.

– Słucham?

– Jak byś ją opisał, gdyby ktoś cię o to spytał?

– Torturą? Zestawem reguł, których nie rozumiem?

Wygląda teraz, jakby cierpiał.

– A algebra w takim razie?

– Nie jestem Rosą – bronię się. – Muszę wkuwać wszystko na pamięć. Nie ma nadziei na to, że zrozumiem. Wiesz co, Geoff? Pójdę już sobie.

Nauczyciel gapi się na mnie i otwiera usta, ale nie dobywają się z nich żadne słowa.

– Nie możesz sobie pójść, Che – oponuje Rosa. – Nie wolno ci.

Idę na górę, a siostra podąża za mną. Przygląda się, jak wrzucam do plecaka świeże owijki i butelkę wody.

– Nie możesz uciec z matmy. Twój mózg zacznie zanikać. Już masz zaległości w nauce – przekonuje.

Ignoruję ją.

– Nie zostaniesz neurologiem, jeśli oblejesz matkę – próbuje mnie podejść z innej strony.

– Jakby cię to obchodziło.

– Nie zachowujesz się grzecznie – zauważa Rosa – więc dlaczego ode mnie tego wymagasz, skoro sam tak nie robisz?

– Bo tak... – Milknę, opuszczam plecak i opadam na podłogę.

– Możliwe, że niedługo nie będziesz już musiał uczyć się matmy – dodaje siostra uspokajająco. – Rodzice nie zapłacili Geoffowi. Są

spłukani.

– Skąd wiesz?

Rosa się uśmiecha.

Pewnie do ich telefonów też się włamała.

– Dlatego wyjechali do Tajlandii. Skończyły im się pieniądze, a kiedy tamta firma też upadła...

– Upadła? – dziwię się. – Przecież ją sprzedali. Jak mogliby ją sprzedać, gdyby nie funkcjonowała?

– Sprzedali ze stratą.

– Skąd to wiesz?

– Jak ty możesz tego nie wiedzieć? Teraz McBrunightowie płacą za wszystko.

Niby o tym wiem, ale jakoś się nad tym nie zastanawiałem. To rzeczywiście nie jest normalne.

– Próbowałem za coś zapłacić ich kartą kredytową – wyznaję.

– Są spłukani – powtarza Rosa. – Sprawdziłam wszystkie określenia oznaczające brak pieniędzy: bez grosza, biedny, zubożały, goły, zdiadziały, nieśmierdzący groszem, zrujnowany, spsiały, goły jak święty turecki, bankrut, nędzarz, dziad, żebrak, biedny jak mysz kościelna...

– Kumam.

Czy ona sobie żartuje? Czy uważa, że to zabawne?

– No i „spłukany” spodobało mi się najbardziej.

– Kiedy przyjechaliśmy do Tajlandii, ich karta kredytowa przestała działać – przypominam sobie. – Ale dlatego, że zapomnieli zawiadomić bank o wyjeździe.

– McBrunightowie są ostatnią szansą rodziców. Jeśli to przedsięwzięcie nie odniesie sukcesu, David znów będzie musiał pracować gdzieś w IT, a wiesz, jak słabo mu idzie zachowanie stanowiska w normalnej firmie.

Nie mam pojęcia o niczym takim. O czym ona mówi?

– Prawdopodobnie będziemy musieli zamieszkać z babcią i dziadkiem – ciągnie Rosa. – Poślą nas do szkoły dla bogaczy, jak to zrobili z Davidem.

– Został z niej wydalony.

– Jesteśmy o wiele lepsi, niż David był w naszym wieku. Poza tym ja dostanę stypendium. Jestem genialna.

Nie podoba mi się ta koszmarna wizja, którą roztacza. Ja nie jestem genialny. Czy dziadek zapłaci za moje liceum i studia? Lubi za swoje pieniądze dostawać coś w zamian. To, że płaci za mój boks, irytuje rodziców. Czy zapłaci za naszą edukację także po to, żeby ich rozdrażnić? „Zawaliliście, ale ja wkraczam i ratuję sytuację”.

Nie chcę mieszkać z dziadkami i na pewno nie chcę, żeby Rosa z nimi mieszkała. Lubią nastawiać dzieci przeciwko sobie nawzajem, kupują je i manipulują nimi. Spędziwszy więcej niż godzinę z rodzicami Davida, wiem się jak robak.

Mogłaby mnie przyjąć jedna z ciotek, ale wtedy dziadkowie na pewno cofnęliby swoją pomoc, a tylko oni mają pieniądze. Oni i wuj Saul, który nigdy by nas nie wziął do siebie, a nawet gdyby, byłoby to gorsze niż mieszkanie u dziadków.

– Spłukani... – powtarzam. – Dlaczego nic nie powiedzieli? Nie mówili nam, że mamy oszczędzać.

– Bo zawsze to robimy, tak nas wychowali.

Nie ogarniam tego, co mówi Rosa.

– W takim razie jak mogą sobie pozwolić na to przyjęcie?

Siostra patrzy na mnie, jakbym był idiotą.

– McBrunightowie płacą? – domyślam się.

Kiwa potakująco głową. Jakim cudem moja dziesięcioletnia siostra wie o tym wszystkim więcej niż ja? Bo lubi szpiegować. I na pewno przesadza.

– Obchodzi ich tylko to, by zrobić wrażenie na McBrunightach. Mówiłam ci, że nami się w ogóle nie przejmują. – Wsuwa dłoń w moją rękę. – Poczujmy się jeszcze matmy, zanim Geoff się kapnie, że nie mają mu jak zapłacić.

Ciągnie mnie za rękę, a ja wstaję. Schodzimy na dół.

– Przepraszam – zwracam się do Geoffa. – Jestem ostatnio trochę zestresowany.

Geoff wydaje dźwięk, który mógłby oznaczać współczucie. Patrzy

gdzieś w bok od mojego lewego ucha.
Rosa uśmiecha się pod nosem.
– Wyjaśnijmy Che, co to są fraktale.

ROZDZIAŁ 24

Kiedy Leilani przychodzi na parapetówkę z Mayą, Veronicą oraz Elonem, rozchichotane Rosa i Seimone akurat biorą od Davida kolejną tacę z przekąskami do rozniesienia wśród gości. Mój ojciec nie wygląda jak człowiek na krawędzi bankructwa, ale on prawie zawsze potrafi zachować twarz pokerzysty.

Witam ich przy drzwiach. Veronica i Elon nie mogą się doczekać, by poznać moją upiorną siostrunię.

– Cześć, Seimone! – woła Elon.

Seimone macha do niego i podchodzi, prowadząc Rosę. Maya staje za plecami Leilani.

Moja siostra włożyła swoją ulubioną białą sukienkę z niebieską satynową szarfą w pasie i dobrane do niej niebieskie rękawiczki. Włosy ma uczesane w dwie kitki nad uszami, a jej loki podskakują jak sprężynki przy każdym ruchu. Ma też czarne buciki z patentowanej skórki. Wygląda jak ideał dziewczynki z poprzedniego wieku. Wszyscy pieją z zachwytu nad jej urodą, a Rosa wprost rozkwita.

Nigdy nie wydaje się bardziej ludzka niż wtedy, gdy pławi się w podziw.

– Niezła sukienka – rzuca Leilani.

Rosa uśmiecha się dopiero po chwili.

Elon wzdycha z zachwytem.

– Naprawdę przypominasz Shirley Temple! – wykrzykuje. – Jesteś prześliczna.

Uśmiechu dla Elona nie poprzedza nawet sekunda wahania, po czym siostra wykonuje swoje popisowe dygnięcie.

– Ty też – odpowiada. – Podobają mi się twoje włosy.

Są zafarbowane we fioletowo-czarną szachownicę.

– Koszula też. Pięknie błyszczy. – Koszula Elona wygląda jak uszyta z czystego srebra. Rosa wyciąga rękę, by jej dotknąć.

– To jest Elon, a to Veronica – przedstawiam ich.

Rosa znów dyga, po czym wszyscy troje muskają się policzkami w udawanym pocałunku.

– Jesteś chłopakiem czy dziewczyną?

Ja nie miałem odwagi, by o to spytać.

Elon wybuchają śmiechem.

– Ani tym, ani tym – odpowiada. – Obojgiem. Coś w tym rodzaju.

Rosa przez chwilę przygląda mu się z namysłem.

– Nie wiesz tego?

– Och, ja wiem. To świat żyje w niepewności.

– Dasz mi swoją koszulę?

Elon znów się śmieje.

– Byłaby na ciebie trochę za duża, kruszyno, ale znajdę ci taką samą.

– Tak, proszę! – Rosa odwraca się do Veroniki. – Jesteś piękna.

– My, piękności z lokami, powinnyśmy się trzymać razem – odpowiada Veronica. – Wyglądasz jak Shirley Temple!

– Musimy nauczyć ją stepować, co, Ronnie? – proponuje Elon.

– Ona umie stepować – wtrącam, ale mnie nie słyszą i chyba nie pamiętają, że im to mówiłem. Leilani uśmiecha się ironicznie.

Rosa prezentuje dołeczki i zaczyna stepować przed Elonem. Elon powtarza jej kroki, a Veronica dołącza do nich.

– Jak słodko... – komentuje Leilani. Jej ton jest głosowym odpowiednikiem uniesienia brwi.

Idziemy usiąść na schodach, ponieważ sofy zostały odsunięte na bok, żeby zrobić parkiet do tańca. Rozmowy zamierają, bo prawie wszyscy oglądają, klaszczą, fotografują i filmują tańczących Veronicę, Elona oraz Rosę.

Moja siostra wygląda jak prześliczna jasnowłosa laleczka.

– Chodź – szepcze Leilani. Siadamy u góry schodów. Seimone stoi obok Gene'a, wtopiona w tłum, patrząc na popisy Rosy. Maya wycofała się za wyspę kuchenną i pomaga Davidowi w

przygotowywaniu jedzenia.

– Dobrze wyglądasz – mówi Leilani, poklepując rękaw mojej koszuli ze Szpuli. – Cieszę się, że kupiłam ci też zieloną.

– Dzięki – odpowiadam, ale myśl o tym, że Sally i David zawdzięczają wszystko McBrunightom, sprawia, że dziwnie się z tym czuję. Gdybym wkurzył Leilani, czy to by zmieniło sytuację rodziców? Jak niepewny jest ten układ?

Sally i David nawet nie zwrócili uwagi na to, w co się ubrałam, co nie jest zaskakujące. Rosa powiedziała: „Ładna koszula”. Ona zauważa wszystko.

– Jestem antyfanką twojej siostry.

Antyfanką? Czy to amerykańizm, czy leilanizm? Zapewne to drugie.

– Wiesz, że bliźniaczki ze sobą nie rozmawiają? Już od dłuższego czasu. – Przygląda się Rosie. – Nigdy jeszcze nie miały cichych dni.

– Rosa... – Nie wiem, jak dokończyć to zdanie.

– Większość ludzi tego nie dostrzega, prawda?

Kręcę głową.

– Ten chwyt z uroczą dziewczyneczką działa, a do tego bezwstydnie prawi pochlebstwa.

– Cóż, ma tylko dziesięć lat. – Dlaczego jej bronisz?

– No i to stepowanie. Ciekawe, czy Shirley Temple była taka sama i terroryzowała całe otoczenie, gdy tylko kamera się wyłączała. Chybabyśmy o tym usłyszeli, prawda? Wiemy, jacy okropni byli Joan Crawford i Bing Crosby. Jezu... Jak możesz to znieść?

– Czasami nie mogę – wyznaję. – Ale to moja siostra.

– Do czego się posunie, gdy będzie za stara na tę sztuczkę z Shirley Temple?

– Coś wymyśli.

– Nie musi nawet się za bardzo starać, prawda? Większość ludzi chłonie komplementy jak gąbka. Nawet nie potrafią dostrzec, że są nieszczerze. Elon i Veronica złapali się na haczyk bez chwili wahania.

– Studiujesz aktorstwo. Nie wszyscy aktorzy są tacy?

– Większość. Elon żyje dla pochwał i podziwu. Ja nie. Zawsze znałam swoją wartość, w przeciwieństwie do niego.

To chyba konieczne, by założyć własny blog modowy w wieku dwunastu lat. Ja też znam swoją wartość i nigdy nie łaknąłem aprobaty tak bardzo jak inne dzieci.

Rosa również jej nie potrzebuje. Ona uważa, że podziw po prostu jej się należy.

– Veronica bardziej przypomina ciebie czy Elona pod tym względem?

– Jest gdzieś pośrodku. Choć nie, to nieprawda. Myślę, że potrzebuje pochwał tak bardzo jak Elon, ale Elon jest bardziej szczery w tej kwestii. Nie wstydzi się, za to Ronnie wie, że nie powinna chcieć tego tak bardzo, jak chce.

Cała trójka się kłania. Powinienem się cieszyć, że moja siostrzyczka dobrze się bawi, ale obawiam się, że Veronica i Elon są ludźmi, którymi zbyt łatwo manipulować.

– Czy potrzeba bycia w centrum uwagi nie jest sednem aktorstwa? Nie lubisz tego?

– Lubię, ale nie pragnę tego nad życie. Mogę grać bez widzów. Natomiast tych dwoje potrzebuje czci, jaką otacza ich publiczność. Gdybym to powiedziała któremuś z nich, nie uwierzyliby. W ogóle nigdy nie mówiłam tego na głos. – Zerka na mnie kątem oka. – Jesteś inny, niż się spodziewałam.

– Chyba powinienem podziękować. Rosa też nie potrzebuje publiczności – dodaję. – Lubi ją, owszem, ale jej obecność ma zerowy wpływ na to, jak ona się ze sobą czuje.

– Myśl o niej jako o dorosłej jest przerażająca – stwierdza Leilani.

– To prawda – zgadzam się.

– Owinęła sobie Seimone dookoła palca i wykluczyły Mayę ze wszystkiego. Nie, żeby chciała mieć coś wspólnego z Rosą, ale to boli. – Obserwujemy, jak Maya dźwiga tacę z pokrojonymi warzywami i sosami, niemalże większą od niej samej.

– Che! – woła David. – Przyszły twoje przyjaciółki, Sid i Jaime.

Sojourner stoi w drzwiach, ma na sobie czerwoną sukienkę z

czarnym paskiem, a włosy otaczają jej twarz. Moje serce na chwilę zamiera.

Leilani daje mi kuksańca.

– Sid się nieźle odstawiła.

Wstaję, nie spuszczać wzroku z Sojourner.

– Czy to miłość? – pyta Leilani, kiedy schodzę na dół. Sojourner uśmiecha się, a moje serce fika koziółka.

– Hej, Soj... Sid – mówię. – Cieszę się, że przyszłaś.

„Cieszę się, że mnie wczoraj pocałowałaś” – chcę powiedzieć.

Nie jestem pewien, czy podać jej rękę, czy cmoknąć w policzek, więc stoję tak, szczerząc się do niej w uśmiechu całe godziny.

Wyciąga pięść i przybijamy żółwika. Skóra dotyka skóry.

– Gdzie twoje mamy? – pytam.

– Mama ma gorszy dzień, więc mami z nią została. Kazały mi przeprosić w ich imieniu.

– Przykro mi.

– Zdarza się. – Wzrusza ramionami.

– Cześć – odzywa się Jaime. Zapomniałem o niej zupełnie. Uśmiechem daje mi do zrozumienia, że wie i uważa to za zabawne.

– Hej, czy to Elon?

– Znasz Elona?

– Jasne. To klubowa sława. Ale Elon mnie nie zna, więc idę to naprawić. Do zobaczenia później, Sid. Och, i zostaję dziś na noc u taty, zapomniałam powiedzieć twoim mamom.

Sojourner kiwa głową.

– Przekażę im.

Zastanawiam się, dlaczego jej mamy muszą znać plany Jaime, i chyba to po mnie widać, bo Sojourner wyjaśnia:

– Jaime właściwie z nami mieszka. Jej rodzice się rozeszli. Mama przeniosła się do Queens, za ostatni przystanek linii F, a ojciec do New Jersey. Wprowadziła się więc do nas, żeby móc dalej chodzić do tej samej szkoły. Ładna koszula. – Lekko dotyka mojego kołnierzyka. – Miękka. Jej kolor sprawia, że twoje oczy wyglądają prawie, jakby były zielone.

- Dzięki. Ładna sukienka. W ogóle wyglądasz pięknie.
- Dziękuję. – Uśmiecha się, a moje serce galopuje jak szalone. To śmieszne.
- Masz ochotę się czegoś napić? – pytam.
- Pewnie – odpowiada, gdy prowadzę ją w stronę wyspy kuchennej. – Macie bourbon?
- Hm... – Zerkam na rodziców, zastanawiając się, czy mogę podać alkohol osobie niepełnoletniej.
- Sojourner stuka mnie pięścią w ramię.
- Żartuję! Nie piję alkoholu. Poproszę o sok.
- Mamy ananasowy, pomarańczowy, mango, gruszkowy i truskawkowy.
- To jeden smak czy pięć różnych?
- Pięć – odpowiadam. – Mój ojciec uważa, że mieszanie soków to barbarzyństwo, ale to nas nie powstrzymuje.
- Zatem ananasowy z mango – decyduje Sojourner. – W duchu buntu.
- Sally rozmawia z dwiema kobietami, których nie rozpoznaję. Wygłasza właśnie swoją tyradę o przemyśle kosmetycznym. Kobiety kiwają zgodnie głowami.
- Przemysł kosmetyczny to bat zmuszający nas do kupowania rzeczy, których nie potrzebujemy – tłumaczy im. – Sprawia, że nigdy nie czujemy się wystarczająco piękne. Wiecie, że produkcja kremów rozjaśniających to interes wart miliard dolarów rocznie?
- Zabawne, że twoja mama mówi tak o urodzie, skoro sama mogłaby występować na okładkach magazynów – komentuje Sojourner.
- Tylko dla dojrzałych kobiet – dodaję. Zdaniem Sally kobiety po trzydziestce – lub czterdziestce, jeśli są zamożne – nie mają prawa być ładne. – Często mówi takie rzeczy.
- Moje mamy też.
- No jasne, zło kapitalizmu.
- Kultura konsumencka. Mama uwielbia wygłaszać kazania na ten temat.

Sojourner popija sok, rozglądając się wokół. Jest tu sporo pięknych ludzi w drogich ubraniach. Zastanawiam się, jakie to na niej robi wrażenie.

– Nie wiedziałam, że twoi rodzice są tacy bogaci.

– Bo nie są. – Nagle robię się bardzo świadomy tego, że mam na sobie koszulę za tysiąc dolarów.

Sojourner ściąga usta.

– Serio? To największy apartament, jaki w życiu widziałam.

Ciekawe, jak by zareagowała, gdybym ją zabrał do domu McBrunightów.

– Wynajęty. – Już mam na końcu języka wyznanie, że nie my za niego płacimy, ale chyba się tego wstydzę.

– No dobra, to dowodzi, że nie jesteście bogaci. – Śmieje się. – Oczywiście, że wynajęty, wszyscy w Nowym Jorku wynajmują mieszkania. Ale założę się, że twoi rodzice płacą za nie miesięcznie więcej niż moje mamy rocznie.

Nie mam pojęcia, ile wynosi czynsz. Zastanawiam się, czy rodzice wiedzą. Czy czują się jak dzieci, gdy McBrunightowie wszystko im finansują?

– Nas to kosztuje cztery osiemset za miesiąc, oczywiście w budynku objętym kontrolą czynszów. W mieszkaniu jest pięć pomieszczeń, licząc kuchnię i łazienkę. Całe by się zmieściło w tym jednym pokoju.

– Przepraszam – mówię, choć nie bardzo wiem za co. Czuję palącą potrzebę, by jej powiedzieć, że nic tu do nas nie należy. Że jesteśmy spłukani. Rosa ma rację, to najlepsze określenie.

– Za co? Mamy ładne mieszkanie. Może nie takie okazałe jak to, ale to nie twoja wina. Musisz tylko załatwić sobie koszulkę z napisem „Bogaty biały chłopak”, żeby nie zaskakiwać przyjaciół.

– Nie wiedziałas, że jestem biały?

– Śmieszne.

– Dobrze, będę nosił taką koszulkę. Przepraszam, jeśli cię uraziłem.

Sojourner wybucha śmiechem.

– Musiałbyś się bardziej postarać. Już nawet mi powiedziałaś, że wiara w Boga jest głupia, a ja się nie obraziłam.

– Nie powiedziałem nic takiego!

Uśmiecha się.

– Tu jest tylko siedem pokoiów – mówię z myślą o tym, ile pokoiów mają McBrunightowie.

– W waszym salonie odbywa się właśnie pokaz stepowania! W moim nie da się nawet obrócić. – Znów się śmieje. – Nie zrozum mnie źle, mamy fajne mieszkanie, do tego na piątym piętrze. Parter i piwnica zostały zalane już dwukrotnie w ciągu kilku ostatnich lat. Jaka tu jest strefa?

Nie mam pojęcia, o czym ona mówi. I dlaczego tak się rozgadała? Czy jest speszona tym wczorajszym pocałunkiem?

– Kiedy nadchodzi burza, musisz wiedzieć, w której strefie jesteś. Najgorsza jest pierwsza. Po ostatniej nawałnicy nie można było wyjść z budynku przez kilka dni. Miałyśmy szczęście, że byłyśmy akurat w Jersey City. Was prawdopodobnie podział na strefy nie obejmuje, co oznacza, że nie grozi wam ewakuacja lub zalanie. Ale to nie chroni was przed brakiem prądu.

– Brakiem prądu? – powtarzam. Myślałem, że zostawiliśmy takie atrakcje w Bangkoku.

Sojourner wybucha śmiechem.

– Nic nie wiesz o tym mieście, prawda?

– Nie. To miasto z filmów, w którym dym unosi się z ulic.

– To nie dym, tylko para.

– Serio? To nie jest efekt specjalny?

Znów się śmieje.

– Miasto ma parową sieć grzewczą. Chodź, pokażę ci.

Sojourner chwytam mnie za rękę i prowadzi między grupkami gości. Dłoń ma ciepłą, suchą i pokrytą odciskami. Czuję jej lekki dotyk całym sobą, aż do pachwin.

Pokaz stepowania dobiega końca i wszyscy biją brawo. Opornie przyłączam się do oklasków, za to Sojourner okazuje większy entuzjazm.

Zatrzymujemy się przy grzejniku pod jednym z okien. Dziewczyna puszcza moją dłoń, a ja muszę się powstrzymać, żeby jej natychmiast znowu nie złapać. Nachyla się do mnie i czuję w jej oddechu zapach mango i ananasa.

– Wasz grzejnik jest nowocześniejszy i elegancki. – Jej usta znajdują się bardzo blisko moich. – Ale ma taką samą konstrukcję jak nasz. Tą rurą napływa para i wypełnia żeberka, tak że zarówno rury, jak i kaloryfer ogrzewają mieszkanie.

– Aha – odpowiadam, patrząc na jej kark.

– Ponieważ ten jest nowoczesny, możesz go wyłączyć. Widzisz?

Znów na mnie patrzy. Widzę. Jej oczy mają wszystkie odcienie brązu, od niemalże żółtego po prawie czarny.

– Jedynym sposobem na regulację naszego ogrzewania jest otwarcie okna. Czasami robi się tak gorąco, że musimy wietrzyć, nawet jeśli na zewnątrz szaleje śnieżyca.

– To musi być irytujące – stwierdzam, ponieważ czuję, że coś powinienem powiedzieć.

– Czym dokładnie zajmują się twoi rodzice? – pyta. – Skoro mogą sobie pozwolić na takie mieszkanie i płacenie ci za milion zajęć sportowych? Widzisz, ja tam uczę, więc mam sporą zniżkę, a ledwie mnie stać na pokrycie kosztów. Ty praktycznie stamtąd nie wychodzisz.

Nie wiem, co powiedzieć.

– Co oni robią? – dopytuje się.

– Zakładają firmy. Największe sukcesy odniosła SunPow. Głupia nazwa. – Już nie jestem pewien, czy to prawda. Czy przyniosła dochód, kiedy rodzice ją sprzedawali? Czy to się stało później? Jeśli działała pręźnie, to czemu teraz są spłukani? – Produkowali tanie źródło energii, panele słoneczne. Ludzie używają ich na campingach, ale każdy, kto kupuje jeden, płaci za drugi, wysyłany do mieszkańców odległych zakątków świata, których nie stać na własny. Kolejna firma rodziców produkowała zasobniki kondensacyjne pozwalające zbierać wodę nawet w najbardziej suchych rejonach. Robili mnóstwo podobnych rzeczy.

– To brzmi, jakby byli dobrymi ludźmi – komentuje Sojourner.

– Bo są. I nie są bogaci. Większość pieniędzy pochłania kolejna firma i dotowanie różnych organizacji, uczących dzieci czytać, walczących z malarią... – Milknę. Czy to dlatego są zrujnowani? – Wynajmują okazały apartament i wydają huczne przyjęcie, żeby zbierać fundusze. Widzisz, jak David krąży wśród gości? Ciężko pracuje, żeby pozyskać jak najwięcej inwestorów.

Przyglądamy się ojcu, który rozmawia z parą starszych ludzi. Oboje są urzeczeni.

– Twój tata potrafi być czarujący, prawda?

Potakuję.

– Musi. Są tu naprawdę grube ryby. Megabogacze.

– Jak ta para, którą teraz kokietuje?

– Tak. Ale czy ty...

– Czy Sid tańczy? – pyta Rosa zza moich pleców, a ja prawie podskakuję.

– Oczywiście.

– Zatańczysz ze mną? – Rosa wsuwa dłoń w rękę Sojourner.

Odchodząc, odwraca się i posyła mi uśmiech, a ja przez ułamek sekundy zastanawiam się nad tym, jak moje życie by wyglądało, gdyby ona nie istniała. Nigdy tak bardzo tego nie pragnąłem.

Cokolwiek planuje, nie pozwolę, by jej się udało. Muszę wymyślić jakiś sposób ostrzegania ludzi przed Rosą, który nie wymagałby powiedzenia: „Sądzę, że moja siostra jest psychopatką”.

Sojourner w tańcu porusza się tak samo pięknie jak na ringu. Elon i Veronica wygłupiają się na parkiecie, ale widać, że są dobrymi tancerzami. Sally i Lisimaya dołączają do nich.

Przeciskam się w stronę schodów, kiwając głową i uśmiechając się, kiedy wpadam na ludzi, których nigdy nie widziałem. Wtem ktoś ujmuję mnie za łokieć.

– Zatańczysz ze mną?

Wiem, że to Sojourner, jeszcze zanim się odwracam. Uśmiecham się tylko, bo nie chcę powiedzieć nic niewłaściwego. Torujemy sobie drogę na parkiet i zaczynamy tańczyć. Naśladuję jej ruchy, jakby to

było ćwiczenie, sekwencja kata.

Widzę tylko ją i przepelnia mnie taka lekkość, że jeśli wiara w Boga budzi podobne uczucie, to będę chodził do kościoła co niedziela.

ROZDZIAŁ 25

Leilani, Veronica, Elon, ja i Jaime wybieramy się do Coffee Noir, gdzie Veronica i Elon pracują. Cały personel ich zna. Barman częstuje Jaime, Veronicę i Elona darmowymi drinkami z czegoś zielonego. Leilani ogranicza się do wody podobnie jak ja.

Elon i Jaime kłócą się, które z nich jest prawdziwszym nowojorczykiem.

– Mogę sobie pozwolić na mieszkanie tylko dlatego, że podnajmuję je od wuja! – oznajmia Elon. – A do tego jest objęta kontrolą czynszów!

– Nasza czynszówka została wyburzona! Teraz mama mieszka w części Queens, która ledwo się mieści na pierdolonej mapie!

– Ciszej... – Leilani przewraca oczami. – Przyprawiacie mnie o ból głowy.

Elon i Jaime ściszą głos, pochylając się do siebie na tyle blisko, że mogliby się pocałować.

– Będą to ciągnąć całą noc – oznajmia Leilani scenicznym szeptem. – Prawdziwa miłość.

– Na pewno nie chcecie drinka? – upewnia się Veronica. – Są świetne.

Kręcę głową, Leilani odmawia.

– Leilani nie pije publicznie – szepcze głośno Veronica – bo ktoś mógłby zrobić zdjęcie i napytać jej kłopotów.

Dziwne wrażenie robi na mnie myśl, że Leilani jest w pewnym sensie sławna.

– Ta cała Sid bardzo ci się podoba, co? – pyta obcesowo Veronica, przysuwając się za blisko mnie. Jej oddech pachnie obrzydliwie słodko.

– Yhm.

– Trenują razem – mówi Leilani. – Sid jest bokserką. Odbyła już dwie amatorskie walki.

Dziwi mnie, skąd Leilani to wie, a potem przypominam sobie, że siedziały obok siebie w koreańskiej restauracji.

– Boks! – Elon się wzdryga.

– Wygrała te walki? – pyta Veronica.

– Obie – potwierdza Jaime.

– To wyjaśnia te wspaniałe ramiona – mówi Veronica. – Powinam wziąć lekcje boksu i tak wyrzeźbić ciało. – Markuje kilka ciosów w powietrzu. – Dlatego ci się podoba, Che? Ponieważ boksuje?

Nie chcę rozmawiać o Sojourner. Opowiadanie o niej mogłoby zniszczyć tę kruchą więź, która się między nami narodziła. Pocałowaliśmy się raz, chwilę trzymaliśmy za rękę, zatańczyliśmy. A jej najlepsza przyjaciółka siedzi obok.

– Myślę, że ci się podoba, bo jest taka ciemna. Uważasz, że jest egzotyczna, prawda? – drąży Leilani. Uśmiecha się, jakby żartowała, ale czuję się, jakby wymierzyła mi policzek.

– Oczywiście, że nie – zaprzeczam.

Nigdy nie nazwałem Sojourner egzotyczną, zresztą rozmawiałem o niej wyłącznie z Georgie. Jednak czy tak nie myślałem? Sojourner ma ciemniejszą skórę niż jakakolwiek dziewczyna, która mi się podobała do tej pory. Ciemniejszą niż ktokolwiek, kogo znam.

– Podnieca cię kontrast pomiędzy twoim bladym dupskiem i jej hebanową skórą? – pyta Elon.

– Nie! – oburzam się. Przyglądają mi się uważnie. Jaime też się gapi, jakby chciała mi zajrzeć do duszy, sprawdzić, czy zamierzam skrzywdzić jej najlepszą przyjaciółkę.

Ledwie się dotknęliśmy i tak, podnieciło mnie to. Jak mogłoby być inaczej? To Sojourner.

– Jesteś pijany i podły, Elon – oznajmia Veronica.

Mam uczucie, że stoję nad pojawiającą się linią podziału między Leilani i Elonem po jednej stronie, a Veronicą po drugiej.

– Nie jestem pijany!

Veronica wybucha śmiechem.

– Ha! Więc nie zaprzeczasz, że jesteś podły. Che ją lubi. Ludzie się lubią tak po prostu. – Przenosi wzrok z Jaime na Elona i z powrotem. Wypija drinka do dna i macha do kumpla, żeby znów nappełnił jej kieliszek.

Ich pytania rzeczywiście brzmią podle, ale boję się, że jest w nich ziarno prawdy. Czy uważam, że Sojourner jest piękna, bo nie przypomina innych dziewcząt, które mi się podobały? Ale w sumie bardzo je przypomina, nawet Georgie to zauważyła. Zawsze pociągały mnie dziewczęta wysokie, silne i muskularne.

– Czasami ludzie się lubią – powtarza Ronnie.

– Mówi biała dziewczyna – prycha Leilani. – Wiele osób interesuje się mną, bo myślą, że jako Koreanka jestem skromna, niewinna i takie tam gówno. – Krzywi się. – Jedna dziewczyna chciała nawet, żebym włożyła strój narodowy, wyobrażacie sobie?

– Kim są te osoby? – pyta Elon. – Skromna? Ty?

– Nawet nie wyglądasz na Koreankę, urodziłaś się tutaj. Nie jesteś Koreanką. Twoja mama jest biała – wytyka jej Veronica.

– Znów to samo? Ronnie, czy może być ktoś bielszy od ciebie?

– Czeka, mówisz, że postrzegasz mnie jako białą, a nie jako... jako... – Veronica szuka słowa. – Jako jednostkę? – Jej głos brzmi tryumfalnie, jakby znalazła argument nie do zbiccia.

Elon ma smutną minę. Veronica chyba myśli, że to oznacza, iż się z nią zgadza, ale ja jestem pewien, że nie. Jaime przewraca oczami.

– Gdybyś była we mnie naprawdę zakochana – oznajmia Veronica, opróżniając kolejny kieliszek – nie zauważałabyś koloru mojej skóry!

Elon i Leilani wymieniają spojrzenia. Jaime prycha.

– Chyba muszę mieć jakiś fetysz na punkcie białych dziewczyn, skoro z tobą wytrzymuję. – Leilani zwraca się do Elona i Jaime: – Nie mam na to teraz siły, chodźmy stąd.

Wstają, Elon się zatacza, a Jaime go podtrzymuje. Ja też zaczynam się podnosić z krzesła.

– Do zobaczenia później, Che – powstrzymuje mnie Jaime. –

Musisz ją wyprostować.

Wychodzą, a ja opadam na siedzenie, czując się bielszy niż kiedykolwiek w życiu.

– No co? – pyta Veronica. Podnosi się odrobinę, a potem znów siada. – Boże! Dlaczego Leilani musi wszystko sprowadzać do rasy? Przecież nawet nie jest w pełni Koreanką.

– To twoje zdanie. – Policzki mnie palą. Boli mnie, że Leilani uważa, iż jestem taki jak Veronica. Przynajmniej Jaime tak nie sądzi, ale ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę, to „prostowanie” Veroniki.

– No bo nie jest.

– Leilani wygląda jak mieszanka rodziców. Ma w sobie wiele z ojca. Mówi po koreańsku. Spędziła wiele czasu w Korei. Ten kraj dużo dla niej znaczy.

Veronica macha lekceważąco ręką.

– Większość ludzi sądzi, że jest biała. Musi im mówić, że tak nie jest. Gdyby nie rozpowiadała na prawo i lewo, że jest Koreanką, to nikt by nie wiedział.

– Jeśli mówi, że jest koreańską Amerykanką, to musi być dla niej ważne. Postaw się na jej miejscu. – Mam ochotę dodać: „Okaż trochę empatii”.

Veronica wpatruje się we mnie.

– Od jak dawna znasz Leilani? Od trzech minut? Coś ci powiem o Leilani McBrunight: ona kocha dramaty. A największy odgrywa w związku ze swoim koreańskim dziedzictwem. Tak jak to teatralne wyjście. Jej ojciec nawet nie dorastał w Korei. Został adoptowany! Przez zwykłą amerykańską rodzinę. Po raz pierwszy pojechał do Korei, dopiero jak miał dwanaście lat. I Elon jest moim najlepszym przyjacielem, nie jej. Dlaczego poszedł z nią? Dlaczego zawsze trzymają się razem?

Chciałbym, żeby się już zamknęła.

Wypija kolejnego drinka, a ja uświadamiam sobie, że zostaliśmy z rachunkiem do zapłacenia. Kurwa!

– Nie wszystko kręci się wokół rasy. Ludzie mogą po prostu być

ludźmi, wiesz – kończy.

– A co z Elonem? – pytam.

– Co z nim?

– Myślisz, że naprawdę jest chłopakiem?

– Co? Nie, oczywiście, że nie. Elon to Elon.

– A co z ludźmi, którzy potrzebują określić, czy jest chłopakiem, czy dziewczyną?

– Są głupi.

– I tylko Elon może stwierdzić, kim jest? – podsuwam.

– Aha.

– Zatem tylko my sami wiemy, kim jesteśmy, tak? Inni nie?

Veronica kiwa głową, ale ja nie jestem pewien. Czuję, że wszedłem na grząski grunt. Gdybym oznajmił, że jestem kowbojem, wcale bym się nim nie stał. Lecz to inna sytuacja, tylko nie do końca rozumiem dlaczego.

– Leilani twierdzi, że jest koreańską Amerykanką, więc to oznacza, że nią jest – podsumowuję.

Veronica osusza kolejnego drinka.

– Gdyby Leilani pozwalała ludziom zakładać, że jest biała, czy nie byłoby to dla niej mniej kłopotliwe? – pytam jeszcze.

– Mówiłam ci, ona uwielbia dramaty. Lubi się czuć wyjątkowa.

– Z tego samego powodu Elon nie zdradza, czy jest dziewczyną, czy chłopakiem?

– To inna sprawa.

– Naprawdę? Nie sądzisz, że gdyby ludzie kwestionowali to, kim jesteś, bardziej by cię to irytowało, niż dawało poczucie wyjątkowości?

Veronica wyraźnie oklapła. Może zaczyna rozumieć, co mówię, a może zaraz straci przytomność.

– Ale Leilani i tak jest wyjątkowa – mówi, jakby to była wada. – Jest bystrzejsza, bardziej poukładana, bardziej wszystko. Założyła Neofitę, gdy miała, nie wiem, siedem lat? Do czegokolwiek się weźmie, jest w tym najlepsza. Nigdy nie uświadamiałam sobie, jaka... tępa jestem, dopóki jej nie poznałam. Chcę tylko raz wygrać

w dyskusji. Chociaż raz... W tej nie wygrałam, prawda?

Kręcę głową. Dlaczego Leilani trwa w związku z Veronicą tak długo?

– Wszystko zawalam. Ona mnie rzuci.

Ronnie czerwieni się i zaczyna płakać. Podaję jej serwetkę.

– Jest też ode mnie bardziej seksowna – wyrzuca między szlochami. – Myślę o niej cały czas!

Barman podaje jej szklankę wody.

Już zaczynałem sądzić, że Veronica jest taka jak Rosa, ale nie. Rosa nie dopuściłaby do siebie myśli, że ktoś jest lepszy od niej.

– W twojej siostrze nie ma nic dziwnego – oznajmia Veronica ni z tego, ni z owego.

Wzdrygam się odruchowo, jakby sama myśl o Rosie wprowadziła ją do rozmowy.

– Mówiliście z Leilani te wredne rzeczy o niej, bo byliście upaleni, prawda? To słodka dziewczynka, nie powinieneś jej tak obrażać. Jest też świetną tancerką. Będziemy razem występować na ulicach.

– Jesteś pijana.

Veronica się śmieje.

– Odrobinę. Kłócimy się z Lei-Lei tylko wtedy, gdy pijemy.

– Ona nie piła – podkreślam.

– Kiedy jedna z nas pije. Boże, masz rację. Próbuję być mądra, tylko kiedy piję. Elon będzie się na mnie wściekać. Kiedy wrócę do domu, wytknie mi wszystko, co zrobiłam nie tak, wyjaśniając, dlaczego to było złe, a ja będę myślała tylko o tym, czy nie może być zabawny cały czas. Jestem straszna.

Wyciera twarz przemoczoną serwetką.

– Nikt nie jest zabawny cały czas. Ty teraz nie jesteś zabawna – wypominam jej.

– Gbur! – oburza się Veronica, ale uśmiecha się do mnie. – To prawda. Oni lubią zgłębiać różne tematy i pierdzielić o nich, a ja... nie. Myślenie o takich sprawach mnie męczy. Podobają ci się też białe dziewczyny? Czy tylko czarne? Uważasz, że jestem ładna?

Obchodzi ją, co o niej myślę, nie tak jak Rosę, więc dlaczego to

sprawia, że mam o niej gorsze zdanie? Veronica byłaby pewnie mniej irytująca, gdyby bardziej przypominała Rosę. Boże broń!

ROZDZIAŁ 26

Wracam do domu, w którym została tylko garstka gości, w tym Gene i Lisimaya. Siedzą na kanapie z rodzicami, z kieliszkami wina w dłoniach, zamaszycie gestykulując podczas dyskusji.

Rzucają mi krótkie powitanie i szybko wracają do swoich ważnych rozmów.

Otwieram drzwi do pokoju, a tam Rosa siedzi po turecku na moim łóżku, nadal w odświętnej sukience.

Nawet gdybym zainstalował już zasuwę, to by jej nie powstrzymało. Potrzebny mi zamek z kluczem.

Siadam na krześle, odwracam się plecami do siostry, udaję, że coś sprawdzam w komputerze, i włączam telefon na nagrywanie. Potem okręcam się twarzą do niej.

– Gdzie Seimone? – pytam.

– Suzette zabrała bliźniaczki do domu.

– Bliźniaczki? Seimone nie zachowuje się już jak siostra Mayi.

– To głupie, Che. Nie można przestać być bliźniaczką.

– Dlaczego Seimone nie rozmawia z Mayą? – drążę.

Rosa wzrusza ramionami.

– Chyba się pokłóciły. Siostry tak mają, wiesz? Podobała mi się impreza. Lubię Elona i Veronicę, zwłaszcza Elona. Podoba mi się, że nie jest ani chłopakiem, ani dziewczyną. Nigdy nikogo takiego nie spotkałam. To nie to samo co transwestyci w Bangkoku, bo oni chcą być uważani za dziewczyny. Elon powiedział: „Elon to Elon, ani on, ani ona, ani oni, a już zdecydowanie nie to. Bo nikt nie jest »tym«”. Twierdzi, że ludzie robią założenia, a potem się złością, kiedy nie mają racji. Nikt nigdy nie zakłada, że Elon nie jest ani dziewczyną, ani chłopakiem. Mnie to nie złości. A ciebie?

– Że Elon nie jest ani chłopakiem, ani dziewczyną? Nie, tylko

dezorientuje.

– Elon powiedział, że jego rodzicom to nie przeszkadza. Kiedy miał pięć lat, mama dała mu lakier do paznokci i diadem, bo tego chciał, a ojciec zapłacił za lekcje tańca. Powiedzieli, że Elon nie musi być ani chłopcem, ani dziewczyną, jeśli tego nie chce.

– Muszą być świetnymi rodzicami.

– Nie uważasz, że Elon jest dziwny dlatego, że jest inny?

Czuję ukłucie niepokoju. Kiedy Rosa pyta o takie rzeczy... Nie mogę dać się złapać. Nie mogę powiedzieć nic, co pozwoli jej przekreślić znaczenie złożonych obietnic. „Ale mówiłeś... – powie później to uosobienie niewinności. – Myślałam, że to znaczyło...”

– Każdy jest inny w pewnym sensie – odpowiadam.

Rosa patrzy na mnie tak, jakby było coś w układzie mięśni mojej twarzy, co mogłaby wykorzystać.

– Ja też jestem inna – mówi szeptem. – Prawie tak inna jak Elon.

Milczę. Nie są inni w taki sam sposób. Elon nie jest potworem.

– Zdecydowanie jestem dziewczynką – dodaje głosem zarezerwowanym dla rodziców i reszty świata, radosnym, dziewczęcym, bezbronnym. Loki jej podskakują. – Zdecydowanie jestem nią. Czy uważasz, że jesteś chłopakiem?

Kiwam głową.

– Ale nie jestem jak inne dziewczęta czy inni chłopcy. Mam coś, czego nie ma większość ludzi.

Czeka, aż zapytam, co to takiego. Nie zamierzam.

– Jesteś na mnie zły?

– Tak, bo ciągle mnie dręczysz. Po tym jak zabiłaś świnkę Apinyi, obiecałaś, że przestaniesz.

– Nie zabiłam świnki...

– Czego ode mnie chcesz, Roso? – przerywam jej.

– Chcę, żebyśmy znów byli przyjaciółmi. Ty nic mi nie mówisz, a znasz moje sekrety. Chcę poznać jakieś twoje.

– Nie znam wszystkich twoich sekretów – podkreślam.

Rosa się uśmiecha, a drobne włoski na moim ciele stają dęba.

– To prawda. Ale nie zdradzasz mi żadnych swoich, a to nie jest w

porządku.

– Nie ufam ci. Zmuszasz przyjaciół do robienia rzeczy, których nie chcą robić. Ze wszystkich sił starasz się nastawić Seimone przeciwko Mayi.

– Maya jest wredna. Byłoby o wiele łatwiej, gdyby nie żyła. Seimone chce, żeby ona umarła.

– Jezu, Roso, nie możesz zabić Mayi!

Siostra milczy.

– Jeśli zabijesz Mayę, pójdziesz do więzienia – argumentuję.

Nadal ani słowa.

– Jesteś bystra, ale nawet najinteligentniejsi mordercy wpadają. Poczytaj o tym.

– Czytałam – przyznaje. – Niektórych złapano, ale wiele spraw pozostaje nierozwiązanych.

Teraz moja kolej, by się nie odzywać.

Twarz Rosy jest zupełnie pozbawiona wyrazu. Zero dołeczków, zero uśmiechu, zero napięcia. Żółć podchodzi mi do gardła. Nigdy nie wierzyłem, że Rosa może kogoś naprawdę zabić. Ma dziesięć lat.

– Chcesz mieć jak najmniej ograniczeń w życiu, prawda? – próbuję z innej strony.

Siostra kiwa głową.

– Jeśli zabijesz Mayę, to jak myślisz, co się stanie? Jesteś inna. Już i tak musisz się bardzo pilnować, żeby ukryć to przed ludźmi, a mimo to niektórzy nie chcą mieć z tobą nic wspólnego.

– Tak jak Maya. – Rosa marszczy czoło. – Mimo to coraz lepiej radzę sobie z normalnym zachowaniem. Widziałeś mnie na przyjęciu. Rozmawiałam ze wszystkimi i mnie polubili. Mówili Sally i Davidowi, że jestem bardzo utalentowana.

– Może po prostu byli uprzejmi? – gaszę ją. – Założę się, że niektórzy myśleli, że się popisujesz, i nie mogli się doczekać, aż skończysz stepować. Niektórzy wyczuwają w tobie coś. W twojej obecności jeżą im się włosy na karku.

– Czy ty też tak masz?

Tak, chcę odpowiedzieć. Zwłaszcza teraz, kiedy spokojnie mówisz

o zabijaniu, a twoja twarz i głos wyrażają tyle emocji co maska robota. Panicznie się ciebie boję.

Zamiast tego mówię:

– Znam cię od zawsze.

– Myślisz, że jestem szatanem?

Śmieję się, jakbym chciał powiedzieć: Co za absurd! Ale wcale nie chcę. Często boję się, że pewni ludzie po prostu rodzą się źli – złe nasienie, z którym nie da się zrobić nic, można je tylko wypalić.

– Nie masz w sobie zbyt wiele empatii. Istnieje milion teorii tłumaczących, dlaczego pewne osoby nie odczuwają empatii. Biorąc pod uwagę twoje wychowanie...

– Taka się urodziłam – kończy, konstatując fakt. – Ale nie chodzi o to, że czegoś mi brak, tylko o to, że jestem inteligentniejsza od innych. Empatia powstrzymuje przed rozumieniem świata. Przeszkadza.

– Nie... – szepczę. – Wcale nie. – Gdybym powiedział, że jej oczy są zimne, zabrzmiałoby to melodramatycznie, ale takie właśnie są. Jak niebieski lód. Jak oczy naszego praprapra-itd.-dziadka na zdjęciu. – Kora twojego płata wyspowego jest uszkodzona albo niewłaściwie wykształcona. Nie jesteś inteligentniejsza od innych. Jesteś pozbawiona uczuć.

– Jestem inna. Moim zdaniem lepsza, twoim nie. Ale zgadzamy się co do tego, że jestem inna.

– Tak.

– Może gdybym kogoś zabiła, wcale by mi się to nie spodobało – dywaguje.

Nie mam pojęcia, jak na to odpowiedzieć.

– Albo spodobałoby mi się, ale już bym to miała za sobą i nie musiałabym tego robić ponownie. Szybko się nudzę, wiesz.

– Widziałem, jak całymi godzinami mordowałaś mrówki – przypominam jej.

Wzrusza ramionami.

– To była zabawa. Zabawa nie jest nudna.

– Bawią cię niewłaściwe rzeczy.

– Ty się bawisz, bijąc ludzi – ripostuje.
– To co innego. Bokserzy chcą walczyć. Zgadzą się na to.
– Jesteś jedynym, który twierdzi, że coś ze mną jest nie tak, ponieważ lubię przemoc, tymczasem sam ją lubisz.

– Jest z tobą coś nie tak, bo nie przejmujesz się innymi. Ja się przejmuję. Opiekuję się tobą przez całe życie. Zmieniałem ci pieluszki, jak byłaś mała. Tulilem cię, uspokajałem, chronilem i uczyłem. Kocham cię, nawet wiedząc to wszystko, co o tobie wiem. Ty mnie kochasz?

Chcę wiedzieć, czy ona czuje cokolwiek do mnie albo do rodziców. Czy lata wypełnione naszą miłością cokolwiek przyniosły?

– Jesteś dla mnie przydatny – odpowiada. – I o wiele bardziej interesujący niż Sally i David, oni tylko zapewniają pieniądze. Albo raczej zapewniali, więc ich potrzebowałam. Kiedy McBrunightsowie przestaną za nich płacić i zostaną bankrutami, będą mnie utrzymywać dziadkowie. Dopóki sama nie zacznę zarabiać. Nie można żyć bez pieniędzy.

Myślę tylko o tym, jak bardzo ten wniosek spodobałby się wujowi Saulowi.

– Kochasz w ogóle kogokolwiek?

– Nie jestem pewna, czy rozumiem, czym jest miłość – wyznaje. – Tak jak dobro. Nikt nie potrafi tego dokładnie wyjaśnić. Uwielbiam lody. Kocham szachy i matematykę. Lubię dostawać to, czego chcę. Cieszy mnie, kiedy różne rzeczy uchodzą mi na sucho. Ale nie kocham ludzi. Są albo przydatni, albo nie. Ty jesteś, Che, lecz nie wydaje mi się, by to była miłość.

– Nie.

– A ty kochasz Sid? – pyta.

Nie odpowiadam.

Rosa uśmiecha się pod nosem.

– Lubię, gdy ludzie mnie kochają – dodaje. – Lubię być kochana. Wtedy łatwiej jest ich nakłonić, żeby robili to, czego chcę.

Teraz się uśmiecha, tak ciepło i czarująco jak David. Pokazuje oba

dołeczki. Jej oczy przestają być zimne. Czuję, że zaraz bezwiednie odwzajemnię ten uśmiech, więc mocno ściągam usta.

Rosa uśmiecha się jeszcze szerzej. „Widzisz, jak łatwo potrafię oczarować? Wystarczy pokazać dołeczki”.

– Czego ty chcesz, Roso? – pytam.

– Chcę móc robić, cokolwiek zapragnę – wyjaśnia. – Ale zbyt wiele rzeczy, których chcę, jest zakazanych. Lubię, kiedy ludzie się boją, cierpią, są pijani albo rozzłoszczeni. To mnie bawi.

– Dlaczego?

Wzrusza ramionami.

– Bo ty nie czujesz bólu? – podpowiadam.

– Ależ czuję! „Jeśli kłujecie nas, czy nie krwawimy”[1]?

– Shylock? Serio? Myślałem, że nie znosisz Szekspira?

Rosa znów wzrusza ramionami.

– Ludzie go lubią. Przydaje się wiedzieć różne rzeczy, nawet nudne i głupie.

– Nie mówiłem o tego rodzaju bólu, tylko o bólu emocjonalnym. Gdybym ci powiedział, że cię nie kocham i nie chcę mieć z tobą do czynienia, czy to by cię nie zabolowało?

– Zabolaloby. Kto by mi zadawał prawdziwe pytania? Kto by mi pomagał? Tylko ty rozumiesz.

– Właśnie przyznałaś, że liczy się tylko moja przydatność. A dlaczego ja miałbym coś dla ciebie robić?

– Bez ciebie jestem zagubiona – odpowiada, a jej oczy lśnią.

Chociaż wiem, że potrafi się rozplakać na zawołanie, robi mi się miło.

– Teraz mnie potrzebujesz, ale nie zawsze tak będzie. Dlaczego bym nie miał przestać ci pomagać?

– Musiałabym znaleźć kogoś innego do pomocy. Pewnie Sid by się zgodziła, bo mnie lubi. Ale ona nie musi, nie jest przecież moją siostrą. To ty musisz mi pomagać i tłumaczyć te wszystkie zasady, które nie mają najmniejszego sensu.

– Będę ci dalej pomagał, jeśli przestaniesz sobie ze mną pogrywać – proponuję.

- Skąd mam wiedzieć, kiedy sobie pogrywam?
- Możesz zacząć od tego, by nie życzyć sobie czyjejs śmierci.
- To niesprawiedliwe. Leilani też życzę śmierci. Mogę sobie życzyć, czego zechcę. Każdy komuś życzy śmierci.
Ja bym chciał, żeby Rosa nie żyła.
- Przestań się podlizywać Sojourner...
- Ona mnie uczy o Jezusie. Przecież to sama istota miłości i empatii. Powinieneś się cieszyć, że się dowiaduję takich rzeczy.
- Koniec ze szkółką biblijną. – Nie chcę, żeby sączyła jad do uszu Sojourner.
– Powiem jej, że powinniście być razem.
- Nie waż się. I trzymaj się z dala od Elona i Veroniki – dorzucam.
Wysuwa dolną wargę.
- Ale my zamierzamy razem tańczyć! Za pieniądze!
Kręcę głową.
- Masz zostawić moich przyjaciół w spokoju.
- Co jeszcze?
- Przestań nastawiać rodziców przeciwko mnie.
- Nie ma z tobą żadnej zabawy!
- Racja. Nikt nie żyje dla twojej zabawy.
Rosa nie odpowiada, ale dokładnie wiem, że tak właśnie myśli –
wszyscy istnieją wyłącznie dla jej rozrywki.
- Jeśli obiecuję nie mieszać między tobą a przyjaciółmi i rodzicami, to dasz mi słowo, że zostaniesz ze mną?
Patrzę na nią ze zdumieniem.
- W jakim sensie?
- Potrzebuję cię, żebyś odpowiadał na moje pytania i pomógł mi być normalną. Bez ciebie jestem zagubiona.
- Już to mówiłaś.
- Zostaniesz ze mną, dopóki nie skończysz studiów? – dopytuje.
- Nie, to za długo – odmawiam.
- Dopóki ja nie skończę liceum? To mi nie zajmie ośmiu lat –
mówi, jakby zdradzała sekret. – Musisz mi pomóc przejść przez szkołę. Są takie dwie dziewczyny w szkółce tańca, które szepczą coś

o mnie po kątach, a ja nie wiem, jak je powstrzymać.

– Obiecuję, że będę ci pomagał i zawsze będę odpowiadał na twoje pytania.

Rosa wyciąga do mnie rękę i ściskamy sobie dłonie. Ogarniają mnie mdłości.

– A ty obiecujesz nie snuć intryg wśród moich przyjaciół i nie nastawiać rodziców przeciwko mnie?

– Obiecuję.

– Nie skrzywdzisz nikogo?

– Tego nie mogę obiecać – protestuje. – Nie wiem, co rani ludzi. Oni mają uczucia, a ja nie. Obiecuję, że nie skrzywdzę nikogo fizycznie. Przynajmniej celowo.

Kiwam głową.

– A zabijanie? – upewniam się.

– Już obiecałam, że nie zabiję i nie będę nikogo do tego nakłaniała. Do tej pory nie złamałam słowa.

– Obiecuj jeszcze raz.

– Dobra. Nie zabiję nikogo. Przynajmniej jeśli nie będę pewna, że to mi ujdzie na sucho.

Uśmiecha się, jakby chciała powiedzieć: „Widzisz? Ja też mam poczucie humoru”.

– To nie jest obietnica – oponuję.

Rosa wzrusza ramionami.

– Żartowałam. Już obiecałam, że nie zabiję Mayi. Ani Sid i Leilani, rodziców czy kogokolwiek, na kim ci zależy.

– Ani na kim mi nie zależy.

– Dobra. Poza tym jestem jeszcze dzieckiem. Jak mogłabym kogokolwiek zabić? – Rosa kręci głową nad moją głupotą i zsuwa się z łóżka. – Dobranoc, Che.

Całuje mnie w policzek i wychodzi z pokoju. Próbuję zrozumieć naszą rozmowę, ale nie potrafię. Czuję się, jakbym cudem przetrwał tortury.

Co ona mi właściwie obiecała?

Nie intrygować wśród moich przyjaciół. Zbyt ogólnikowe. Będzie

twierdziła, że nie miała pojęcia, że intryguje. Albo że nie miała pojęcia, że osoba, którą manipuluje, to akurat mój przyjaciel.

Nie nastawiać Sally i Davida przeciwko mnie. Też niejasne. Skąd miałam wiedzieć, powie, że tak zareagują?

Obiecała też, że nie skrzywdzi nikogo fizycznie. Celowo. Więc będzie twierdziła, że wcale nie miała takiego zamiaru. A co z obietnicą, że nie zabije? „Przynajmniej jeśli nie będę pewna, że to mi ujdzie na sucho”.

Nie ma szansy, żebym zasnął.

Wyjmuję telefon. Przyszło pełno SMS-ów. Leilani przysłała zaproszenie na kolejny pokaz jakby nigdy nic – jakby mnie nie oskarżyła o to, że Sojourner podoba mi się tylko dlatego, że jest ciemnoskóra. Jason aktualizuje wiadomości o awanturach między jego rodzicami. Georgie chce wiedzieć, czy udało mi się uciec od tej pijanej dziewczyny, a Nazeem pisze, że tęskni za mną, bo jestem jedynym, który potrafi docenić, jak wygrał z Georgie, i musi mi o tym opowiedzieć. Już mam napisać do Georgie z pytaniem, czy może gadać – muszę porozmawiać o tym, co się stało – kiedy przychodzi SMS od Sojourner.

Fajnie się z tobą tańczyło.

Gapię się na tekst. Muskam palcem ekran, jakbym mógł w ten sposób dotknąć jej.

To prawda. Mnie też się podobało.

Wstrzymuję oddech, po czym dopisuję słowa, które bałem się wypowiedzieć, a potem, zanim zdążę się wycofać, wciskam „wyślij”.

Cieszę się, że mnie pocałowałaś.

Wpatruję się w telefon, wczekując na odpowiedź, i czuję, że moje dłonie robią się wilgotne. A jeśli nie odpisze?

Przychodzi SMS od Naza, kolejny od Georgie. Nawet ich nie czytam.

Dlaczego Sojourner nie odpisuje? Czy posunąłem się za daleko? Może nie powinienem wspominać o pocałunku... Czy mamy udawać, że to się nie stało? Ale ona napisała, że nasz taniec był fajny. To na pewno coś znaczy. Nie wyznałem przecież, że

chciałbym się znów z nią całować. Że myślę o niej nieustannie. Że mógłbym co niedziela chodzić do kościoła, żeby tylko z nią być. Że pragnę jedynie kolejnego pocałunku. Jej usta na moich, nasze palce splecione. Nasze...

Tak. Dobranoc, Che.

Tak, bo ona też się cieszy? Czy tak, bo cieszy się, że ja się cieszę, że mnie pocałowała? Czy „tak, wiem, że się cieszysz, że cię pocałowałam”, co może oznaczać wszystko, włącznie z tym, że się ze mnie nabija.

Jednak nie sędzę, by się ze mnie nabijała.

Podłączam telefon do ładowarki, wpełzam do łóżka, zamykam oczy i zasypiam, marząc o niej.

* * *

Sojourner jest też moją pierwszą myślą po przebudzeniu. Natychmiast włączam telefon, żeby sprawdzić, czy naprawdę do mnie wczoraj napisała. Tak!

Na dole siostra je śniadanie, David opiera się o blat, pijąc kawę, a pomiędzy nimi leży tablet Rosy. Z przejęciem o czymś dyskutują. O jakichś komputerowych, matematycznych kwestiach, których bym nigdy nie zrozumiał.

Siostra unosi wzrok i macha do mnie ręką, prezentując dołeczki, jakby wczoraj w nocy wcale nie powiedziała: „Nie zabiję, jeśli nie będę pewna, że mi to ujdzie na sucho”.

– Koniec z lekcjami matmy – oznajmia. – Mówiłam ci. – Zsuwa się ze stołka, żeby mnie przytulić. – Spłukani – dodaje szeptem.

David marszczy czoło.

– Macie oboje wakacje, a od września zaczniecie chodzić do lokalnej szkoły.

Rosa posyła mi porozumiewawcze spojrzenie.

– Jeśli jeszcze tu będziemy we wrześniu – rzuca.

Ojciec spogląda na nią ze złością.

– Do której szkoły mnie pošlecie, Davidzie? – pyta go. – Seimone

twierdzi, że do większości szkół tutaj bardzo trudno się dostać. Trzeba składać podanie całe wieki wcześniej.

David nie odpowiada.

– Będę ją dziś uczyła. Zrobiła spore postępy w szachach.

– A ona nie ma lekcji? – dziwię się.

Rosa kręci głową.

– To prywatna szkoła. Zaczęli już wakacje.

– Dlatego – wtrąca David – odwołaliśmy wasze lekcje. Nie mieliście wolnego już od dawna. Pomyśleliśmy, że Rosa i bliźniaczki ucieszą się ze wspólnych wakacji.

– A Che ucieszy się, gdy będzie mógł całe dni spędzać na boksowaniu ludzi – dodaje Rosa, znów prezentując dołeczki.

1 W. Szekspir, *Kupiec wenecki*, Warszawa 1999, przeł. Maciej Słomczyński.

ROZDZIAŁ 27

Po drodze na salę piszę do Georgie, że muszę z nią pogadać. Co prawda u niej jest środek nocy, ale ona często kładzie się bardzo późno.

Sojourner i Jaime są w szkole. Ale i tak z żadną z nich nie chciałbym rozmawiać o Rosie. Boję się wystraszyć Sojourner, a Jaime nie znam zbyt dobrze.

Wchodzę na bieżnię, a wszystkie moje myśli pochłania siostra. Mózg mi się przepala. Rosa dotrzymała słowa. Jest dumna, jeśli dotrzymuje obietnic, więc dlaczego kiedy zapewnia, że nie skrzywdzi nikogo, na kim mi zależy, czuję się, jakby mówiła coś wręcz przeciwnego?

Rozciągam się, a potem wykonuję serię ćwiczeń obronnych. Wychodzi mi z tego kompletny chaos. Znów piszę do Georgie. Minie wiele godzin, zanim się obudzi, więc dzwonię do Leilani. Nagranie na poczcie głosowej jest typowe dla niej: „Nie zostawiaj wiadomości. Albo zostaw, ale nie spodziewaj się odpowiedzi. Poczta głosowa? Serio? Coś z tobą nie tak?”.

Rozłączam się i piszę SMS-a.

Możemy pogadać? To ważne.

Staję prosto i rozluźniam się. Mogę się ogarnąć. Dam radę normalnie poćwiczyć.

Dzwoni Leilani.

– Co jest takiego ważnego? – pyta.

– Rosa.

– Bliźniaczki nadal ze sobą nie rozmawiają.

– Przykro mi.

– Spotkajmy się na placu Tompkinsa w pobliżu stolików szachowych – proponuje. – Mogę tam być za piętnaście minut.

– Do zobaczenia – mówię, mimo że już się rozłączyła.

Zastanawiam się, dlaczego wybrała akurat stoliki szachowe. Czy wie o przygodzie Rosy?

Kiedy docieram na miejsce, Leilani siedzi już na ławce i robi coś na swoim tablecie.

– Hej – odzywa się, wsuwając urządzenie do torby. – Przepraszam za tę scenę z Ronnie. Ona potrafi być beznadziejna, ale nie chciałam, żeby tobie się oberwało przy okazji.

Siadam obok niej. Przepraszam? A co tam, przyjmę je.

– Nic się nie stało.

– Nowa dziewczyna cię rzuciła? Wyglądasz beznadziejnie – stwierdza.

– Ona nie jest moją dziewczyną – odpowiadam.

– Och. – Leilani odgarnia włosy z oczu. – Zatem odrzuciła cię. Lipa, ziom. Ale w sumie nie należysz do jej ligi, co?

– Macie tu ligi dla wszystkich? Nikt mnie nie uprzedzał.

– Taaa. Każdego rejestruje się przy narodzinach, a co pół roku robi kontrolę poziomu seksowności. W okresie dojrzewania dochodzi do sporych przetasowań, potem panuje względny spokój, dopóki delikwent nie osiąga nieszczęsnej czterdziestki, a następnie powoli osuwa się do najniższej ligi, powszechnie znanej jako śmierć.

– Nie patrzy na mnie.

– Dobrze wiedzieć – mówię. – Cieszę się, że ten system nie przyjął się w Australii.

– W Australii też działa – zapewnia Leilani. – Ale na starych, niekulturalnych zasadach, które każą was o tym nie uświadamiać.

– Słabo.

– No cóż, przecież tam rządzą krokodyle, jadowite pająki i węże, prawda? Po co cokolwiek ułatwiać?

Myślę o tym, by strzelić jej moją gadkę o tym, że australijskie węże wcale nie są tak jadowite, ale zamiast tego mówię:

– Racja.

– No więc? – pyta, kładąc dłonie na torbie.

– Co?
– Chciałeś mi coś powiedzieć?
– Miałem nadzieję na więcej prywatności.
– Nie możemy iść do mnie. Zbyt... – Nie kończy zdania. –
Przejdźmy się. Możemy pójść na spacer wzdłuż rzeki. Nie mam ochoty siedzieć.

Leilani jest jakaś dziwna. Ma wyższy głos niż zazwyczaj i niespokojne dłonie. Cały czas nerwowo poprawia włosy.

Nie zdążam nawet odpowiedzieć „jasne”, gdy rusza. Tylko dłuższym nogom zawdzięczam, że nie muszę za nią biec.

– No mów! – ponagla, gdy idziemy mostem na Szóstej nad FDR Drive w stronę skrawka ziemi nad rzeką. Mijają nas dwie biegaczki. Jedna ciągnie za sobą psa na smyczy.

– Co jest? – pytam, zamiast zacząć mówić o Rosie.

Przyspiesza kroku, prawie biegnie.

– A z jakiego niby powodu myślisz, że coś... Pieprzona Ronnie! – Zatrzymuje się nagle. Lekko się potykam, odwracając do niej. – Kurwa – rzuca. – Nie chcę o tym gadać. – Uderza pięściami o uda. – Nie chcę w tym być. Kurwa!

Znów rusza, a po chwili zaczyna biec. Dotrzymuję jej kroku. Pędzi coraz szybciej. Ja też. Przypomina mi się bieg z Sojourner, choć Leilani nie porusza się nawet w przybliżeniu tak szybko jak ona. Zatrzymujemy się na końcu wyspy, skąd odchodzi prom do Statuy Wolności. W ogóle jeszcze nie zwiedzałem Nowego Jorku. Nie byłem nawet na szczycie Empire State Building.

Leilani opada na ławkę, a ja siadam obok niej.

– Mógłbyś się przynajmniej trochę zasapać. Dupek!

Zaczynam dyszeć, wywalając język jak pies, a ona bez przekonania daje mi kuksańca w ramię.

– Kiedyś sporo biegałam. Powinnam mieć lepszą kondycję... Veronica mnie zdradziła – wyznaje nagle.

– Przykro mi – mówię. – Kiepska sprawa. Jak się dowiedziałaś?

– Powiedziała mi wczoraj po pijaku, kiedy ratowałam jej zalaną dupę z Coffee Noir. Nie powinnam była jej tam zostawiać. Jezu,

Che... Ona jest taka durna. Wiesz, z kim się przespała? Z reżyserem tego off-broadwayowskiego spektaklu. I nawet nie dostała roli! Bezustannie powtarzała, że to nie miało żadnego znaczenia, więc starałam się zachowywać tak, jakby rzeczywiście nie miało. Ale czuję, że... – Uderza się w serce. – To miało znaczenie. Myślałam, że to, co nas łączy, bardziej się liczy.

– Mimo że jest durna? – próbuję zażartować.

– Wszyscy mamy słabości. Dobra, durnota to spora słabość. Rzucę ją. Tylko chyba miałam nadzieję, że już zawsze będziemy razem. Jak moi staruszkowie. Miłość od liceum. Głupie, prawda?

Kręcę głową. Ja też często myślę o czymś takim. Rodzice się kochają. Jak by to było żyć z tą samą osobą przez dekady, każdego dnia kochając ją bardziej?

– Może są fatalnymi rodzicami, ale dla siebie nawzajem są cudowni – ciągnie Leilani. – Nadal zakochani po uszy. Też bym tak chciała. Choć ja bym nie była kiepskim rodzicem.

Nie zauważyłem, by McBrunightowie byli złymi rodzicami.

– Oni są koszmarni, Che. Ledwie pamiętają, że mają dzieci. Jeśli mamy jakieś problemy, to załatwiają je pieniędzmi, ale prawie w ogóle nie spędzają z nami czasu. Zawsze tak było. Wychowywała nas babcia. Kiedy umarła, zrobiło się słabo. Bliźniaczki były załamane. Musiałam poskładać je do kupy. Teraz ja je wychowuję. Jeśli nie mogą spać, pchają się do mojego łóżka. To ja rozstrzygam ich spory. To ja je kocham, bo starzy z całą pewnością nie.

– Na pewno nie jest...

– A jeśli można odczuwać tylko jeden rodzaj miłości? – mówi dalej. – Kiedy jesteś totalnie zakochany w swoim partnerze, to nie możesz być dobrym rodzicem. A naprawdę dobry rodzic nie może być zakochany, bo na pierwszym miejscu stawia dzieci, a nie partnera. Twoi starzy też za sobą przepadają, prawda? I naprawdę was kochają? Bo wiem, że nasi nas nie kochają.

To jeden z moich największych lęków. Nie chcę odpowiadać, ponieważ nie, nie sądzę, by nas kochali, nie tak jak siebie nawzajem.

– Kurwa! – rzuca nagle Leilani. – To nie w moim stylu. Nie wylewam żalów przed obcymi. Nigdy.

O dziwo, czuję się urażony. Znamy się ledwie od kilku tygodni, ale ja mam wrażenie, że znacznie dłużej. Wydaje mi się, że sobie ufamy.

– Nie jestem całkiem obcy – protestuję – co najwyżej częściowo.

Leilani chrumka swym koszmarnym śmiechem, po czym zakrywa usta dłonią.

– Również nie śmieję się w obecności częściowo obcych. Dlaczego tak ci ufam, Che, co?

– Może to ta moja szczerza, wieśniacza, wykarmiona kukurydzą i poryta pryszczami twarz?

– Przestań! – prycha. – Poza tym nigdy nie wspominałam o twoich pryszczach! Będziesz wykorzystywał przeciwko mnie wszystko, co mówię?

– Myślałem, że to będzie zabawne – odpowiadam. – Nigdy nawet nie byłem na wsi.

– Ja byłam – wyznaje. – To jakiś koszmar.

– Też ci ufam, Leilani. Uważam cię za przyjaciółkę.

– Naprawdę wieśniak z ciebie: taki ciepły i nastawiony na przyjaźń. Oczywiście, że uważasz mnie za przyjaciółkę. Kurde, to ty do mnie zadzwoniłeś – reflektuje się nagle. – Rosa! Chciałeś pogadać o twojej przerażającej siostrzyczce.

– O siostrzyczce psychopatce – poprawiam.

– Lekka przesada. – W głosie Leilani słychać rozbawienie. – Nie wygląda na seryjną morderczynię. Wiesz, jest dzieckiem i tak dalej.

– Psychopaci nie muszą być seryjnymi mordercami. Większość z nich nie popełnia morderstw.

Leilani wpatruje się we mnie.

– Serio?

Siedzi pochylona do przodu, mocno trzymając torbę na kolanach, a ja opowiadam jej wszystko o Rosie.

– Seimone ją uwielbia – mówi w końcu.

– Ona lubi uwielbienie. – Nigdy nie rozmawiałem o siostrze z

kimś, kto by mi wierzył. Kiedy po raz pierwszy powiedziałem o niej Georgie, przyjaciółka się śmiała. Myślała, że żartuję. Nawet teraz uważa, że to zabawne. Natomiast Leilani rozumie.

– Seimone tego nie zauważa.

Kiwam głową.

– Ale ty tak, podobnie jak Maya. Większość ludzi ma z tym problem, bo dostrzegają tylko jej urok.

– Jak u twojego taty.

– Tak, ale pozbawiony uczuć. Przysięgam, że ona skopiowała uśmiech Davida. Urok osobisty znajduje się na liście.

– Na jakiej liście?

Tłumaczę Leilani, czym jest lista cech psychopatycznych.

– Rosa niczego się nie boi? – pyta.

– Niczego poza ograniczeniami. Nie chce, żeby ludzie się zorientowali, jaka jest. Ale uwielbia opowiadać o tym, co robi i jak rozumuje. Lubi mnie dlatego, że może mi wszystko powiedzieć.

– No to masz niezłą zabawę. – Poklepuje mnie po ramieniu, to pewnie jej wersja przytulenia. – Psychopatka... A nie jest bardziej socjopatką? Oni chyba nie zabijają, prawda?

– To inna nazwa tego samego. ICD-10 określa defekt Rosy mianem społecznego zaburzenia osobowości.

– ICD-10?

– Międzynarodowa Statystyczna Klasyfikacja Chorób i Problemów Zdrowotnych – wyjaśniam.

– Kurka... Plus jest taki, że ona ma ledwie dziesięć lat.

Śmieję się.

– Nie uwierzyłyabyś, jak często rodzice powtarzają ten argument. Jeffrey Dahmer nabijał psie głowy na pale, zanim skończył dziesięć lat. Dzieci robią różne straszne rzeczy.

– Oszczędź mi szczegółów! Dzięki. Myślisz, że ona kogoś zabije? – Leilani ścisza głos. – Seimone życzy nam śmierci, mnie i Mayi. Powiedziała to już parę razy. Nigdy przedtem nie mówiła takich rzeczy.

– Rosa ciągle życzy komuś śmierci. – Powoli kręcę głową. – Ale

tylko w filmach wszyscy psychopaci są mordercami. W prawdziwym życiu głównie kłamią, manipulują i pomiatają innymi.

– No to w porządku w takim razie. – Leilani podciąga kolana i opiera na nich głowę. – Kiedy mówiłam, że jest przerażająca, chodziło mi o to, że jest rozpuszczonym bachorem. Myślałam, że ma typową osobowość narcystyczną. Choć moja terapeutka twierdzi, że my, ludzie niewykwalifikowani, nie powinniśmy stawiać pochopnych diagnoz.

– Twoja terapeutka ma rację, ale Rosa nie jest normalna.

– Szkoda, że nie potrafię uświadomić Seimone, jaką gnidą jest Rosa. Mogę jej to wszystko powiedzieć? I Suzette też?

– Jasne – zgadzam się. – Powinienem był cię ostrzec wcześniej, ale jakoś mi się nie udało.

– Ludzie ci nie wierzą – mówi. To nie jest pytanie.

– Nie, poza moją przyjaciółką Georgie. Ale ona nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo źle jest.

– Rosa jest prześliczna, a to nie pomaga. Musisz o tym opowiedzieć komuś, kto może coś zrobić, Che. Psychiatrze, terapeucie, pracownikowi społecznemu. Komuś z twojej rodziny. Masz chyba ciotki, tak?

– Georgie też tak uważa. Ale ja próbowałem, naprawdę. Za często się przeprowadzamy i nikt inny nie skleja w całość tego, co Rosa robi. A trzeba to zobaczyć, żeby uwierzyć. Sama widziałaś, jak doprowadziła do tego, że bliźniaczki się nienawidzą.

– Maya nie nienawidzi Seimone. Jest jej po prostu smutno.

– Przykro mi.

– To nie twoja wina.

Nie odpowiadam, bo nie jestem pewien, czy to prawda.

– Musisz z kimś o tym porozmawiać – nalega Leilani.

Czuję pieczenie pod powiekami. Nie rozpłaczę się przy niej. Trochę nie mogę uwierzyć, że jej się zwierzyłem, ale cieszę się z tego.

– Teraz już wiem. – Leilani wsuwa dłoń w moją rękę. – Jesteśmy przyjaciółmi.

– Uff... – odpowiadam. – Bo nie byłem pewien, czy częściowi przyjaciele mogą opowiadać sobie o zdradzających dziewczynach i siostrach psychopatkach.

ROZDZIAŁ 28

Leilani obiecuje, że będzie mieć oko na Rosę i Seimone. Jest pewna, że Suzette, opiekunka dziewcząt, też będzie uważała. Jeśli zdoła ją przekonać, że Rosa stanowi zagrożenie.

Wreszcie nie będę musiał cały czas żyć w napięciu.

Wracam na salę. Rodzice przysyłają SMS-a z pytaniem, czy zjem z nimi kolację. Będzie Seimone, która zostaje u nas na noc. Odpowiadam, że nie, ponieważ mam sparing o siódmej.

OK – odpisuje Sally, choć wcale tak nie uważa.

Tym razem udaje mi się zapomnieć o Rosie i zatracić się, ćwicząc elementy obrony, serie kata, a potem boksując worki treningowe.

Sojourner nie pojawia się na zajęciach. Wiem, że ma egzaminy, ale bardzo liczyłem na to, że ją zobaczę.

Georgie w końcu mi odpisuje. Między kolejnymi zajęciami relacjonuję jej część z tego, co mówiła Rosa, ale nie wydaje mi się to już takie pilne. Rozmowa z Leilani obudziła we mnie poczucie, że wszystko się ułoży. Że poradzimy sobie z Rosą.

Georgie przeczytała jakąś książkę o psychopatach funkcjonujących w korporacjach.

Są wszędzie. Szkoda, że nie możesz zgłosić Rosy do działu kadr.

Nieży żart.

Chętnie bym przeczytał cokolwiek o tym, jak sobie radzić z psychopatą w rodzinie, która nie wierzy w jego zaburzenia.

Sojourner pojawia się piętnaście minut po sparingu. Dido akurat tłumaczy mi, jak nie sygnalizować, że zamierzam uderzyć sierpowym, i coś tam jeszcze, co do mnie nie dociera, bo patrzę, jak Sojourner wchodzi, opada na matę i zakłada owijki.

Dido macha mi ręką przed oczami.

– Słucham – mówię, przenosząc na nią uwagę.

– Nie – zaprzecza. – Nie jesteś skupiony. Popracuję z kimś, kto jest.

Odwraca się do następnej pary, która ma wziąć udział w sparingu.

Siadam obok Sojourner.

– Z kim walczyłeś? – pyta.

Pokazuję palcem.

– Chyba ma na imię Tina – strzelam.

– Tanya. Jak ci poszło?

– Dobrze. Muszę tylko przestać poruszać się po linii prostej.

– Unieś ręce, stul ramiona i opuść podbródek – radzi.

– I muszę przestać sygnalizować, zwłaszcza lewy sierpowy. Ale poza tym idzie mi nieźle.

– Podczas walki wszystko wylatuje z głowy. Najważniejsze pytanie, to czy udało ci się trafić. Więcej razy niż trafiono ciebie?

– Chyba wyszło po równo. Gdzie Jaime? – pytam, choć cieszę się, że jej nie ma, że jesteśmy tylko ja i Sojourner. – Uczy się?

– Ha! Ona? Uczyć się? Nie. Wyszła z Elonem, choć przysięga, że to nie randka. Ale sądzę, że chciałyby, by to jednak była randka.

To tak jak ja.

Idziemy razem do domu, ramię w ramię. Mija nas jakaś para, więc przysuwamy się bliżej do siebie. Grzbietem dłoni muskam jej rękę. Na dworze jest zimno, ale moja dłoń jest ciepła.

– Umieram z głodu – oznajmia Sojourner. Ujmuje mnie za rękę i ciągnie w stronę pizzerii z okienkiem, w którym można kupić pizzę na wynos. Przy ladzie puszcza moją dłoń, a ja bardzo żałuję, że to zrobiła.

– Myślałem, że musisz się uczyć – mówię.

Sojourner chodzi do szkoły publicznej, w której przez następny tydzień odbywają się jeszcze lekcje i egzaminy.

– To prawda, ale weźmiemy kilka kawałków na wynos. Możemy iść i jeść. Ja stawiam.

Kupuje dwa kawałki pizzy, które kosztują tylko dwa dolary, ale nawet gdybym chciał zapłacić, to nie mam jak. Przyjmują tutaj tylko

gotówkę.

Sprzedawca podaje nam pizzę na papierowych tackach z serwetkami. Jest totalnie gorąca, a karton natychmiast nasiąka tłuszczem.

– Pepperoni. Zawsze biorę to, co właśnie wyszło z pieca.

– Dobry wybór – odpowiadam, odgryzając kawałek, który niemalże wypala mi podniebienie. Gwałtownie macham ręką, a Sojourner uśmiecha się szeroko.

Łapczywie pochłaniamy pizzę. Zawiera głównie sól i tłuszcz, ale w ogóle się tym nie przejmuję. Smakuje fantastycznie.

– Masz plamę na brodzie. – Wyrzucam papierową tackę i wycieram jej brodę serwetką.

– Rodzice wybaczyli ci sparingi? – pyta.

Jesteśmy już prawie pod jej domem. Nie wiem, co powiedzieć. Nie mam ochoty rozmawiać o rodzicach. Chcę rozmawiać o Sojourner. Chcę ją pocałować.

– Lubię cię – wyznaję, a policzki zalewa mi gorący rumieniec.

– Aha – odpowiada.

Boże... Nie: „Ja ciebie też lubię”, tylko: „Aha, usłyszałam, co powiedziałeś”. Nawet na mnie nie patrzy.

– Pamiętam, jak mówiłaś, że nie możesz ze mną chodzić.

– Tak. Jesteśmy na miejscu – stwierdza Sojourner.

Stoimy pod drzwiami jej domu.

– Muszę się pouczyć – dodaje.

– Jasne – mówię i biorę ją za rękę. – Dobranoc.

– Dobranoc – odpowiada. Nie puszcza mojej dłoni.

– Przykro mi, że nie wierzę w...

Kładzie palec na moich ustach.

– Ciii.

Przełykam ślinę.

Stoimy naprzeciwko siebie, trzymając się za ręce i patrząc sobie w oczy. Podchodzę bliżej. Pochyliam się. Moje usta znajdują się tuż przy jej wargach. Powietrze między nami wydaje się ciężkie, nasycone ciepłem naszych oddechów.

Wystarczyłby tylko nieznaczny ruch i dotknąłbym jej ust.

– Mogę...

Sojourner mnie całuje. Jej wargi przylegają do moich, nasze usta się otwierają, języki muskają. Obejmujemy się, moje palce odnajdują jej kark, jej dłonie przesuwają się po moich łopatkach.

Nagle rozdziela nas gwizd głośniejszy niż policyjna syrena.

– Wynajmijcie sobie pokój!

– Napaleńcy!

Dwóch chłopaków, niewiele starszych od nas, przechodzi bardzo blisko, niemalże nas potrącając.

– Jak będziesz szukała prawdziwego faceta, to daj mi znać – dorzucą jeden.

Sojourner łapie mnie za rękę.

– Palanty! – stwierdza.

– Nie zamierzam za nimi pobiec – zapewniam. – Nie musisz mnie powstrzymywać. Unikam bójek.

Śmieje się.

– Siebie powstrzymuję. Mało brakowało, żebym spuściła im manto, a wtedy musiałybyś mnie wesprzeć.

– To prawda. Ale wiem, że nie lubisz walczyć poza ringiem, i liczyłem na to.

Znów ujmuje mnie za rękę, a moje serce przyspiesza jak przed sparingiem. Ruszamy w stronę parku na placu Tompkinsa.

– Jesteś zabawny – mówi Sojourner – i dobrze smakujesz.

– Ja...

– Ciii. Nie chcę myśleć o powodach, dla których nie powinniśmy tego robić. Znajdźmy jakąś ławkę w najciemniejszym kącie.

Znajdujemy ją pod nieczynną latarnią i nasze usta znów się spotykają. Ciężko oddychamy. Przepenia mnie ogromne pożądanie. Czuję tylko zapach, smak i dotyk Sojourner, która przesuwa dłonią pod moją koszulką, wzdłuż płaskiego brzucha, a z mojego gardła wyrywa się jęk.

– Przestańmy – dyszy. Jej usta dotykają moich, dłoń pozostaje na brzuchu. – Powinniśmy przestać.

– Powinniśmy – zgadzam się, znów ją całując i próbując zwolnić tempo.

Odwzajemnia pocałunek. Znów przyspieszamy. Całujemy się coraz mocniej, obejmuję ją dłonią za kark. Nagle się ode mnie odrywa i patrzy mi w oczy, ciężko oddychając. Przesuwa dłonią w górę do mojego lewego sutka. Gwałtownie wciągam powietrze.

Całuje mnie.

– Musimy... – mówi między pocałunkami – natychmiast... – kolejny pocałunek – przestać...

Nie przestajemy.

Jedna jej dłoń spoczywa na mojej piersi, druga tuż nad paskiem spodni od dresu.

– Cholera – dyszę.

– Przekląłeś! – zauważa ze śmiechem, wyjmując ręce spod mojej koszulki. – Po raz pierwszy, od kiedy cię poprosiłam, żebyś tego nie robił.

– Boże, Sojourner...

– A teraz jeszcze bluźnisz.

– Mam tylko słowa, których staram się nie wypowiadać.

Jej uśmiech przyprawia mnie o taki sam dreszcz jak dotyk dłoni na skórze. Chcę ją poprosić, żeby poszła ze mną do domu, żeby spędziła tę noc ze mną.

Rodzice nie będą mieli nic przeciwko temu, a nawet jeśli, to będą się zachowywali, jakby nie mieli. Rozmawialiśmy o seksie i dali mi wiele książek na ten temat. Jasno określili, że kiedy zacznę uprawiać seks, to wolą, aby to się odbyło w bezpiecznym miejscu takim jak mój pokój, żebym „myślał o przyjemności partnerki, nie tylko własnej” – to słowa Sally – oraz używał prezerwatyw.

– Ja nigdy... – zaczynam.

– Nigdy nie całowałaś dziewczyny? – kończy za mnie Sojourner.

– Jezus, aż tak fatalnie całuję?

Uśmiecha się.

– Bluźnisz. A ja żartowałam. – Pochyliła się i znów mnie całuje. – Nie siedzielibyśmy na tej ławce, gdyby mi się nie podobało, jak

całujesz.

– Jasne – mówię. – Zapewne chciałaś przez to powiedzieć, że jestem w tym cholernie dobry. Mam sporą praktykę.

– Skromniś.

– No pewnie. Całowałem, całowałem, całowałem i nigdy nic więcej.

– Nic więcej?

Kręcę głową.

– Nigdy nie całowałeś dziewczęcej szyi?

– Zabawne – mówię, pochylając się, by całować jej szyję, co prowadzi do kolejnych pocałunków, ciężkiego oddechu i szybszego krążenia krwi. W końcu odrywam się od niej.

– Nigdy nie... – zaczyna.

Delikatnie kładę dłoń na jej ustach.

– Jesteś okrutna. Uprawiałaś już seks?

Kiwa potakująco głową.

– Z tym kolesiem, na którego kiedyś wpadliśmy? – dopytuję się. – Z twoim byłem?

– Tak.

– Zatem nie należysz do tych chrześcijanek, które nie zgadzają się na seks przedmałżeński?

Sojourner siada prosto.

– Che, słuchałeś w ogóle kazania? Wiesz, wtedy, kiedy byłeś ze mną w kościele i różni ludzie, w tym moja mama, przemawiali z kazalnicy? Słyszałeś coś z tego?

– Szczerze? Nie – wyznaję. – Myślałem tylko o tym, że twoje udo dotyka mojego, że cudownie jest trzymać cię za rękę, że twoje usta znajdują się bardzo blisko moich za każdym razem, gdy odwracam się, by na ciebie spojrzeć. Nie słyszałem ani słowa.

Sojourner wybucha śmiechem.

– To ominęła cię cudowna krytyka kultury życia w czystości. Seks nie jest grzechem. Seks jest miłością. Grzech nie polega na uprawianiu seksu, lecz na robieniu tego bez miłości – co może mieć miejsce zarówno w małżeństwie, jak i poza nim. Zacytowałam

właśnie fragment kazania, którego nie słuchałeś.

Wpatruję się w nią. Użyła słów „seks” i „miłość”. Zasycha mi w ustach.

– Naprawdę nigdy się nie kochałeś? – nie dowierza.

– Nie.

– Ha! Niezła historia. Oto ja, dobra chrześcijanka, i nie jestem dziewczicą. Oraz ty, ateista, który jest prawiczkim.

Już mam wygłosić tyradę o tym, że ateizm mówi o człowieku tylko tyle, że nie wierzy on w Boga, ale się powstrzymuję.

– Czy ateści powinni być rozwiązli? To lipa. Zawaliłem sprawę.

– Myślę, że to urocze. Jesteś uroczy.

– Uroczy nie brzmi dobrze, prawda? Może zamiast tego seksowny? Nie mogłabyś powiedzieć, że jestem seksowny, a nie uroczy?

– Chcesz usłyszeć, że jesteś seksowny?

Kiwam głową.

– Bo ja myślę, że jesteś seksowna, i spędziliśmy ostatnie... – Spoglądam na zegarek. – Kurwa! Spędziliśmy ponad godzinę na piesszczotach.

– Jesteś seksowny, Che. Za dużo przeklinasz i pójdziesz do piekła, ale cudownie całujesz. – Kładzie dłoń na pasku moich spodni, a potem przesuwa palce w górę. – Masz seksowny brzuch. Seksowną klatkę piersiową. Linia twojej szczęki jest seksowna. – Znów przyciska usta do moich warg. – Pocałunki z tobą są seksowne.

Całujemy się mocno i namiętnie, a potem Sojourner się odsuwa.

– Ale muszę wracać do domu. Zresztą oboje musimy.

Wstaje. Obciążam koszulkę, żeby zasłoniła moje nabrzmiałe przyrodzenie. Sojourner uśmiecha się pod nosem.

– Sojourner, chodźmy do mnie – proszę.

– Uwielbiam sposób, w jaki wymawiasz moje imię – odpowiada. – Nikt inny tak do mnie nie mówi. Cieszę się, że nie nazywasz mnie Sid.

– Czy to oznacza zgodę? – naciskam.

– To oznacza, że nie wiem – wymiguje się. – Jesteś ateistą. Nie

wiem, co by oznaczało chodzenie z tobą. Muszę wrócić do domu, pomyśleć, przespać się i pouczyć. Mam egzaminy, a do tego zbliża się termin walki. I nie, nie wiem, co nas łączy, ale cię lubię. Jesteś inny niż wszyscy.

Potrząsam głową, próbując rozjaśnić sobie w myślach.

– Ty też.

Wyciąga dłoń i gładzi mnie po policzku. Czuję jej dotyk aż w kroku.

– Dobranoc, Che.

Kręcę głową.

– Odprowadzę cię do domu – mówię. – Jeszcze raz.

– Dobra – zgadza się, biorąc mnie za rękę i wtulając się we mnie.

– Jakoś to przeżyję.

ROZDZIAŁ 29

Nie mogę spać. Mój mózg nie potrafi przestać myśleć o Sojourner. Odtwarza pocałunki w parku i dotyk jej ręki na moim pasku. W końcu się masturbuję, ale nadal nie mogę zasnąć.

Myję się, a potem dzwonię do Georgie.

Włosy ma przycięte jeszcze krócej niż ostatnio, a skronie wygolone. Wygląda na szczęśliwą. Opowiadam jej o Sojourner i Rosie, ale głównie o Sojourner. Georgie opowiada o sobie i Nazeemie, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. Chwali mnie za to, że powiedziałem Leilani o Rosie. Każe mi się cieszyć tym, co mnie łączy z Sojourner, i przestać się zadręczać analizowaniem, czy to coś wielkiego, czy nie. Ma rację.

W końcu robię się senny. Życzę jej dobrej nocy i wsuwam się pod kołdrę. Już mam odpłynąć, kiedy moich uszu dobiegają chichoty z pokoju Rosy.

Pukam do drzwi. Kolejne chichoty i takie dźwięki, jakby coś pośpiesznie ukrywano.

Rosa otwiera, szeroko ziewając. Seimone leży pod kołdrą, udając, że śpi, ale usta jej drżą. Zupełnie zapomniałem, że zostaje u nas na noc.

– Jest już po trzeciej. Przestańcie hałasować.

– Przepraszam – odpowiada Rosa, parskając swoim udawanym śmiechem – ale Seimone była taka zabawna.

– Przestań być zabawna, Seimone – nakazuję.

Dziewczynka siada na łóżku, uśmiechając się. Oczy jej błyszczą od powstrzymanego rozbawienia.

– Spróbuję.

– Dobranoc, dziewczęta – mówię, gdy Rosa wraca do łóżka i okrywa się kołdrą.

– Dobranoc, Che – odpowiadają chórem, jak dwie niewinne dziewczynki, które mają okazję nocować razem.

Zamykam drzwi i idę do łóżka, po czym momentalnie zasypiam.

Budzę się po dziewiątej. Przez chwilę leżę w łóżku, myśląc o ustach Sojourner.

Nagle słyszę śmiech Rosy. Autentyczny śmiech, rozpoznaję go, to ten śmiech, którego nikt nie powinien słyszeć. Urywa się raptownie. Bez chwili wahania wciągam spodnie od dresu i pędzę na dół.

Seimone leży bezwładnie na wyspie kuchennej z twarzą przekręconą na bok. Z nosa jej cieknie, a oczy ma tak spuchnięte, że nie może ich otworzyć. Sinieje, bo brakuje jej tlenu we krwi. Rosa stoi obok niej z autostrzykawką w dłoni i się przygląda.

Wyrywam strzykawkę z rąk siostry. Osłonka jest już zdjęta. Przez spodnie wbijam igłę w udo Seimone, przytrzymuję, licząc do dziesięciu, w nadziei, że się udało i nie trafiłem w żyłę. Wyciągam, rzucam na blat i rozcieram nogę w miejscu wkłucia.

Dziewczynka odrobinę rozchyła powieki. Są zbyt opuchnięte, by mogła je zupełnie otworzyć. Gwałtownie wciąga powietrze, a potem zaczyna kaszleć. Chwyta się dłońmi za klatkę piersiową.

Wszyscy oglądaliśmy film instruktażowy i trenowaliśmy ze strzykawką testową. McBrunightowie nie pozwalają Seimone przebywać z ludźmi, którzy nie potrafią jej użyć.

Rosa już się nie śmieje, tylko krzyczy.

Seimone potrzebuje pomocy lekarskiej, więc wciskam 00, potem przypominam sobie, gdzie jestem, i wybieram 911.

– Co się stało?

– Wstrząs anafilaktyczny. Użyłem autostrzykawki. Tak. Oddycha. Sally i David wyłaniają się z gabinetu.

– Co się?... – zaczyna Sally, po czym podbiega do Seimone.

David przytula Rosę.

Odpowiadam na kolejne pytania operatora, potwierdzam adres.

Sally trzyma Seimone w objęciach, zapewniając, że wszystko będzie dobrze. Dziewczynka kiwa głową.

– Nic mi nie jest – szepcze. – Nic się nie stało.

Ale wcale nie wygląda dobrze. Twarz ma ściągniętą i zaczerwienioną, oczy opuchnięte, a jej skórę pokrywa cienka warstwa potu. Mimo to uśmiecha się do Rosy.

David puszcza córkę, wyjmując telefon i dzwoni do McBrunightów. Rosa przytula Seimone, która oddaje jej uścisk jednym ramieniem.

Moja siostra właśnie prawie zabiła człowieka.

Wiedziała, że Seimone ma alergię na orzechy ziemne. Dwie szklanki wypełnione gęstym smoothie stoją na blacie, a blender w zlewie. Rosa musiała do niego dodać masło orzechowe. Przysięgła, że nie zabije nikogo, jeśli nie będzie wiedziała, że ujdzie jej to na sucho.

Stała bez ruchu i patrzyła, jak Seimone traci przytomność w wyniku wstrząsu anafilaktycznego. Stała ze strzykawką w ręku i się śmiała.

Kiedy Seimone i Sally odjeżdżają karetką, Rosa wybucha płaczem i biegnie do swojego pokoju. David podąża za nią.

Piszę do Leilani, żeby ją uspokoić:

Seimone jest kontaktowa i nabrała już kolorów.

Moje serce nadal łomocze. Podchodzę do okna i wyglądam na ulicę. Słyszę syreny. Pewnie ktoś miał wypadek. Karetka z Seimone nie włączyła sygnałów.

– Rosa prosi, żebyś do niej przyszedł, Che – mówi David, schodząc na dół. – Jest bardzo zdenerwowana. – Obejmuje mnie i dodaje: – Dzięki za to, co zrobiłeś. Jesteśmy z ciebie dumni. Dobrze, że ktoś wynalazł autostrzykawkę, co?

Kiwam głową. Nie mogę uwierzyć, że Rosa to zrobiła. Spoglądam na blender w zlewie. Pozostały w nim osad jest brązowy.

Nie chcę z nią rozmawiać, ale David czeka, aż pójde pocieszyć siostrę.

– Ona cię potrzebuje – podkreśla.

Jak może nie znać prawdy?

Powoli ruszam na górę. Co ja jej powiem?

* * *

– Ona nie umarła – oznajmia Rosa, kiedy tylko zamykam za sobą drzwi. Telefon w kieszeni mam włączony na nagrywanie. – Poza tym już miałam zrobić jej zastrzyk.

Siedzi po turecku na łóżku, a na jej policzkach nie widać nawet śladu łez. Siadam na krześle przy biurku i okręcam je, by zwrócić się twarzą do niej.

– To nie moja wina. – Brzmi to tak, jakby mówiła, że to nie ona zjadła ostatnie ciastko. Bynajmniej nie tak, jakby jedenastoletnia dziewczynka właśnie prawie zginęła.

Gniew, który we mnie buzuje, jest tak intensywny, że muszę zamknąć oczy i założyć ręce na kark.

Chciałbym, żeby Rosa umarła.

Bardziej niż kiedykolwiek. Gdyby jej nie było, Seimone nie otarłaby się o śmierć i kto wie, jakie jeszcze nieszczęścia zostałyby oszczędzone światu.

Dłonie mi się trzęsą. Skupiam się na tym, by spowolnić oddech, by nie stracić kontroli nad złością.

Jeśli otworzę usta, wyleje się ze mnie wszystko, co myślę o Rosie – że jest zepsuta, że jest zła, że jest pieprzonym szatanem.

Mogę wreszcie powiedzieć wszystko rodzicom. Dość tego. Wiedzą przecież, co się stało. Usiądę z Sally i Davidem i wyjawię im wszystko, co Rosa zrobiła. Zmuszę ich do wysłuchania.

– To nie był wypadek – odzywa się moja siostra.

– Oczywiście, że nie! Dlaczego to zrobiłaś?

– To tajemnica. Nie wolno mi jej zdradzić. Obiecałam.

– Tajemnica?

– Seimone nic nie jest – podkreśla Rosa. – Tak powiedziała. Nic wielkiego się nie stało.

Moje serce bije bardzo szybko i nie śmiem otworzyć oczu.

– Seimone zdradziła mi, że dwukrotnie prawie umarła, ale to się stało, kiedy była malutka, i nic nie pamięta – dodaje Rosa.

Jeśli otworzę usta, będę krzyczał. Muszę zachować spokój, zacząć

od początku, zapytać, co się wydarzyło. A potem przekażę to rodzicom.

– Jak do tego doszło?

– W naszym smoothie było masło orzechowe.

– Skąd się tam wzięło?

Rosa wzrusza ramionami.

– Właśnie miałam zrobić jej zastrzyk – powtarza.

Otwieram oczy. Siostra wygląda na zupełnie obojętną.

– Stałaś tam i nic nie robiłaś.

– Wyrwałeś mi strzykawkę tuż przed tym, zanim jej użyłam.

– Nie uśmiechaj się.

Przygryza wargę.

– Zamierzałam ją uratować.

– Ale tego nie zrobiłaś.

– Bo zabrałeś strzykawkę.

– Nie kłam, Roso. Po prostu beczynnienie tam stałaś. Dlaczego jej nie pomogłaś? Potrafisz to zrobić. Widziałaś film. Wszyscy go oglądaliśmy. Ćwiczyłaś to.

– Właśnie miałam to zrobić, przecież ci powiedziałam!

– Śmiałaś się!

Za bardzo podnoszę głos. Muszę zachować spokój.

– Bo to było zabawne.

Zaciskam dłonie w pięści. Przez ułamek sekundy widzę, jak mój prawy sierpowy miażdży nos Rosy. Mrugam gwałtownie i zmuszam się do rozluźnienia pięści. Staram się myśleć o tym, jaka była jako niemowlę. O jej maleńkich paluszkach zaciskających się na moim kciuku.

– Najpierw kaszlała – ciągnie siostra – ale potem jej twarz zrobiła się czerwona, chwyciła się za gardło, a usta jej nabrzmiały, naprawdę szybko. Jakby ktoś je nadmuchał. Nie wiedziałam, że można tak szybko spuchnąć, więc chciałam się temu przyjrzeć. A potem zaczęły jej też puchnąć oczy. Widziałeś to? Normalnie wystawały z twarzy. Kiedy zbiegłeś na dół, zrobiła się już sina. Całkiem niebieska! A do tego te spuchnięte oczy i usta. To było

zabawne, więc się zaśmiałam. Co wcale by mi nie przeszkodziło jej pomóc.

Znów zamykam oczy. Skupiam się na liczeniu oddechów.

– Ty się teraz robisz czerwony i to też jest trochę zabawne – stwierdza.

Otwieram oczy.

– To nie jest wcale zabawne – oponuję. – Poza tym wiedziałaś, że nie powinnaś się śmiać, bo zakrywałaś usta dłonią, żeby nikt nie słyszał.

– Wiem, że nie należy się śmiać, kiedy ktoś puchnie – przyznaje. – Staralam się po prostu zachowywać jak ktoś normalny.

– Pozwalając jej umrzeć? – nie dowierzam.

– Nie chciałam, żeby Seimone umarła. Jest moją przyjaciółką. I wcale nie umarła.

– Co bynajmniej nie jest twoją zasługą – wytykam jej.

– Miałam właśnie podać jej lekarstwo – upiera się. – Powstrzymałeś mnie!

– Przestań kłamać.

– Nie kłamię – zapewnia Rosa. – Wiesz, że lubię się przyglądać różnym nowym zjawiskom.

Znów zaciskam dłonie w pięści. Co mogę na to odpowiedzieć? A gdybym nią potrząsnął? Czy to by do niej dotarło? Czy mógłbym siłą wtłoczyć empatię do jej mózgu?

– Śmierć jest interesująca.

– Śmierć nie jest interesująca. Kiedy ktoś cierpi, należy mu pomóc. Chcesz uchodzić za normalną? Normalni ludzie pomagają innym!

– Próbowałam, przecież ci mówię. A jeśli może mi się stać krzywda podczas pomagania innym? Też powinnam pomóc?

– Jaka krzywda mogła ci się stać podczas robienia zastrzyku Seimone?

– Początkowo bardzo się rzucała – wyjaśnia. – Mogła mnie uderzyć, dlatego czekałam.

Spokój, muszę zachować spokój.

– To by było interesujące, gdyby umarła. Nigdy nie widziałam, jak ktoś umiera. Ciekawe, czy to jest tak samo jak ze świnką morską.

– Ona jest twoją przyjaciółką, nie świnką morską! – oburzam się.
– Nie tęskniłabyś za nią?

– Tak, Seimone jest bardzo przydatna. Uczy mnie, jak być normalną dziewczynką. Brakowałoby mi jej, ale mogłabym spróbować zaprzyjaźnić się z Mayą.

– Maya cię nie lubi.

– Skłoniłabym ją do polubienia mnie. Jestem w tym dobra. Na przykład postanowiłam, że Seimone będzie mnie lubić, więc dowiedziałam się wszystkiego o rzeczach, które ją interesują. Zapytaj mnie o cokolwiek związanego z koreańską muzyką pop.

– Przyjaźń tak nie działa.

– Dla mnie tak. – Uśmiech znów wypełza na jej twarz. – Cieszę się, że ci się zwierzam, Che. To fajne, że mogę ci zdradzić, co myślę.

Nie znoszę, gdy tak mówi.

– Czy to była twoja próba zabicia kogoś, która miała ci ujść na sucho? Tak to wymyśliłaś?

– Och, nie – zaprzecza. – Nie chcę, żeby Seimone umarła. Jest moją przyjaciółką.

Ciągle to powtarzasz, myślę. Powtarzanie nie sprawi, że to się stanie prawdą.

– Musisz mi obiecać, że jeśli coś podobnego kiedyś się powtórzy, zrobisz, co w twojej mocy, żeby pomóc. Nie będziesz tylko stała i patrzyła.

Rosa kręci głową.

– Naprawdę zamierzałam pomóc, ale ty mi nie chcesz wierzyć – upiera się. – Myślę, że złożyłam już dosyć obietnic. Wszystkich dotrzymałam. Powiedziałam, że nikogo nie zabiję, i nie zrobiłam tego. Wystarczy tego.

Patrzę na nią bez słowa.

– Z całą pewnością kiedy dorosnę, chcę jeździć karetką – oznajmia Rosa. – Nagłe wypadki są ekscytujące.

ROZDZIAŁ 30

Zdecydowanym krokiem idę do gabinetu rodziców i głośno pukam do drzwi.

Ręce mi się pocą, a serce bije szybko jak podczas sparingu.

– Wejź! – woła David.

Otwieram drzwi i wchodzę do środka. David siedzi przed komputerem i pisze coś w skupieniu. Nie podnosi wzroku.

– Masz jakieś wiadomości od Sally? – pytam.

Dopisuje coś jeszcze, a potem okręca się wraz z krzesłem w moją stronę i kiwa potakująco głową.

– Przebadali Seimone, nic jej nie jest. Wyłącznie dzięki tobie, Che. Jesteśmy z ciebie dumni.

Wstaje i przytula mnie niezdarnie jedną ręką, a potem znów siada.

– Muszą ją zatrzymać na obserwację na kilka godzin. Zbada ją też lekarz rodzinny McBrunightów.

Mój telefon dzwoni w kieszeni. Wyciszam go, nawet nie patrząc.

– Chciałeś czegoś jeszcze? – David znów odwraca się do komputera, ale nadal na mnie patrzy.

– Tak.

Siadam na sofie, lecz po chwili znów się podnoszę i staję przy oknie.

– Co się dzieje? – pyta David, ale już wlepia wzrok w ekran i czyta, nie skupiając się na mnie. Zaczyna coś pisać.

– Moja siostra jest potworem – mówię. Czuję się, jakbym wyszedł z własnego ciała, a jednocześnie jakby przygniatał mnie ogromny ciężar.

– Aha – odpowiada ojciec, nadal stukając w klawiaturę.

– Moja siostra jest potworem – powtarzam głośniej.

– Co powiedziałaś?

– Ona jest... – Milknę. – Dodała masło orzechowe do smoothiesa, który piły. Chyba próbowała zabić Seimone.

David nie patrzy już na komputer.

– Chodzi mi o Rosę. Jej rozwój neurologiczny nie przebiega typowo. Wiem, że nie lubicie o tym słuchać, ale ona ma antyspołeczne zaburzenie osobowości.

Opowiadam o świnie morskiej Apiny, o paszporcie i o wielu innych strasznych rzeczach, które zrobiła Rosa.

Siedzi na krześle pochylony do przodu i przygląda mi się tak uważnie jak Rosa, nawet nie mrugając oczami. Cały czas mówię, a on mi nie przerywa.

– Zależy jej tylko na tym, by dostawać to, czego chce. Nie wiem, jak ją powstrzymać, a wiem, że ona pewnego dnia kogoś zabije. Nie mam pojęcia, co robić...

Boli mnie gardło, mózg, serce też. Pałą mnie oczy. Nie potrafię zmusić ust, by wyartykułowały kolejne słowa. Płaczę. Wycieram twarz dłonią.

Jestem wściekły. Na Rosę, na nieposłuszne oczy, na Davida, na Sally.

Łzy spływają po mojej twarzy. Trzęsę się i płaczę.

Wtem czuję, że ojciec obejmuje mnie i przytula. Powtarza uspokajająco: „No już, już”, i to pomaga.

Siedzimy na sofie, David przygląda mi się ze zmarszczonymi brwiami, a ja czuję się zupełnie pusty. Nic nie powiedział, więc nie mam pojęcia, co myśli.

Nalewa mi wody i podaje szklanę.

W cieczy pływa drobinka kurzu, która nagle wynurza się na powierzchnię. Pewnie martwy naskórek, ale wypijam wodę do dna, choć przełykanie boli.

– Kiedy... – odzywa się w końcu David, po czym spogląda na swoje paznokcie otoczone postrzępionymi skórkami. Jak to możliwe? David zawsze ma nienagannie zadbane dłonie. To jedna z wielu próżnostek, z których kpi Sally.

– Kiedy co?

– Od jak dawna... – podejmuje, ale znów się waha – masz takie zdanie o Rosie?

Kurwa, myślę, on mi nie wierzy.

Opadam na oparcie sofy, wycieram oczy. Gardło mnie pali żywym ogniem. Powiedziałem wszystko. Chyba nie zostały mi żadne słowa.

– Jesteś zmęczony – zauważa David. – Możemy o tym porozmawiać później.

Kręcę głową. Musimy o tym porozmawiać teraz. Porozmawiamy o tym teraz albo... nie wiem... albo zacznę wrzeszczeć i nie przestanę, dopóki nie podejmiemy problemu Rosy.

– Nie wierzysz mi. – Mój głos nie brzmi tak chrapliwie, jak się spodziewałem.

– Oczywiście, że wierzę – odpowiada stanowczo. – Zawsze ci wierzę, Che.

– Nie zawsze słuchasz.

Rozkłada dłonie, jakby chciał przyznać mi rację.

– Od jak dawna uważasz, że coś z nią jest nie tak? – powtarza pytanie.

– Od bardzo dawna, dużo wcześniej, niż zacząłem wam zwracać na to uwagę. Ale tak naprawdę totalnie mnie przeraziła świnka morska, a teraz to. Niemalże zabiła Seimone! Wierzysz mi?

David lekko porusza głową. Zdawkowe potwierdzenie. Chyba. Ale równie dobrze mogło to być krótkie zaprzeczenie.

– Prowadzę dziennik, w którym zapisuję wszystkie jej dziwne zachowania. Chciałem się przekonać, czy sobie tego nie wyobrażam. A potem ona zaczęła mi się zwierzać. Wiedziała już, że wiem. – Ta jednostronna konwersacja zaczyna mnie męczyć. – Pamiętasz, jak zabijała owady? Zabraliście ją do lekarza. Kazałem jej wtedy obiecać, że nie będzie zabijała, i przestała to robić. Ale później znalazła dziurę w umowie, stąd Apinya i jej świnka morska, a teraz Seimone. Rosa się śmiała, Davidzie. W obu wypadkach. Śmiała się zupełnie szczerze.

David przygląda mi się niczym bezstronny naukowiec okazowi.
Czy jest w szoku?

– Wiem, że trudno to przyjąć. Ja też nie chciałem wierzyć.

Obejmuje mnie jednym ramieniem. Czuję ulgę.

– Wierzysz mi? – upewniam się.

Znów porusza głową w sposób, który trudno zinterpretować.

– Kiedy Sally wraca do domu? – pytam.

– Lisimaya była bardzo zdenerwowana, więc zostanie z nią tak długo, jak to będzie potrzebne.

– Słusznie. Możemy o tym porozmawiać, kiedy wróci – proponuję.

– Może jutro – rzuca David, ale jego ton mówi raczej „może nigdy”.

– Nie wierzysz mi, prawda?

Znów płaczę. Co za strata czasu...

– Wierzę – odpowiada. – Wiem o Rosie już od dawna.

Brakuje mi tchu.

– A Sally? Ona też wie? – Przepelnia mnie nadzieja tak wielka, że aż bolesna.

Ojciec kręci przecząco głową. Tym razem gest jest jasny.

– W ogóle?

– Często rozmawiamy o Rosie, ale Sally nigdy nie powiedziała nic, co by sugerowało, że podejrzewa córkę o cokolwiek gorszego niż lekkie nieprzystosowanie społeczne. – Znów potrząsa głową. – Za to mówiła wiele rzeczy wskazujących na to, że nie chce wiedzieć.

– Ale ty mi wierzysz.

– Wierzę. Rosa nie jest normalna.

Z ulgi kręci mi się w głowie. David wie.

– Staralem się rozmawiać o tym z Sally, ale ona nie słucha. Ciągłe powtarza, że Rosa jest jeszcze mała. Słyszałeś to wielokrotnie.

To prawda.

– A potem zmienia temat, więc obserwuję Rosę, rozmawiam z nią. Robię to, co ty.

„Kiedy?” – mam ochotę zapytać. Jak to się stało, że tego nie zauważyłem?

– Rozmawiałeś z Rosą o tym, jaka jest?

David kiwa głową. Dlaczego o tym nie wiem?

– Musimy uświadomić Sally – upieram się.

– Możemy spróbować – zgadza się David. – Ale ty już próbowałeś.

I co, słuchała?

– Ale tym razem Rosa prawie zabiła Seimone – podkreślam.

– Prawie pozwoliła jej umrzeć. Sam to powiedziałaś: Rosa dotrzymuje obietnic. Nigdy nie zabiła nic większego od...

– Świnki morskiej.

– Tak.

– Mimo to myślę, że musimy porozmawiać z Sally.

– Powodzenia.

– Ona musi to zrozumieć.

– Sądzę, że rozumie, ale nie chce się do tego przed sobą przyznać.

Nie chce przyjąć do wiadomości, że z Rosą coś jest nie tak. Ona... –
Milknie.

– Co ona? – ponagliam go.

– Bardzo chciała urodzić córkę. Miała nadzieję, że będziesz dziewczynką. Kocha cię, Che, ale zawsze chciała mieć córeczkę. Potem Rosa przyszła na świat i okazało się, że jest inaczej, niż oczekiwała. Sally kocha cię mocniej niż Rosę, jesteś do niej bardziej podobny, ale nie potrafi spojrzeć prawdzie w oczy. Nie umie przyznać, że jej córka jest, jaka jest. Myślę, że głównie przez to, że Rosa jest dziewczynką, bo według Sally to mężczyźni są agresywni – tak jak ja byłem. Kobiety nie.

– Dlatego niepokoi się tym, że uprawiam boks – wtrącam.

David kiwa głową.

– To jej przypomina, jaki ja kiedyś byłem – ciągnie. – Próbowałem z nią pomówić o Rosie, Che, ale ona wyraźnie nawet nie chce o tym myśleć. Przecież wiesz, że zazwyczaj chętnie rozmawia na każdy temat.

To prawda. Sally niestrudzenie rozmawia o wszystkim poza Rosą.

– Nie jest na to gotowa – podsumowuje ojciec. – Nie wierzy dowodom, które ma przed oczami.

Nie sądzę, że ja byłem gotowy, czy kiedykolwiek będę, by poradzić sobie z tym, jaka jest Rosa, a mimo to musiałem.

– Aż tak ją to przerasta? Ja sobie sam z tym poradziłem, a ona jest ode mnie o wiele starsza.

– Ty się urodziłeś dorosły – oznajmia David.
Chętnie bym go walnął.

– Mówiłeś McBrunightom o Rosie? – pytam.

David kręci głową.

Nie powinienem być zaskoczony, ale jestem.

– Seimone jest zagrożona – podkreślam. – Maya i Leilani też. Rosa mówiła, że chciałyby, żeby one umarły. Trzeba ostrzec McBrunightów.

– Ona nikogo nie zabije – przekonuje David.

– Skąd możesz mieć pewność?

– Ponieważ wie, jakie by były konsekwencje. Nie jest głupia.

– Nie, ale jest impulsywna.

– Nie tak jak kiedyś. Robi postępy.

– Wierzysz w to?

– Tak. Poza tym mówienie o tym mogłoby przynieść katastrofalne skutki, Che. Mogłoby zniszczyć naszą rodzinę.

Dzwoni jego telefon.

– To Sally, odbiorę.

Zaczyna rozmawiać, więc ja też wyciągam swój telefon. Przyszło mnóstwo wiadomości, ale bateria jest prawie wyczerpana, bo okazuje się, że cały czas nagrywałem. Wyłączam dyktafon i czytam SMS-y.

Od Leilani:

To przez Rosę, prawda? Seimone upiera się, że to ona chciała sprawdzić, co się stanie, i kazała Rosie przyrzec, że użyje autostrzykawki. Mama jest wściekła. Sally i tato próbują ją uspokoić. Seimone ciągle płacze. Nie zrobiłaby czegoś takiego przed poznaniem Rosy.

– No i pięknie – komentuję, kiedy David kończy rozmowę. – Według Leilani Seimone twierdzi, że to był jej pomysł. – Czytam

SMS-a na głos.

– Sally mówi to samo.

Wstaję i podchodzę do okna. David wiedział, a Rosa miała tego świadomość. Żadne z nich nic mi nie powiedziało. Oboje okłamywali mnie od lat.

Chcę stąd uciec.

– Idę pobiegać.

Otwieram drzwi, a tuż za nimi stoi moja siostra. Nawet nie udaje, że nie podsłuchiwała.

Przenosi wzrok ze mnie na Davida i z powrotem.

– Mówiłam ci, że nie zrobiłam nic złego – odzywa się. – To był pomysł Seimone. Chciała się przekonać, jak to będzie.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? – pytam.

– Kazala mi obiecać, że będę milczała, ale teraz już wiesz. Nawet nie tknęłam masła orzechowego, Seimone sama to zrobiła. Nigdy w życiu go nie jadła, wiesz? A przynajmniej nie pamięta. Obejrzałyśmy film jeszcze trzy razy, żebym niczego nie pomieszała podczas zastrzyku. Seimone chyba liczyła na to, że nic się nie wydarzy. Nie cierpi tej swojej alergii. Cieszę się, że ja nie jestem na nic uczulona.

– Ale nie zrobiłaś jej zastrzyku! – Zamierzałem to zwyczajnie powiedzieć, a tymczasem krzyczę.

David uspokajająco unosi dłoń.

– Mówiłam ci, że właśnie miałam go zrobić, ale wyrwałeś mi strzykawkę z ręki. Nie miałam szansy.

Spoglądam na Davida, który przygląda się Rosie.

– Nadal jesteśmy przyjaciółkami. Widziałeś, Che, że Seimone mnie przytuliła. Napisała też wiadomość. – Rosa wyciąga telefon. – Rozumie, że to było głupie zachowanie. Tłumaczyłam jej to wcześniej. Mogę ci pokazać SMS-a. Teraz rozumie, że jej alergja to poważna sprawa. Dostała nauczkę.

I oto jest: uroczy uśmiech Rosy.

– Seimone jest moją najlepszą przyjaciółką – zapewnia. – Zrobiłabym dla niej wszystko.

– Zatem nie pozwolisz, żeby coś takiego znów się przydarzyło, prawda? – pyta David.

Rosa kręci głową.

– Obiecujesz?

– Obiecuję, Davidzie. Jeśli ktoś będzie cierpiał, pomogę mu. Tak jak ty.

Robi minę wyrażającą absolutną szczerłość.

– Obaj słyszeliśmy twoją obietnicę – mówię i ponownie dociera do mnie fakt: David wie. Nie muszę już sam rozmawiać z Rosą. Nigdy już nie będę musiał samodzielnie nieść tego brzemienia.

Telefon Davida znów dzwoni. Ojciec odbiera, a ja przyglądam się siostrze, nie wiedząc, co powiedzieć. Od jak dawna David o niej wie?

– Nie pozwoli, żebyś ostrzegł McBrunightów – uprzedza Rosa. – Nie ze względu na Sally, ale dlatego, że to by zrujnowało ich firmę. Wtedy zostaliby już kompletnie bez kasy.

Ojciec rozmawia przez telefon i nie słyszy jej słów.

– Od jak dawna David wie?

– Co wie? – pyta niewinnie.

– Że nie jesteś taka jak on. Że jesteś...

– Jestem dokładnie taka jak David – oznajmia. – Żadne z nas nie jest normalne. Cała nasza rodzina. Ty, ja, David, Sally. Jak mawia Sally: jesteśmy po prostu inni.

– Seimone chce z tobą rozmawiać, Roso – wtrąca się David.

Rosa wyciąga rękę po telefon, ale David wsuwa go do kieszeni.

– Jest już w domu i prosi, żebyś przyszła do niej na noc. Nie chce spać sama.

– Czy bliźniaczki nie mają wspólnej sypialni? – pytam.

– Już nie – oznajmia Rosa. – Idę na górę się spakować.

– Nie masz nic przeciwko temu? – pytam Davida. Nie mogę uwierzyć, że na to pozwala.

– Będziemy tam oboje. Będą też McBrunightowie. Przypilnujemy Seimone i Rosę. Chcesz też pójść? Leilani na pewno się ucieszy.

Kręcę głową.

- Ona nie próbowała zabić Seimone, Che – zapewnia mnie ojciec.
- Tym razem.
- Nie sądzę, by Seimone groziło coś ze strony Rosy. Nie w sensie fizycznym.
- Chciałbym w to wierzyć.
- Słyszałeś: Seimone jest jej najlepszą przyjaciółką. Rosa uważa ją za bardzo przydatną. Mówiła ci o tym, że docenia naszą przydatność?
- Potakuję.
- Obaj ją obserwujemy. Wiemy, na co uważać. Wszystko będzie dobrze, Che.
- David mnie obejmuje, a ja czuję, jak spływa na mnie ulga. Super, że mam go po swojej stronie. Choć prawdę mówiąc, teraz marzę tylko tym, by się położyć, zamknąć oczy i przestać myśleć o tym, co się wydarzyło. Zapomnieć widok siniejącej twarzy Seimone.
- Odprowadzam ich do drzwi. Rosa niesie plecak i uśmiecha się jak mała dziewczynka, która wybiera się na noc do przyjaciółki. Biegnie do windy, żeby wcisnąć guzik. Opieram się o framugę.
- Do zobaczenia – mówię, jakbyśmy byli zwyczajną rodziną.
- David odwraca się do mnie.
- Wszystko się ułoży. Obaj dopilnujemy, żeby dotrzymała obietnic.

ROZDZIAŁ 31

Sprawdzam telefon. Przyszły SMS-y od Leilani, Georgie i Sojourner.

Sojourner!

Ekran gaśnie, zanim udaje mi się przeczytać wiadomość od niej. Koniec baterii. Podłączam telefon do ładowarki na wyspie kuchennej i stoję, kołysząc się w przód i w tył, w oczekiwaniu, aż głupi aparat ożyje.

Chcę się zobaczyć z Sojourner. Wczoraj o tej porze całowaliśmy się w parku.

Blender nadal stoi w zlewie. Nie mogę znieść jego widoku. Odwracam się do niego plecami i wpatruję w telefon. Ekran ciągle jest czarny.

Seimone mogła umrzeć.

Nie wierzę, że to był jej pomysł. Chryste! Rosa zmanipulowała ją tak bardzo, że gotowa była zginąć, by się jej przypodobać.

Wyjmuję blender ze zlewu, wyrzucam zawartość do kosza i wstawiam go do zmywarki. Myję ręce, choć nawet nie dotknąłem resztek z masłem orzechowym. A potem znów sprawdzam telefon.

Ożył.

SMS od Sojourner:

Co porabiasz?

Myślę o tobie.

Masz ochotę pobiegać?

Masz ochotę do mnie wpaść? Jestem sam.

Moich mam też nie ma.

Jesteś teraz w domu?

Tak.

Idź Dziewiątą. Spotkamy się po drodze.

Ruszam.

Ja też. Idę do ciebie.

Zamykam apartament i zbiegam schodami, zamiast jechać windą.

Romantyk z ciebie. Zaraz zemdleję.

I jestem bardzo seksowny.

Ha, ha.

Nie idę, tylko biegnę wzdłuż Dziewiątej, mijając pieszych, przemykając przez boczne ulice niezależnie od świateł, nie zatrzymując się, dopóki nie zauważam Sojourner przechodzącej przez park. Dopiero wtedy zwalniam, bo czuję się jak kretyn. To idiotyczne, że tak bardzo pragnąłem ją zobaczyć. Uśmiecha się i unosi rękę.

Przyspieszam, ona też. A potem stajemy naprzeciwko siebie, uśmiechając się szeroko.

Całujemy się. Nie myślę o niczym prócz dotyku jej ust na swoich. Nagle Sojourner odsuwa się ode mnie.

– Idziemy do mnie? – proponuje. – Mamy wrócić dopiero po jedenastej. Będziesz mógł zostać całe wieki.

– Moi starsi wrócą dopiero jutro.

– Och – odpowiada, biorąc mnie za rękę. Ruszamy przez Manhattan na zachód do mojego mieszkania. Nasze dłonie dopasowują się tak idealnie, jakby zostały stworzone dla siebie. Sojourner przyspiesza, a ja dotrzymuję jej kroku. Wtem zabiera dłoń i idzie jeszcze szybciej, prawie biegnąc.

A potem biegnie już całkiem, zanosząc się śmiechem. Moje serce przepełnia radość. Rzucam się za nią, mijając kobietę z dwoma chihuahua i przeskakując smycz. Niemalże wpadam na parę, która idzie, trzymając się za ręce i machając nimi, jakby byli przedszkolakami. Sojourner nadal mnie wyprzedza i ciągle się śmieje. Gdyby nie ten tłum wolno idących ludzi, zajmujący niemal całą szerokość chodnika, dogoniłbym ją.

Zatrzymuje się pod wejściem do mojego domu.

– Co tak wolno? – pyta.

– Przez tych wkurzających ludzi – odpowiadam, przyciągając ją do siebie i znów całując. Czuję smak soli. Czuję jej smak.

Odsuwam się od niej, żeby otworzyć drzwi do hallu, i kiwam głową portierowi, ale nawet na niego nie spoglądam. Widzę tylko Sojourner. Znow bierzemy się za ręce. Wciągamy ją do windy i wciskam guzik z numerem naszego piętra. Całujemy się mocno objęci, a nasze ciała ściśle do siebie przylegają.

Gdy tylko drzwi windy się otwierają, ruszamy biegiem do apartamentu. Puszczam dłoń Sojourner, niezdarnie wyjmuję klucze z kieszeni i próbuję trafić w zamek, cały czas patrząc na nią. Klucze wypadają mi z ręki. Sojourner mnie całuje. Przyciskam ją do drzwi. Jej dłonie wędrują po moich ramionach, a potem niżej po plecach, pod koszulką. Kładę ręce na jej talii i mocno ją do siebie przyciągam. Jej piersi wtulają się w mój tors.

– Wejźmy do środka – sugeruje między pocałunkami.

– Jasne – odpowiadam, niechętnie wypuszczając ją z ramion.

Czuję pulsowanie serca w czubkach palców i słyszę jego bicie w uszach. Oddycham za płytko i za szybko.

– Klucze – przypomina mi.

Z trudem odrywam od niej wzrok i schylam się po nie. Wybieram ten właściwy, wsuwam w zamek i przekręcam. Wpadamy do środka i zatraskujemy drzwi. Zamykam je, a klucze wsuwam do kieszeni.

Sojourner znow wybuchła śmiechem.

Jest taka piękna. Brakuje mi słów. Dotykam jej policzka, a ona ujmuję moją dłoń w ręce i całuje opuszki palców.

Jęczę.

Uśmiech na jej twarzy jest całym moim światem.

– Chodźmy na górę – proponuję.

Kiwa głową. Wbiegamy na piętro, przeskakując po dwa stopnie naraz, obijając się o siebie, a potem wpadamy do mojego pokoju. Zamykam drzwi, nie włączając lampy. Zasłony są rozsunęte i do pokoju wpada światło z ulicy.

Stoimy, spoglądając najpierw na siebie, a potem na łóżko. Podwójne łóżko. Od kiedy skończyłem dwanaście lat, śpiam w podwójnych łóżkach, ale wyłącznie sam.

Chcę jej znów dotknąć, lecz się powstrzymuję.

Powinienem coś powiedzieć? Czy będziemy uprawiali seks? Chyba najpierw musimy o tym porozmawiać. Nie chcę naciskać. Chryste, uświadamiam sobie, że nie mam prezerwatyw... No to pozamiatane. Co dziwne, myśl, że nie będziemy się kochali, odrobinę mnie rozluźnia.

– Ładny pokój.

Sojourner przygląda się Alemu na plakacie, a zwłaszcza jego kłykciom.

Zaciska lewą dłoń i przybija żółwika bokserowi.

Spoglądam na jej rękę, a potem na pięść Alego.

– Musisz mieć więcej blizn.

– Daj mi trochę czasu. – Robi przekładankę Alego.

Gwiżdżę z podziwem.

– Prawie tak szybko jak mistrz.

– Prawie? – Sprzedaje mi szybki cios.

– Prawie. – Pochyliam głowę i całuję jej kłykcie, patrząc jej w oczy.

– Dobrze smakujesz.

– Potem.

– Swoim potem.

– Ty też dobrze smakujesz. – Podchodzi bliżej i wciąga moją dolną wargę do ust.

Znów wyrywa mi się głośny jęk. Nie umiem nad nim zapanować.

– Mogę zostać u ciebie – proponuje. – Napiszę mamom, że zostaję na noc.

Przełykam ślinę.

– Bardzo chcę, żebyś została na noc... – „Chcę ciebie”, lecz tego nie mówię. – Ale...

– Ale?

– Ja, yhm, nie mam żadnego zabezpieczenia. – Jezu Chryste, ile ja mam lat? Nie umiem powiedzieć głośno słowa „prezerwatywa”?

– Pewnie, że masz – odpowiada Sojourner, machając ręką w stronę moich owijek, starannie ułożonych w stertę na krześle przy biurku.

– Zabawne.

– Nie martw się, ja mam prezerwatywy.

– Och. – Ma prezerwatywy. Możemy uprawiać seks, jeśli zechcemy. Moje serce przyspiesza. To tachykardia. Myśl o uprawianiu seksu zaraz wywoła u mnie atak serca.

Sojourner się uśmiecha, całuje mnie delikatnie w policzek, kładzie płasko dłoń na mojej piersi i popycha mnie w stronę łóżka, aż opieram się o nie, potem kładę na plecach, a Sojourner na mnie.

Czuję tylko ją, widzę tylko ją. Nigdy nie byłem tak twardy. Moje serce nigdy nie biło tak szybko.

– Nie musimy – mówi, całując mnie w nos – robić – w podbródek – niczego – w usta – czego nie chcemy.

– Chcę – szepczę. – Jesteś taka piękna. Jesteś taka... Boże, Sojourner, mógłbym cię czcić. Mógłbym...

– Zostać największym bluźniercą na świecie – przerywa mi, ale nie jest zła.

Całuje mnie, a ja jej odpowiadam.

Zdzieramy z siebie ubrania. Jej piersi... dotykam piersi Sojourner. Ona gładzi mój brzuch, przesuwając palcem wzdłuż mięśni ukośnych, muska dłonią penisa.

– Och...

Przetaczamy się po łóżku, ruszając się za szybko, lecz niewystarczająco szybko.

A potem klęczymy naprzeciwko siebie. Sojourner składa się z samych ścięgien i mięśni. Jej ramiona wyglądają jak wyrzeźbione. Widzę kontur każdego mięśnia w pierścieniach rotatorów.

Przesuwam palcami po jej dolnej wardze, podbródka, szyi, przez piersi, brzuch i ostrożnie dotykam jej między nogami.

Unoszę wzrok, a ona kiwa głową, po czym prowadzi moje palce tam, gdzie chce je poczuć, szeptem zdradzając, co mam zrobić. Jej słowa przyprawiają mnie o zawroty głowy, sprawiają, że oblewa mnie gorąco, jakby moja krew płonęła.

Poruszamy się w rytmie jej bioder, w rytmie mojej dłoni w niej. Moje przyrodzenie pulsuje. Głowa i serce też.

Przytulamy się coraz mocniej, oddychając szybciej i całując się. Przyspieszam wraz z Sojourner, coraz szybciej i szybciej, przyciskając mocniej, kiedy mi każe, szybciej, mocniej, szybciej, szybciej, aż...

Wpycha biodra w moją rękę i jęczy cicho.

– Już – szepcze. – Już...

Opadamy na łóżko, ociekając potem. Dłoń mam lekko odrętwiałą. Potrząsam nią, a Sojourner uśmiecha się do mnie.

– Mmmm...

Leżymy tak przez chwilę, ona z ręką na moim brzuchu, głową na ramieniu. Wsłuchuję się w jej oddech. Na zewnątrz wyją syreny, a ja uświadamiam sobie, że żadna się nie odezwała, od kiedy wyszedłem na spotkanie z Sojourner. Czy raczej ja ich nie słyszałem.

Sojourner wspiera się na łokciu i całuje mnie.

– Słono – mówi i zsuwa się z łóżka.

Przez chwilę boję się, że zamierza sobie pójść. Zamiast tego sięga do kieszeni spodni i podaje mi małą zafoliowaną paczuszkę.

– Twoja kolej.

– Nie musimy... – zaczynam, zdenerwowany, że źle założę prezerwatywę, że zbyt szybko się pospieszę.

Wpatruję się w pakunek w moich rękach. Oglądałem filmiki instruktażowe. Najpierw trzeba sprawdzić datę ważności, więc robię to. Wygasa po moich dwudziestych urodzinach.

– Kupiłam je przed chwilą – wyjaśnia Sojourner.

– No pewnie. – Czuję się jak krety.

Przytrzymuję czubek jedną ręką, drugą naciągając powoli i starając się nic nie popsuć. Czytałem gdzieś, że prezerwatywa może się podrzeć, jeśli zakłada się ją za szybko albo rozwija niewłaściwie.

Sojourner chichocze.

Spoglądam na nią.

– Masz taką skupioną minę. – Mruży oczy, marszcząc nos i czoło.

– Jak na treningu, kiedy Dido cię koryguje, a ty się koncentrujesz, żeby dokładnie powtórzyć każdy jej ruch. Masz wtedy taki sam

wyraz twarzy: jakby nie istniało nic innego na świecie.

Pochyliła się, by mnie pocałować.

– To słodkie.

– Słodkie? – obruszam się.

– Seksowne. Naprawdę seksowne. – Przysuwa się bliżej. – Bardzo, bardzo seksowne.

* * *

– Jesteśmy razem? – pytam.

Świt jeszcze nie nadszedł. Sojourner leży na boku, plecami do mnie, a ja obejmuję ją ramionami.

– Razem.

– W jakim sensie razem? Jesteś teraz moją dziewczyną i tak dalej?

– Dość bardzo. – Śmieje się.

– Dlaczego zmieniłaś zdanie? Przecież nadal nie wierzę w Boga.

– Nie mogę kłamać. Chciałabym, żebyś wierzył. Ale...

– Ale?

– Lubię cię. Podoba mi się to, co jest między nami. Nieważne, jak długo to potrwa.

Dla mnie to jest ważne, bo chciałbym, żeby trwało wiecznie.

– Nie podchodzę do tego na luzie. Chcę być twoim chłopakiem. Naprawdę bardzo cię lubię, Sojourner. Nigdy niczego takiego nie czułem. – Nie potrafię powiedzieć „kocham”, ale to byłoby właściwe słowo.

– Nigdy wcześniej nie uprawiałaś seksu.

– Ciii. Wiesz, że nie o to chodzi. Choć było wspaniale, nie zrozum mnie źle. – Przytulałam się do niej mocniej i czuję, że znów twardnieję przy jej pośladkach.

– Mmm...

– To był mój pierwszy raz, więc potrzebuję więcej praktyki. Z tobą.

– Ze mną.

– Bo jestem twoim chłopakiem?

– Bo jesteś moim chłopakiem.

Całuję ją, a ona odpowiada pocałunkiem. Potem zajmujemy się zdobywaniem praktyki.

Budzi mnie słońce świecące w oczy, ponieważ nie opuściłem rolet. Sojourner leży obok mnie. Od wielu godzin nie poświęciłem ani jednej myśli Rosie.

* * *

Przygotowuję dla Sojourner jajka z bekonem, pomidorami i cebulą, nie pozwalając, by mi pomagała. Przechyla się przez blat, żeby mnie pocałować, kiedy kroję pomidory.

– Dzień dobry – mówi David, wychodząc z gabinetu.

Odskakujemy od siebie, a ja zrzucam kawałki pomidora na podłogę.

– Kurwa!

– Przeklinasz – zauważa Sojourner z wyrzutem.

– Dzień dobry, Sid – wita ją David, jakby to było absolutnie normalne, że ona je u nas śniadanie, przez co brzmi to absolutnie nienormalnie.

Zbieram pomidora z podłogi i wyrzucam do śmieci.

– Macie ochotę na kawę?

Oboje kiwamy głowami. Podsmażam cebulkę, a potem dodaję bekon.

– Gdzie Sally i Rosa?

– Z Lisi i Gene'em. Idą z dziewczynkami do psychologa.

Zastanawiam się, kto na to wpadł.

– To dobrze – stwierdzam.

– Tak. Muszą zrozumieć wagę tego, co zrobiły.

Sojourner spogląda na mnie, ale nie pyta, o co chodzi. Zastanawiam się, dlaczego David nie poszedł z nimi na sesję terapeutyczną. Chciał zostać i porozmawiać? Muszę się dowiedzieć, dlaczego tak długo trzymał w sekrecie to, co wie o Rosie.

Wbijam jajka na drugą patelnię. Jedno żółtko się rozpląwa.

– Może być jajecznicą? – pytam Sojourner.

– Jasne – zgadza się.

Przewracam plastry bekonu, a na drugiej patelni mieszam jajka, pomidory i cebulę. Zasysa mnie z głodu. Odrobinę zmniejszam ogień. Nie chcę niczego przypalić. David robi nam kawę, a Sojourner dodaje do swojej mnóstwo mleka i cukru. Tato tego nie pochwała, ale tym razem nic nie mówi.

Stawiam przed Sojourner kopiasty talerz jajecznicę, bo wiem, że jej apetyt nie ustępuje mojemu.

– Jeszcze widelce! – przypominam sobie. Wyjmuję dwa, a jeden podaję jej.

Pochłaniamy tak ochoczo, że aż trzęsą nam się uszy.

– Przepyszne – chwali dziewczyna między kęsami.

Chciałbym, żeby David już sobie poszedł do gabinetu.

– Wszyscy bokserzy jedzą tak szybko jak wy? – pyta.

– Dziś rano prowadzę zajęcia – wyjaśnia Sojourner – więc muszę zaraz się zbierać.

– Zazwyczaj je tak wolno jak Rosa – żartuję, ale od razu żałuję, że o niej wspomniałem.

– Jakie zajęcia prowadzisz? – pyta David.

– Dzisiaj? Z samoobrony, a potem z kickboxingu.

Sojourner kończy, zbiera nasze talerze i je splukuje. Zrywam się z miejsca, wyjmuję je z jej rąk i wkładam do zmywarki.

– Odprowadzę cię – proponuję.

Uśmiecha się.

– Dziękuję za kawę, Davidzie.

* * *

– Co zrobiła twoja siostra?

– Ona... – Nie bardzo wiem, jak wyjaśnić to, że Rosa niemalże zabiła swoją najlepszą przyjaciółkę. Czy mam opowiedzieć tę wersję historii, którą dziewczynki podają jako prawdziwą? Czy też tę, która niemal na pewno jest prawdziwa? – Narobiła kłopotów i wciągnęła

w to swoją przyjaciółkę Seimone.

Sojourner parska śmiechem.

– Jaka szczegółowa relacja.

– Opowiadanie o Rosie to skomplikowana sprawa. Ona nie jest taka jak inne dzieci.

– Jest bystra – stwierdza Sojourner. – Może trochę próżna i lubi zwracać na siebie uwagę, ale to dopiero dziecko.

Rozważam, czyby jej się nie zwierzyć. Leilani wyznałem prawdę, a Sojourner jest teraz moją dziewczyną. Idziemy Lafayette, trzymając się za ręce, uprawialiśmy seks, rozmawialiśmy o religii i o tym, co chcemy zrobić z naszym życiem. Poznałem jej mamy, a ona moją rodzinę. Powinienem jej powiedzieć.

Nie teraz. Chcę utrzymać ten nastrój i nie rozmawiać o Rosie.

– Zdradź mi coś więcej na temat tego, w co wierzysz – proszę. – Mówisz, że jesteś chrześcijanką, ale nie masz nic przeciwko seksowi przedmałżeńskiemu, homoseksualizmowi i...

– Wierzę, że Jezus był Synem Bożym i przyszedł nam pomóc. Pomóc wszystkim, ale zwłaszcza tym najuboższym, pozbawionym praw i dyskryminowanym. Mojemu Jezusowi zależało na nakarmieniu głodnych i wyrzuceniu kupców ze świątyni. Mój Jezus wierzył gorąco w sprawiedliwość społeczną i ekonomiczną, w każdy rodzaj sprawiedliwości. Chciał, by świat stał się lepszy.

– A wierzysz w zło?

Sojourner kiwa potakująco głową.

– Wierzysz w to, że niektórzy ludzie są źli? – drązę. – Że nie zasługują na zbawienie?

– Nie ma takich, którzy w ogóle nie zasługują na zbawienie... Choć niektórzy są tego bliscy.

– Ja nie wierzę w zło. Nie w takie. Myślę, że postępowanie złych ludzi da się wyjaśnić budową mózgu, genami lub wychowaniem, a właściwie połączeniem tych trzech czynników.

Sojourner przygląda mi się uważnie.

– Bardzo... sprecyzowana opinia – komentuje. – Chyba sporo o tym rozmyślasz?

– To prawda – przyznaję. – A co z piekłem? Wierzysz w piekło?

– Wierzę, że wielu ludzi obecnie żyje w piekle. Na świecie jest mnóstwo potworności. Również tu, w Ameryce, chociażby gliniarze zabijający moich rodaków i niedostający za to nawet po łapach. Ludzie zadają ból sobie nawzajem. Czy piekło może być gorsze?

Kiedy wyznam jej prawdę, czy uzna, że żyję w piekle, dręczony przez siostrę będącą wcieleniem diabła? I czy tak jest w rzeczywistości?

– Wydaje mi się – ciągnie Sojourner – że idea piekła i nieba po śmierci ma nam nieść pociechę. Świadomość, że ci, którzy czynili zło w tym życiu, zostaną ukarani, a ci, którzy postępowali dobrze, otrzymają nagrodę. Ale wątpię w ich istnienie.

– Więc nie wierzysz, że Biblia to wierne słowa Boga? – dziwię się.

– Uważam, że to zapis jego słów niedoskonale utrwalony przez człowieka. Fragmenty Nowego Testamentu powstały kilka pokoleń po śmierci Jezusa. Sądzę, że w Biblii jest zapisana prawda, ale niekiedy metaforycznie, a niekiedy dosłownie.

Jej wersja chrześcijaństwa nie przypomina żadnej, z którą się do tej pory zetknąłem, lecz prawdę mówiąc, miałem do czynienia tylko z konserwatywnymi chrześcijanami.

– Słyszałeś o teologii wyzwolenia? – pyta Sojourner.

Słyszałem, ale nic o niej nie wiem.

– Poczytaj sobie. W to właśnie wierzę. A ty w co wierzysz? Czy twoim Bogiem jest nauka?

– Nie mam żadnych bogów. Wierzę w większość tego, o czym mówisz. W społeczną i ekonomiczną sprawiedliwość, w pomaganie innym przy każdej sposobności. Głównie wierzę w empatię. Bez empatii ten świat jest przeklęty.

Sojourner kiwa głową.

– A co z miłością? Wierzysz w miłość? – pyta.

Ściskam jej dłoń.

– Miłość i empatia? Wierzę w nie absolutnie. – Odwracam się, by ją pocałować, i szepczę jej do ucha: – Również w seks. Akurat teraz głęboko wierzę w seks.

ROZDZIAŁ 32

Wracam do domu i pukam do drzwi gabinetu. Muszę zadać Davidowi kilka pytań na temat Rosy. Zaprasza mnie do środka.

Rozmawia przez telefon. Brwi ma zmarszczone, a usta zaciśnięte w wąską linię. Tak wygląda, kiedy stara się nie stracić nad sobą panowania. Kusi mnie, żeby przełożyć konfrontację na później. Nie chcę widzieć, jak David ulega emocjom.

– Rozumiem – powtarza.

Wyjmuję telefon, ponieważ czuję się niezręcznie, przysłuchując się jego rozmowie. Odpisuję Georgie, nie wdając się w szczegóły wydarzeń. Chyba nie umiem w kilku SMS-ach podsumować tego, co Rosa zrobiła Seimone. Nazeem dostał celującą za esej na temat: „Dlaczego młode pokolenie Australijczyków nie pije tak dużo jak poprzednie”. Gratuluję mu. Piszę do Leilani, bo chcę się dowiedzieć, co myśli o tym, co się dzieje między Rosą i Seimone. Nie odpowiada. Zastanawiam się, czy też poszła na sesję terapeutyczną.

Piszę do Sojourner:

Już za tobą tęsknię.

Nie przejmuję się, że to ckliwy tekst. Naprawdę za nią tęsknię. Nie zobaczę jej przez wiele godzin.

– O co chodzi, Che? – pyta David, choć nie mam pojęcia, jak to może być dla niego tajemnicą.

– Przyszedłem nie w porę?

– Owszem, ale zawsze znajdę dla ciebie czas. Wiesz o tym.

Wcale nie wiem.

– Chciałbym porozmawiać jeszcze o Rosie.

Ojciec kiwa głową.

Chcę się dowiedzieć, dlaczego mi nie powiedział, że wie, i czy ma jakiś plan.

– Co z nią robimy? – pytam.

– To, co do tej pory – odpowiada. – Uświadamiamy jej, które uczynki są nie do przyjęcia. Staralem się jej wpoić przekonanie, że jeśli nie będzie uchodziła za normalną, napotka sporo ograniczeń.

– Nagrywałem nasze rozmowy.
David wlepia we mnie wzrok.

– Twoje i Rosy?
Kiwam głową.

– Jeśli odtworzymy je psychiatrze, jeśli usłyszy, jak obojętnie Rosa mówi o tym, że na nikim jej nie zależy, że cierpienie ludzkie jest interesujące, że lubi manipulować innymi, natychmiast się zorientuje, jaka ona jest.

– To prawda. Ale co wtedy?
Nie wiem.

– Mamy problem praktyczny – tłumaczy David. – Jak zminimalizować szkody czynione przez Rosę? Nie możemy jej wyleczyć. Nie ma na to lekarstwa. Możemy ją tylko hamować.

– Więc się poddajemy?

– Tego nie powiedziałem. Choć mogłoby być znacznie gorzej. Widziałem dużo straszniejsze przypadki.

– Twój brat i ojciec? – domyślam się.

– Obaj – potwierdza. – Stąd wiedziałem, jaka jest Rosa. Miałem z tym do czynienia już wcześniej.

– Są gorsi niż ona?

– A jak myślisz, dlaczego trzymam naszą rodzinę jak najdalej od nich? Nie chcę, żeby Saul i dziadek mieli wpływ na Rosę.

Przez chwilę czuję się kompletnie oszołomiony, przecież mówimy o Rosie, o naszej rodzinie i o... psychopatii.

– Czytałem prace naukowe, według których empatii można się nauczyć – mówię.

– Dla Rosy jest za późno.
Gapię się na Davida.

– Jak możesz mieć pewność? – oburzam się. – Musi istnieć jakiś psychiatra, terapeuta, ktoś, kto może jej pomóc.

– A jak Rosa reaguje na ludzi, którzy próbują ją zmieniać? – ripostuje. – Pamiętasz kilku ostatnich lekarzy, do których ją zaprowadziliśmy?

Kiwam głową.

– Okpiła ich – konkluduje David. – Domyśliła się, czego od niej oczekują, i powtarzała to, dopóki nie uznali, że już nie musi do nich przychodzić.

Powinienem być szczęśliwy, słysząc, jak ojciec wypowiada na głos moje własne przemyślenia, ale nie jestem.

– Myślisz, że nie ma nadziei?

– Tego nie powiedziałem. Uczymy ją, jak być normalną. Robimy to od lat. Rosa nie funkcjonuje tak jak większość ludzi, ale już wie, co się może stać, gdy inni sobie to uświadomią. Doszła do wprawy w grze aktorskiej.

– Do zbyt wielkiej wprawy – dodaję.

David kręci głową. Pochyliła się do przodu wraz z krzesłem komputerowym i opiera łokcie na kolanach.

– Czasami udawanie kogoś, kim nie jesteś, może cię zmienić. Pozory mogą stać się prawdą.

– Wierzysz w to?

– Ja to wiem – podkreśla. – Kiedy poznałem Sally, byłem zupełnie nieokiełznany. Popełniłem wówczas kilka strasznych czynów.

To część rodzinnej legendy. Wiem, że grał w pokera o wysokie stawki w swojej ekskluzywnej prywatnej szkole i ograł kilku najbogatszych uczniów. Jednak nie za to go wydalono, lecz za złamanie szczęki jednemu ze studentów.

– Chciałem zrobić na niej wrażenie, być szalonym dzikusiem. Myślałem, że to jej się we mnie podoba, ale ją to przerażało. Wtedy wystraszyłem się, że ode mnie odejdzie. – Lekko, niemalże przepraszająco wzrusza ramionami, jakbym nie wiedział, jak bardzo ją kocha. – Świadomie zacząłem się do niej upodabniać. Chodziłem na zajęcia z kontroli gniewu, tak jak chciała. Właśnie dlatego nigdy nie byłeś świadkiem, do czego jestem zdolny, Che. Ukształtowałem się na wzór Sally. Robiłem to, czego chciała,

mówiłem to, co ona. Przestałem się wdawać w bójki, a to było najtrudniejsze. Mam w sobie wiele gniewu. Wypala mnie i czuję potrzebę, by dać mu ujście, by zniszczyć wszystko. Czasami muszę biec, by od niego uciec. Nie mogę zostać w tym samym pokoju, tym samym mieście czy kraju.

– A wtedy nie podąża za tobą?

– Nie, kiedy jestem z Sally. Pokazała mi, jak go trzymać na dystans. Zmieniłem się. Złość płonie mniej intensywnie. Ile razy widziałeś, bym stracił nad sobą panowanie?

Ani razu.

– Widziałem za to, jak potrafisz zachować panowanie nad sobą. Twoja twarz tężeje. Widać, jak się z tym siłujesz.

– Bo to jest ciężka walka – przyznaje.

– A Rosa nie ma w ogóle żadnych uczuć. Od małości. – Próbuję sobie wyobrazić przemianę Rosy, ale nie potrafię. – Ty nie jesteś taki jak ona. Przejmujesz się tym, co myślą inni. Obawiałeś się opinii Sally i to cię odmieniło. Rosa niczym się nie przejmuje. Powinieneś posłuchać, co ona mówi. Mogę ci to puścić.

David prostuje się na krześle, lekko się cofając, a całe jego napięcie znika.

– Nie ma potrzeby – zapewnia. – Słyszałem, co mówi. Nasze zadanie polega na tym, by jej uświadomić, że udawanie normalnej to jedyne rozwiązanie. Wie, że oficjalna diagnoza zredukuje jej szanse na to, by cokolwiek uszło jej na sucho. Może odgrywanie normalnej ją odmieni. Ja się dzięki temu zmieniłem.

Chcę w to wierzyć.

– Nie jesteśmy lekarzami, a to są poważne decyzje – zauważam. – Czy nie powinniśmy chociaż zasięgnąć rady kogoś, kto wie więcej od nas? Jeśli zabierzemy ją do specjalisty, który pracuje z młodymi... – Nie umiem powiedzieć tego słowa na głos. Nie nazwałem jej jeszcze psychopatką w obecności Davida.

– A co da formalne orzeczenie, Che?

– Lekarz pomoże nam zrozumieć nasze decyzje.

– Jak myślisz, co się stanie z Rosą, gdy zostanie zdiagnozowana?

Nie złamała żadnego prawa i ma zaledwie dziesięć lat. Jeśli poddamy ją badaniom, co one wykażą? Załóżmy, że potwierdzą twoje przypuszczenia – i co wtedy?

– Ona jest psychopatką – nie wytrzymuję. – Czy nie mamy obowiązku chronić przed nią innych ludzi?

– Nie możesz nazywać dziesięciolatki psychopatką. Jak twoim zdaniem ludzie będą ją traktowali, jeśli się dowiedzą? Która szkoła ją przyjmie? Czy będzie musiała chodzić do szkoły z zaburzonymi dziećmi? Czego się nauczy od osób podobnych do niej?

Nie wiem.

– Najlepsze, co możemy zrobić – ciągnie David – to mieć ją pod kontrolą i uświadamiać jej konsekwencje nierozważnych uczynków. Powstrzymywanie jej to nasza jedyna możliwość.

Ale na razie nie udało nam się to, prawda? Pozwoliliśmy, żeby wirus, którym jest Rosa, zaatakował Apinyę, a teraz Seimone.

* * *

Tego popołudnia przed treningiem Sojourner całuje mnie na powitanie i bierze za rękę. Naprawdę jesteśmy razem. Myśli o Rosie i moich pokręconych krewnych odpływają w dal.

Jaime się śmieje.

– Wyjaśniliście sobie różnice w poglądach religijnych? – pyta kpiąco.

– Dogadaliśmy się – odpowiada Sojourner.

– Całkowicie – dodaje.

Jaime udaje, że wymiotuje.

Ćwiczymy razem, a potem walczymy w sparingu. Po treningu mamy zjeść kolację z mamami Sojourner.

– Hej, dzięki, że zaprosiłeś Elona na imprezę – mówi Jaime. – Chodzimy ze sobą. Elon jest spoko.

Elon stanowi definicję bycia „spoko”.

– Wiesz, że Leilani rzuciła Veronicę? – dodaje.

– Znowu? – pytam.

– Tym razem na serio. Veronica wszędzie odstawia dramat. Nawet pocięła sobie nadgarstki.

Patrzę na nią z przerażeniem.

– Niezbyt przekonująco – uspokaja. – To raczej zadrapania. Ale wypłakuje się Elonowi w rękaw, bo znają się, od kiedy zaczęli gaworzyć. Są rodziną i on musi ją wspierać.

– Biedny Elon – kpię.

– To prawda.

– Nie patrz na mnie – mówi Sojourner. – Nie znam Elona. Przeprowadź go do kościoła, Jaime.

Jaime parska śmiechem. To taki wieczny żart, bo nie ma szans na to, by dziewczyna pojawiła się w kościele.

– W tę niedzielę jest protest. Zamierzamy z Elonem skierować świat na właściwe tory.

– Jedyne właściwe? – pyta Sojourner.

Wtrącam się, zanim zdążą się pokłócić:

– Twoje mamy wiedzą o nas?

Trochę się denerwuję przed tą kolacją.

– Oczywiście, że wiedzą – odpowiada Jaime. – Sid mówi im wszystko. W tym domu nie ma żadnych tajemnic.

– Mówisz to tak, jakby było w tym coś złego – żali się Sojourner.

– Nigdy nie sądziłam, że będzie mi brakowało tego pokręconego katolickiego podejścia, które dominowało w moim domu, że wszystko jest sekretem i dzieciom nie wolno o niczym mówić. Ale wy totalnie przesadzacie ze zwierzeniami.

– Wcale nie!

– Dziewczyno, twoja mama opowiada o kolorze i konsystencji swojej kupy! – oburza się Jaime.

– Jest chora. To jeden z symptomów, które musi kontrolować.

– Przesada – upiera się Jaime, unosząc dłonie. – A poza tym twoje mamy za bardzo hałasują, kiedy to robią. Moi starzy przynajmniej mieli tyle przyzwoitości, by tego w ogóle nie robić. Albo zachowywać się cicho jak myszy.

– Pudło. Nowojorskie myszy są hałaśliwe – odcina się Sojourner.

– Nieważne. Chodzi o to, że cały świat nie musi o tym wiedzieć. Starzy nie powinni tego w ogóle robić. To obrzydliwe. I twoja mama nie powinna też mnie wypytywać, czy się zabezpieczam i... czekaj, jak ona to ujęła... a tak, pamiętam, czy „jestem odpowiednio zaspokajana”. O Boże! Chciała rozmawiać o mojej lechtaczce. Co za żenada!

Sojourner się śmieje. Ja jestem rozdarty między rozbawieniem tym, jak bardzo mamy Sojourner przypominają moich rodziców, a zastanawianiem się nad tym, jak Jaime udaje się przy nich nie bluźnić.

– Zaraz, czy to znaczy, że przesłuchają mnie w sprawie tego, czy hmm... odpowiednio cię zaspokajam? – niepokoję się.

Teraz Jaime też już się śmieje. Dziewczyny nakręcają się nawzajem do coraz głośniejszych salw śmiechu.

– Prawdopodobnie poproszą cię, żebyś narysował schemat i udowodnił, że wiesz, gdzie znajduje się lechtaczka – grozi Sojourner.

Jaime zatacza się ze śmiechu.

– O kurczę! – wykrzykuję, machając telefonem. – To moi rodzice. Każą mi natychmiast wracać do domu!

Sojourner zabiera mi aparat.

– No nieee... – Pokazuje go Jaime. – Widzisz tu taką wiadomość?

Jaime kręci głową.

– Nic takiego nie widzę.

Łapię się za brzuch.

– Chyba się czymś zatrujęm. – Odwracam się i ruszam w przeciwną stronę.

Sojourner chwyta mnie za jedno ramię, a Jaime za drugie.

– Nie tak szybko, psze pana. Od maminego przesłuchania nie da się wymigać.

– Lesbijki są najgorsze – dowodzi Jaime. – Żadnego wstydu, żadnych granic. Pewnie będą też chciały sprawdzić, czy masz odpowiednio dużego kutasa.

Sojourner prycha i wymierza przyjaciółce kuksańca.

– Za daleko się posuwasz!

– Ona żartuje, prawda? – Jestem prawie pewien, że żartuje. –
Prawda?

Znów wybuchają śmiechem.

Spotykamy się z Diandrą i Elisabetą w wenezuelskiej restauracji. Matka Elisabety pochodziła z Wenezueli. Po raz pierwszy w życiu jem arepy. Pochłaniam sześc, aby się upewnić, że ostatnia będzie równie smaczna jak pierwsza. Mamy ani słowem nie wspominają o moim penisie. W ogóle nie rozmawiamy o seksie, za to dyskutujemy o polityce, niesprawiedliwości społecznej, demonstracji, na której były, zbliżającej się walce Sojourner, zimie w Sydney i sensie sprzedawania alkoholu tylko ludziom powyżej dwudziestego pierwszego roku życia.

Później przez prawie godzinę życzymy sobie z Sojourner dobrej nocy, bo każdy pocałunek prowadzi do następnego.

Nie mówię jej, co zrobiła Rosa.

Nie myślę o tym, co zrobiła Rosa.

* * *

Do domu docieram po północy. Sally już wróciła. Siedzą z Davidem przy wyspie kuchennej, popijając wino. Wiedzą, że byłem z Jaime, Sojourner i jej mamami na kolacji, ale nie rozmawialiśmy jeszcze oficjalnie o moim związku.

Sally odstawia kieliszek i przytula mnie.

– Co za dzień... noc i dzień, czy jak to określić. Jak się masz? –
pyta.

– Dobrze. A ty?

W odpowiedzi znów mnie obejmuje.

– Nie jestem pewna. Nie mogę uwierzyć, że postąpiły tak lekkomyślnie. Seimone mogła przecież umrzeć!

Odwzajemniam uścisk, a potem otwieram lodówkę, która jest prawie pusta. Nie ma szynki ani sera. Nie widzę żadnych protein. Otwieram pojemnik na owoce i warzywa, z którego wyjmuję

ostatnie jabłko. Nie na długo mi to wystarczy.

– Nie ma szynki?

– Żadne z nas nie miało dość czasu na zakupy – wyjaśnia David. – Możesz się tym zająć jutro.

– Jasne – odpowiadam, zastanawiając się, czym zapłacę. – Karta kredytowa znów działa?

– Dam ci gotówkę.

Wsuwam się na stołek i nalewam sobie wody.

– Seimone już wierzy, że orzechy ziemne mogą ją zabić – odzywa się Sally.

Gdybyż tylko uwierzyła, że Rosa też może.

– A jak się czują Lisimaya i Gene?

– Są wstrząśnięci – wzdycha Sally. – Terapia była dobrym pomysłem. Właśnie mówiłam Davidowi, że szkoda, że nie poszedł.

David wcale nie wygląda, jakby tego żałował.

– Ktoś musi pracować – odpowiada. – Termin otwarcia firmy się zbliża.

– Za dziesięć miesięcy? To niezbyt bliski termin. Mogłeś sobie pozwolić na parę godzin wolnego – wytyka mu Sally.

David macha ręką, zbywając jej obiekcje.

– Muszę pracować – podkreśla.

– Co powiedział terapeuta? – pytam.

– Miał bardzo praktyczne podejście. Poprosił dziewczynki, by wyjaśniły, co zamierzały zrobić. Jakiego rezultatu się spodziewały. Czy zastanawiały się nad tym, co by było, gdyby cokolwiek poszło nie tak. Zwłaszcza gdyby... – Sally milknie na chwilę – Seimone umarła.

Jestem pewien, że Rosa się nad tym sporo zastanawiała.

– Oczywiście nie sięgały myślami tak daleko. Zakładały, że ich plan zadziała.

– I szczerze mówiąc – wtrąca David – zadziałał. Seimone żyje.

– To prawda – zgadza się Sally – ale jak zauważył terapeuta, to był zupełnie nieodpowiedni eksperyment. Nie można podejmować decyzji, licząc na najlepszy możliwy rezultat. Zwłaszcza gdy

najgorszym jest śmierć!

– Jak zareagowały na to, że kazał im się zastanawiać nad tym, co mogło się wydarzyć? – pytam.

– Seimone się załamała. Powtarzała, że nie chciała umrzeć. Rosa była zdruzgotana.

Jasne. Zapewne wzorowała swoje łzy na płaczu Seimone. Choć teraz już potrafi je produkować na zawołanie.

– Seimone bardzo to przeżywa, dlatego Rosa została, żeby ją pocieszyć.

Sącząc truciznę do jej uszu.

– Chciałam, żeby wróciła do domu – ciągnie Sally – ale Seimone niemalże wpadła w histerię na samą wzmiankę o tym, więc Rosa została u nich na kolejną noc.

– Czy to mądre? – wymyka mi się pytanie. David za plecami Sally dyskretnie kręci głową.

– Chyba tak – odpowiada mama. – Seimone dostała nauczkę, Rosa też. Już więcej nie będą próbowały czegoś takiego.

Nie, myślę, Rosa na pewno spróbuje czegoś innego.

– Sądzisz, że obie potraktują to jak nauczkę, ot tak po prostu?

– Potencjalna śmierć Seimone bardzo nimi wstrząsnęła.

Nie Rosą.

– Będą dalej chodziły na terapię? – pytam.

Sally kiwa głową.

– Terapeuta chce z nimi porozmawiać o tym, że każda z nich musi umieć się sprzeciwić, kiedy druga zamierza zrobić coś nierozsądnego. Rosa nie powinna była pozwolić, żeby to zaszło tak daleko. Powinna była wyjaśnić Seimone, że sprawdzanie alergii jest złe.

– Pewnie, że powinna – odpowiadam ironicznym tonem.

Sally spogląda na mnie z wyrzutem.

Telefon wibruje w mojej kieszeni.

Musimy pogadać – pisze Leilani. – Zastanowić się, co z tym zrobić.

– Jestem padnięty – oznajmiam rodzicom.

Życzymy sobie dobrej nocy znacznie bardziej wylewnie niż

zazwyczaj. Sally przytula mnie dwa razy.

– Nie mogę przestać myśleć o tym, co by się stało, gdybyś nie podał jej adrenaliny w porę. Biedna Rosa była jak sparaliżowana. Dziękuję, Che.

David się wzdryga, a ja gryzę się w język.

Kiedy docieram do pokoju, umawiam się z Leilani na śniadanie.

Wpełzam do łóżka i gapię się na smugi samochodowych świateł przesuwające się po suficie. Chciałbym, żeby Sojourner była tu ze mną.

Przynajmniej jestem spokojny, że do kolejnej intrygi Rosy mam trochę czasu. Uszło jej na sucho to, że prawie zabiła Seimone – to ją powinno usatysfakcjonować na dłuższą chwilę.

ROZDZIAŁ 33

Następnego ranka Rosa budzi mnie pukaniem do drzwi. Na zewnątrz jest szaro i niewiele światła wpada do pokoju.

– Che! – woła.

– Chwileczkę – odpowiadam, marząc, żeby sobie poszła.

Ubieram się i otwieram drzwi.

– Kiedy wróciłaś do domu? – pytam.

– Nie życzę sobie, żebyś kiedykolwiek jeszcze naruszał moje prawa – oznajmia, wchodząc do środka i siadając po turecku na łóżku z dłońmi opartymi o kolana i zwróconymi wnętrzem do góry, jakby zamierzała medytować.

Gapię się na nią oszołomiony.

– Co takiego? Kto tu siedzi na czyim łóżku, Roso?

– Nagrywasz nasze rozmowy.

Nie takich słów się spodziewałem. Siadam na podłodze.

– Skąd wiesz?

– Słyszałam, jak powiedziałeś Davidowi. – Patrzy na mnie tak jak na mrówkę tuż przed tym, nim ją rozgniecie.

– Zza zamkniętych drzwi. Superetyczne zachowanie – kpię.

– Nie kryłam się z tym, że podsłuchuję.

– Nie, bo nie zdążyłaś uciec. Otworzyłem drzwi i cię zaskoczyłem.

– Nie powinieneś mówić tak głośno, jeśli nie chcesz, żeby ktoś cię usłyszał – ripostuje. – Ciągłe powtarzasz, że nie kłamiesz, Che, ale nagrywanie rozmów bez pytania o pozwolenie to też rodzaj kłamstwa. Udawałeś, że normalnie rozmawiamy, tymczasem zbierałeś o mnie informacje, jakbym była jakimś insektem. Jesteś kłamcą.

– Nie jestem. – Ogarnia mnie nieprzyjemne uczucie, że Rosa ma rację. – Gdybyś mnie zapytała, czy nagrywam, tobym się przyznał.

Czy zaprzeczam teraz?

– Nie, ale tylko dlatego, że wiesz, że ja wiem. Jesteś równie przebiegły jak ja. Jesteś taki sam jak ja, tylko lepiej udajesz normalnego.

– Nie jestem do ciebie w ogóle podobny, Roso – protestuję.

– Jako mój brat musisz być do mnie podobny – punktuje. – Nikt nie jest do mnie tak podobny jak ty.

– Czy kiedykolwiek groziłem, że zabiję twoich przyjaciół? – pytam.

– Nie.

– A ty powiedziałaś, że zepchniesz Soj... Sid ze schodów.

– Wcale nie.

– Tak. Powiedziałaś też, że życzysz śmierci Mayi i Leilani.

– Nigdy nie mówiłam, że je zabiję. Wręcz obiecałam, że tego nie zrobię. – Wygląda na niezwykle zadowoloną z siebie. – Sam się okłamujesz, Che. Ja dokładnie wiem, kim jestem, i lubię siebie. Byłbyś o wiele szczęśliwszy, gdybyś też siebie polubił.

Mam ochotę krzyczeć.

– Co byś powiedział, gdybyś odkrył, że nagrywałam nasze rozmowy? Czy nie uznałbyś, że to chore?

– Oczywiście – zgadzam się. – Ale to nie to samo, bo ja nie jestem taki jak ty, Roso. Nie chcę taki być. Nigdy nikogo nie nakłoniłem, żeby zabił swojego zwierzaka. Nigdy nie próbowałem zamordować swojej przyjaciółki. Nie kłamię, nie kradnę i nie oszukuję. Nie jestem tobą.

– Nie zabiłam tej świnki morskiej i nie próbowałam zamordować Seimone – powtarza. – Ty mnie w ogóle nie słuchasz. Nigdy nie zabiję Seimone, bo jest moją najlepszą przyjaciółką. Potrzebuję jej. I nie życzę sobie, żebyś nagrywał nasze rozmowy. To naprawdę chore, Che. To, że jestem inna, wcale tego nie usprawiedliwia.

– Nie jesteś po prostu inna. Inny nie zawsze oznacza niebezpieczny.

– Nie powinieneś też być opowiadać Leilani kłamstw na mój temat – ciągnie Rosa. – Doniosła Seimone, że zabijam zwierzątka

domowe. Na szczęście wyjaśniłam jej, że zżera cię zazdrość, bo nie jesteś taki bystry jak ja. Wie, że grasz w szachy jak dziecko, i ci współczuje.

– Cieszę się, że nie jestem taki jak ty.

Rosa uśmiecha się ironicznie.

– Tępi ludzie zawsze są zadowoleni ze swojej tępoty. Różnię się od dziewięćdziesięciu dziewięciu procent populacji. Moja inność jest lepsza.

Odnosi się do szacunkowej liczby psychopatów czy geniuszy?

– Wiedziałeś, że są ludzie tacy jak ja, którzy piszą blogi? – pyta. – Wiele się z nich dowiedziałam. Wymieniają się radami o tym, jak uchodzić za normalnych. Niektórzy twierdzą, że należy zmienić nazwisko i opuścić rodzinę, jak najwcześniej się da. Rodzina tylko przeszkadza.

Wyobrażam sobie, że Rosa mogłaby to zrobić. Ba, pragnę tego.

– Ale opinie są sprzeczne. Wielu psychopatów... – Uśmiecha się, podkreślając, że wie, za kogo ją uważam. – Wielu z nas sądzi, że rodzina to najlepszy kamuflaż, ponieważ wszyscy uważają psychopatów za samotników. Nigdy nie podejrzewają, że ktoś, kto posiada kochającą rodzinę, może być potworem.

– Nie uważam cię za potwora – mówię. Rosa ma rację: naprawdę kłamię.

– David nie chce, żebyś powiedział o mnie McBrunightom, bo boi się, że się wycofają z interesu. Chodzi o kasę, Che, nie o Sally. Nie możesz ufać Davidowi. Jak myślisz, dlaczego nigdy nie porozmawiał z tobą o mnie? Przecież wie od zawsze.

– Dlaczego? – Z fascynacją słucham o jej teorii spiskowej. Każdemu przypisuje równie haniebne motywy jak sobie. – Dlaczego tego nie zrobił?

– Ponieważ potrzebuje wizerunku szczęśliwej, normalnej rodziny, żeby nie odstraszać inwestorów. David nienawidzi braku pieniędzy. Nienawidzi też normalnej pracy. Jak myślisz, dlaczego się tak często przeprowadzamy? Dlaczego tak ciężko tyra?

– On tak ma.

Rosa się uśmiecha.

– Zawsze sprawia takie pozory. Jest na świecie o wiele więcej osób takich jak ja, niż myślisz. Jeden procent? Badacze musieli wyjąć tę liczbę z kapelusza. Prawie wszyscy są tacy jak ja.

– Tak sądzisz, ponieważ nie potrafisz sobie wyobrazić, jak to jest być kimś innym. Mogłabyś zrozumieć, że większość ludzi na świecie ma uczucia, tylko wtedy, gdybyś sama jakieś miała.

Rosa wzrusza ramionami.

– Przekonasz się. Przygotowujemy jutro z Seimone kolację. To ma być rodzinna kolacja, która pomoże nam wszystkim się do siebie zbliżyć.

Wprost nie mogę się doczekać.

* * *

Z powodu rozmowy z Rosą spóźniam się kilka minut na spotkanie. Leilani siedzi z Mayą przy stoliku w rogu kawiarni. Obejmuje siostrę ramieniem i pochyla się nad nią, mówiąc coś między kolejnymi łykami kawy. Panują między nimi bliskość i wyczuwalna wzajemna miłość.

Maya wydaje się taka mała. Ma podkrążone oczy i odnoszę wrażenie, że schudła.

Wygląda na udręczoną. Obie na takie wyglądają.

Wszystko przez Rosę.

Czasami się zastanawiam, czy moja siostra nie jest jakimś wirusem z kosmosu. Każdy, kogo dotknie, zaraża się tym samym nieludzkim DNA, które sprawia, że marniejemy. Jestem pewien, że byłem innym człowiekiem, zanim Rosa się urodziła. Szczęśliwszym. Kiedy jej statek matka wyląduje, będziemy zbyt złamani, by odeprzeć inwazję.

Leilani mnie zauważa i lekko macha ręką, Maya też. Podchodzę do stolika.

– Potrzebny nam plan – oznajmia przyjaciółka, jeszcze zanim zdążę usiąść.

Ma rację.

– To nasza narada wojenna? – pytam.

Usta Mayi lekko się wyginają. Prawie się uśmiechnęła.

– Możemy pomalować się w barwy maskujące – proponuje.

– Jasne – zgadzam się ochoczo.

– Najważniejsze to trzymać Rosę z dala od Mayi i Seimone. – Leilani się nie uśmiecha. – Mogę chronić Mayę, ale nie wiem, jak się przebić do Seimone. Rosa wzięła ją pod pantofel. Seimone mówiła ci, że przygotowują jutro kolację rodzinną?

Prawie uśmiech Mayi znika.

– Najwyraźniej te dwie uważają, że ich kolejnym krokiem powinno być otrucie nas wszystkich – dodaje Leilani.

– Ale zabawne... – rzucam.

– Seimone ciągle powtarza, że Rosa jest jej najlepszą przyjaciółką i że sama wpadła na ten pomysł z alergią. W ogóle nie zwraca uwagi na to, co jej mówię o Rosie.

Maya przygląda się swoim dłoniom.

– To nie mógł być pomysł Seimone – dodaje Leilani. – Cały czas nosi rękawiczki. Panicznie boi się orzechów ziemnych.

Jestem potwornie głodny.

– Mogę coś zamówić? Jeszcze nic nie jadłem. – To przecież miało być spotkanie przy śniadaniu.

Leilani kiwa głową. Zamawiam dużą porcję śniadaniową, a dziewczęta owoce i granolę.

– Nieustannie przestrzegam Seimone przed Rosą – ciągnie Leilani. – Robiłam to, zanim mi wszystko zdradziłeś. Tym razem też nie stwierdziłam wprost „Rosa jest psychopatką”, ale opowiedziałam jej o śwince morskiej i o tych jej strasznych tekstach, ale Seimone mi nie wierzy. Twierdzi, że jestem zazdrosna. „Kocham cię – powiedziała. – Mayę też. Ale Rosa jest moją najlepszą przyjaciółką. Tylko ona mnie rozumie”.

– Yhm. – Potrafię sobie wyobrazić, jak Rosa mówi do Seimone: „Ty mnie rozumiesz” w taki sam sposób, jak do mnie.

– Maya sypia teraz w moim pokoju.

– To dobrze. Nadal nie rozmawiasz z Seimone? – pytam Mayę.
Maya pochyla głowę.

– Ona się do mnie nie odzywa – wyznaje cicho. – Rosa tak, choć wolałabym, żeby tego nie robiła.

– Postaraj się nigdy nie zostawać z nią sam na sam. Seimone się nie liczy. Zadzwoń do mnie, gdybyś się obawiała, że Rosa zamierza coś zrobić. Masz mój numer?

Maya kiwa głową.

– Nie mogę uwierzyć, że chciała zabić Seimone – wzdycha Leilani.

– Przyjaźnią się. Dlaczego miałyby to zrobić?

– Nie jestem pewien, czy chciała – mówię. – Trzymała w rękę strzykawkę, a osłonka z igły była zdjęta.

– Zatem zamierzała jej użyć. Tak przynajmniej twierdzi. Że ją sparaliżowało ze strachu.

– Nie sparaliżowało jej – zaprzeczam. – Śmiała się.

Maya garbi się, przez co wygląda na jeszcze mniejszą.

– Nie sądzę, by Rosa zamierzała ją zabić. Myślę, że zafascynował ją widok siniejącej twarzy Seimone – wyjaśniam. – Chciała zobaczyć, co z tego wyniknie, dlatego namówiła ją do zjedzenia orzeszków. Seimone chętnie się zgodziła, ale Rosa wcale nie chciała, żeby ona umarła.

– Rosa potrafiłaby ją nakłonić do wszystkiego – martwi się Leilani.

– Na pewno udało jej się wmówić Seimone, że to był jej własny pomysł.

Przynoszą nasze jedzenie. Moja duża porcja jest naprawdę ogromna: cztery kiełbaski, mnóstwo bekonu, jajecznicę, pieczarki i cebula. Rzucam się na nią żarłocznie. Maya grzebie łyżką w granoli, mieszając jogurt z owocami, ale nie podnosząc jej ani razu do ust.

– Serio uważasz, że Rosa jest psychopatką? – pyta Leilani między kolejnymi łyżkami.

Zadaje mi to pytanie już drugi raz. Rozumiem ją, musimy być rozważni. Ale żyję z tym od lat i równie długo mam tę pewność.

– David też tak sądzi – odpowiadam.

– Co? Myślałam, że ci nie wierzą.

– Też tak myślałem! Ale rozmawialiśmy po tym ostatnim epizodzie i David przyznał, że wie o Rosie. On też próbował jakoś nad nią zapanować.

Leilani wpatruje się we mnie uważnie.

– To dlaczego nic nie powiedział moim rodzicom? – pyta.

– Sally to wypiera. – Mówiąc te słowa, uświadamiam sobie, że to nie ma sensu. Dlaczego David nie ostrzega ludzi? A zwłaszcza McBrunightów? Powiedział, że to może zniszczyć naszą rodzinę, ale chyba sam w to nie wierzy... – On nie chce jej przysparzać zmartwień – kończę słabym głosem.

– Co za bzdura! – oburza się moja przyjaciółka. – Seimone mogła umrzeć! Pieprzyć Sally.

Kurczę się.

– On... – zaczynam, ale nic z tego, co David mówił, nie usprawiedliwia utrzymywania zaburzeń mojej siostry w sekrecie. – Rosa twierdzi, że on się boi, że wasi rodzice wycofają się z interesu.

– Zamierzam im przekazać to, co mi powiedziałaś. Twój ojciec będzie musiał to potwierdzić. Dlaczego miałabym zmyślać coś takiego?

– Nie wiem, czy to zrobi. Mógłby wszystko stracić.

– Nie obchodzi mnie to.

– Powiedz rodzicom – wspieram ją. – Pójdę z tobą, jeśli chcesz. Mam dość tych tajemnic. Ściemnianie jest złe. Mówiłem ci, że Rosa groziła, że zepchnie Soj... Sid ze schodów?

Leilani unosi brwi.

– Nie wydaje mi się, by Rosa mogła to zrobić – ciągnę. – Nie dałaby rady. Sid jest sprawna i wysportowana, a Rosa ciągle gada takie głupoty, żeby mnie drażnić.

– Bezwzględność – podsumowuje Leilani.

– Sprawdziłaś listę?

– Oczywiście. Przeczytałam ją z myślą o Rosie i odznaczałam punkt po punkcie, cały komplet.

– Bezwzględność, brak zahamowań, brak lęku i charyzma.

– Z pewnością mam charyzmę, ale chętnie wyzbyłabym się wszystkich lęków – oznajmia Leilani. – Wyobraź sobie, że nigdy nie jesteś zestresowany ani zdenerwowany.

– Za wysoki koszt. – Wiem, że przyjaciółka żartuje, ale nie mogę się powstrzymać. – Niepokoiły się, ponieważ się przejmujemy. Poza tym brak lęków wiąże się z brakiem zahamowań. Jeśli Rosa czegoś chce, po prostu to bierze. Nie myśli o konsekwencjach, bo niczym się nie przejmuje. Choć to się zmieniło. Ta historia z masłem orzechowym była zaplanowana, a trzeba myśleć o konsekwencjach, żeby coś zaplanować.

Maya się wzdyga. Do tej pory nic nie zjadła, za to mój talerz jest pusty.

– Rosa nie uczy się, jak być dobrą. Uczy się, jak efektywniej być złą – podsumowuję.

Leilani przez cały czas nawet nie dotknęła telefonu, a zazwyczaj przecież ani na chwilę nie wypuszcza go z rąk.

– Jak ty możesz z nią żyć? – pyta. – Mnie by cały czas bolał brzuch w oczekiwaniu na to, jaki numer znów wytnie. Radzisz sobie z tym od dziesięciu lat?

– No cóż... – Nikt nigdy nawet w przybliżeniu nie rozumiał, jak to jest żyć z Rosą. Na pewno nie Georgie. Może David? Ale nie rozmawialiśmy jeszcze o tym. Nie wiem, jak ja z tym żyję. Nie jestem pewien, czy mi się to udaje. – Najgorsza jest trucizna, którą sący w moje uszy. Jej wypaczona wizja świata.

Leilani ściska moją dłoń.

– Idę jutro do terapeutki i wszystko jej powiem. Może podsunie jakiś pomysł, co można zrobić. Powiem też mamie i tacie, niezależnie od tego, czy David mnie wesprze.

– Dziękuję – mówię z głębi serca. Chciałbym umieć wyrazić, jak bardzo jestem jej wdzięczny.

– Kochasz Rosę? – pyta mnie.

– Tak. I to jest najgorsze. To moja młodsza siostrzyczka. Zajmowałem się nią, jak była małeńka. Zawsze się nią opiekowałem.

Maya wstaje, przesuwa się na drugą stronę stołu i obejmuje mnie. Robi to szczerze. Rosa nigdy czegoś takiego nie zrobiła. Z całych sił powstrzymuję się od płaczu.

ROZDZIAŁ 34

W efekcie Rosa i Seimone nie przygotowują dla nas kolacji.

Leilani przekazuje rodzicom wszystko, co jej opowiedziałem, ale David tego nie potwierdza. Oskarżam go o zakłamanie, a on odpowiada, że jest mną rozczarowany. Przecież prosił, żebyśmy nie informowali o niczym McBrunightów. Nie zamierza dodawać nic więcej. Sally nie może uwierzyć, że powiedziałem coś takiego o Rosie – zwłaszcza ich przyjaciołom. Chyba zapomniała, że jej mówiłem dokładnie to samo.

Rosa tylko uśmiecha się kpiąco.

Leilani i ja wymieniamy dziesiątki SMS-ów.

Spodziewaliśmy się trzęsienia ziemi, a tymczasem zamiast tego spotykamy się u nich w domu, żeby jak dorośli ludzie omówić to, co Sally określa mianem „nieporozumienia”, a Gene „sytuacji”.

Upijam łyk wody ze stojącej przede mną szklanki. Na stole stoją cztery dzbanki z wodą, spory wybór serów, wędlin, sałatek, dipów i pieczywa.

Nie powinniśmy siedzieć w taki sposób – z McBrunightami po jednej stronie, a Taylorami i Kleinami po drugiej – ponieważ to nie jest właściwa linia podziału. Rosa, Seimone i dorośli powinni siedzieć po jednej stronie, a Leilani, Maya i ja naprzeciwko.

Gene ma sine cienie pod oczami, ale uśmiecha się i pocieszająco poklepuje Lisimayę po dłoni. Żona odwzajemnia uśmiech, lecz bez przekonania. Nie wygląda na tak wykończoną jak on, ponieważ ma idealny makijaż, maskujący oznaki wyczerpania.

Wątpię, by ktokolwiek z nas dobrze spał, od kiedy Seimone prawie umarła. Poza Rosą i Davidem – nic nie jest w stanie zakłócić ich snu. Kręgi pod oczami Sally wyglądają jak siniaki. Maya tłumii ziewanie, podobnie jak Leilani, która znów w ogóle nie patrzy na

swój telefon. Mój pali mnie w kieszeni. Mam przygotowane do odtworzenia nagranie, na którym Rosa obiecuje, że nie zabije Mayi.

Rosa i Seimone wymieniają spojrzenia i machają do siebie rękami w udawanym języku migowym.

– Możemy zacząć? – pyta Sally.

– Nie wiem – odpowiada Leilani. – Czy ktoś z was w ogóle zechce wysłuchać tego, co mamy do powiedzenia?

– Daj spokój, Leilani – zwraca się do niej Gene. – Możemy się przynajmniej postarać, żeby to była cywilizowana rozmowa?

Leilani przewraca oczami.

Nikt nie tknął poczęstunku. Biorę kawałek selera pokryty czymś różowym i gryzę. Chrząst w moich zębach jest głośny jak strzał ze strzelby. Wszyscy zwracają na mnie wzrok.

– Przepraszam – mamroczę, odkładając seler na swój talerz.

– Che nie potrafi powstrzymać się od jedzenia – tłumaczy mnie David. – Taka boksyrska słabość.

– Częstoście się – prosi Lisimaya, wskazując na przekąski, ale nikt nawet nie drgnie.

– Może zaczniesz, Leilani? – proponuje Sally. – Obiecujemy, że będziemy słuchać.

– Rosa jest... – Leilani spogląda na moją siostrę, która układa twarz w wyraz świętej niewinności: szeroko otwiera oczy, potem spuszcza wzrok i lekko wydyma górną wargę.

– Ja... my... – poprawia się Leilani, zerkając na mnie – uważamy, że Rosa ma antyspołeczne zaburzenie osobowości.

– Nie mam! – krzyczy Rosa, a Seimone kręci głową.

– Oznacza to, że lubi manipulować ludźmi i zupełnie się nie przejmuje ich losem.

– Wcale nie!

– Zmanipulowała Seimone, by zjadła masło orzechowe i...

– Nieprawda! – protestuje Seimone. – To był mój własny pomysł!

– Pozwól Leilani dokończyć – prosi Lisimaya.

– Przecież powtarzam wam... – nie poddaje się Seimone.

– Leilani mówi pierwsza – ucina Gene. – Przyjdzie kolej również

na ciebie.

– Che – zwraca się do mnie Leilani – opowiedz im o śwince morskiej.

Spełniam jej prośbę, a Rosa zapewnia o swojej niewinności.

– Dlaczego nam wtedy o tym nie powiedziałaś? – pyta Sally.

– Bo nigdy nie wierzycie w nic, co mówię o Rosie – wyjaśniam.

– Ponieważ kłamiesz – wtrąca Rosa.

– To nie twoja kolej – mityguje ją Gene.

– Moja siostra nie jest normalna – mówię, starając się, by mój głos brzmiał cicho i spokojnie. – Seimone mogła umrzeć. Posłuchajcie nagrania rozmowy, którą odbyłem z Rosą.

– Nagrywałeś swoją siostrę? – pyta Sally, podnosząc głos.

Kiwam głową.

– Potrzebowałem dowodu.

Wciskam odtwarzanie, zanim ktokolwiek zdąży coś powiedzieć.

Rosa: Maya jest wredna. Byłoby o wiele łatwiej, gdyby nie żyła. Seimone chce, żeby ona umarła.

Ja: Jezu, Roso, nie możesz zabić Mayi!

[Cisza]

Ja: Jeśli zabijesz Mayę, pójdziesz do więzienia.

[Cisza]

Ja: Jesteś bystra, ale nawet najinteligentniejsi mordercy wpadają. Poczytaj o tym.

Ja: Czytałam. Niektórych złapano, ale wiele spraw pozostaje nierozwiązanych.

[Cisza]

Ja: Chcesz mieć jak najmniej ograniczeń w życiu, prawda?

[Cisza]

Ja: Jeśli zabijesz Mayę, to jak myślisz, co się stanie? Jesteś inna. Już i tak musisz się bardzo pilnować, żeby ukryć to przed ludźmi, a mimo to niektórzy nie chcą mieć z tobą nic wspólnego.

Rosa: Tak jak Maya. Mimo to coraz lepiej radzę sobie z normalnym zachowaniem. Widziałeś mnie na przyjęciu. Rozmawiałam ze wszystkimi i mnie polubili. Mówili Sally i

Davidowi, że jestem bardzo utalentowana.

* * *

– Ona się z tobą droczy – idzie w zaparte Sally, podczas gdy Lisimaya obejmuje się ramionami. – Ma dziesięć lat. Nie zamierza nikogo zabić.

– Nigdy bym tego nie zrobiła – zarzeka się Rosa.

– Jednak to jest niepokojące – odzywa się Lisimaya. – Często mówi takie rzeczy?

Kiwam głową.

– Ona tak właśnie rozumuje.

– Nie, wcale nie! – woła Rosa. – Udawałam. Wiesz, że lubię udawać.

– Czy ona kiedykolwiek stosowała przemoc? – chce wiedzieć Lisimaya.

– A zabijanie owadów się liczy? No i kradnie.

Opowiadam im o paszporcie, a potem o innych rzeczach, które robiła jako dziecko. Jakoś nic z tego nie brzmi bardzo źle.

Gene jeszcze się nie odezwał, podobnie jak David.

– Ona jest perfidna – dodaje Leilani.

– Sama jesteś perfidna – ripostuje Rosa, zacinając się na ostatnim słowie, jakby nie do końca wiedziała, co znaczy.

Seimone kiwa głową.

– To prawda, Lei-Lei, byłaś niedobra dla Rosy od samego początku. Maya też. Mam prawo mieć własnych przyjaciół. To, że jesteśmy bliźniaczkami, nie oznacza, że musimy wszystko robić razem.

– Dziewczynki chodzą na terapię do Jamesa – mówi Lisimaya. – Jeżeli Rosa jest taka, jak utrzymujecie, James by to zauważył, prawda? Od wielu lat pracuje z dziećmi mającymi różne zaburzenia.

– Widział ją tylko raz – zauważa Leilani. – Dlaczego skłamałeś, Davidzie?

– Pytasz, dlaczego nie zgadzam się z opinią, że moja córka jest niebezpieczna? Ponieważ nie jest.

Kręcę głową z niedowierzaniem.

– Nie jest, Che – podkreśla David. – Owszem, ma problemy w kontaktach międzyludzkich. Zawsze je miała. Owszem, mówi niewłaściwe rzeczy. Bardzo niewłaściwe. Nie kontroluje swojego tonu i nie najlepiej panuje nad impulsami. Tak, lubi ci dokuczać. Młodsze siostry tak mają.

Czy Gene i Lisimaya to kupują?

– Jak wiecie, zdiagnozowano u niej nieprawidłowości rozwojowe, kiedy była młodsza – ciągnie David, patrząc na dwójkę swoich najlepszych przyjaciół. – Ale Rosa robi postępy. Mój Boże, powinniście ją widzieć trzy lata temu! Walczyła o to, by z kimś się zaprzyjaźnić. Teraz ma dwie przyjaciółki. Nadal utrzymuje kontakty z Apinyą. Zatem cokolwiek się przytrafiło jej śwince...

– To nie ja...

– Roso, pozwól mi skończyć – napomina ją David. Rosa wydyma dolną wargę. – Nadal się przyjaźnią.

Wydawało mi się, że David przyznał, iż Rosa jest niebezpieczna. Czy nie?

– Ona nie jest normalna – upiera się Leilani.

– Zgadzam się. Rosa nie jest normalna. W matematyce wyprzedza swoich rówieśników o co najmniej pięć lat. W szachach o jeszcze więcej. Natomiast jest cofnięta w rozwoju społecznym o co najmniej dwa lata. Najwyraźniej to często idzie w parze. Nie zgadzam się z waszą diagnozą. – Rzuca mi spojrzenie. – Podobnie jak żaden specjalista, który ją badał, a było ich wielu. Wiem, że Che chce być lekarzem, lecz na razie nim nie jest.

Czuję, że palą mnie policzki.

– Nikt jej jeszcze nigdy nie badał pod kątem antyspołecznych zaburzeń osobowości – wytykam.

Sally patrzy na mnie z furją.

– Davidzie, dlaczego nic o tym nie wspomniałeś moim rodzicom?
– pyta Leilani. – Nie sądzisz, że powinni się dowiedzieć, iż ona nie

jest normalna, zanim zgodzili się na jej kontakty z bliźniaczkami?

Wszyscy dorośli mówią naraz, ale Lisimayi udaje się przebić przez hałas:

– Powiedział, Leilani. Wiemy o Rosie od lat.

– Więc dlaczego nas nie uprzedziliście? – dopytuje się Leilani.

– Bo nie chcieliśmy, żebyście ją osądzały – wyjaśnia jej mama. – Rosa ma wystarczająco dużo problemów z dopasowaniem się. Ale chyba popełniliśmy błąd.

– Seimone przestała rozmawiać z Mayą, ponieważ Rosa ją do tego nakłoniła...

– Nieprawda! – zaprzecza Seimone. – Traktujesz mnie jak małe dziecko, Lei-Lei. Nie jestem dzieckiem. Maya wie, dlaczego przestałam z nią rozmawiać.

– Możesz nam wyjaśnić dlaczego? – pyta łagodnie Gene.

– Bo Maya nazwała Rosę złym cyborgiem.

– To prawda, Mayu?

Maya kiwa głową. Gene tłumy śmiech. Nikt inny nie jest rozbawiony.

– Chcę, żebyście znów zaczęły ze sobą rozmawiać – oznajmia Lisimaya. – Możecie mi to obiecać? Mayu?

Dziewczynka znów kiwa głową.

– Seimone?

– Tylko jeśli ona przestanie być wredna dla Rosy.

– A Rosa przestanie być wredna dla mnie? – Maya odzywa się po raz pierwszy.

– Roso – mówi David, zanim ktokolwiek inny się odezwie – przestaniesz być niemłą dla Mayi?

– Ja nie...

– Roso?

Tym razem ona kiwa głową.

– Obiecujesz?

– Obiecuję – odpowiada, przeciągając odrobinę słowo, przez co brzmi niemal sarkastycznie.

– Przestaniesz droczyć się z bratem? – David wskazuje mój

telefon. – To, co mówiłaś, nie było wcale zabawne. Nigdy więcej nie żartuj ze śmierci.

Moja siostra wygląda na rozgoryczoną.

– Nie miałam tego na myśli. Nie wiedziałam, że Che potraktuje mnie poważnie.

– Seimone, będziesz teraz normalnie rozmawiała z siostrą? – pyta Lisimaya.

– Obiecuję – odpowiada Seimone, dokładnie takim samym tonem jak Rosa.

* * *

Wracamy razem do domu, ale nie potrafię się zmusić do myślenia o nas jako o rodzinie. Nie czuję, bym miał z nimi cokolwiek wspólnego. Ale tak niestety jest, bo odziedziczyłem po trochę z każdego z nich: włosy i nos Davida, oczy Sally. Jednak w tej chwili wydaje mi się, że nic poza tym nas nie łączy.

Rosa uśmiecha się pod nosem. Wyraźnie uznaje dzisiejszy wieczór za swoje zwycięstwo. I ma rację. Wygrała.

– Powiedziałeś, że mi wierzysz – zwracam się do Davida. Nie odeszliśmy daleko od domu McBrunightów, ale nie mogę tego w sobie dłużej tłamsić.

– Tak – potwierdza. – Ale powiedziałem ci też, że muszę dbać o naszą rodzinę.

– Jak mogłeś? – Sally zwraca się do mnie. Żyłka na jej czole pulsuje szybko. – Jak mogłeś powiedzieć coś takiego o własnej siostrze? Jak mogłeś nagrywać wasze rozmowy?

Rosa chichocze. Sally odwraca się do niej.

– To nie jest śmieszne, Roso.

Chichot natychmiast milknie.

– Nie możesz tego traktować jak zabawy. Jak myślisz, dlaczego twój brat ma o tobie takie złe zdanie? Ponieważ do niczego nie podchodzisz poważnie. Wiem, że jest ci trudno. Wiem, że próbujesz. Wiem, że wolałabyś, żeby świat składał się z samych liczb, ale tak

nie jest. Musisz bardziej się starać dostosować. Nie wolno ci się śmiać, kiedy coś nie jest zabawne. Nie wolno ci mówić takich przerażających rzeczy, jak na przykład to, że chcesz, by Maya umarła! Dlaczego to powiedziałaś?

Twarz Rosy jest równie kamienna jak Davida.

– Przepraszam.

– I słusznie. Życzenie ludziom śmierci nigdy nie jest zabawne! Nie wolno tak mówić.

David kładzie dłoń na ramieniu Sally, ale ona ją strząsa.

– Jak do tego doszło? – pyta. – Myślmy o sobie straszne rzeczy. Szpiegujemy się nawzajem. Czy to naprawdę nasza rodzina?

Nie wiem, do kogo kieruje to pytanie, bo nie patrzy na żadne z nas.

David ją obejmuje. Tym razem Sally pozwala mu na to i kładzie głowę na jego ramieniu. Możliwe, że płacze.

Przechodzą przez ulicę do parku, a my z Rosą idziemy za nimi. Resztę drogi do domu pokonujemy w milczeniu. Twarz mojej siostry jest zupełnie obojętna.

Najbardziej na świecie chciałbym teraz być z Sojourner.

CZEŚĆ CZWARTA

Chcę wrócić do domu

ROZDZIAŁ 35

Ależ dziś zimno – pisze Georgie. – Musiałam włożyć rękawiczki!

Tutaj upał.

W końcu nadeszło lato. Ubrany w krótkie spodenki czekam w sali treningowej, aż Sojourner przyjdzie na naszą sesję sparingową. Rozsiadłem się na ławce przed szatnią, popijam wodę, wciągam batony proteinowe i nadrabiam zaległości w kontaktach z Georgie.

Podobałoby ci się tu. Ludzie noszą ubrania we wszystkich możliwych stylach. We wszystkich kolorach. Pastelowych, neonowych, cukierkowych.

To teraz zwracasz uwagę na ciuchy? Nagle wiesz, co to są pastele? NJ cię zmienił.

Nie wyjaśniam, że cytuję Leilani.

Widziałem ludzi w krótkich czerwonych kombinezonach jadących ścieżką rowerową na staromodnych wrotkach. Jedna babka miała papiloty we włosach.

To sam zauważyłem, jak wszyscy zresztą. Wrotkarz przed nią wioził na ramieniu stary boombox ryczący muzyką równie wiekową jak wrotki.

Super. Pewnego dnia też to zobaczę. A mała diablica nadal poza domem?

Dziś wieczorem wraca.

Przeoglądam zdjęcia przysłane przez Rosę z obozu tanecznego i wysyłam Georgie dzisiejszą fotkę, na której siostra pozuje w kostiumie pasterki Bou obok Seimone w stroju baletowym.

Śliczności. Czy my robiliśmy sobie selfie w wieku dziesięciu lat?

Te dzisiejsze dzieci...

Żadnych martwych zwierząt?

Ha, ha. Nic o tym nie wiem. Jak twoje zaliczenie?

Georgie na projekt zaliczeniowy z tekstyliów szyje suknię balową. Odpisuje mi, załączając MMS-y manekina krawieckiego, a ja znów przeglądam swoją listę priorytetów.

1. Muszę kontrolować Rosę.
2. Chcę wziąć udział w sparingu.
3. Chcę mieć dziewczynę.
4. Chcę wrócić do domu.

1. Rosa nie zrobiła nic potwornego od czasu, gdy Seimone prawie umarła i odbyliśmy naradę rodzinną. Przestała za to ze mną rozmawiać. To znaczy nie przestała się odzywać. Udaje, że jest normalna. Nie zakrada się już do mojego pokoju. Nie mówi o tym, komu życzy śmierci. Nie powiedziała żadnej z tych rzeczy, od których jeżą mi się włosy na rękach.

Jeśli nie narozrabia przez następne dziesięć lat, czy uwierzę, że się zmieniła?

David ma bardziej optymistyczne nastawienie. Ale on publicznie wypowiada się o niej zupełnie inaczej niż prywatnie. Wybaczył mi, że zdradziłem wszystko McBrunightom. Nie jestem pewien, czy ja wybaczyłem jemu. Ciągłe powtarza, że stawką jest przetrwanie naszej rodziny. Jego zdaniem zdiagnozowanie Rosy zniszczy życie jej i nam. Widzi w niej mrok, ale nie przyzna się do tego przed nikim prócz mnie.

„Są na świecie miliony ludzi takich jak Rosa – argumentuje – którzy żyją spokojnie, nikogo nie zabijając. Rosa jest inteligentna i chce wieść normalne życie. Zobacz, jak dobrze się zachowuje”.

Terapeuta James nie zauważa żadnych zaburzeń i nie sądzi, że przyjaźń Rosy i Seimone jest niezdrowa.

Myli się. Ale przynajmniej moją siostrą opiekuje się specjalista. W końcu Rosa się potknie, a on to zobaczy. Dzięki Davidowi i Jamesowi czuję się za nią trochę mniej odpowiedzialny niż wcześniej.

Seimone znów rozmawia z siostrą, ale nie tak jak kiedyś. Maya nadal sypia w pokoju Leilani. Rosa i Seimone ciągle trzymają

sztamę i opracowały nawet własny język migowy. Splatają palce, klepią się po łokciach, machają rękami i zaśmiewają do rozpuku, kiedy ktoś je o to pyta.

Leilani i Maya mi wierzą. Przedtem miałem tylko Georgie. Nigdy nie zdobyłem się na to, by jej dokładnie opowiedzieć, jak bardzo czuję się terroryzowany, jak Rosa pochłania każdą minutę mojego życia. To, że mogę szczerze rozmawiać z Leilani o siostrze, wszystko odmieniło. Czuję się tak, jakbym od lat oddychał tylko jednym płucem i nagle zyskał dwa.

2. Zacząłem walczyć w sparingach, dzięki czemu moja technika poprawiła się tysiącrotnie. Rodzice tego nie pochwalają, ale mnie nie powstrzymują.

3. Mam dziewczynę. Sojourner jest dla mnie wszystkim. Nie widuję jej tak często, jak bym chciał, czyli w każdej minucie każdego dnia. Pracuje w dwóch miejscach, trenuje, uczy w szkółce niedzielnej. Gdybym również nie uprawiał boksu, widywałbym ją dwa razy w tygodniu.

4. Nie chcę wracać do domu w Sydney. Zaczynam się tutaj czuć jak u siebie.

Dzięki Sojourner, Leilani, Mayi, a nawet Elonowi i Jaime.

Ale Sojourner to największy powód mojego szczęścia. Znaczy dla mnie więcej niż wszystko.

Kiedy wchodzi do sali, z włosami ściągniętymi z tyłu głowy i torbą przerzuconą przez ramię, moje serce przyspiesza. Uśmiecham się, wstaję, biorę ją w ramiona. Jej torba zsuwa się na podłogę. Całujemy się.

– Znajdźcie sobie pokój – warczy Mięśniak, ale nie zwracamy na niego uwagi.

Sojourner całuje mnie jeszcze raz, a potem znika w szatni. Uśmiecham się, pisząc SMS-a do Georgie.

Idę na sparing. Twój projekt wygląda świetnie.

W drodze powrotnej do domu bierzemy pizzę na wynos. To już nasz rytuał. Sojourner płaci. Wie, że moi rodzice cierpią na coś, co nazywają „problemem z płynnością finansową”, a ja boję się

nadużywać karty kredytowej dziadka, mimo że stwierdził, iż nie ma nic przeciwko temu. Głównie dlatego, że lubi pisać do Davida: „A nie mówiłem” za każdym razem, gdy tylko ma sposobność.

Zazwyczaj odprowadzam Sojourner, a potem wracam do domu, ale nie dziś. Dziś jej mamy pojechały na konferencję kościelną do Charleston w Południowej Karolinie. Zostaniemy sami w jej maleńkim mieszkanku aż do rana, kiedy to będę musiał wrócić do domu i spotkać się z Rosą po raz pierwszy od dwóch tygodni. Żałuję, że mamy Sojourner nie wyjechały na co najmniej tydzień, żebym mógł to odsunąć jeszcze dalej. Miesiąc byłby znacznie lepszy. Kiedy jestem z nią, nie myślę o Rosie.

Nie myślę o niej w ogóle, kiedy wpadamy do pokoju Sojourner, zdzierając z siebie ubrania i splątani ze sobą lądując na łóżku.

* * *

Zaspaliśmy. Gdy się budzę, telefon informuje mnie o wielkiej liczbie nieodebranych połączeń i pilnych SMS-ów, a Sojourner w swoim stylu klnie jak szewc, co oznacza repertuar złożony z „O rety!” i „O nie!”. Spóźni się na zajęcia z samoobrony, które prowadzi w czasie wakacji.

Możesz zająć się przed południem dziewczynkami i zaprowadzić je na lekcję tenisa?

Suzette, opiekunka, jest chora, a Leilani pracuje przy Neoficie. McBrunightowie wracają z Tokio dopiero wieczorem, natomiast rodzice uczestniczą w spotkaniach przez cały dzień, więc pozostają tylko ja, bo personel McBrunightów ma ważniejsze zajęcia niż opieka nad dziećmi.

Maya wita mnie w drzwiach rezydencji.

– One też idą na trening – oznajmia ze smutkiem.

Ma na sobie białą tenisową koszulkę, szorty i japonki. Zakładam, że buty sportowe schowała do swojej ogromnej torby, która stoi przy drzwiach.

– Rosa nie gra w tenisa. – Z tego, co wiem, nigdy nawet nie miała

w ręku rakiety.

– Seimone też nie, ale teraz nagle chcą iść do mojej szkoły na lekcje dla początkujących.

Za tydzień Maya wyjeżdża na obóz tenisowy na Florydę. Nikt tego nie przyznaje wprost, ale terminy obu obozów zostały tak dobrane, by mogła spędzić jak najwięcej czasu z dala od Rosy i Seimone.

– Nigdy się nie interesowała tenisem – ciągnie. – Twierdzi, że to głupi sport. A on wcale nie jest głupi.

Kiwam potakująco głową, choć nie mam na ten temat wyrobionego zdania. Żadne sporty poza boksem za bardzo mnie nie interesują.

– To sprawka Rosy – dodaje Maya. – Wiesz, co powiedziała? „Bogaci ludzie grają w tenisa”. Seimone odrzekła: „Ja jestem bogata”, a Rosa na to: „A ja zamierzam być bogata”.

Mam szczerą nadzieję, że jej się to nie uda.

– Jest okropna.

Siadamy na sofie najbardziej oddalonej od drzwi.

– Gdzie one są? – pytam.

Maya wskazuje wzrokiem galerię na piętrze, przy której mieszczą się pokoje dziewcząt.

– Kiedy zaczynają się zajęcia? – Wyciągam się na sofie i patrzę przez obłądny świetlik na błękitne niebo i białe chmury. Nie mam ochoty czytać milionów SMS-ów. Myślę o ostatniej nocy, o Sojourner.

– Za godzinę – odpowiada Maya – ale chcę się najpierw rozgrzać. Jeśli pojedziemy linią L, będziemy tam za dwadzieścia minut. Mówiłam im, że powinniśmy wyjść, jak tylko się pojawisz. Wiedzą, że przyszedłeś.

Zejdźcie na dół – piszę do Rosy. – Jesteśmy gotowi do wyjścia.

– Żałuję, że idą z nami – ciągnie Maya. – Seimone nienawidzi tenisa. Szkoda, że ich obóz nie trwał przez całe lato.

Całkowicie się z nią zgadzam.

– Przez nie się spóźnimy – dodaje.

– Jeszcze nie. – Choć nie zdziwiłoby mnie to.

– One wszystko psują – żali się Maya.
– Nie zrobią niczego wrednego – uspokajam ją. – Wiedzą, że jeśli się przez nie spóźnimy albo zbroją coś innego, to powiem twoim rodzicom.

Maya kiwa głową, ale nie wygląda na uspokojoną.

Myślę o tobie – piszę do Sojourner. Chciałbym, żeby tu była.

Rozlega się dzwonek windy, po czym Seimone i Rosa wychodzą z niej ubrane w identyczne stroje: czerwone koszulki, niebieskie spódniczki, czerwono-niebieskie adidas, czerwono-niebieskie wstążki we włosach. Mają nawet takie same czerwono-niebieskie plecaczki. Jakby chciały powiedzieć: teraz my jesteśmy bliźniaczkami.

– Cześć, Che – mówią chórem. – Cześć, Maya.

Maya nie odpowiada.

Włosy Seimone są prawie tak długie jak Rosy. Zastanawiam się, kiedy zaczęła je zapuszczać. Dziewczynki wyglądają jak maleńkie członkinie psychopatycznej drużyny cheerleaderek.

– Możemy wybrać, jak pójdziemy? – pyta Seimone. – Tenis to przyjemność Mayi, więc my też powinniśmy mieć coś dla siebie.

W moich uszach brzmi to jak logika Rosy. Jakie to ma znaczenie, jak pójdziemy? Maya subtelnie przewraca oczami, idealnie naśladując w tym Leilani.

– Nie idziemy na piechotę, tylko do przystanku L przy Pierwszej Alei – oznajmiam. – Nie będziemy też szli na paluszkach ani tyłem do przodu.

– Ale śmieszne – kpi Seimone.

Rosa patrzy na mnie.

– Chodziło nam o to, że chcemy wybrać drogę.

Ciekawe, czy kiedykolwiek będzie umiała zrozumieć sarkazm.

Maya stoi już przy drzwiach z torbą na ramieniu.

– Mogę ci ją ponieść, Mayu – proponuję.

– Trenerka mówi...

– Że dźwiganie torby cię wzmocni – kończę za nią. – Wspominałaś. Ale jej rozumowanie jakoś do mnie nie przemawia.

Maya pokazuje mi język.

– Ona jest super, więc nieee!

– Chodźmy przez Dziewiątą – sugeruje Rosa.

– Dobrze.

Na zewnątrz świeci słońce i mimo że to dzień powszedni, mnóstwo ludzi spaceruje leniwie, jakby donikąd im się nie spieszyło. Na drzewach siedzą ptaki, chyba wróble. Sojourner twierdzi, że są tu też jastrzębie, ale nigdy żadnego nie widziałem.

Idziemy chodnikiem, a Rosa i Seimone ganiają naokoło mnie i Mayi. Ciągłe zamieniają się miejscami, trzepocząc dłońmi w języku migowym.

– Nie pchajcie się – prosi Maya.

– Nie pchamy się, tylko tańczymy – wyjaśnia Rosa. – Musimy ćwiczyć płynność ruchów.

– Ślizgamy się – mówi Seimone, ale do Rosy, nie do Mayi.

– Wcale nie. Popychacie mnie. Che, powiedz im, żeby przestały.

– Zachowajcie ślizgi na kort tenisowy – zwracam się do nich.

Znów zamieniają się miejscami. Widzę, jak Seimone podnosi w górę cztery palce, kciukiem dociskając podstawę małego palca. Chichoczą, przestępując ze stopy na stopę, gdy czekamy na zmianę swiateł.

Straszna lipa – piszę do Leilani. – Maya jest nieszczęśliwa, a Rosa i Seimone zachowują się nieznośnie.

Przechodzimy przez ulicę. Uznaję, że łatwiej mi będzie pilnować Mayi, niż kontrolować zachowanie pozostałych dwóch dziewczynek. Maya idzie szybko, trzymając się blisko mojego boku.

Nieznośnie? – odpowiada Leilani. – Postanowiłeś powrócić do słownictwa ze starych brytyjskich książeczek dla dzieci?

Maya mruczy pod nosem coś, co brzmi jak: „Nienawidzę ich”.

Niezdarnie klepię ją po ramieniu, aby podkreślić, że trzymam jej stronę.

– Zatrzymajmy się przy wybiegu dla psów – żąda Rosa. – Chcę popatrzeć na psy.

Jakimś cudem zdołała utrzymać przy życiu swojego wirtualnego

czworonoga. Rodzice i ja dostajemy mailem raporty o jego stanie. Rosa pewnie nadal myśli, że ma szansę dostać prawdziwego zwierzaka.

– Spóźnimy się – protestuje Maya. – Nie ma czasu na oglądanie psów.

– Prosto przez park, dziewczęta – rzucam polecenie.

– Dobrze, Che – odpowiadają równocześnie Seimone i Rosa śpiwnie, a potem chichoczą. Chciałbym zakazać im chichotania.

Wiem, że nie mam szans natknąć się na Sojourner, bo prowadzi teraz zajęcia, a jednak się rozglądam. W tym parku po raz pierwszy zobaczyłem ją poza salą treningową i tu po raz pierwszy naprawdę się całowaliśmy.

Chyba jest trochę za wcześnie, żebym się wzruszał początkami naszego związku. Nie mogę spytać o to Leilani ani Georgie, a już na pewno nie Jasona. Zwłaszcza że jego odpowiedź na wiadomość, że mam dziewczynę, brzmiała: „Wreszcie dałeś się przelecieć. Super. Już się bałem, że ci fiut uschnie”. Czasami się martwię, że pisze takie bzdury na poważnie.

Maya przekłada torbę z lewego ramienia na prawe.

– Pozwolisz mi ją przez chwilę ponieść? Nic nie powiem twojej trenerce.

– Dam radę – odpowiada. – Nie jest taka ciężka, na jaką wygląda. Wygląda na bardzo ciężką.

– Powiedz, gdybyś zmieniła zdanie – proszę.

Czerwono-niebieskie bliźniaczki znowu chichoczą.

– Mogłybyśmy zagrać w szachy – rzuca Seimone, a Rosa z entuzjazmem kiwa głową. Znów zamieniają się miejscami. Tym razem zauważam, jak Seimone wpada w Mayę.

– Dość tego. Przestańcie potrącać Mayę. Nie zatrzymujemy się po drodze w żadnym celu. Nie ma oglądania psów, grania w szachy i popychania Mayi.

Wychodzimy z drugiej strony parku i przechodzimy przez Aleję A.

– Dobrze, Che – skandują, skacząc powoli i wybitnie denerwująco.

Nućą pod nosem, co mnie irytuje jeszcze bardziej.

Byłoby bardzo źle, gdybym zamordował je obie?

Leilani odpowiada natychmiast:

Czy to nie pytanie w stylu Rosy?

Zawstydzilem się.

Potykam się, niemalże upuszczając telefon.

– Nie powinienes esemesować, idąc ulicą – zwraca mi uwagę Rosa.

– To wbrew prawu – dopowiada jej mniej zła bliźniaczka.

Nie wiem, o co się potknąłem, ale przypuszczam, że o którąś z brykających stóp. Wsuwam telefon do kieszeni. Muszę zachować czujność.

Maya przerzuca torbę na drugie ramię.

– Pozwól mi ją wziąć – ponawiam prośbę.

Potrząsa głową. Zaciśnięte na pasku palce ma zbielałe z wysiłku.

– To jeszcze tylko kilka przecznic – odpowiada.

Stoimy, czekając na zmianę świateł. Maya znów przekłada torbę. Nie proponuję pomocy. Poczekam, aż zrobi to jeszcze raz, a potem będę nalegał. Po jej drugiej stronie Seimone i Rosa podskakują na palcach.

Mija nas wielka ciężarówka z naczepą, głośno trąbiąc. Jest ślicznie udekorowana czerwonymi, zielonymi i żółtymi girlandami zachęcającymi do picia piwa, o którym nie słyszałem. Jeszcze nigdy od naszego przyjazdu słońce nie świeciło tak mocno. Zatłoczona, ruchliwa aleja wypełniona jest samymi żywymi kolorami i cudownymi kontrastami. Nie mogę sobie przypomnieć, dlaczego uważałem, że Nowy Jork jest brzydki. Każde miasto, w którym przebywa Sojourner, musi być piękne.

Rejestruję dziwny ruch u mojego boku. Torba Mayi się okręca, a pasek owija się wokół ramienia dziewczynki, wytrącając ją z równowagi. Próbuję ją złapać, lecz ona przewraca się na ulicę prosto pod pędzący rower. Głowa Mayi uderza w nawierzchnię z dźwiękiem, od którego skręca mi się żołądek.

– Maya! – wołam.

Seimone krzyczy histerycznie.

– Dlaczego ją popchnąłeś? – wrzeszczy Rosa, a po jej twarzy płyną łzy. Wskazuje kogoś palcem.

– Co jest, kurwa? – pyta jakiś człowiek. – Dlaczego zrobiłeś coś takiego? – Wyjmuje telefon.

Nie widzę, o kim mówi. Rosa i Seimone przytulają się mocno do siebie.

Maya się nie rusza, ale oddycha i ma otwarte oczy. Przykucam przy niej, niepewny, czy mogę ją wziąć za rękę. Obok jej głowy leży wypluta bryłka gumy do żucia. Rubinowy wisiołek w kształcie serca lśni. Jedna źrenica Mayi jest większa.

– Wszystko będzie dobrze – mówię w nadziei, że nie kłamię. Delikatnie dotykam wierzchu jej dłoni.

– Boli... – odpowiada dziewczynka. – Chcę do Lei-Lei.

Wyciągam telefon z kieszeni. 911, przypominam sobie, wybierając numer. To już po raz drugi.

Ludzie za mną krzyczą, a dziewczynki szlochają coraz bardziej rozpaczliwie.

Wtedy słyszę syreny. Głośne. Coraz głośniejsze.

Operator pod 911 mówi mi, że pomoc jest już w drodze. Piszę do Leilani, że Maya miała wypadek.

– Zawiadomiłem Leilani, Mayu. Niedługo przy tobie będzie – zapewniam ją.

Ktoś kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Proszę pana?

Odwracam się. Sanitariusze. Odsuwam się na chodnik. Przykucają przy Mayi. Czuję ulgę, że przyjechali specjaliści. Chcę zapytać, czy nic jej nie będzie, ale przecież nie mogą tego jeszcze wiedzieć.

– Che! – jęczy Maya.

– Jestem tutaj. – Nie mam pewności, czy mnie słyszy.

– Dlaczego ją popchnąłeś? – znów krzyczy Rosa.

Uświadamiam sobie, że wskazuje na mnie.

ROZDZIAŁ 36

Policjanci każą mi poczekać w małym pokoiku. Już im powiedziałem wszystko, kiedy staliśmy na chodniku, przyglądając się, jak pogotowie zabiera Mayę. Nie jestem pewien, co się stało. Nie przyszło mi do głowy, że ktoś mógł ją popchnąć. Wydawało mi się, że po prostu straciła równowagę. Myślałem, że może się potknęła albo ktoś potrącił jej ciężką torbę, przez co spadła z krawężnika.

Policjanci nie pytali mnie, czy popchnąłem Mayę, zanotowali tylko to, co mówiłem.

Pilnuje mnie jedna policjantka. Prawie się nie odzywa, wyjaśnia jedynie, że David już do nas jedzie.

Są tu cztery krzesła, stół, woda w papierowym kubku i nic więcej. Sięgam po telefon, ale nie mam go w kieszeni. Ostatni raz widziałem go, gdy klęczałem koło Mayi i pisałem do Leilani. Czy wtedy go zgubiłem? Czy też w radiowozie policyjnym w drodze na komisariat?

Co chwila po niego sięgam, a potem przypominam sobie w pół ruchu, że go nie mam.

Chciałbym wstać i pochodzić, ale pokój jest za mały.

– Nie rób tak, chłopcze – prosi policjantka.

Już mam zapytać: „Jak?”, kiedy zauważam, że moje nogi wykonują przekładankę Alego w pozycji siedzącej.

– Nie bardzo umiem siedzieć bez ruchu – wyjaśniam.

– Naucz się, dziecko.

Skupiam się na tym, by nie poruszać nogami, za to ogarnia mnie przemożna ochota, żeby bębnić palcami o stół. Zaczynam więc rozciągać ręce i ramiona.

Nie wiem nawet, jak długo to trwa, aż w końcu pojawia się David i mocno mnie przytula. Czuję, jak pod powiekami palą mnie łyzy, ale

nie płaczę. Policjantka wstaje i wychodzi.

Opadam na krzesło, a David na drugie obok mnie.

– Jak się czuje Maya? – pytam.

– Zajmują się nią w szpitalu. Jest przytomna. Nie będzie źle.

Wyglądało naprawdę źle.

– A gdzie Sally?

– W szpitalu. Rosa też. Gene i Lisimaya nadal lecą samolotem. Danny załatwił ci prawniczkę, która będzie tu niedługo. Już powiedziała, że nie mieli prawa cię tu przetrzymywać. Załatwi wszystko.

Nie wiem, kim jest Danny. Po chwili wchodzi dwoje policjantów i przedstawiają się. Nie jestem pewien, czy mówią do mnie, bo cały czas patrzą na Davida. Oboje mocno ściskają mi dłoń. Nie dosłyszałem ich nazwisk.

Mam uczucie, jakby to wszystko nie dotyczyło mnie.

Policjant jest wysoki, a policjantka niska. Przez moment wydaje mi się, że to ci sami, którzy przyszli tego wieczoru, kiedy zaginęła Rosa. Ale tym razem to mężczyzna jest wysoki. Nie mogę się skupić na tym, co mówią. Może to jednak nie ma ze mną nic wspólnego?

Ruszam stopami najciszej, jak potrafię. Nie musiałem tak długo siedzieć, od kiedy przyjechaliśmy do Nowego Jorku.

– Mój syn nie będzie odpowiadał na pytania, dopóki nie przyjedzie prawnik – oznajmia David.

– Nie będę? – dziwię się.

– Nie. – Ojciec jest stanowczy.

Upijam łyk wody, która smakuje oleście.

Policjanci rozmawiają jeszcze przez chwilę z Davidem, a potem wychodzą.

Zauważam, że podłoga jest pokryta wykładziną imitującą płytki, nie pamiętam, jak taki materiał się nazywa. W rogu pokoju odkleiła się i wywinęła niczym stara tapeta. Przypuszczam, że prawdziwe płytki są za drogą.

Wchodzi moja prawniczka z kolejnym policjantem. Srebrne włosy ma upięte w kok, ale to inny rodzaj srebra niż u

sprzedawczyni w Szpuli. To jej naturalny kolor. Przedstawia mi się, podajemy sobie dłonie. Policjant wyjaśnia, że mogę wracać do domu, lecz nie wolno mi opuszczać miasta, ponieważ będą chcieli ze mną jeszcze rozmawiać.

Pytam o mój telefon. Policjant obiecuje, że przeszukają samochód, którym przyjechałem.

Nogi mnie świerzbią, żeby rzucić się biegiem.

* * *

Nie jedziemy do szpitala. Zdaniem Davida to mogłoby sprowokować scenę, ponieważ Rosa i Seimone utrzymują, że to ja popchnąłem Mayę.

– Nie popchnąłem jej – zaprzeczam.

– Wiem. – David wyciąga rękę, by ścisnąć moją dłoń.

W domu siadam przy kuchennej wyspie, a prawniczka zajmuje miejsce naprzeciwko mnie. David podawał mi jej nazwisko już kilka razy, lecz nie mogę go zapamiętać.

Nie przeszkadza jej, że wstaję i chodzę po pokoju.

David przygotowuje kawę. Upijam łyk, ale smakuje jak mydło. Odstawiam ją i wyglądam przez okno, lecz przed oczami mam tylko Mayę leżącą na ulicy.

Prawniczka coś mówi. Nie bardzo wiem co.

Wracam do kuchni i siadam. Po blacie chodzi mrówka. Mrówki w Nowym Jorku? Uwierzyłbym w to, gdybyśmy byli w Sydney. Tam czarne mrówki są wszędzie. Przyglądam się bliżej i okazuje się, że to małe ziarenko. Kawy? Kakao? Kurzu? Nie umiem stwierdzić.

– Che? – dociera do mnie głos Davida.

– Tak?

– Musisz odpowiadać na pytania Ilene.

Kiwam głową i znów wstaję. Nogi mi drżą, kiedy siedzę.

Moja prawniczka – Ilene – popija kawę, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie, że siedzi tu, wypytyując mnie o jedenastolatkę potrąconą przez rower. Może dla niej to jest zwykła

sytuacja.

Ilene wyjaśnia, że być może nie zostaną mi postawione żadne zarzuty. Dopiero zaczęli przeglądać monitoring, ale jak do tej pory niczego nie znaleźli. Na tym rogu nie ma kamer, a te nad światłami były skierowane na ulicę, a nie na pieszych. Nie sprawdzili jeszcze okolicznych sklepów.

Wiem, że w Nowym Jorku nie wszędzie są zainstalowane kamery. Wtem przypominam sobie, że powiedziała mi o tym siostra. I to ona zdecydowała, którądy pójdziemy do metra.

Rosa to zaplanowała. Czy chciała zrobić Mayi aż taką krzywdę? A następnie oskarżyć o to mnie?

Prawniczka mówi, że policja przesłuchała pięciu świadków. Seimone, Rosa i jeden mężczyzna twierdzą, że to ja popchnąłem Mayę. Dwie kobiety uważają, że zrobiła to jedna z dziewczynek, przy czym obie zaklinają się, że to nie byłem ja. Jedna utrzymuje, że to Seimone, a druga nie jest pewna, która z nich.

Maya nie ma pojęcia, co się stało. Nie wie, kto ją pchnął, wie tylko, że ktoś to zrobił. Może rozmawiać, ale ma wstrząśnienie mózgu, trzy złamane żebra, dwa pęknięte kręgi, lewą nogę złamaną w dwóch miejscach. Konieczna będzie operacja. Kręgosłup jest nienaruszony, więc będzie mogła chodzić.

Rowerzysta też nie wie, jak do tego doszło. Wyszedł z tego ze złamaną nogą, licznymi zadrapaniami po upadku na asfalt i zniszczonym rowerem. Na szczęście był to jego własny lekki rower szosowy, a nie jeden z tych ciężkich niebieskich rowerów miejskich. Źle zrobił, że nie jechał ścieżką rowerową.

– Być może policja nie wniesie zarzutów – powtarza Ilene. – Nikt nie zginął, a wy jesteście niepełnoletni. Możesz mi opowiedzieć, co się wydarzyło? – Przetawiała stół tak, by siedzieć twarzą w moją stronę. – Tak szczegółowo, jak potrafisz.

– Nie bardzo. Nic nie widziałem. Mieliśmy przejść na drugą stronę ulicy, kiedy Maya nagle wypadła na jezdnię. Myślałem, że się potknęła. – Naprawdę tak myślałem? Nie jestem pewien, czy się nad tym w ogóle zastanawiałem. Zaprzętało mnie tylko to, jak jej pomóc.

– Nie popchnąłem jej. Nie wiedziałem nawet, że została popchnięta.
– Co mówisz? – pyta David.
Znajduję się po drugiej stronie pokoju.
– Przepraszam – mówię, podchodząc bliżej. – Powiedziałem, że jej nie popchnąłem.
– Możesz usiąść, Che? – prosi ojciec.
Znów siadam przy wyspie. Nogi mi drżą i nie potrafię nad nimi zapanować.
– Kto twoim zdaniem popchnął Mayę? – pyta Ilene.
– Rosa – odpowiadam bez wahania.
David wykrzywia wargi we wściekłym grymasie, ale złość znika z jego twarzy, zanim Ilene zdąży ją zauważyć.
– Ona twierdzi, że to ty popchnąłeś Mayę – mówi prawniczka.
– Wrabia mnie. Zawsze tak robi.
Zastanawiam się, dlaczego siostra mnie oskarża. Co jej to daje?
– Masz dowody, że mogłaby zrobić coś takiego? – pyta Ilene.
Opowiadam jej o nagranych rozmowach i notatkach na temat Rosy.
Wygląda na nieco zaniepokojoną.
– Możesz mi je przekazać?
Idę na górę do swojego laptopa. Otwieram zabezpieczone foldery i kopiuję je na pendrive'a, którego mi dała. Daję jej wszystko. David nie komentuje tego ani słowem.
Po wyjściu prawniczki obejmuje mnie.
– Będzie dobrze – zapewnia. – Ilene powinna wiedzieć o Rosie. Postąpiłeś słusznie.
– Naprawdę? – Nie wyglądało na to, by tak myślał.
– Muszę zadzwonić w setkę miejsc. Poradzisz sobie? – Znika w gabinecie, nie czekając na moją odpowiedź.
Sprawdzam swój tablet. Przyszedł milion SMS-ów. Dzwonię do Leilani, która nadal siedzi w szpitalu.
– Przykro mi – mówię.
– To nie twoja wina.
Nie jestem tego pewien. Powinienem cały czas stać między Mayą i

dziewczynkami. Nie pozwolić im tak harcować. Powinienem był się domyślić, że coś planowały. Czy naprawdę planowały? Czy po prostu Rosa wykorzystwała okazję?

– Jak ona się czuje? – pytam.

– Całkiem dobrze. Normalnie z nami rozmawia. Niewiele pamięta. Ma wstrząśnienie mózgu, jest poobijana i połamana. Lewa noga wygląda kiepsko.

– Boli ją?

Nie jestem pewien, czy Leilani mnie słyszy. Brzmi jak zautomatyzowana wersja siebie. Jakby weszła do doliny niesamowitości i opowiadała mi o kimś obcym. Czuję się, jakbym znalazł się tam z nią.

– Wie, kim jest, kto jest prezydentem, bla, bla, bla. Przysięga, że ty nie mogłeś tego zrobić. Uważa, że to ktoś z drugiej strony... że to Rosa. Ale jest trochę zamroczona.

– Mogę się z nią zobaczyć?

– Wpuszczają tylko najbliższą rodzinę. Ale pytała o ciebie. I o swoją torbę tenisową. – Leilani wydaje dźwięk, który, jak się domyślam, ma być śmiechem. – Jej rakiety rozpadły się w drobny mak. Nie wie, że dziewczyny twierdzą, że to ty ją popchnąłeś. Ale nie zgodziła się na odwiedziny Seimone. – Głos Leilani drży i znów brzmi po ludzku. – Boję się, Che. Boję się, że to Seimone ją popchnęła.

* * *

Dzwonię do Sojourner, ale nie odbiera. Dzisiaj mieliśmy się nie spotykać, bo uczy się do egzaminu z pierwszej pomocy.

Muszę się z nią zobaczyć, mimo iż Ilene powiedziała, że powinienem siedzieć w domu, dopóki sytuacja się nie wyklaruje.

Możemy się spotkać? – piszę. – To ważne.

Żadnej odpowiedzi. Zaczynam przeglądać otrzymane SMS-y, ale uświadamiam sobie, że nie mam weny na to, by na nie odpisywać. Nikt nie wie, co się dzieje. Jak mógłbym teraz żartować z

Nazeemem, Georgie czy Jasonem?

Kiedy Rosa i Sally wracają, siedzę przy kuchennej wyspie, jedząc płatki, bo nie ma niczego innego. David jest w gabinecie.

Rosa nadal ma na sobie czerwono-niebieski strój. Nie wiem, dlaczego myślałem, że się przebierze. Przecież jest w domu po raz pierwszy od wypadku.

Nie, nie wypadku.

Sally trzyma ją za rękę. Twarz mamy jest zaczerwieniona i opuchnięta, jakby płakała. Rosa też z pewnością płakała, ale nic po niej nie widać. Obrzuca mnie spojrzeniem, potem odwraca wzrok, maszeruje na górę po schodach i zatrząskuje za sobą drzwi do pokoju.

– To był długi dzień – odzywa się Sally. – McBrunightowie są w szpitalu.

Przytula mnie, ale przelotnie. Nie ma w tym żadnego uczucia, nie ma w tym w ogóle Sally.

– Położę się. Jestem wykończona – dodaje. – Poproszę Davida, żeby do niej zajrzał.

Kiwam głową, ale ona już sobie poszła.

Znów sprawdzam tablet. Dostałem wiadomość od Sojourner.

Dobra, potrzebuję przerwy.

Już mam ją poprosić, żeby tu wpadła, kiedy dociera do mnie, że ja też muszę się na chwilę wyrwać z domu. Choćby na pięć minut.

Ignoruję zalecenie Ilene.

Może w parku? Koło wybiegu dla psów.

5 min.

OK. Nie mam telefonu.

Do zobaczenia.

Zostawiam na blacie liścik z informacją, że wrócę za pół godziny, chwytam kurtkę i cicho zamykam za sobą drzwi. Wątpię, by zauważyli, że wyszedłem.

* * *

Zbliża się już dziesiąta i w parku jest dużo spokojniej niż za dnia.

Kilka psów bawi się na wybiegu, co jakiś czas skacząc na swoich właścicieli, którzy wyglądają na dość zmęczonych. Mijam wejście, żałując, że nie określiłem dokładniej miejsca spotkania. Obchodzę cały wybieg i wracam do furtki. Czy powinienem się trzymać bliżej strony, z której Sojourner może nadejść?

– Che!

Jest w spodniach od dresu, bluzie z kapturem i koszulce. Podbiegam i obejmuję ją mocno, a ona odwzajemnia uścisk. Chciałbym nigdy jej nie puścić.

– Co się dzieje? – pyta.

Nie wiem, od czego zacząć.

Całuję ją. Smakuje tak niewiarygodnie, że na krótką chwilę niemalże zapominam, co się stało. Pierwsza przerywa pocałunek.

– Co jest, Che?

– Zdarzył się wypadek – odpowiadam. – Maya jest w szpitalu.

Sojourner odsuwa się ode mnie.

– Wyjdzie z tego?

– Jest przytomna. Ma mnóstwo złamań i wstrząśnienie mózgu, ale lekarze sądzą, że wyzdrowieje. Nie pamięta, co się stało.

Znów ją całuję.

– Byłem tam. Rosa i Seimone też.

– To okropne.

Kiwam głową. Jak mam jej powiedzieć najgorsze?

– Musiałem się z tobą zobaczyć – wyznaję.

Ujmuje mnie za rękę i prowadzi na ławkę. Wie, że chodzi o coś więcej. Muszę mieć to wypisane na twarzy.

– Myślałem, że to był wypadek – podejmuję. – Że się o coś potknęła. Miała za ciężką torbę. Mogłem ją od niej wziąć.

– To nie był wypadek? – Sojourner wygląda na zbitą z tropu.

– Oni uważają, że nie.

– Oni?

– Policja. Nie wiem, co się stało. Staliśmy na przejściu i czekaliśmy na zielone światło, a potem nagle Maya leżała na ulicy.

Potrącił ją rower. Rower! Bydlak powinien jechać ścieżką rowerową. Choć pewnie dobrze, że to nie był samochód, boby zginęła. Nie widziałem, co się stało. Nie mogłem temu zapobiec.

Sojourner otacza mnie ramionami.

– To nie twoja wina, Che – pociesza mnie.

– Wiem, ale świadkowie mówią różne rzeczy. Że to Rosa ją popchnęła, albo Seimone.

– Nie. – Wstrząs sprawia, że aż się wzdryga. – To niemożliwe.

– Dziewczyny utrzymują, że to ja popchnąłem Mayę. Jeden świadek to potwierdza. Ale ja tego nie zrobiłem.

– Oczywiście, że nie. – W głosie Sojourner brzmi niezłomne przekonanie. – Tylko dlaczego twoja siostra miałaby coś takiego mówić? Albo Seimone?

– Pamiętasz, jak ci wspomniałem, że Rosa lubi sprawiać kłopoty? Właśnie o tego rodzaju kłopoty chodziło. Ona nie jest normalna.

Sojourner wpatruje się we mnie bez słowa.

– Zawsze taka była. Zawsze. Próbuję ją powstrzymać, ale za każdym razem wygrywa.

Płaczę, a ona mnie tuli. Dotyk jej skóry na mojej wystarcza, bym poczuł się trochę lepiej. Nie wiem, jak długo tak trwamy.

* * *

– Maya nie żyje.

Słyszę słowa, lecz do mnie nie docierają. Trzymam w ręku klucze, a David szeroko otwiera drzwi i wciąga mnie do mieszkania.

– Co?

– Maya nie żyje. – Ma twarz zupełnie pozbawioną wyrazu. Chyba musi być w szoku.

Słyszę, że Rosa płacze na górze, a Sally zapewne ją pociesza. Zastanawiam się, kiedy nauczyła się tak szczerze łkać.

– Nie żyje?

– Wylew krwi do mózgu.

Przebiegam myślami wszystko, co wiem o krwotoku mózgowym.

Zastanawiam się, gdzie doszło do krwawienia. Wywróciła się na plecy, mocno uderzając potylicą. Czy to był pień mózgu? To fatalnie.

Oczywiście, że fatalnie. Maya nie żyje. Jakie ma znaczenie, w którym miejscu wystąpił krwotok?

Mogłem ją uratować. Mogłem wziąć od niej torbę. Mogłem starać się zawsze znajdować między nią a Rosą i Seimone. Mogłem odmówić zaopiekowania się nimi i zostawić je z kimś z personelu McBrunightów.

Mogłem udusić Rosę, zanim dorosła na tyle, by kogoś skrzywdzić.

Wiem, że to ona popchnęła Mayę.

Rosa jest morderczynią, zawsze tego chciała.

Nienawidzę mojej siostry.

ROZDZIAŁ 37

Rano policja ma mnie przesłuchać w komisariacie w obecności prawniczki i jednego z rodziców. Rosa i Seimone też będą przesłuchiwane, ale w domu. Każda ma własnego prawnika.

Sally towarzyszy Rosie, David mnie.

Wprowadzają nas do pokoju, który wygląda dokładnie tak jak ten, w którym przetrzymywano mnie po wypadku. Czy też nie wypadku. Wykładzina udająca płytki nie odkleja się w narożniku, więc wiem, że to nie jest to samo pomieszczenie, poza tym unosi się w nim dziwny zapach wilgoci, którego w tamtym nie czułem.

Ilene nie wchodzi z nami.

– Nie rozmawiaj z nikim, dopóki nie wrócę. Muszę się zająć dokumentami – wyjaśnia tajemniczo.

Nie spałem prawie całą noc, zastanawiając się nad tym, że świadkowie zgadzają się, iż Mayę ktoś popchnął, choć nie potrafią wskazać jednoznacznie kto.

Wysłałem do Leilani wiadomość z tabletu, że o niej myślę. Naprawdę o niej myślę i martwię się o nią, choć to brzmi nieszczerze.

Dziewczynki mnie wrobiły. Już po drodze na przystanek, kiedy biegały wokół nas, świadomie się do tego przygotowywały.

Analizuję sytuację.

Nie byłem pewien wtedy, więc teraz też nie mogę być, prawda? Tyle że jestem. Wrobiły mnie. Wiem to.

Maya nie żyje.

Nie mogę tego przyswoić. Nie widziałem jeszcze Leilani, dopiero kiedy ją zobaczę, dotrze to do mnie w pełni. Znów żałuję, że nie mam telefonu.

– Nie popchnąłem jej – zapewniam Davida. Mówię to już trzeci

czy czwarty raz? Dlaczego jestem taki skołowany?

– Tak – odpowiada David. – Wiem, że tego nie zrobiłeś. Tak – dodaje, zanim ja zdążę to powiedzieć – wiem, że Rosa mogłaby to zrobić. Ale nie wiem, czy zrobiła.

Nie mogę podważyć jego słów. To jak jedna z tych wkurzających zagadek logicznych, które moja siostra uwielbia. „Jeśli A podróżuje pociągiem...”

– Myślisz, że to Seimone? – pytam.

– Nie wiem. Nikt z nas nie wie.

Choć raz David wygląda na prawie zmęczonego. Ma troszkę przekrwione oczy, a pod nimi lekkie cienie.

Wchodzi Ilene. Poklepuje mnie po ramieniu, okazując mi w ten sposób znacznie więcej współczucia niż ojciec. Jeszcze raz prosi, bym opowiedział swoją wersję zdarzeń, zapisując coś w małym czarnym notesie i przepaszając za zadawanie znów tych samych pytań.

Pieką mnie oczy. Nogi mi cały czas drgają, ale nawet nie pytam, czy wolno mi wstać i chodzić po tym małym pomieszczeniu.

David patrzy w ekran telefonu i wysyła SMS-y, ale wiem, że słucha.

– A nagrania rozmów?

Czekam, by Ilene sprecyzowała pytanie.

– Twoja siostra nie jest taka jak większość dziesięciolatków, prawda?

Trudno się nie zaśmiać.

– Nie, nie jest. Ilu nagrań pani wysłuchała?

– Tylko kilku.

To jasne, że nie dotarła do tych naprawdę potwornych. Nie miała zbyt wiele czasu.

– Wypuszczą mnie stąd?

– Pracuję nad tym – zapewnia prawniczka.

David wychodzi z pokoju.

Ilene znów klepie mnie po ramieniu.

– Wszystko będzie dobrze – uspokaja.

Pamiętam, że to samo powiedziałem do Mayi.

David wraca z wodą i paczką chipsów. Nie czuję głodu. A przecież zawsze jestem głodny.

W którymś momencie zasypiam z głową na stole.

Kiedy się budzę, Sally siedzi na miejscu Davida, a Ilene nie ma.

Ocieram ślinę z ust i próbuję się skoncentrować. Sally wygląda starzej. Ma tyle zmarszczek na twarzy, tyle siwych pasm w blond włosach... Nigdy wcześniej tego nie zauważyłem.

Pochyla głowę.

– Co się dzieje? – pytam. – Co powiedziała Rosa?

– Nadal twierdzi, że ty to zrobiłeś – odpowiada. – Seimone też.

– Nie wierzysz im, prawda?

– Oczywiście, że nie.

O wiele łatwiej by było przyjąć, że mówi szczerze, gdyby patrzyła przy tym na mnie.

Tymczasem wbija wzrok w swoje dłonie i obraca obrączkę wokół palca.

– Nigdy bym nie zrobił krzywdy Mayi. Lubię ją! Leilani jest tu moją najlepszą przyjaciółką. Dlaczego miałbym zabijać jej siostrę?

– Nie myślę, że ją zabiłeś, Che. – Sally cały czas kręci obrączką.

Czuję, że mi nie wierzy.

– To dlaczego nie patrzysz mi w oczy? – pytam.

– Jestem zmęczona, Che. I zdruzgotana.

– Rosa to zrobiła. Wiesz, jaka ona jest. Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, żeby to mnie zabrać do specjalisty? Nie, tylko Rosę. Tym razem to też ona.

Sally podnosi wzrok. Oczy ma czerwone, a skóra pod nimi wydaje się obwisła. Wyciąga rękę i dotyka mojego policzka.

– Tak, Rosa jest kłamczuchą, a ty mówisz prawdę – odpowiada. – Wiemy o tym. Tak wygląda nasza rodzina. Ja ją spajam, a David jest tym narwanym.

– Mamo? – Nie rozumiem, o czym ona mówi.

– Nigdy wcześniej nie powiedziałeś do mnie „mamo”.

Przychodzi Ilene zawiadomić nas, że ja, Rosa i Seimone

zostaniemy zbadani przez psychiatrę.

– Czy to zwykle postępowanie? – pytam.

Ilene kręci głową.

– Chcą też zrobić ci skan mózgu, co zdecydowanie odbiega od norm. Zażądał tego prawnik McBrunightów i oni pokrywają koszty.

– Chcą skanu mojego mózgu? A co z Rosą?

– Rosy też – potwierdza prawniczka. – I Seimone.

– Dlaczego? – pytam. Może dotarło do nich to, co mówiliśmy o Rosie. Chcą sprawdzić, czy jest taka, jak twierdzimy z Leilani.

– Nie wyjaśnili dlaczego. Możesz nie wyrazić zgody.

Sally pyta Ilene o coś, ale nie słyszę, bo staram się zapanować nad śmiechem. W końcu Rosa będzie miała skan mózgu.

– To wspaniale – mówię. – Jaki skan? Rezonans magnetyczny?

Ilene zerka do notesu i przerzuca kilka stron.

– Tak, to będzie rezonans magnetyczny. Nie musisz tego robić, jeśli nie chcesz – powtarza. – To bardzo nietypowe żądanie, które wszystko skomplikuje.

– Zrobię to. – Chcę zobaczyć, jak różni się budowa naszych mózgów. Muszę wiedzieć dokładnie, co czyni Rosę tym, kim jest. – Wszyscy się przekonają, że Rosa nie jest normalna.

– Nie będę podsycala twojej nadziei – odpowiada Ilene. – Tego rodzaju badania często są niemiarodajne i budzą kontrowersje.

– Rosa też się zgodziła, wiesz – wtrąca Sally, unosząc wzrok i patrząc mi w oczy. – Nie boi się badania. Masz obsesję, Che. A ona tak cię uwielbia.

– Nawet gdy twierdzi, że to ja popchnąłem Mayę? – pytam sarkastycznie.

– Próbuje zrozumieć dlaczego.

– Chyba mówiłaś, że mi wierzysz?

– Tak – potwierdza mama. – Jesteś przekonujący. Zawsze potrafiłeś skłonić ludzi, by cię lubili.

– Co? O czym ty mówisz?

Sally zakrywa oczy dłońmi. Mam prawie pewność, że płacze.

– Jesteś zbyt podobny do Davida – mamrocze.

– Do Davida? – powtarzam.
Sally wstaje.
– Kocham cię, Che. – Wyciera oczy, zmierzając do drzwi.
Odjęło mi mowę.
Sally wychodzi, a ja gapię się za nią.
– Przykro mi – mówi Ilene. Zastanawiam się, ile rozumie z tego, co się właśnie stało. Nawet nie wiem, ile ja rozumiem.

* * *

Pozwalają mi wrócić do domu. Prawniczka przekazuje, że policja nie wniesie żadnych zarzutów, ale prosi, byśmy zostali w mieście. Słyszeliśmy to już kilka razy. Dadzą nam znać, gdy tylko zostanie ustalona data rezonansu i badań psychiatrycznych. Ciekawe, jak długo to potrwa i co się stanie z Rosą, kiedy wszyscy zrozumieją, jaka jest.

Sally idzie do domu ze mną, czy raczej obok mnie. Słońce nadal świeci. Nie wiem, która jest godzina, i nie chcę pytać, ale musi być już późno. Cienie są długie, a restauracje pełne.

– Przykro mi – mówi nagle Sally.

Nie patrzy na mnie, tylko wbija wzrok w chodnik upstrzony wyplutymi gumami do żucia.

Nie odpowiadam. Kiedy dotrę do domu, wyślę z tabletu wiadomość do Sojourner. Nigdy nie pragnąłem zobaczyć nikogo tak bardzo jak ją teraz.

– Zauważyłeś, jak to miasto śmierdzi? – pyta Sally. – O wiele gorzej niż Bangkok.

– Wątpię. Nie mają tu durianów.

Sally mówi dalej, jakbym się w ogóle nie odezwał.

– Upał rozgrzewa asfalt i wyzwala zapachy wszystkiego, co na nim kiedykolwiek wylądowało, głównie uryny, wymiocin i wszelkiego świństwa.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Czuję tylko zapach kadzidła z lumpeksu, który mijamy. Sally nadaje szybkie tempo, ale wolałbym

jeszcze szybsze. Chętnie zerwałbym się do biegu.

– Nienawidzę tego miasta – wyznaje.

Nie jestem pewien, czy kieruje to wszystko do mnie.

– Nigdy nie chciałam tu przyjechać. To był pomysł Davida.

Wszystko zawsze jest jego pomysłem.

Gdybym wiedział o tym wcześniej, jeszcze bardziej protestowałbym przeciwko przeprowadzce. Ale teraz? Jest tu Sojourner, więc nic innego się nie liczy. Teraz boję się, że będę musiał stąd wyjechać.

* * *

Mój telefon leży na wyspie kuchennej, jakby się tam znajdował cały czas. Policja go zwróciła? A może Rosa? Jakie to ma znaczenie?

Czytam SMS-y od Sojourner. Jest jeden z wczorajszego wieczoru, który nie wyświetlił się na tablecie.

Bądź silny.

I z tego ranka.

Rosa mówi, że cię aresztowano. Przykro mi z twojego powodu. I z powodu Mayi.

Kiedy Rosa rozmawiała z Sojourner? Co jeszcze jej powiedziała?

Nie ma żadnych wiadomości od Leilani.

Przykro mi. – Gdy piszę do niej, pieką mnie oczy i zaciska mi się gardło. Ale nie jestem gotów płakać, jeszcze nie.

Tęsknię – dodaje.

Wsuwam telefon do kieszeni. Brakowało mi jego ciężaru.

– Jesteś głodny? – pyta Sally.

Kiedyś było to zbędne pytanie, ale teraz już nie. Nie czułem głodu, od kiedy Mayi stała się krzywda. A teraz ona nie żyje.

– Jasne.

Sally otwiera drzwi spiżarni, zagląda do niej, po czym wyciąga paczkę makaronu świderków i słoik gotowego sosu arrabiata. David byłby przerażony.

Nastawiam wodę w garnku i dosypuję soli.

– Dzięki, Che.

Jeszcze nie słyszałem, by głos Sally brzmiał tak martwo. Może tak się objawia żałoba. Nigdy nie umarł mi nikt bliski. A i teraz nie jestem nawet pewien, czy do końca wierzę w śmierć Mayi.

Chciałbym przytulić Sally, ale ona nadal na mnie nie patrzy.

Siadam na stołku i przyglądam się, jak miesza sos do makaronu. Żołądek mam pełen ołowiu.

* * *

Rosa i David przychodzą na obiad. Cała nasza czwórka siedzi na stołkach wokół wyspy kuchennej, prawie jakbyśmy byli rodziną.

David nawet nie okazuje szoku na widok sosu ze słoika ani braku parmezanu.

Rosa nie odzywa się i nie patrzy na mnie. Przesuwa widelcem makaron po talerzu, każdy świderok dokładnie pokrywając sosem. Rodzice nie zauważają, że nie je, a ja nie wierzę, że jej brak apetytu wynika ze smutku.

Wkładam odrobinę makaronu do ust i przeżuвам. Jest zupełnie pozbawiony smaku i przy przełykaniu niemal się nim dławię. Odkładam widelec.

Nie pytam Rosy, co powiedziała Sojourner, bo i tak by skłamała.

Rodzice rozmawiają ze sobą, jakby nas nie było, co im się często zdarza, ale tym razem robią to w jakimś roztargnieniu. Wydaje się, że wszystkie ich czułe gesty i słowa są zupełnie mechaniczne i pozbawione wyrazu.

Zerkam na telefon.

Też tęsknię. Nie mogę się spotkać dziś ani jutro – pisze Sojourner.
– Ale już niedługo. Mama źle się czuje. U ciebie w porządku?

Chyba tak. Przykro mi z powodu twojej mamy.

Żadnej odpowiedzi od Leilani. Spodziewałem się tego. Nawet sobie nie wyobrażam, co musi teraz przeżywać.

– Czy mogę pójść na trening? – pytam nagle.

– Nie wiem – odpowiada Sally, co brzmi jak „Nie obchodzi mnie

to”. – Nie wyłączaj telefonu.

Biegnę całą drogę, boleśnie uderzając stopami o chodnik. Tak jakby moje ciało zapomniało o wszystkim, co wiedziało o bieganiu, i postanowiło całym ciężarem atakować ziemię.

Kiedy docieram na salę, moje stopy pulsują, a w lewej łydce łapie mnie skurcz.

Nie powstrzymuje mnie to jednak i wkładam w ćwiczenia całą duszę. Cieszę się, że nie ma tu nikogo z moich znajomych. Nie umiałbym z nimi rozmawiać.

Ani na sekundę nie przestaję myśleć o Mayi. Nie żyje. Mój mózg obraca się wokół tej jednej myśli. Maya nie żyje.

* * *

Po powrocie zastaję Rosę w moim pokoju. No jasne... Choć tym razem siedzi przy biurku, nie na łóżku.

– Sally śpi – odzywa się. – David nadal jest w gabinecie.

– Myślałem, że ze mną nie rozmawiasz?

– Oczywiście, że rozmawiam. Jesteś moim bratem.

Kładę się na łóżku i zamykam oczy.

– Wyjdź, proszę.

– Co robisz, Che?

– Ignoruję cię, Roso. A ty co robisz?

Nie pozwolę, by się przebiła do moich uczuć.

– Modłę się za ciebie – odpowiada. – Sojourner uważa, że to pomoże.

– Dlaczego się z nią kontaktujesz? – Siadam na łóżku.

– Pomyślałam, że będzie się martwiła, więc zadzwoniłam do niej i opowiedziałam, co się stało.

– Nie, zadzwoniłaś i naopowiadałaś kłamstw. Wcale nie zostałam aresztowana.

Rosa wzrusza ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Ale zostaniesz”.

– Ona modli się za ciebie – mówi. – Prosiła, żebym ci przekazała,

że będzie się modliła codziennie. Powiedziałam, że ty nie wierzysz w Boga. Ona o tym wie, ale i tak się modli. Za to ja wyznałam jej, że wierzę w Boga, że poczułam Jego obecność, kiedy byłam w kościele. Jego przez wielkie „J”. Tak to się pisze, aby było wiadomo, że chodzi o Boga, a nie o zwykłego człowieka. Choć nie rozumiem, jak Bóg miałby być człowiekiem. Sojourner zgodziła się, żebym znów poszła do kościoła w tę niedzielę, ale tylko jeśli Sally i David mi pozwolą.

Nic nie mówię. Po co Rosa ma wiedzieć, że ogarniają mnie mdłości? I tak muszę ciężko walczyć, by uczucia nie odbijały się na mojej twarzy. Czy teraz Sojourner uważa, że jestem zabójcą? Pochyliłam się do przodu, rozciągając ścięgna podkolanowe, które palą żywym ogniem.

– Nie wierzę w Boga – oznajmia Rosa, jakby to była nowina. – Niezależnie od tego, czy jest mężczyzną, kobietą, czy ani tym, ani tym, jak Elon. Jaime też nie wierzy. Wygadała mi się. Powiedziała, że może nie do końca „nie wierzy”, ale nie ma pewności i nie chce, by Sojourner o tym wiedziała. Twierdzi, że to trudna sytuacja, kiedy cała twoja rodzina jest wierząca, a ty jedna nie. Wiesz, że Jaime mieszka z Sojourner, żeby mogła nadal chodzić do tej samej szkoły? Jej rodzina kiedyś mieszkała przy tej samej ulicy, ale dom sprzedano i przerobiono na eleganckie apartamenty, więc musieli się przenieść niemal dwie godziny drogi stąd. Nie mają zbyt wiele pieniędzy.

Wiem o tym.

– Nie szkodzi. My też nie mamy. Spytaj Davida. Siedzi w gabinecie i próbuje wyczarować skądś trochę kasy.

Zaczyna się do mnie przebijać.

– Lubisz swoją prawniczkę? – ciągnie. – Ja swoją bardzo. Mówi, że nie stanie mi się nic złego, bo nic nie zrobiłam, a nawet jeśli, to jestem za młoda. Ciekawe, kto jej płaci. Wątpię, by nadal byli to McBrunightowie.

– Dlaczego zabiłaś Mayę, Roso? – pytam. – Dlaczego?

– To nie ja, tylko Seimone. I nie chciała jej zabić. To był wypadek. Nie wierzę jej.

– Chciała ją nastraszyć i teraz jest bardzo zdenerwowana.

Zdenerwowana?

– Śmierć Mayi to ostatnie, na czym mi zależało – Rosa mówi dalej.

– Seimone po prostu popchnęła ją za mocno. Mówiłam jej, żeby tego nie robiła, ale ona chciała ją ukarać. Próbuję ją nauczyć, że lepiej karać ludzi bez przemocy. Przemoc jest zbyt oczywista.

Gapię się na siostrę w osłupieniu.

– Przecież ty tak zawsze mówisz, Che. Ludzie trafiają do więzienia za przemoc, no chyba że uprawiają boks. A Seimone nie chce iść do więzienia.

– Przez ciebie boli mnie głowa.

– Brakuje mi ciebie – kontynuuje Rosa. – Prawie ze sobą nie rozmawiamy, od kiedy wróciłam z obozu, a mam ci tak wiele do powiedzenia. Przedtem zresztą też nie rozmawialiśmy. Tęsknię za naszymi rozmowami, Che. Z Seimone to nie to samo, bo nie mogę jej mówić wszystkiego.

Nie brakuje mi słuchania wszystkiego. Znów się kładę i zamykam oczy. Może sobie pójdzie.

– Lepiej, kiedy jesteś moim przyjacielem. Kiedy nie jesteś taki smutny.

– Przykro mi, że przysparzam ci trosk – mamrocę pod nosem, nie dbając o to, czy słyszy, czy nie.

– To był sarkazm, prawda? – pyta Rosa. – Widzisz? Rozumiem, co to jest.

ROZDZIAŁ 38

Zasypiam dopiero o wpół do ósmej rano, a o dziewiątej budzi mnie David pukaniem do drzwi i informacją, że przyszła moja prawniczka. Biorę prysznic i ubieram się najszybciej, jak umiem.

Na dole Sally, David i Ilene siedzą przy wyspie kuchennej, popijając kawę. Wydaje się, że tylko David przespał spokojnie noc.

Ilene wita mnie lekkim dotknięciem w ramię.

– Spałeś? – pyta. Wiem, że wyglądam fatalnie.

– Trochę.

Siadam na stolku obok niej i przyjmuję kawę, którą proponuje mi ojciec. Mały czarny notes Ilene leży na blacie.

– W południe macie rezonans i badania – oznajmia prawniczka. – Oboje.

– Tak szybko? – dziwię się.

Kiwa głową i podaje nam nazwę oraz adres prywatnej kliniki.

– McBrunightom udało się wszystko przyspieszyć – wyjaśnia.

– Pieniądze, co? – wtrąca David. – Czy te urządzenia nie kosztują milionów?

– Coś jeszcze? – pytam. – Policja coś powiedziała?

– Nic nowego. Kontynuują śledztwo – odpowiada Ilene. – Udało mi się zapoznać ze wszystkim, co mi przekazałeś.

– Z czym takim? – chce wiedzieć Sally.

– Chodzi o rozmowy z Rosą, które Che nagrywał – wyjaśnia David.

Mama wygląda, jakby już miała coś powiedzieć, ale David bierze ją za rękę.

– Te rozmowy są rzeczywiście dziwne – stwierdza prawniczka – ale nie dowodzą, że Rosa chciała skrzywdzić Mayę.

– A co z tą rozmową, w której przyznała, że chce ją skrzywdzić? –

pytam, starając się, by mój głos nie brzmiał zbyt zjadliwie.

– Ale Rosa tego nie deklaruje wprost, prawda? Mówi jedynie, że chciałaby, aby Maya umarła. Wszyscy od czasu do czasu życzymy komuś śmierci. Rosa jest jeszcze dzieckiem. Dzieci częściej mówią takie rzeczy. Moja córka głośno życzyła mi śmierci wczoraj wieczorem, gdy nie dotarłam do domu na kolację. Natomiast jasno wynika z tych nagrań, że Rosa lubi uprzykrzać ci życie, najbardziej jak tylko się da. Nie powiem, że jest typową młodszą siostrą, bo pewne jej wypowiedzi brzmią dość koszmarnie, ale nie jest też całkowicie ekstremalna. Łatwo będzie to przedstawić jako zwykłą rywalizację między rodzeństwem.

– A moje notatki?

– Szczerze mówiąc, Che, to głównie spekulacje, poza tym... – Milknie na chwilę. – Niektóre twoje przemyślenia są, delikatnie mówiąc, niepokojące. Jeśli zostaną wniesione zarzuty, to ci raczej nie pomoże.

– Na przykład? Co takiego niepokojącego napisałem?

– To, że szpiegowałeś swoją siostrę, jest niepokojące – wtrąca Sally. – Jak możesz tego nie rozumieć?

– Nie o tym mówiłam – wyjaśnia Ilene. – Chodzi o to, co piszesz o próbach kontrolowania swojego temperamentu, o niepoddawaniu się potrzebie krzywdzenia ludzi, o roli boksu w przekierowywaniu gniewu. – Otwiera notatnik i czyta na głos: – „Gniew mnie spala. Pragnę go wyzwolić, zetrzeć z powierzchni ziemi wszystkich i wszystko. Zwłaszcza Rosę. Żałuję, że nie mogę jej zabić. Czasami nie potrafię utrzymać tego w sobie. Nie wiem, kim bym był bez boksu”.

– Co to, kurwa, jest?! – wołam. – W życiu czegoś takiego nie napisałem! Nawet tak nie pomyślałem.

– To skąd to się wzięło w zapiskach, które mi przekazałeś? – Wyraz twarzy Ilene się nie zmienia. Ma tak samo profesjonalną minę jak przedtem, zanim przeczytała te brutalne słowa. Nie osądza mnie, stwierdza tylko, co będzie działało na moją korzyść, a co nie.

Już mam na końcu języka sugestię, że Rosa to dopisała, ale powstrzymuje mnie ostatnia wypowiedź Sally.

Wiem, że to Rosa. Przypominam sobie to, co znalazłem w swoim dzienniku: „Podpal i patrz, jak płonie”. To Rosa dawała mi do zrozumienia, że wie o nagraniach, zanim podsłuchiła moją rozmowę z Davidem. Dodała te słowa. Podpaliła, a teraz patrzy, jak płonę.

Chryste...

Jedyną osobą, która mogłaby mnie poprzeć, jest David, ale on nic nie mówi. Wie, kim jest Rosa. Dlaczego nie wyjaśnia, że to ona musiała dopisać te bzdury?

– Rosa – rzucam w końcu, bo to prawda. – Ona musiała to zrobić.

– Naprawdę? – Sally kpi, jak się spodziewałem. – To teraz Rosa również pisze w twoim dzienniku?

I wtedy uświadamiam sobie, że już słyszałem te słowa. David powiedział, że gniew go spala. Że musi uciekać przed potrzebą, by wszystko niszczyć. To on nosi w sobie furię. Przez cały czas wiedział o Rosie, ale nigdy nic nie zrobił, a wręcz nalegał, żebyśmy nic nie mówili Sally. Ona uważa, że jestem podobny do niego. David był agresywny za młodu. Jak bardzo agresywny?

Szukanie adrenaliny i podejmowanie ryzyka znajdują się na liście cech psychopatycznych. David jest charyzmatyczny i uroczy. Kiedy Sally nazwała mnie uroczym, to nie był wcale komplement.

To on mnie podpalił i patrzy, jak płonę.

Właśnie o to chodziło Sally, gdy mówiła, że jestem taki jak David. Tego się bała, nie mojego podobieństwa do Rosy. David jest jej psychopatą, tak jak Rosa moim.

Jak mogłem tego nie dostrzec?

„Nie jesteś bystry, Che”. Ile razy siostra mi to powtarzała?

Mój ojciec jest taki jak Rosa.

Superobywatel David nie troszczy się o ludzi, którym pomaga, i wcale nie chce, by świat stał się lepszy. Dbą tylko o siebie.

A my jesteśmy jego kamuflażem.

Tak jak powiedziała Rosa, niektórzy psychopaci mają kochające rodziny, pomagające zamaskować ich prawdziwą naturę.

Rosa mnie ostrzegła. Mówiła wprost, że David jest taki jak ona.

Zdradziła mi na jego temat wiele rzeczy. Prawdziwych. Ale ja nie słuchałem. Nie wierzyłem jej.

– Nic ci nie jest, Che? – niepokoji się Ilene.

– To nie Rosa... – szepczę.

– Che? – powtarza prawniczka.

David się nie uśmiecha, ale wie, że się domyśliłem. Obserwuje sytuację, czekając, czy powiem coś Ilene. Sally wpatruje się w swoje dłonie. Pojedyncza łza spada na blat.

Jak ona może z nim żyć? Twierdzi, że go ocaliła. Dlaczego opowieści o porywczym młodym Davidzie nie nasunęły mi myśli, kim on jest?

Sally wie. Bacznie obserwowała Rosę i mnie w strachu, że będziemy tacy jak on. Mimo to żyje z nim i wierzy, że go zmieniła, kocha go.

Niestety, David nie kocha Sally. Potrzebuje jej, bo jest mu nieodzowna do zachowania pozorów. Dlatego trzyma ją przy sobie, pozwalając jej wierzyć, że go uratowała i że Rosa jest normalna.

Ale ja?

Wiem, kim jest Rosa, więc trzeba się mnie pozbyć. Uznał, że jestem zbędny. Namówił Rosę do tego? Ukartowali to razem?

– Jezu... – szepczę.

Nic w mojej rodzinie nie jest takie, jak myślałem.

Powinienem wrócić do kraju. Ciotki zawsze zapewniały, że się mną zaopiekują. Powinienem zostawić Rosę jej własnemu losowi, polecieć do domu, wrócić do Jasona, Georgie i Nazeema.

Dla Rosy nie ma ratunku. Można tylko podążać za nią na dno.

Zamykam oczy i widzę tylko uśmiechy Rosy i Davida. Dlaczego nigdy nie zauważyłem, jacy są do siebie podobni?

– Che zawsze był zazdrosny o Rosę – wyjaśnia mój ojciec prawnicze. – Chciał pozostać jedynakiem. Był przekonany, że coś jest z nią nie tak, niemalże od chwili jej narodzin.

– Bzdury! – oponuję. – Wiesz, że ubóstwiałem Rosę. Robiłem wszystko, żeby ją chronić.

Sally łka głośno.

– To ty, prawda? – Wpatruję się w Davida.

Wytrzymuje mój wzrok.

– Słucham? Teraz twierdzisz, że to ja popchnąłem Mayę? Przecież nawet mnie tam nie było.

Bezradnie unosi dłonie wnętrzem do góry, jakby chciał zasugerować, że jestem zupełnie beznadziejnym przypadkiem.

– Rozumiesz, Che, prawda? – Ilene jakoś udaje się udawać, że nic nie powiedzieliśmy. – Te notatki i nagrania nie dowodzą niczego na temat Rosy.

– Nie popchnąłem Mayi. Nie napisałem tych słów na temat gniewu. Nie mam w sobie gniewu.

Ilene poklepuje mnie po ramieniu.

– Rezonans udowodni, że to Rosa, a nie ja!

– Zobaczymy – rzuca zdawkowo prawniczka. – Muszę się zbierać.

Wstaje, a ja nie mam pojęcia, co sobie myśli. Zapewne miała gorszych klientów z gorszych rodzin.

David i Sally ją żegnają.

Przychodzi mi do głowy, że nawet kiedy skany udowodnią, że to Rosa ma zaburzenia, a nie ja, i tak mam przerąbane. Mój ojciec jest potworem, który uczył ją, jak być dobrą małą psychopatką. Oczywiście nie zamierzał nigdy przed nikim przyznać, że wie, kim jest Rosa, bo nie mógł pozwolić, by ktokolwiek nabrał podejrzeń na jego temat.

To koniec naszej rodziny.

Do bólu pragnę zobaczyć się z Sojourner.

– Musimy porozmawiać – oznajmia David po wyjściu Ilene.

– A o czym dokładnie mamy rozmawiać? Już wiem, kim jesteś.

– Kim jestem, Che?

– Pierdolonym potworem!

Wychodzę. Czuję na plecach wściekły wzrok Davida. Nie boję się, choć mam przeczucie, że powinienem.

– To twoja jedyna szansa, Che – rzuca. – Jeśli teraz odejdziesz, nic ci nie powiem.

– Nie zapomnij o bada... – woła za mną Sally. Reszta niknie w

trzasku drzwi, gdy zbiegam po schodach, z całych sił starając się nie krzyczeć.

* * *

Piszę do Sojourner:

TĘSKNIĘ.

Nie idę na salę. Nie mogę. Czuję się zraniony i zły, i mam problemy ze wzrokiem. Pewnie rozwalilibym worek treningowy. Albo swoje ręce, co bardziej prawdopodobne.

Biegnę truchtem nad East River, choć mam ochotę na sprint, ale panuje za duży ruch na ulicach, a na chodnikach jest zbyt wielki tłok. Nie zwracam uwagi na rosnący upał, na lepkie, zanieczyszczone powietrze. Potrzebuję wysiłku.

Docieram do rzeki i kieruję się na południe, machając rękami i biegnąc z palców. Muszę tak gnać, dopóki moim jedynym uczuciem nie będzie wrażenie, że uciekłem ze swojego ciała.

Zdecydowanie za szybko zaczynam ciężko dyszeć i czuć, że płuca oraz nogi mnie palą. Gubię rytm. Przed oczami latają mi czarne plamki.

Zatrzymuję się, bo alternatywą jest upadek. Ścieżka wiruje. Stoję pochylony na środku, opierając się dłońmi o kolana i gwałtownie mrugając, jakby to miało rozjaśnić mi wzrok. Muszę odpocząć. Mija dłuższa chwila, zanim wraca mi zdolność widzenia. Prostuję się i podchodzę do ławki. Chwytam się oparcia, żeby się odwrócić i usiąść.

Piłem w ogóle dziś wodę? Tylko kawę. Pewnie o to chodzi: jestem odwodniony. Nie pamiętam też, kiedy ostatnio jadłem. Tajemnica wyjaśniona. Moje serce bije za mocno, a w głowie mam dziwną pustkę. Kilka metrów dalej znajduje się fontanna z wodą pitną. Wlokę się do niej i piję do oporu. Nadal mam miękkie nogi. Potrzebuję jedzenia, ale nie czuję głodu.

Sprawdzam telefon. Sally przysłała SMS-a z adresem kliniki. Muszę się dostać na drugą stronę miasta.

Docieram na miejsce dziesięć minut spóźniony, ociekając potem i nadal odczuwając zawroty głowy. W Centrum Medycznym Dawsona jest portier, który wpuszcza mnie do budynku dopiero po sprawdzeniu mojego dowodu. W środku muszę przejść przez wykrywacz metalu monitorowany przez uzbrojonych mężczyzn. Po drugiej stronie recepcjonistka znów ogląda mój dowód i dopiero potem wyjaśnia, na które piętro mam się udać.

Zastanawiam się, czy to normalne procedury w nowojorskich centrach medycznych.

Wychodzę z windy do poczekalni, która wygląda jak lobby drogiego hotelu. Ilene siedzi na skórzanej kanapie z mężczyzną, którego nie znam. Za nimi rozciąga się widok na rzekę Hudson.

– Witaj, Che – mówi, wstając. – To jest Al Vandermeer. Jeden z prawników McBrunightów.

Podajemy sobie dłonie. Cieszę się, że nie ma tu rodziców. Nie wiem, co miałbym powiedzieć Davidowi.

– Dobrze się czujesz? – pyta Ilene.

Odpowiadam, że tak, i siadam, oddychając głęboko i licząc do dziesięciu. Zastanawiam się, czy prawnik McBrunightów przyszedł, by się upewnić, że nie podstawiliśmy kogoś w nasze miejsce. W pomieszczeniu są cztery pary drzwi i żadnej recepcji. Nie przypomina to poczekalni.

Na szklanym stoliku przed nami stoją szklanki i dzbanek. Nalewam sobie wody i wypijam do dna.

– Rosa jest właśnie na badaniu rezonansem, towarzyszy jej wasza mama – wyjaśnia prawniczka. – Ty najpierw spotkasz się z psychiatrą, a potem pójdziesz na skan.

– A Seimone?

– Ją zbadano wcześniej.

– Była tu pani?

Sprawdzam telefon. Przyszedł kolejny SMS od Georgie.

Jak się masz? Czytałam o siostrze Leilani.

Gdzie o tym czytała? A potem przypomina mi się, że Leilani jest sławna.

Nie jest lekko. Napiszę więcej niedługo.

Gdy wysyłam odpowiedź, nadchodzi wiadomość od Sojourner:

Też za tobą tęsknię. Mama jest w szpitalu, bo robią jej badania, a mami musiała pójść do pracy.

Jak ona się czuje?

Jest osłabiona. Ostatnio miała więcej złych dni niż dobrych. Nudno tu. Nienawidzę siedzenia i czekania.

Współczuję. Chciałbym być z tobą i dotrzymać ci towarzystwa.

Otwierają się drzwi i do hallu wchodzi mężczyzna z tabletem.

– Che Taylor? Zapraszam. Twoje dokumenty już są przygotowane – mówi. – Doktor Gupta może cię teraz przyjąć.

Muszę kończyć.

Wsuwam telefon do kieszeni. Nie jestem gotów, ale idę za mężczyzną do gabinetu lekarza. Do gabinetu psychiatry.

Wygląda jak zwykły gabinet lekarski. Chyba nic nie jest tu wykonane ze złota, choć sofa jest równie elegancka jak te, na których siedzieliśmy przed chwilą. Na półkach stoi mnóstwo podręczników i kolejnych edycji klasyfikacji zaburzeń psychicznych.

Lekarka wstaje i podaje mi rękę, przedstawiając się, a następnie wskazuje fotel naprzeciwko. Ma na sobie garsonkę podobną do tej Ilene, tylko brązową, nie szarą. Z uśmiechem wyjaśnia, że nie ma złych ani dobrych odpowiedzi na jej pytania, i każe mi się nie spieszyć.

Powietrze między nami migocze. Nie wiem, czy to dlatego, że nie jadłem – od jak dawna? Dzień? Dwa? Trzy? Ile czasu minęło od wypadku? – czy dlatego, że odpowiadam na pytania z kwestionariusza cech psychopatycznych, tego samego, który analizuję od dawna, ale mam wrażenie, jakbym występował w czyimś śnie.

– Źle się czujesz, Che? – pyta doktor Gupta.

Zapewniam, że nic mi nie jest.

I tak chyba jestem w lepszym stanie niż Leilani. Jak ona sobie radzi? Jak się z tym upora? Nie rozmawialiśmy od śmierci Mayi.

Żałuję, że nie mogę nic dla niej zrobić.

– Czy trudno ci zachować bezruch?

Moje stopy pod fotelem przesuwają się, wykonując nie całkiem przekładankę Alego, ale coś zbliżonego do niej.

Kiwam głową.

Czemu służy to pytanie? Diagnozie braku zahamowań? Braku lęku? Niepokój fizyczny nie jest objawem psychopatii. David potrafi siedzieć bez ruchu całymi godzinami, podobnie Rosa. Czy doktor Gupta rozmawiała już z moją siostrą?

Podczas gdy lekarka wypytuje, czy byłem często karany jako dziecko, ja martwię się perspektywą rezonansu. Będę musiał zachować bezruch przez co najmniej dziesięć minut, a może nawet dłużej. A jeśli nie dam rady? Jeżeli przez to nie uda się prawidłowo wykonać badania?

* * *

Maszyna do rezonansu magnetycznego lśni bielą we fluorescencyjnym świetle. Mam na sobie bawełnianą szpitalną koszulę, a w pomieszczeniu jest zimno. Tak bardzo kręci mi się w głowie, że cieszę się, kiedy wreszcie mogę się położyć na leżance, która zostanie wsunięta do wnętrza maszyny. Technicy wyjaśnili mi, że jest to zasadniczo wielka kamera, że nad moją głową będzie się przesuwał stelaż przypominający hełm astronauty, że będzie hałasował, ale nic nie będzie bolało, więc nie ma się czego bać.

Wiem to i nie boję się. Ponieważ nie mam klaustrofobii i nie jestem psychopatą. Rosa też by się nie bała, ponieważ jest psychopatką.

Zakładam słuchawki, które mi zaproponowali. Puszczają muzykę klasyczną. Ciekawe, czy moja siostra słuchała tego samego.

Lustro nad głową pozwala mi obserwować techników. Nie ma tu ani Sally, ani Davida. Powiedziałem, że nie chcę, by mi towarzyszyli. To nieprawda. Potrzebuję Sally. Chcę, by mama mnie przytuliła.

Leżanka wsuwa się do wnętrza maszyny, która wydaje

ćwierkający odgłos, niemalże jak ptak, a potem serię głośnych trzasków. Muzyka nie za bardzo je zagłusza. Uprzedzili mnie, że będę musiał tu wytrzymać pół godziny. Nie jestem pewien, czy dam radę. Moja lewa noga drży. W karku czuję napięcie i bardzo chciałbym poruszyć głową.

Zamykam oczy i robię ćwiczenia oddechowe, których nauczyła mnie Natalie, powoli wypuszczając powietrze z płuc, napinając mięśnie, a potem je rozluźniając. Zaczynam od mięśni glistowatych stóp, a potem nagle leżanka wysuwa się z maszyny. Gwałtownie mrugam powiekami i siadam.

Jakimś cudem zasnąłem.

ROZDZIAŁ 39

Czeka na mnie tylko Ilene. Drugi prawnik zniknął, nigdzie też nie widać Sally, Davida ani Rosy.

– Rodzice zabrali twoją siostrę do domu – wyjaśnia Ilene. – Teraz w trybie pilnym lekarz zrobi analizę twojego skanu. Wyniki badania siostry będą przed czwartą. Musimy tu wrócić, żeby je poznać.

Kiwam głową, przez co znów mi się w niej kręci.

– Źle się czujesz?

– Dawno nic nie jadłem – wyjaśniam. – Chyba mam za niski poziom cukru we krwi.

– Zapraszam cię na lunch – decyduje Ilene.

Idziemy na burgera do knajpki za rogiem. Gęsty zapach smażonego mięsa powinien pobudzić mój apetyt, ale jest wręcz przeciwnie.

Wybieram cheeseburgera i frytki, a Ilene grzybowego burgera z bekonem.

Czekając na zamówienie, popijam wodę.

– Czy to McBrunightowie pani płacą? – pytam, ponieważ wiem, że nie moi rodzice.

Kiwa głową.

– I to nie jest konflikt interesów czy coś w tym rodzaju?

– Ty jesteś moim klientem, nie oni – odpowiada. – Oni płacą, ale nie składam im raportów. I nie będę. Ale zrozumieć, jeśli nie czujesz się komfortowo w tym układzie i wolałbyś innego prawnika.

– Nie, nie przeszkadza mi to. Tak się tylko zastanawiałem.

– Chodzisz do psychologa, Che? Wiem, że twoja siostra i Seimone biorą udział w terapii. A co z tobą?

Kręcę głową.

– Radzę sobie.

– To było traumatyczne przeżycie, które zostanie w tobie przez długi czas, możesz mi wierzyć. Byłoby lepiej, gdyby ktoś ci pomógł. Sugerowałam to już twoim rodzicom.

Zastanawiam się, jakiej traumy doświadczyła Ilene.

Prawniczka zerka na zegarek, a ja wyjmuję telefon. Jest już prawie trzecia.

Kelner przynosi burgery. Ilene natychmiast zaczyna pochłaniać swojego, natomiast z mojego przez bułkę wycieka na talerz krew. Kiedy Maya wylądowała na ulicy, nie było krwi, ale mimo to nie mogę się przełamać, by jeść.

– Nie jesteś głodny? – pyta prawniczka.

– Powinienem być.

Podnoszę burgera i odgryzam kawałek w nadziei, że jego smak zachęci mnie do jedzenia. Ma konsystencję mięsa i pieczywa, ale niestety smakuje jak papier. Odkładam bułkę, by skupić się na przeżuwananiu i przełykaniu. Ilene zjadła już połowę swojej kanapki.

Zmuszam się, by wziąć kolejny kęs. Smakuje nie lepiej niż pierwszy, ale przynajmniej przestaję drżeć.

Ilene kończy jeść, kiedy dzwoni jej telefon.

– Muszę odebrać – mówi i wychodzi na zewnątrz.

Znów piszę do Leilani.

Żałuję, że nie mogę nic zrobić. Przepraszam.

Za śmierć Mayi, za to, że nie chroniłem jej przed Rosą, że nie ostrzegłem wszystkich od razu, za wiele rzeczy.

Tęsknię za tobą.

To prawda, brakuje mi jej prawie tak bardzo jak Sojourner.

– Dzwonili z kliniki – wyjaśnia Ilene po powrocie. – Doktor Gupta jest gotowa do omówienia twoich wyników.

* * *

Po powrocie do Centrum Medycznego Dawsona zostajemy zaprowadzeni do salki konferencyjnej. Siedzą tam już Gene,

Lisimaya i Seimone oraz Sally, Rosa, prawnik McBrunightów i kobieta w garsonce, która chyba jest prawniczką Rosy.

– Dlaczego wszyscy tu są? – pytam. – I gdzie David?

– Już tu jedzie – odpowiada Sally.

– Uznaliśmy, że lepiej będzie, jeśli zapoznamy się z wynikami wspólnie – odzywa się Gene.

– Nie zgadzałam się na to – protestuje Ilene. – Co z tajemnicą lekarską?

– Ja wyraziłam zgodę – cicho mówi Sally. – Jako ich matka. David też nie ma nic przeciwko temu.

– Nie musisz się zgadzać, Che. Możesz tę wiedzę zachować dla siebie.

Chcę zobaczyć mózg Rosy.

– Zgadza się – odpowiadam.

Skan Seimone jest oczywiście normalny. Dziewczynka mogła ulec wpływom Rosy, ale moja siostra nie posiada mocy, by zmienić strukturę jej mózgu. Doktor Gupta pokazuje obraz prawidłowej aktywności w obszarze jej kory czołowej.

Wciska klawisz na klawiaturze komputera i obok skanu Seimone na ekranie pojawia się kolejny.

Wydaję zduszony okrzyk. Mózg Rosy wygląda dokładnie tak, jak zawsze przypuszczałem.

Podczas gdy lekarka wyjaśnia innym, co widzimy, ja wpatruję się w ciemność Rosy. Obszar kory przedczołowej i ciało migdałowate nie wykazują prawie żadnej aktywności. To typowy obraz mózgu człowieka z antyspołecznym zaburzeniem osobowości. Część umysłu odpowiedzialna za empatię, miłość i wyrzuty sumienia w ogóle się nie rozświetliła.

– A to wyniki Rosy – mówi doktor Gupta, wciskając klawisz i wyświetlając trzeci skan. – Tutaj aktywność w obrębie ciała migdałowatego jest jeszcze mniejsza.

– Czyj jest... – milknę.

Środkowy skan jest mój, nie ma innej możliwości. Mózg jest większy niż Seimone i Rosy.

– Nie rozumiem – mówię. – To jakaś pomyłka.

Psychiatra kręci głową.

– Nie ma żadnej pomyłki, Che, ale te wyniki badań nie wyrokują, że ty lub siostra macie antyspołeczne zaburzenie osobowości.

– Przecież to właśnie oznaczają, prawda? – woła Gene. Wszyscy naraz zadają pytania. Prawnicy interweniują, próbując zapanować nad sytuacją. Lekarka cierpliwie tłumaczy wszystko – co ja już wiem – na temat tego, co czyni nas tym, kim jesteśmy. Mówi, że budowa anatomiczna nie stanowi o osobowości. Te słowa z ust kogoś innego brzmią tak dziwnie, że przestaję słuchać.

Wpatruję się w ciemność w moim mózgu.

Następnie doktor Gupta omawia wyniki testu psychiatrycznego. Wynik Rosy jest znacząco wyższy od mojego i Seimone.

Ale nie czuję się oczyszczony z zarzutów: mój mózg również przepełnia ciemność.

Nie jestem tym, za kogo się uważałem.

Niemalże parskam śmiechem na tę myśl. Ale to nie jest zabawne. Nie jestem potworem.

A może się łudziłem? Czy naprawdę czuję to, co myślę, że czuję? Czy jestem zdolny do empatii? Jak mózg wypełniony takim mrokiem może pozwalać na tyle emocji?

– Jest pani pewna, że nie ma pomyłki w moim rezonansie? – upewniam się.

– Nie jesteś swoim mózgiem – powtarza lekarka.

Patrzę na nią badawczo, bo wiem, że to nieprawda.

– Jesteś nie tylko swoim mózgiem – poprawia się.

Gene, Lisimaya i prawnicy cały czas dyskutują, natomiast Sally do tej pory nie odezwała się ani słowem.

Ciemność w moim mózgu nie znika, niezależnie od tego, jak mocno się w nią wpatruję.

Rosa bierze mnie za rękę. Mój skan tak mnie zahipnotyzował, że nie wiem, jak ona zareagowała na swój.

– Jesteś dokładnie taki jak ja – mówi spokojnie.

* * *

McBrunightowie chcą, byśmy podpisali przygotowany przez ich prawników dokument gwarantujący, że już nigdy nie zbliżymy się do nich ani do ich dzieci. W zamian za to zafundują nam lot powrotny do Sydney.

Rosa oznajmia, że nie podpisze tego dokumentu, bo Seimone jest jej najlepszą przyjaciółką. Seimone milczy.

Ilene udaje się wynegocjować dla nas trochę czasu na zastanowienie.

Idę na salę treningową, bo nie mogę sobie z tym wszystkim poradzić.

Ćwiczę intensywnie, lecz mam mało energii. Piszę do Sojourner SMS-a. Bardzo chciałbym się z nią zobaczyć, choćby na parę minut. Pytam o stan jej mamy.

Nie potrafię przestać myśleć o moim mózgu.

Jaime pojawia się na sparingu. Kiwa do mnie głową, ale nie podchodzi, by porozmawiać.

W związku z tym ja podchodzę do niej.

– Hej – odzywam się – jak się ma Sojourner? Wiadomo coś o jej mamie? Wiem, że były dziś w szpitalu.

– U mnie w porządku, dzięki, że pytasz – odpowiada ironicznym tonem.

– Przepraszam. Ja... brakuje mi jej. To było... – Milknę.

– Popieprzone – odpowiada Jaime. – To, co się stało, jest totalnie popieprzone. Czujemy się zagubieni. Veronica jest kłębkim nerwów. Leilani się odizolowała. Spotkała się z Veronicą, a potem jej oznajmiła, że nie chce jej więcej widzieć. Nie odzywa się do Elona. Jej młodsza siostra umarła, może została zabita... – Urywa, najwyraźniej uświadamiając sobie, że to ja jestem jedną z osób, które mogły ją zabić. – Jak to się stało, Che?

– Nie wiem – odpowiadam.

Spojrzenie Jaime jest równocześnie sceptyczne i zjadliwe. Wzdrygam się.

– Maya... – zaczynam, ale milknę, bo sam dźwięk jej imienia boli.
– Maya stała obok mnie. Niosła torbę tenisową, naprawdę wielką i ciężką. zaproponowałem, że ją wezmę, ale mi nie pozwoliła. Czekaliśmy na zielone światło, a potem nagle... nagle wyleciała na ulicę. Myślałem, że ktoś trącił jej torbę, ale mówią...

– Nie popchnąłeś jej – to jest stwierdzenie, nie pytanie. Czuję, jak zalewa mnie ulga. – Leilani uważa, że twoja młodsza siostra jest psychopatką. To popierdolone. Wszystko to jest popieprzone.

Kiwam głową. Nie wyznaję, że Rosa naprawdę jest psychopatką. Nie zdradzam, że mój ojciec również. Ani że ja... nie mówię jej o wynikach rezonansu.

Walczę w sparingu z nowym koleśkiem. Nie jest wcale tak dobry, za jakiego się uważa, więc postanawiam udowodnić mu, jaki jest niedobry. Dido nie musi mnie zachęcać, abym wyprowadzał ciosy. Wypróbuję wszystkie. Są szybkie i mocne, lecz nie tak precyzyjne, jak powinny być.

Chcę go zabić.

Dido woła coś, czego nie słyszę. Zapędzam rywala do narożnika, a następnie przechodzę od niszczenia jego nerek do niszczenia głowy. Jego bloki i gardy są beznadziejne. Tłukę najmocniej, jak potrafię. Rozpiera mnie fantastyczne uczucie.

– Przystopuj, Che! – Dido nagle odpycha mnie za ramiona, stając między nami. – Słyszysz? To nie jest walka o mistrzostwo. Nie uderzaj tak mocno.

Zaczynam obrót, wyprowadzając prawy sierpowy, i w ostatniej chwili go koryguję.

Matko, prawie trafiłem Dido.

Czy to ta ciemność w moim mózgu? Czy zamieniam się w Davida?

– Kurde! – rzucam, cofając się i gwałtownie mrugając powiekami.
– Przepraszam. Przykro mi.

– Nic ci nie jest, Nate? – Trenerka zwraca się do koleśka, którego tłukłem.

Odpowiada, że nic. Dido odpina mu kask i ogląda twarz.

– Leci ci krew z nosa. Idź się umyj i przyłóż sobie lód. Obejrzę cię

za pięć minut.

Chłopak kiwa głową, a Dido odwraca się do mnie.

– Mam nadzieję, że ci przykro – mówi, ujmując moją twarz w dłonie i patrząc mi prosto w oczy. Nigdy jej takiej nie widziałem. – Nie przynoś swojego gniewu na ten ring. Nie przynoś swojego gniewu do tej sali. Słyszysz mnie, Che? Jesteś tu, by walczyć w sparingu, a nie popełnić morderstwo.

Kiwam głową, ciężko oddychając. Ma rację. Byłem wściekły. Nie panowałem nad sobą.

– Słyszę, Dido – odpowiadam. – Przykro mi. Naprawdę mi przykro.

Puszcza mnie i cofa się o krok, kręcąc głową.

Boję się, że jestem taki jak David. Ale nie jestem – nie uderzyłem Dido.

Próbuję rozluźnić mięśnie karku, kręcąc głową. Dido nie jest Davidem. Ten chłopak nie jest Davidem. Żadne z nich nie jest moim wrogiem.

– Dobrze się czujesz? – pyta trenerka.

Potakuję skinieniem głowy.

– Lepiej idź przeprosić Nate’a. Przegiąłeś.

Znów kiwam głową.

– Jeszcze raz odstawisz taki numer, Che, i wylecisz z mojej sali. Słyszysz?

– Tak, Dido. Przepraszam.

Jaime wszystko widziała. Ciekawe, czy opowie Sojourner.

Kiedy zdejmuję rękawice, zauważam, że kłykcie mam otarte i już zaczynają sinieć.

Siadam na macie i przyglądam się pozostałym walkom, powtarzając sobie, że nie jestem taki jak David. Gdybym był, to codziennie chciałbym kogoś pobić. Ale nigdy nie chciałem – ani razu przez siedemnaście lat.

Mój telefon brzęczy. Ilene informuje mnie, że policja znalazła zdjęcia z monitoringu. Mayę popchnęła Seimone.

* * *

Kiedy wychodzę spod prysznic, Leilani siedzi na ławeczce pod szatnią, pisząc coś w telefonie. Pewnie dowiedziała się od Jaime, gdzie jestem. Ma na sobie garsonkę w żywym niebieskim kolorze z czerwoną lamówką, a do tego pasujący kapelusz. Pomalowała się i wygląda świetnie. Zazwyczaj nie nosi takiego mocnego makijażu.

Tylko dzięki niej doceniam, jak się ubrała, i wiem, co to jest lamówka.

– Cześć, Leilani.

Spogląda na mnie. Makijaż nie ukrywa jej smutku.

Pcha mi się na usta mnóstwo wyjaśnień na temat Davida, tego, czego się dowiedziałem o jego relacji z Sally, o mojej pokręconej rodzinie. Ale nie wiem, od czego zacząć.

Tak mi przykro – tego nie mówię, ponieważ te słowa straciły znaczenie. Niby jak mój żal może cokolwiek zmienić?

Przerzucam plecak przez ramię. Moja koszulka jest postrzępiona, a spodnie od dresu wytarte na kolanach. Wyglądam, jakbym szarpał na sobie ubrania. Zrobiłbym to, gdyby to coś zmieniło.

– Nie mogę napisać w SMS-ie tego, co chcę powiedzieć, więc przysłałam się z tobą zobaczyć.

Kiwam głową.

– Przejdiesz się ze mną? Wybieram się na otwarcie galerii, ale nie muszę być tam punktualnie.

Nie mogę uwierzyć, że idzie na jakąś imprezę tak szybko po...

Kiedy mijamy ringi bokserskie, przypomina mi się, jak na tym położonym najbliższej wejścia pierwszy raz zobaczyłem Sojourner podczas walki. Wyglądała tak pięknie... Myślę, że to śmieszne, ale chyba zakochałem się w niej wówczas, zanim w ogóle zamieniliśmy choćby słowo.

Na Houston Street słychać głównie klaksony i muzykę dobiegającą z powoli sunących aut.

– Znaleźli zdjęcia z monitoringu – odzywa się Leilani. – Mówili ci?

– Tak.

– Maya upierała się, że to nie ty. Czuła, że popchnął ją ktoś z drugiej strony, i bała się, że to mogła być Seimone.

– Przykro mi.

– Przydałby mi się drink – oznajmia moja przyjaciółka – ale w tym stroju jestem zbyt rozpoznawalna.

Wchodzimy do kubańskiej kawiarni przy Clinton Street, wymalowanej w barwy narodowe. Niebieski pasuje do garsonki Leilani.

– Starzy nie pozwolili mi się z tobą spotykać – ciągnie. – Są głupi. Zamierzają przydzielić ochroniarzy mnie i Seimone. A do tego zażyczyli sobie, żebym zaczęła się zachowywać „jak nastolatka, a nie stara-maleńka”. – Idealnie naśladuje Gene’a. – Choć to przez nich wasza rodzina pojawiła się w naszym życiu.

Oblewa mnie rumieniec.

– Twoi rodzice zmuszają nas do wyjazdu – odpowiadam.

– Wiem o skanach, Che – mówi w tej samej chwili Leilani. – Nie wierzę, że jesteś taki jak Rosa. Nie możesz taki być.

Mam wrażenie, że prosi, bym jej to udowodnił. Mamrocę coś o środowisku, o różnicach między mną i siostrą.

– Myślę, że to wasz ojciec – przerywa mi Leilani. – On jest taki sam jak Rosa. Przy obojgu jeżą mi się włosy na ramionach. Gdyby zrobili mu prześwietlenie piersi, znaleźliby czarną dziurę. Widziałam, jak Rosa na niego patrzy, ale on jest zbyt sprytny, żeby reagować na jej konspiracyjne spojrzenia.

Gapię się na nią.

– No co?

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

W charakterystyczny sposób lekko wzrusza ramionami.

– Nie byłam pewna. Nie wiedziałam, czy to nie moje przywidzenia spowodowane antypatią do niego.

– Ja nie miałem o tym pojęcia aż do dziś. Jestem takim kretynem. Sądziłem, że on mnie kocha.

– Che... – mówi Leilani.

– Jest taki jak Rosa. Chyba cała moja pieprzona rodzina taka jest.

– Sally nie – protestuje moja przyjaciółka.

– Ona nie, ale wuj, dziadek... Kurwa, Leilani, jestem jednym z pieprzonych Borgiów.

Leilani wybuchła swoim potwornym chrumkającym śmiechem.

– Zawsze myślałam, że to moi starzy są Borgiami!

Ja też zaczynam się śmiać, bo śmiech Leilani jest jedyny w swoim rodzaju, a poza tym co mi pozostało?

Dostajemy kawę i po chwili się uspokajamy. Kelnerka uśmiecha się, jakby chciała się załapać na nasze rozbawienie.

Upijam łyk. Kawa jest bardzo gorąca i słodka, dokładnie taka, jakiej potrzebuję. Na talerzyku leżą też ciasteczka, ale żadne z nas ich nie rusza.

– Nie muszę z nimi mieszkać – oznajmia Leilani. – Mogę sobie pozwolić na wyprowadzkę i tak zrobię. Nie zamierzam udawać, że rodzice cokolwiek jeszcze dla mnie znaczą. Mieszkałam z nimi tylko ze względu na bliźniaczki. A teraz, gdy Maya... Mogę zabrać Seimone ze sobą.

– Jak ona się ma? – To głupie pytanie. A jak ma się mieć?

– W ogóle się nie odzywa.

– Do ciebie?

Leilani kręci głową.

– Do nikogo. Od śmierci Mayi. Chyba nawet nie rozmawia z Rosą.

Wątpię. Rosa nie pozwoliłaby jej się tak łatwo wymknąć. Sięgam przez stół i ściskam dłoń przyjaciółki. Przytłacza mnie świadomość, że Rosa jest moją siostrą, a David ojcem.

– Seimone nie zostanie aresztowana – stwierdzam.

– Oczywiście, że nie. Nawet gdyby nie była nieletnia. Nikt nie udowodni, że zamierzała zabić Mayę. I nie zamierzała! Gdyby nie nadjechał ten rower... Maya nadal by żyła, może byłaby lekko posiniaczona.

– Rosa twierdzi, że to był wypadek.

– Z ust małej psychopatki spływa sama prawda. Ale w tej kwestii akurat jej wierzę. Jeśli zamierzały zabić Mayę, to był to główniany plan. Rosa miała szczęście.

– Ależ to pokręcone.

– Taaa. Seimone będzie codziennie chodziła na sesje terapeutyczne. Starzy mają taką odpowiedź na wszystko: sypnąć kasą. Boże, Che, nie mogę ich już znieść. Powinnam tam być dla Seimone, ale nie potrafię. Nie mogę zostać w tym mauzoleum. Nie chcę stracić obu sióstr.

– Jest nadzieja dla Seimone – mówię. – Przynajmniej ma zdrowy mózg.

Leilani prycha.

– Nie jesteś taki jaki oni, Che. Masz prawidłowe odruchy. Spójrz na Davida – on ich w ogóle nie ma. Myślisz, że wzięłyby mnie w ten sposób za rękę? Pisał do mnie SMS-y z pytaniem, jak sobie radzę?

Kręcę głową. Jest o wiele lepszy od Rosy w udawaniu, ale to i tak jest wyuczone. Nigdy spontanicznie nie przytulił mnie czy siostry, jak to robiła Sally, a ja zawsze tłumaczyłem sobie, że po prostu jest mężczyzną.

– Masz przyjaciół – ciągnie Leilani. – Widzę, jak często do nich piszesz. Widuję cię w towarzystwie Elona, Veroniki i Jaime. Wiem, jak wygląda nasza przyjaźń. Jest prawdziwa. To nie jakaś chora namiastka, będąca szczytem tego, na co stać Rosę i Davida. – Nagle dodaje: – Spałam z Veronicą. Wiesz, że znów ją rzuciłam? Poszłam do niej wczoraj wieczorem, ponieważ potrzebowałam, żeby ktoś mnie przytulił, ale to było gorsze niż samotność. Wszystko, co ona mówi i robi, jest niewłaściwe.

Zastanawiam się, czy poczuję kiedyś coś takiego wobec Sojourner. Na pewno nie.

– Kazałam jej się odpierdolić. Na amen. Czy to sprawia, że jestem taka jak Rosa?

To żart, więc zmuszam się do uśmiechu.

– W życiu – zapewniam ją. – Jesteś jej absolutnym przeciwieństwem. A wspominałem ci, że kiedy się poznaliśmy, przez chwilę obawiałem się, że jesteś taka jak ona?

– Bo byłam wredna?

– Aha. Ale zachowywałaś się serdecznie wobec Mayi, Rosa

budziła w tobie niepokój i...

– I co?

– Wydawałaś mi się, nie wiem, krucha? Każda myśl odbija się na twojej twarzy. Nie tak jak na twarzy Rosy.

– Albo Davida. Hej, przynajmniej nauczyliśmy się, że należy się wystrzegać ludzi, którzy dobrze grają w pokera.

– Ha, z całą pewnością. Ale szybko się zorientowałem, że nie jesteś taka jak ona.

– To tyle, jeśli chodzi o moją umiejętność sprawiania pozorów. Byłam tego dnia trochę złośliwa. Przepraszam za to.

– Byłaś zabawna. Od razu cię polubiłem.

Leilani odstawia pusty kubek po kawie i daje kelnerce znak ręką, że prosi o dolewkę.

– Nie wiem, co teraz będzie – wyznaje.

– Ja też nie. – Gardło mnie piecze od ciężaru łez, których nie mogę wypłakać.

– To boli. Brak Mayi. Odczuwam go całą sobą – szepcze Leilani. Ma wilgotne oczy. – Nie wiem, jak sobie z nim poradzić.

Kiwam głową i próbuję mruganiem odgonić łzy. Maya nie żyje i choć to nie ja ją popchnąłem, i tak czuję się winny.

– Jutro jest pogrzeb – dodaje. – Przykro mi.

Nie musi dodawać, że nie jesteśmy zaproszeni, ale chciałbym pójść i się pożegnać. Chciałbym też powiedzieć Leilani, że Maya była świetnym dzieciakiem, ale będzie musiała tego słuchać cały jutrzejszy dzień, i to będzie bolesne.

– W porządku – mówię zamiast tego. Nic nie jest w porządku. – Cały czas żałuję... – zaczynam – żałuję, że to nie spotkało Rosy.

– Ja też. Nienawidzę jej. – Jednak w jej głosie nie słychać złości.

Nie jestem pewien, czy śmierć Rosy cokolwiek by zmieniła, bo przecież David nadal by istniał.

– Wiesz, że jesteśmy kompletnie spłukani? – pytam i natychmiast sobie przypominam, że to określenie Rosy. – Twoi rodzice płacą za nas.

– Za wszystko?

– Raczej tak. Nawet za naszych prawników. Nieźle pokręcona sytuacja, co?

– Bardzo. Ciekawe, co twoi starzy mają na moich – zastanawia się.

– Co masz na myśli?

– Nigdy nie widziałam, żeby zrobili dla kogoś tyle, co dla waszej rodziny. Przenigdy. Owszem, zajmują się działalnością charytatywną na wielką skalę: walką z malarią, ratowaniem głodujących dzieci, ale nie płaceniem kaucji za starych przyjaciół ze studiów. Co oni z tego mają? Bo ja nic takiego nie widzę.

– Znają się od dawna... – Milknę. – W każdym razie cokolwiek to było, uznali, że rachunek został wyrównany, i zakręcili kurek.

– Przykro mi. Musisz uciekać od swojej rodziny, Che. Jest jeszcze bardziej popieprzona niż moja. Masz gdzie się podziać?

– Mam ciotki, siostry Sally. Dam radę. – Nie chcę wyjeżdżać z Nowego Jorku. Nie chcę zostawiać Sojourner.

– Daj znać, gdybyś potrzebował pomocy.

Kiwam głową, ale prosić Leilani o pomoc po tym, jak Rosa zabiła jej siostrę? Nie mógłbym.

– Oboje musimy uciekać – dodaje. – Obiecasz? Nie jesteś nic winien Rosie.

Sięgam przez stół, żeby znów uścisnąć jej dłoń, i to też boli.

ROZDZIAŁ 40

Kiedy wracam do domu, Sally siedzi na sofie i pije wino. Zakładam, że David jest w gabinecie.

– Jak się czujesz? – pyta mama, po czym odstawia kieliszek i mocno mnie przytula. – Przepraszam. Za wszystko... Wiele z tego jest moją winą, ale naprawię to.

– Jak? – pytam. Wiem, że powinienem powiedzieć: „Ależ skąd, to nie twoja wina”, jednak nie jestem pewien, ile w tych słowach byłoby prawdy.

Sally upija kolejny łyk. Butelka stojąca na stoliku do kawy jest do połowy opróżniona.

– Ilene przekazała mi informację o Seimone – dodaję.

– Tak. – W oczach Sally błyszczą łzy. – To okropne. Biedna Seimone.

Rosa schodzi po schodach z wysoko zadartą głową. Ma na sobie swoją białą sukienkę z błękitną szarfą i niesie torebkę z Shirley Temple.

– Jesteś gotowa? – pyta mamę.

Sally kiwa głową, osusza kieliszek, płucze go i wstawia do zmywarki.

– Na co gotowa? – dziwię się. – Już późno. Dokąd się wybieracie?

Sally spogląda na Rose, ale moja siostra kręci przecząco głową.

– Ona nie chce ci o tym mówić, przepraszam, Che. Opowiemy ci, jak wrócimy.

Sally pośpiesznie mnie obejmuje.

– Wszystko naprawimy, obiecuję – powtarza.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że będzie lepiej. – Całuje mnie w czoło. – Na kuchence stoi gulasz, jeśli jesteś głodny. Z puszki, ale całkiem niezły.

– Jadłem już – kłamię, a one wychodzą.

Wyciągam telefon, żeby napisać do Leilani, ale zauważam, że przyszedł SMS od Sojourner.

Mogę się z tobą teraz spotkać.

Wysłała go dwadzieścia minut temu.

Super! Teraz? – odpisuję.

Zdaję Leilani relację z tego, co się właśnie stało, kończąc:

Nie mam pojęcia, co knuje Rosa.

Nie odpisuje, a ja mam nadzieję, że to przyjęcie w galerii sztuki trochę zajmie jej myśli. Niecierpliwie czekam na odpowiedź od Sojourner. Wpatruję się w telefon tak, jakbym obserwował sparingpartnera na ringu. Niemalże wypada mi z ręki, kiedy w końcu rozlega się sygnał.

Spotkajmy się pod moim domem za 10 min.

Biegnę.

* * *

Sojourner pojawia się mniej niż minutę po moim przybyciu. Musiała mnie wyglądać z okna w kuchni. Opiera się o drzwi z rękoma za plecami. Wydaje mi się szczuplejsza, niż zapamiętałem. Termin jej wielkiej walki musi być już bardzo bliski.

– Zrzucasz wagę? – pytam.

– Tak. Jestem tak głodna, że potrafię myśleć tylko o jedzeniu. Mam walkę za dwa dni.

Powinienem był to wiedzieć.

– Czujesz się na nią gotowa?

Odpycha się od drzwi i rusza w kierunku rzeki. Zrównuję się z nią, ale uważam, by nie iść zbyt blisko. Powietrze jest nieruchome i gorące. Pot spływa mi po plecach.

– Chyba tak, ale głównie myślę o burgerze, którego da mi Bruno po pomiarach wagi.

Wygląda świetnie – mięśnie ma wyrzeźbione tak, że niemalże widać każde włókno. Chciałbym zobaczyć jej walkę. Odbędzie się w

New Jersey po drugiej stronie rzeki Hudson. Pociągiem nie tak daleko.

Sojourner nie zrywa się do biegu po przejściu wiaduktu nad Szóstą Ulicą tak jak ostatnio. Za to zbliża się do nabrzeża i opiera o barierkę. Owiewa nas chłodna bryza, niosąc chwilowe wytchnienie od upału. Koszulka klei mi się do pleców. Twarz Sojourner lśni.

– Tęskniłem za tobą. – Moje dłonie spoczywają na barierce, ale niewystarczająco blisko jej dłoni. Drewno zaczyna się już wypaczać. Czuję pod palcami drzazgi.

– Ja za tobą też. – Nie wykonuje żadnego ruchu, żeby mnie dotknąć. – Rosa pisała do mnie różne rzeczy, Che. Twierdzi, że to ty zabiłeś Mayę, ale słyszałam od Jaime, że zrobiła to Seimone, bo Rosa ją do tego namówiła. Co się dzieje? Mówiłeś, że twoja siostra sprawia kłopoty, ale coś takiego? Trudno to nazwać po prostu kłopotami.

Tak bardzo pragnę poczuć, jak mnie obejmuje.

– Rosa twierdzi, że kłamiesz, ale to ona cały czas kłamie. O co chodzi? Wszystko to jest grubymi nićmi szyte. Ona... Brakuje mi słowa, ale tak jakby udawała, próbowała mi coś sprzedać. Nie wyraża się ani nie zachowuje jak dziecko.

Chcę ją przytulić. Chcę jej dotknąć, ale nie poruszam się. Jej dłonie znajdują się ledwie kilka centymetrów od moich.

– Co jest nie tak z twoją siostrą, Che? Jaime twierdzi, że to psychopatka. Podobno tak mówi Leilani.

Słyszę, jak woda uderza w kamienie poniżej. Ruch uliczny brzmi tu ledwie jak szmer. Nie słyszę klaksonów. Nie słyszę syren.

– To prawda – odzywam się. – Psychiatrizy nazywają to antyspołecznym zaburzeniem osobowości. To oznacza, że nie czuje empatii, nikim się nie przejmuje, nie stosuje się do zasad.

– Uprzedzała mnie, że będziesz tak o niej mówił.

– No cóż, już nie tylko ja. Zdiagnozowano ją dziś.

– To dobrze, prawda? Że postawiono diagnozę? Według niej to ty cierpisz na to zaburzenie.

Teraz jest ten moment, kiedy powinienem powiedzieć jej o

wynikach mojego badania.

– Twierdzi, że cała wasza rodzina jest taka – ciągnie Sojourner. – Wasz ojciec, wuj, dziadek. Wszyscy zimni, obojętni, okrutni.

– To akurat prawda. Ale to Rosa jest taka jak oni, nie ja. – Nie mogę jej powiedzieć o moim mózgu. Nikomu nie mogę powiedzieć.

– Wiem.

– Wiesz? – pytam szeptem.

– Oczywiście – odpowiada, ale nie przysuwa się do mnie. – Od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałam, wiedziałam, że troszczysz się o innych. Jesteś złożony z samych uczuć, Che. W ogóle nie potrafisz ich ukrywać. Jest w tobie taka jasność, która... – Odwraca się do mnie z uśmiechem. – Między innymi dlatego tak bardzo cię lubię.

Niemalże pytam: „Naprawdę?”. Chcę ją pocałować.

– Nigdy nie wydajesz się zimny. Za to twoja siostra jest przerażająca. Początkowo tego nie dostrzegałam, ale rozmowy z nią... – Sojourner wzdryga się. – Rosa to bestia. Powinieneś ją widzieć w szkółce biblijnej. Nauczyła się na pamięć wielu fragmentów, lecz w ogóle ich nie czuła. Chciała znać Biblię lepiej niż inne dzieci, dowieść swojej wyższości, ale mogłaby wkuwać cokolwiek. Jest pozbawiona sumienia, Che. Na tym właśnie polega problem. „Nie ma stworzenia, które by było przed Nim niewidzialne, przeciwnie, wszystko odkryte i odsłonięte jest”. Sumienie oznacza, że chcesz być w porządku wobec Boga. Ponieważ on widzi wszystko. Rosa nie boi się Boga, nie boi się nikogo.

Nigdy tego nie rozważałem w kategoriach religijnych, ale Sojourner ma rację.

– Myślisz, że ona jest wcieleniem zła? – pytam.

– To trudne pytanie, Che. Wierzę, że każdy może zostać zbawiony. Nawet Rosa. Czy złe postępowanie oznacza, że jest się złym? Czasami chyba tak. Cieszę się, że nie jesteś taki jak ona.

– Naprawdę nie jestem, Sojourner. Potrafię kochać. Kocham...

– Przestań. – Sojourner unosi dłoń. Przypomina mi w tym geście Davida i przez ułamek sekundy mam ochotę odtrącić jej rękę. – Dlaczego mi nie powiedziałaś, Che? Dlaczego mnie nie ostrzegłeś?

Niemalże mówię: „Próbowałem”, ale w chwili, gdy przychodzi mi to do głowy, uświadamiam sobie, że to nieprawda. Bałem się, że kiedy się o tym dowie, nie będzie chciała mieć ze mną nic wspólnego. Nawet gdyby mi uwierzyła, co do czego wcale nie miałem pewności.

– Dlaczego, Che? Dlaczego nie zaufałeś mi na tyle, by powiedzieć prawdę?

Patrzy na mnie, czekając na odpowiedź, lecz ja jej nie znam. Ma rację: oszukałem ją.

– Przykro mi. – To jedyne, co potrafię powiedzieć.

– Przykro? – Kręci głową, żeby pokazać, jak niewiele jest wart mój żal. – Cała twoja rodzina jest taka jak Rosa? – Przez moment wydaje mi się, że ma ochotę przekląć. – Jak to w ogóle możliwe?

Jestem prawie pewien, że to pytanie retoryczne i Sojourner wcale nie chce, bym jej opowiadał o mutacjach DNA, o budowie mózgu i wpływie środowiska. Mam ochotę zażartować, że to nie moja wina, że jestem spokrewniony z demonami, ale nie byłoby to zabawne.

– To zbyt wiele, Che. To, że zataiłeś wszystko przede mną, mnie przerasta, i twoja rodzina mnie przerasta. A gdyby twoja siostra postanowiła wepchnąć mnie pod autobus?

To był rower, nie poprawiam jej jednak. Nie wspominam też, że Rosa mówiła o zrzuceniu jej ze schodów.

– Albo twój ojciec, wuj czy dziadek – ciągnie Sojourner. – Mam dość problemów w swojej rodzinie. Mama jest bardzo chora, Che. Była bliska śmierci więcej razy, niż potrafię zliczyć. Teraz może się poruszać tylko na wózku inwalidzkim.

– Przykro mi. Diandra jest wspaniałym człowiekiem. – Przychodzi mi do głowy, że w ich domu nie ma windy, a mieszkają na piątym piętrze. Czy Sojourner nosi ją po schodach? A co z wózkiem inwalidzkim?

– To prawda. – Sojourner bierze głęboki wdech, próbując się pozbierać. Nie patrzy na mnie. – Ona też cię lubi, ale zgadza się ze mną w tej kwestii. Wiesz, że się o to modliłam? Moje mamy też. Zaufanie to podstawa, Che. Twoja rodzina jest... Brak mi słów, żeby

to określić. Wiem, że bywają złe rodziny, ale nigdy nie słyszałam o takiej jak twoja. Jak mam wejść z tobą w związek, skoro nie mogę ci ufać? Jak mogę mieć z tobą dzieci?

Myślała o tym, by mieć ze mną dzieci? Wyobrażam sobie nas za dziesięć lat, mieszkających razem z naszymi dziećmi.

Ale Sojourner ma rację – to niemożliwe. Nie dla mnie, z nikim. Ryzykowałbym, że moje potomstwo będzie takie jak Rosa czy David. Nie mogę sprowadzić na ten świat więcej demonów.

Do tej pory zawsze myślałem, że będę miał dzieci.

– Trzymałbym rodzinę z dala od ciebie – mówię, wiedząc, jak żałośnie to brzmi.

– Ale nie robiłeś tego, prawda? Nawet mnie nie ostrzegłeś. Ostrzegasz w ogóle kogokolwiek? Skoro Rosa jest taka, jak twierdzisz, to dlaczego nikogo nie uprzedzasz? Twoim obowiązkiem jest chronić innych, nawet jeśli nie odnalazłeś Jezusa. Trzeba czynić dobro na tym świecie.

Chcę jej powiedzieć, że nie wiedziałem o Davidzie, ale to nie ma znaczenia, czyż nie? Sojourner ma rację. To, że jej nie ostrzegłem przed Rosą, było niewybaczalne. Tylko że ja nie wiedziałem, jak ją ostrzec. Nadal nie wiem.

– Zabroniłam Rosie kontaktować się ze mną. Dziwnie było mówić coś takiego dziecku, ale nie chcę mieć z nią nic wspólnego. Nie potrafię jej pomóc.

– Próbowła się z tobą kontaktować od tamtej pory? – pytam.

– Zablokowałam jej numer.

– Sprytnie.

– Telefonów od ciebie też nie będę odbierać, Che.

Wzdrygam się.

Odwraca się do mnie i ujmuje moją twarz w dłonie. Serce mi przyspiesza. Może zmieni zdanie...

– Zależy mi na tobie, ale nie mogę z tobą być, Che. To mnie przerasta. I zawsze tak będzie.

Jej usta muskają moje. Pochyliam się do pocałunku, pragnąc więcej, ale ona się odsuwa.

– Żegnaj, Che. Niech cię Bóg błogosławi.
Odwraca się i odbiega. Nie ruszam za nią.

* * *

Kiedy wracam do domu, Sally i Rosy jeszcze nie ma. Sojourner złamała mi serce. Boli nawet, kiedy oddycham.

Żałuję, że nie jestem psychopatą, bo nie czułbym bólu i niczym bym się nie przejmował. W tej chwili chciałbym nie mieć żadnych uczuć. Mógłbym wtedy to jakoś przetrwać. Maya nie żyje, Sojourner odeszła. Nic mi już nie zostało.

Dlaczego nie mogę nic nie czuć? Być taki jak David? Dlaczego nie jestem taki jak on? Co mnie ocaliło?

Moje geny. Nie ze strony Davida, lecz Sally. Uratowały mnie geny Taylorów. Dociera do mnie, jakie to stosowne, że noszę nazwisko Sally, a Rosa jest Kleinem po Davidzie. Niemalże tak, jakby wiedzieli.

Wybucham śmiechem. Oto moja kochająca rodzina: psychopatyczny ojciec i siostra, matka z urojeniami.

Kim ja w takim razie jestem?

Nie wiem.

Wiem tylko, że nie jestem psychopatą.

Płaczę. Mój umysł i serce są złamane.

Nigdy nie płakałem tyle co w Nowym Jorku.

* * *

Zasypiam dopiero nad ranem. Nawet jeśli wróciły wcześniej, to ich nie słyszałem. Sally budzi mnie po dziewiątej. Siada koło mnie na łóżku, gdy ocieram sen z oczu. Wygląda koszmarnie.

– Kiedy ostatnio spałaś? – pytam.

Macha lekceważąco ręką i oznajmia:

– Rosa złożyła zeznania.

– I co z tego? Przecież jest nagranie, jak Seimone popycha Mayę.

O czym Sally właściwie mówi?

– Seimone popchnęła siostrę tylko dlatego, że Rosa ją do tego nakłoniła – wyjaśnia. – Wczoraj wieczorem poszliśmy na policję, żeby złożyć zeznania.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Bo Rosa zagroziła, że tego nie zrobi, jeśli cię uprzedzę. – Sally poklepuje mnie po ramieniu. – Nie mogłam ryzykować, że zmienię zdanie. Lisi i Gene zasługują na to, by poznać prawdę.

Kiwam głową, choć jestem pewny, że i tak wiedzieli, dlaczego Seimone to zrobiła.

– Co będzie z Rosą? Nie aresztowali jej, prawda? Jest nieletnia. Ilene mówiła...

Sally kręci głową.

– McBrunightowie nie wniosą zarzutów. Chcą tylko, byśmy wyjechali z kraju.

– Byli tam z wami?

– Nie, tylko ich prawnicy.

– Więc podpisałaś jakąś ugodę?

– Nie, Rosa zgodziła się zeznawać tylko pod warunkiem, że nie będziemy musiały niczego podpisywać. Zmusiła ich do dania gwarancji na piśmie.

– To był pomysł jej prawniczki?

– Och, Che, to był koszmar. – Oczy Sally wypełniają się łzami. – Nie miałam pojęcia, że Rosa zamierza powiedzieć im o Davidzie.

– Powiedziała im, że David jest psychopatą? – Jestem zaskoczony.

– Zeznała, że zabicie Mayi było jego pomysłem. Nagrała rozmowę z nim, a właściwie kilka rozmów. Przekonywał ją, że jeśli kogoś zabije, zaspokoi tę potrzebę i nie będzie musiała tego robić ponownie. Powiedział, że nikt nie uwierzy, że takie dziecko jak ona jest mordercą. Musiała tylko upozorować wypadek.

– To jest nagrane?

Sally wyciera oczy i kiwa głową, ale łzy nie przestają płynąć.

– Myślałam, że się zmienił, Che. Wierzyłam w niego.

– A gdzie on jest? Aresztowali go? Można to uznać za podżeganie

do zbrodni, prawda?

– Odszedł.

– Co to znaczy „odszedł”?

– David uciekł.

Wyskakuję z łóżka i biegnę na dół. Otwieram drzwi do gabinetu. Ani śladu Davida.

Wpadam do sypialni rodziców. Tu go też nie ma. Otwieram szafę, w której wiszą puste wieszaki. Jedna szuflada też jest opróżniona. David naprawdę odszedł.

* * *

– Zawsze był przygotowany na to, by w razie potrzeby zniknąć – wyjaśnia mi Sally.

Zaparzyła kawę. Siedzę przy blacie i sączę ją powoli.

– Myślał, że nie wiem o jego zestawie ewakuacyjnym. Ale wiedziałam, tylko sądziłam, że nigdy go nie użyje. Zakładałam, że to taka pozostałość z dawnych czasów.

– Zestaw ewakuacyjny? – Rosa mi o tym wspominała, ale jej nie uwierzyłem.

– Zawiera paszporty i gotówkę w różnych walutach. Aktualizował go za każdym razem, gdy zmieniał się wzór paszportu. Od kiedy go znam, był gotów do ucieczki.

– Nie mogą go złapać? Namierzyć jego telefonu?

– Nie sądzisz chyba, że zabrał telefon? David nie jest głupi. Po prostu zniknął.

– Kiedy uciekł? – Nie było go w klinice. Właściwie to nie widziałem go od spotkania z Ilene tutaj wczoraj rano.

Sally płacze tak rozpaczliwie, że mnie nie słyszy.

Nie jestem wstrząśnięty. Nie wiem w sumie, jaki jestem. Zastanawiam się, jak na to zareaguje Sojourner, ale przypominam sobie, że nie mogę już z nią porozmawiać – zablokowała mój numer. Już nigdy nic nie będę mógł jej opowiedzieć...

– To nie ma sensu – szepczę.

Przytulam Sally, gładząc ją po włosach, i zastanawiam się, dlaczego ojciec miałby zalecać Rosie, by kogoś zabiła. To naprawdę nie ma sensu. David potrzebował przykrywki. To, że Rosa doprowadziła do śmierci Mayi, zniszczyło jego kamuflaż.

ROZDZIAŁ 41

Rosa schodzi na dół i wdrapuje się na stołek barowy.

– Co jest na śniadanie? – pyta.

– Nie mam pojęcia – odpowiadam. Nie jestem głodny.

– Musisz przestać płakać, Sally – oznajmia Rosa. – To jest bardzo irytujące.

Mama wygląda, jakby mógł ją złamać lekki powiew wiatru, natomiast Rosa tak, jakby nigdy w życiu nie zaznała nieprzespanej nocy.

Uśmiecha się, prezentując dołączki.

– Jesteś bardzo podobna do Davida, Roso, wiesz o tym? – mówię. – Zwłaszcza kiedy się uśmiechasz.

– I dobrze. To oznacza, że wszyscy zawsze będą we mnie zakochani tak jak w nim. Założę się, że uciekł z Suzette. Wiedzieliście, że odeszła z pracy?

Sally drży. Nie wyjaśniam jej, że Suzette to opiekunka dzieci, i nie pytam Rosy, czy to prawda.

Poświęcam całą uwagę kawie. Sally dalej roni łzy do swojej.

– Teraz już wszyscy wszystko wiedzą, Che – ciągnie Rosa. – Koniec z kłamstwami. Powinieneś być szczęśliwy. – Podciąga pod siebie nogi na stołku, niebezpiecznie się kołysząc, a mnie uderza wspomnienie o tym, że siadywała tak jako małe dziecko.

– Zabił kogoś za młodu – mówiąc to, Sally nie patrzy na nas, tylko na swoją kawę. Łzy płyną wolniej.

Chcę zapytać, skąd to wie. Widziała to? Dlaczego David miałby jej mówić o popełnieniu morderstwa, jeśli nie była jego świadkiem?

– Obiecał, że nigdy więcej tego nie zrobi. Twierdził, że to był wypadek.

Skłamał.

Tyle mówi mina Rosy.

Sally nie odpowiada, a ja sobie uświadamiam, że nie powiedziałem tego na głos. Ciekawe, czy zabił więcej niż raz.

– David nie zrobił tego nigdy więcej. Kiedy narastała w nim agresja, znajdował dla niej inne ujście. Zgodne z prawem. Panował nad sobą. Nie jest już taki, jak wtedy, gdy go poznałam, więc myślałam, że ta jego część umarła. Kochałam go, Che. Nadal go kocham. Wierzyłam, że się zmienił.

– Dokąd uciekł?

– Nie wiem – odpowiada Sally. – Nawet mnie nie uprzedził, że odchodzi.

W jej głosie brzmi rozpacz. Mam okropne przeczucie, że jest bardziej załamana odejściem Davida niż czymkolwiek innym – śmiercią Mayi, złem Rosy, budową mózgow swoich dzieci.

– Roso? – zwracam się do siostry.

Kręci głową.

– Zostawił telefon i zabrał zestaw ewakuacyjny. Zabrał też biżuterię Sally. Nawet się ze mną nie pożegnał, a byłam jego ulubienicą.

Mama nie patrzy na żadne z nas.

– Nie jestem taki jak on, Sally – zapewniam ją. – Wiem, że skan mózgu świadczy przeciwko mnie, ale miałem bardzo niski wynik w kwestionariuszu cech psychopatycznych.

Rosa chichocze. Nie zaskarbiam sobie uczuć matki, deklarując, że nie jestem podobny do miłości jej życia.

– Ja też nie jestem taka jak on – oznajmia moja siostra. – Jestem o wiele inteligentniejsza.

– Nie wiedziałam, że to jest dziedziczne. – Sally ociera łzy.

– Czy to znaczy, że żałujesz, że się urodziliśmy? – pytam.

– Oczywiście, że żałuje, głupolu – prycha Rosa. – Chciała tylko być z Davidem i uważa, że posiadanie dzieci było błędem.

Sally nie przeczy słowom córki.

– A ty żałujesz, że ja się urodziłam, prawda, Che?

– Nie zawsze. – Skoro jesteśmy szczerzy, mogę to powiedzieć.

Rosa uśmiecha się ironicznie.

Nie potrafię powstrzymać się przed pytaniem Sally:

– Kiedy poznałaś dziadka i Saula, nie nabrałaś wątpliwości w kwestii posiadania dzieci z Davidem?

Usta mamy unoszą się w grymasie, który może być próbą uśmiechu.

– Mnóstwo dobrych ludzi ma strasznych krewnych – odpowiada.

– Nie aż tak strasznych. Poza tym David nie był dobrym człowiekiem.

– Nie jest, bo on nadal żyje – prostuje Rosa. – Zabił więcej niż raz, wiecie? – Zwraca się do Sally. – Ale już bardzo dawno temu, zanim się urodziłam.

– Co masz na myśli? – Mama wpatruje się w Rosę z przerażeniem.

– Co on ci powiedział?

– Wiele rzeczy.

– Kogo zabił?

Siostra wzrusza ramionami, jakby to nie miało znaczenia.

– Nie podał nazwisk.

– Wyjaśnił dlaczego? – dopytuje się Sally. – Albo jak wiele osób?

– On nie jest seryjnym mordercą, Sally. Nie musisz się tym martwić. Tylko kilka osób.

– Ile to jest „kilka”? – pytam.

Twarz Sally poszarzała. Zastanawiam się, ile podobnych rozmów przeprowadziła do tej pory z córką. To może być pierwsza, choć kto wie, czego musiała wysłuchać, żeby nakłonić Rosę do złożenia zeznań na policji.

– Trzy – odpowiada siostra. – Jestem prawie pewna, że tylko trzy.

– Dobry Boże... – wzdycha Sally.

– David nie zrobił tego, bo lubi zabijać. Po prostu był zirytowany.

– To mnie uspokoiłaś – rzucam.

Sally wygląda, jakby zaraz miała zwymiotować. Ciekawe, ile naprawdę wie o mężczyźnie, którego tak bardzo kocha.

– Sarkazm – domyśla się Rosa. – Ja nie mam takiego temperamentu i nigdy nikogo nie chciałam zabić. Widzicie? To

dowodzi, że nie jestem taka jak David.

– A co powiesz o Seimone i akcji z masłem orzechowym?

Rosa przewraca oczami.

– Ile razy mam ci powtarzać, że to był jej pomysł?

– Nigdy w to nie uwierzę, Roso. Powiedz, jak jej wmówiłaś, że to jej pomysł. W to ci uwierzę. Co teraz? – pytam Sally.

– Teraz? – powtarza. – Nie wiem.

– Moglibyśmy zostać tutaj – podpowiada Rosa. – Nie musimy się nigdzie przenosić. Załatwiłam to.

– Nie możemy – zaprzecza Sally. – Gene i Lisimaya chcą, żebyśmy wyjechali.

– Ale nie mogą nas do tego zmusić. Mieszkanie zostało wynajęte na pół roku – argumentuje Rosa. – Poza tym Seimone mnie potrzebuje.

Sally z niedowierzaniem kręci głową.

Ogarnia mnie nieprzeparta ochota, by powiedzieć do niej: „A nie mówiłem?”, bo w końcu sama może się przekonać, jaka jest Rosa. Ale czuję się zbyt wyczerpany.

– Seimone cię nie potrzebuje – tłumaczy Sally. – Zniszczyłaś jej życie. Nakłoniłaś ją do zabicia siostry.

– Wcale nie. To był wypadek. Nigdy nikogo nie zabiłam. Obiecałam Che, że tego nie zrobię. Ja zawsze dotrzymuję obietnic. To moja ulubiona gra.

– To dlaczego powiedziałaś policjantom, że razem z Seimone chciałyście zabić Mayę?

– Żeby się pozbyć Davida – wyjaśnia beznamiętnie. – Nie chciałam, by się w końcu zirytował i mnie zabił. Ostatnio za bardzo się na mnie złościł. Przestraszył mnie. – Wcale nie wygląda, jakby się czegokolwiek bała.

Sally ukrywa twarz w dłoniach. Powinienem jej współczuć. Może później, lecz nie teraz. To prawda, że straciła Davida, ale on jest potworem. Ja straciłem Sojourner, która jest najwspanialszym człowiekiem, jakiego w życiu poznałem.

– Chcę tu zostać – oznajmia Rosa. – Moglibyśmy tu mieszkać

przynajmniej do końca umowy najmu.

– Zatem wracamy do domu – podsumowuję. – I co potem?

Sally przełyka głośno, powstrzymując potok łez.

– Jedna z sióstr przyjmie mnie do siebie. Zaczę wszystko od nowa. – Milknie na chwilę, jakby sobie przypomniała, że ma dwójkę dzieci. – Zaczniemy wszystko od nowa.

– Nie jestem taki jak on – powtarzam, ale wiem, że mi nie wierzy. Sądzi, że oboje jesteśmy podobni do Davida. Myśli, że zakochała się w potworze i urodziła dwa kolejne.

* * *

Potrzebuję prysznic. Potrzebuję snu. I nowego mózgu. Gdyby prysznic i sen mogły zmienić budowę mojego mózgu...

Sally sugeruje, byśmy zjedli śniadanie, ale w lodówce nic nie ma, a w szafce stoi tylko pół pudełka muesli.

– Zamierzałam zrobić zakupy... – mówi pod nosem. – Powinnam je zrobić.

Zamiast tego idzie do gabinetu i zamyka za sobą drzwi.

A ja powinienem coś zjeść. Ciekawe, kiedy znów poczuję głód.

Rosa wsypuje sobie trochę płatków do miseczki i zjada je na sucho.

– Sally nie jest sobą – stwierdza.

Zastanawiam się, czy Sally kiedykolwiek była sobą. Mieli z Davidem wspólne opinie oraz pomysły i prawie zawsze mówili to samo. Nigdy nie zauważałem, jak bardzo byli do siebie podobni. Nie, jak podobni się wydawali. Ojca wyróżniał tylko powściągany gniew.

Sally sądziła, że zmieniła Davida, ale to on zmienił ją. Przez te wszystkie lata, gdy była jego żoną, tworzył z niej idealny kamuflaż dla siebie. Co ona musi teraz czuć?

Nie znam własnej matki i nigdy nie będę wiedział, jaka była przed Davidem. Nagle uświadamiam sobie, że nigdy też nie będę wiedział, jaki ja byłem przed Rosą.

Siostra wyjmuje telefon.

– Seimone twierdzi, że jej rodzice zapłacą za nasz przelot do kraju, i tyle – mówi. – Nie chcą mieć z nami już nic wspólnego. Jest zrozpaczona. Jej serce pęknie beze mnie.

– Wątpię – prychem. – Będzie jak z Apinyą. Ocknie się i zrozumie, co jej zrobiłaś.

– Apinya nadal się ze mną przyjaźni – oburza się. – Często ze sobą rozmawiamy.

– Udowodnij. Zadzwoń teraz do niej i pokaż, jak bardzo się przyjaźnicie.

– Teraz śpi – wymiguje się Rosa.

– Gdzie jest twój tablet? Pokaż mi listę połączeń, żebym mógł się przekonać, jak często rozmawiasz ze swoją ukochaną przyjaciółką Apinyą.

Siostra wzrusza ramionami, nie przejmując się, że przyłapałem ją na kłamstwie.

– Seimone jest moją najlepszą przyjaciółką na świecie – zmienia taktykę. – Jesteśmy sobie o wiele bliższe niż ja z Apinyą. Nigdy o mnie nie zapomni.

W to wierzę. A mnie będzie brakowało Leilani. Powinienem się z nią spotkać.

Nade wszystko chciałbym spotkać się z Sojourner. Zamykam oczy.

– Niedługo tu wrócę i zamieszkam z Seimone – odgraża się Rosa. – Zobaczysz.

Niech żyje złudzeniami.

– Gene i Lisimaya woleliby, żebyś umarła.

– Bez Davida będzie o wiele lepiej – oznajmia Rosa. – Będziemy tylko ty i ja.

– A co z Sally?

– Ona się nie liczy. Tylko ty i ja.

– Trudno wyobrazić sobie coś gorszego – stwierdzam. – No, może poza powrotem Davida. Mam nadzieję, że nigdy go już nie zobaczę. Jak myślisz, dokąd uciekł?

Rosa wzrusza ramionami.

– Daleko.

– Szkoda, że nie zabrał cię ze sobą – dodaje. – Przecież byłaś jego ulubienicą i w ogóle.

– Nie jestem morderczynią jak on. David był tykającą bombą, a ja nie. Ale teraz go już nie ma.

– Bo się go pozbyłaś. – Mówiąc to, uświadamiam sobie, że pozbyła się też Sojourner. Nigdy nie zamierzała zepchnąć jej ze schodów, tylko odepchnąć ode mnie. Nie wybaczę jej tego.

– Mówiłam ci, że jestem bystra. I jesteśmy tacy sami, ty i ja – dodaje. Słyszę, jak miażdży muesli zębami. – Mamy takie same mózgi.

– Gdyby to była prawda, to ja też byłbym bystry, tak? A ciągle powtarzasz, że nie jestem. – Gdybym był bystry, tobym uciekł od tej rodziny, od Rosy, już lata temu. Zorientowałbym się, kim jest David.

– W porównaniu ze mną rzeczywiście, ale jesteś inteligentniejszy niż większość ludzi. Bo mamy takie same mózgi.

– Nie, Roso – upieram się. – Nie mamy.

– Myślałam, że nie kłamiesz, Che. Oboje widzieliśmy wyniki badań.

– Nie jestem tylko mózgiem. Lekarka powiedziała, że skan nie oznacza, że jestem taki jak ty.

– „Lekarka powiedziała...” – przedrzeźnia mnie Rosa.

– Liczy się też środowisko, DNA – ciągnę. – Nie świadczy o nas wyłącznie budowa mózgu.

Rosa chichocze.

– Ale to też mamy wspólne: mieszkamy razem i mamy tych samych rodziców.

– To nie tak – protestuję. – Jestem siedem lat starszy od ciebie, to wszystko zmienia. Przez pierwsze dwanaście lat życia mieszkałem w jednym domu w Sydney. Miałem zapewnioną stabilizację. Większość twojego życia odbywała się w ciągłym ruchu. Pięć różnych krajów, milion różnych miast, domów, szkół i nauczycieli. Totalny chaos. A do tego opiekowałem się tobą. Byłem twoim

trzecim rodzicem. Troszczyłem się o ciebie, Roso. Opieka nad tobą mnie zmieniła. Ciebie David popychał w najgorszym kierunku. Mnie nie. Ty...

– Czyli to ja cię uratowałam – oznajmia Rosa. Nigdy jeszcze nie miała aż tak przebiegłej minki. – Jeśli opieka nade mną sprawiła, że nie jesteś taki jak ja, to wyłącznie dzięki mnie nie stałeś się psychopata. Gdybym się nie urodziła, byłbyś mną, Che. David ciebie by uczył, jak być dobrym małym psycholem. Jesteś dobrym człowiekiem z mojego powodu. Dlaczego mi nie dziękujesz?

Tym razem Rosa się nie uśmiecha – po prostu wybucha śmiechem.

* * *

Pakowanie nie zajmuje mi dużo czasu. Tym razem nie dysponujemy kontenerem transportowym. Znów zabieramy ze sobą tylko to, co możemy unieść. Mam jedną walizkę i plecak.

Nie mieści mi się w nich wszystko, co chciałbym wziąć, więc poświęcam książki, najbardziej sfatygowane spodnie od dresu i koszulki w zamian za sprzęt bokserski. Smutno mi, że zostawiam plakat z Alim. Przyglądam się jego poblížnionym kłykciom, a potem własnym, które są pokryte sińcami po ostatniej sesji sparingowej. Chciałbym móc przekazać plakat Sojourner, ale nie wolno mi się z nią kontaktować.

A to jedyne, czego naprawdę pragnę.

Próbuję skupić myśli na powrocie do domu. Georgie, Nazeem i Jason wiedzą, że wracam. Jason jak zawsze z niczego nie zdaje sobie sprawy.

Super. Możesz przyjść na moją następną walkę.

Georgie i Nazeem zasypują mnie pytaniami. Odpowiadam, że opowiem im wszystko już na miejscu.

Ale nie jestem pewien, czy potrafię. Nie wiem też, czy chcę komukolwiek wspominać o czarnej plamie w moim mózgu, zwłaszcza że nie podążą za nami żadne raporty policyjne. Śmierć

młodszej siostry Leilani McBrunight została uznana za wypadek, a poza tym media się o niej jakoś szczególnie nie rozpisywały. Leilani jest grubą rybą tylko w podzbiorze świata mody.

Składając mięciutkie koszule, które mi kupiła, czuję pieczenie łez pod powiekami. Będę tęsknił nie tylko za Sojourner.

Masz jakieś instrukcje, jak pakować te wymyślne ciuszki, które od ciebie dostałem?

Zamiast odpisywać, Leilani dzwoni do mnie.

– Masz bibułę? – pyta.

– Obciąłaś włosy! – Ma włosy krótsze niż ja i wygląda w tej fryzurze jak więzień. – Ostrzygłaś się maszynką?

Leilani kiwa głową.

– Miałam dość, więc... – Porusza dwoma palcami. – Poszło won. Tobie też by się przydała wizyta u fryzjera.

To prawda. Włosy wpadają mi do oczu. Odgarniam je z czoła.

– Nie było czasu. – Ani pieniędzy. Ani chęci. Fryzura nie jest ważna.

– Masz bibułę? – powtarza pytanie.

– Nie.

– Za to masz stare koszulki. Wykorzystaj je. Ale tylko czyste! Ułóż je na płasko między koszulami. Upewnij się, że metki nie mają z nimi kontaktu, bo na pewno są plastikowe. – Otrząsa się z obrzydzeniem. – Mogą uszkodzić materiał. Najlepiej je odetnij. Postaraj się jak najmniej składać koszule. Chcesz uniknąć zagnieień. Gdy tylko wylądujesz, rozwieś je na wykładanych wieszakach. Broń Boże nie na metalowych!

Salutuję jej.

Leilani składa ukłon.

– Dzięki – mówię. – Za wskazówki, za ubrania, za to, że nauczyłaś mnie je doceniać.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiada, jakby pracowała w dziale obsługi klienta, ale wiem, że mówi to serio.

– I za pokazanie mi miasta – dodaję.

– Nie ma sprawy.

– A także za cięty dowcip.
– Do usług.
Na chwilę odwraca wzrok.
– Będzie mi ciebie brakowało – wyznaję.
Leilani się uśmiecha.
– Najbardziej twojego śmiechu – dorzucam.
– Och, zamilcz! Wyślę ci dzwonek z moim śmiechem, jak nie przestaniesz.
– Błagam! Marzę o tym.
– Zobaczmy się znów, Che. Uciekniesz od Rosy, prawda? –
Przysuwa się do ekranu tak, że widzę tylko jej oczy. – Obiecujesz?
Kiwam głową.
– Obiecuję.
– Gdy będziesz wolny, odwiedzę cię, niezależnie od tego, gdzie zamieszkas. – To też jest obietnica.
– Bardzo bym tego chciał – deklaruję.
Robi zabawną minę, żeby trochę rozluźnić atmosferę.
– Chętnie poznam twoją przyjaciółkę Georgie.
– Ona też chciałaby cię poznać – odpowiadam. Próbuję wymyślić jakiś żart, ale zamiast tego biorę głęboki wdech i proszę: – Jeśli spotkasz Sojourner, powiedz jej, że ją kocham.
Leilani kręci głową.
– Nie teraz. Może kiedyś. Jaime twierdzi, że zerwanie z tobą dużo ją kosztowało.
Czuję ściskanie w gardle. Nie minął nawet dzień, a ja co minuta byłem bliski napisania do niej.
– Tak bardzo za nią tęsknię – wyznaję szeptem.
Leilani odwraca wzrok. Nie powinienem był tego mówić. Strata Sojourner jest niczym w porównaniu z tym, jak Leilani musi odczuwać brak Mayi.
– Za Mayą też tęsknię – dodaję.
– Czy to kiedyś przestanie boleć? – Nawet nie próbuje ukryć cierpienia. Jej twarz aż się kurczy.
– Musi – odpowiadam. Ale nie jestem pewien, czy w to wierzę.

ROZDZIAŁ 42

– Tu jest za mało przycisków.

Ja siedzę od strony przejścia, Sally pod oknem, a Rosa między nami. Nie lecimy klasą biznes, więc jest nieszczęśliwa.

W klasie ekonomicznej czuć zastały pot tysięcy ludzi, którzy siedzieli tu przed nami. Ale powietrze jest takie samo: recyrkulowane i zupełnie pozbawione wilgotności. Smakuje jak przetworzony plastik. Język już mi się przykleja do podniebienia.

– Przecież mogli sobie pozwolić na odesłanie nas pierwszą klasą – marudzi Rosa. – Zachowali się podle. Spytałaś ich przynajmniej, czy zafundują nam klasę biznes? – zwraca się do Sally.

Mama nie odpowiada. Przytula się policzkiem do okna, a wzrok wlepia w chmury. Od kiedy odbyliśmy naszą pierwszą szczerą rozmowę we troje, prawie się nie odzywa. Rozmawianie nie leczy bólu złamanego serca i poszarpanej duszy, a rozmawianie z Rosą tylko go wzmacnia.

Chciałbym powiedzieć Sally, że moje serce też jest złamane, ale ona raczej nie wierzy, że w ogóle je mam.

Rozmyślałam o swojej liście priorytetów. Spełniło się wszystko, czego chciałam: posiadanie dziewczyny, walka w sparingach, a teraz powrót do Sydney. Wszystko poza numerem pierwszym: kontrolą nad Rosą. To mi się nigdy nie uda. Powinienem jej powiedzieć o liście. Byłaby to idealna metoda na wyjaśnienie, czym jest ironia losu.

– Sally – odzywa się Rosa – czy jak wrócimy do Sydney, będę mogła dostać psa? Nie zabiłam tego wirtualnego.

Mama nie odpowiada.

– Założę się, że gdybyś poprosiła McBrunightów, zapłaciliby nam za miejsca w klasie biznes. Dla nich to nie byłby żaden wydatek.

Mogliby nam kupić cały samolot, gdyby zechcieli. Powinni nam kupić samolot. Uratowałam Seimone przed krzesłem elektrycznym, a oni mi nawet nie podziękowali.

– W Nowym Jorku nie ma kary śmierci – prostuję. – A gdyby była, to nie używaliby krzesła elektrycznego i z pewnością nie straciliby małej dziewczynki z bogatej rodziny. Poza tym policja nawet nie zamierzała wnieść zarzutów.

– Mimo to ją uratowałam. Dlatego mi to podarowała. – Rosa wyciąga spod koszulki naszyjnik: rubinowe serce na złotym łańcuszku. – Seimone dała mi wisiołek Mayi. Mówi, że teraz my jesteśmy bliźniaczkami.

Ogarnia mnie fala mdłości. Zakrywam usta dłonią, zrywam się z miejsca i, zataczając się, biegnę przejściem między fotelami do toalety. Wymiociny wypalają sobie drogę przez mój przełyk i usta do umywalki. Czuję smak kwasu, sałaty, chleba i sera. Potem nadchodzi kolejna fala i kolejna. Wymiotuję, dopóki w moim żołądku nie ma już nic prócz żółci.

Kiedy myję dłonie i twarz, z lustra spoglądają na mnie oczy o zupełnie czerwonych białkach. Krwotok podspojówkowy. Wygląda to paskudnie, ale pęknięte naczynka krwionośne nie są niczym groźnym. W przeciwieństwie do Rosy, która jest znacznie gorsza, niż na to wygląda.

Napełniam mały papierowy kubek wodą, płuczę usta i wypluwam, za każdym razem zaskoczony widokiem moich oczu.

Kiedy wracam na miejsce, Rosa popija colę. Sally nigdy wcześniej by na to nie pozwoliła. Na mój widok siostra wybucha śmiechem.

– Masz oczy demona – komentuje.

– Kiedy ukradłaś naszyjnik? – pytam, bo wiem, że Maya miała go na sobie, gdy umierała.

– Nie musiałam go kraść, wystarczyło poprosić. Seimone kocha mnie najbardziej na świecie.

Wymachuje nogami w przód i w tył, hamując tuż przed kopnięciem oparcia fotela przed nią. Taka złośliwość nie byłaby wystarczająco ciekawa. Za łatwa. Wymyśli coś innego.

Wiem z całą pewnością, że znów narobi kłopotów. Wystraszyła Sojourner, zniszczyła Sally, pozbyła się Davida, złamała mnie. Na pewno to da jej napęd, by znów zrobić coś podobnego, coś jeszcze gorszego.

Przypomina mi się coś, co siostra mi powiedziała, kiedy miała cztery lata:

– Mogę cię zmusić do płaczu, jeśli zechcę.

Zaśmiałem się.

– Mam dość wysoki próg bólu, mała. Ale proszę bardzo, możesz mnie uszczypnąć.

– Nie chodzi o taki ból, głupolu.

– W takim razie o jaki?

Pokazała paluszką moje serce.

Miała rację. Zawsze ma rację.

Podziękowania

Pomysł na tę powieść podsunęła mi Tayari Jones, pisząc na Twitterze o *The Bad Seed*, świetnej książce Williama Marcha z roku 1954. Zainspirowała mnie do ponownego jej przeczytania i sprawdzenia, jak zmieniło się podejście nauki do psychopatii. Okazało się, że bardzo.

Czerpałam też natchnienie, obserwując, jak moja cudowna siostrzenica, Lyra Larbalestier Bern, uczy się śmiać, mówić, chodzić i stawać się kochającą, pełną empatii osobką. Dzięki niej łatwiej mi było zrozumieć wszystkie te dziedziny, w których Rosa jest od niej skrajnie różna.

Nadine Champion, moja trenerka boksu, jest jedną z najwspanialszych osób, jakie poznałam w życiu. Nauczyła mnie wszystkiego, co wiem, o szlachetnej sztuce pięściarstwa, a także wywarła wielki wpływ na kształt tej książki. Gdyby nie ona, nigdy nie wzięłabym udziału w sparingu i nie odkryłabym na swój temat tak wielu rzeczy, o których nie miałam pojęcia.

Jill Grinberg jest moją agentką od ponad dziesięciu lat. Nie ma dnia, żebym nie była jej za to wdzięczna. Dziękuję ci. Dziękuję również świetnemu zespołowi w Agencji Literackiej Jill Grinberg: Katelyn Detweiler, Cheryl Pientce i Denise St. Pierre.

Pragnę też przekazać wyrazy wdzięczności wszystkim w Soho Press, zwłaszcza Danielowi Ehrenhaftowi, Meredith Barnes i Rachel Kowal, a także w Allen and Unwin, szczególnie Jodie Webster, Hilary Reynolds i Clare Keighery. Jestem szczęśliwa, że mam dwa cudowne domy w moich dwóch ojczyznach, USA i Australii.

Dziękuję Lili Wilkinson i Annie Grace Hopkins za podsuniecie

materiałów dotyczących empatii.

Dziękuję moim pierwszym czytelnikom: Jackowi Heathowi, Alayi Dawn Johnson, Danielowi José Olderowi, Meg Reid, Timowi Sinclairowi, Scottowi Westerfeldowi i Seanowi Williamsowi. Serdecznie przepraszam, że pierwsza wersja była taka słaba. Teraz jest o wiele lepsza, daję słowo.

Szczególne podziękowania kieruję do Scotta Westerfelda, Jill Grinberg, Meg Reid i Alayi Dawn Johnson, którzy odpokutowali za wszystkie swoje grzechy, czytając wiele wstępnych wersji tej powieści. (Wymieniłam ich w kolejności zgodnie z tym, kto przeczytał najwięcej).

Jill Grinberg i Denise St. Pierre wykazały się wyjątkową czunością. Mam wobec nich dług wdzięczności.

Dziękuję Coe Booth, Jessie Devine, Sarah Dollard, Emily Jenkins, Alayi Dawn Johnson, Bronwyn King, Gemmie Kyle, Jan Larbalestier, Jasonowi Reynoldsowi i Lili Wilkinson za bezcenne komentarze do późniejszych wersji tekstu. Zwłaszcza za korektę wpadek z ciągłością wydarzeń, Lili i Sarah! Cieszę się, że je wyłapałyście. Coe, Emily i Alaya uratowały tę powieść, wskazując jeszcze więcej fragmentów do wycięcia. Czasami ciężko dostrzec drzewa pośród tego przekłętego lasu. Jessie Devine niezwykle starannie kontrolowała kwestię Elona. Wszelkie niedopatrzenia są moją winą.

Nazwisko rodowe McBrunightów to zbitka nazwisk kilku zawodniczek Minnesota Lynx będących w składzie zwycięskiej drużyny w mistrzostwach WNBA w roku 2013. Ich wygrana była niesamowitym zespołowym osiągnięciem, w efekcie wywołując wiele sporów o to, kto powinien zyskać tytuł Najbardziej Wartościowego Gracza. Richard Cohen, znany koszykarski bloger, uznał, że należy się on całej drużynie, więc stworzył wspólne nazwisko zawodniczek. Obiecałam mu, że go użyję w kolejnej książce, co niniejszym uczyniłam. Janine (Mc)Carville + Rebecca (Brun)son + Monica Wr(ight) = McBrunight. Maya nosi imię po Mayi Moore, a Seimone po Seimone Augustus. Wymawia się je tak samo jak Simone. Lisimaya stanowi kombinację Mayi i Lindsay Whalen.

(No dobra, Lisi za Lindsay jest trochę naciągane, ale brzmi lepiej). Leilani otrzymała imię po jednej z moich ulubionych koszykarek, Leilani Mitchell. Nie grała w tej drużynie, ale po prostu ją uwielbiam.

Jestem też jak zawsze wdzięczna mojej kochającej i bardzo zdrowej rodzinie: Jan Larbalestier, Johnowi Bernowi, Niki Bern, Lyrze Larbalestier Bern i Scottowi Westerfeldowi.

Fot. © Niki Bern



JUSTINE LARBALESTIER

jest autorką wielu powieści „dla młodzieży i innych ludzi” – jak sama je określa – w tym *Razorhurst* oraz *Liar*, wyróżnionych licznymi nagrodami. Mieszka na zmianę w Sydney i w Nowym Jorku.

„Larbalestier osiąga najwyższą formę w tej złożonej, budzącej emocje powieści”.

E. Lockhart

„Pasjonująca, przerażająca, świetna powieść, od której nie da się oderwać”.

Laurie Halse Anderson

„Zabawna, choć mroczna i i niepokojąca
– absolutnie genialna!”

Jason Reynolds

„Pełna napięcia, ekscytująca analiza zła”.

„*School Library Journal*”

„Czytelnicy nie będą wiedzieli, czy bardziej bać się w obecności Rosy, czy wtedy, gdy znika im z oczu”.

„*Kirkus Reviews*”

MOJA SIOSTRA ROSA

A gdyby najbardziej przerażającą osobą na świecie
była twoja młodsza siostra?

Siedemnastoletni Che Taylor kocha swoją siostrę Rosę, mimo że jest nieprzewidywalna i niebezpieczna. Z wiekiem dziewczynka posuwa się coraz dalej w swoich skłonnościach do zadawania cierpień. Rosa jest inteligentna, zdolna i śliczna, a przy tym umie świetnie grać i manipulować ludźmi. Tylko brat, jej jedyny powiernik, zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji.

Rodzice, wciąż przenoszący się z jednego krańca świata na drugi, lekceważą jego ostrzeżenia, uznając zachowania córki za dziecięce dokazywanie. Ponowna przeprowadzka, z Bangkoku do Nowego Jorku, otwiera przed dziesięciolatką aż nazbyt wiele możliwości.

Che zawsze opiekował się siostrą i chronił ją przed światem, lecz teraz to świat potrzebuje ochrony przed Rosą.

Przyprawiający o gęsią skórę thriller psychologiczny

Jedna z najlepszych książek dla młodych czytelników
wydanych w roku 2016 w USA



www.bukowylas.pl

Polub nas
na Facebooku



Wyłączny
dystrybutor

